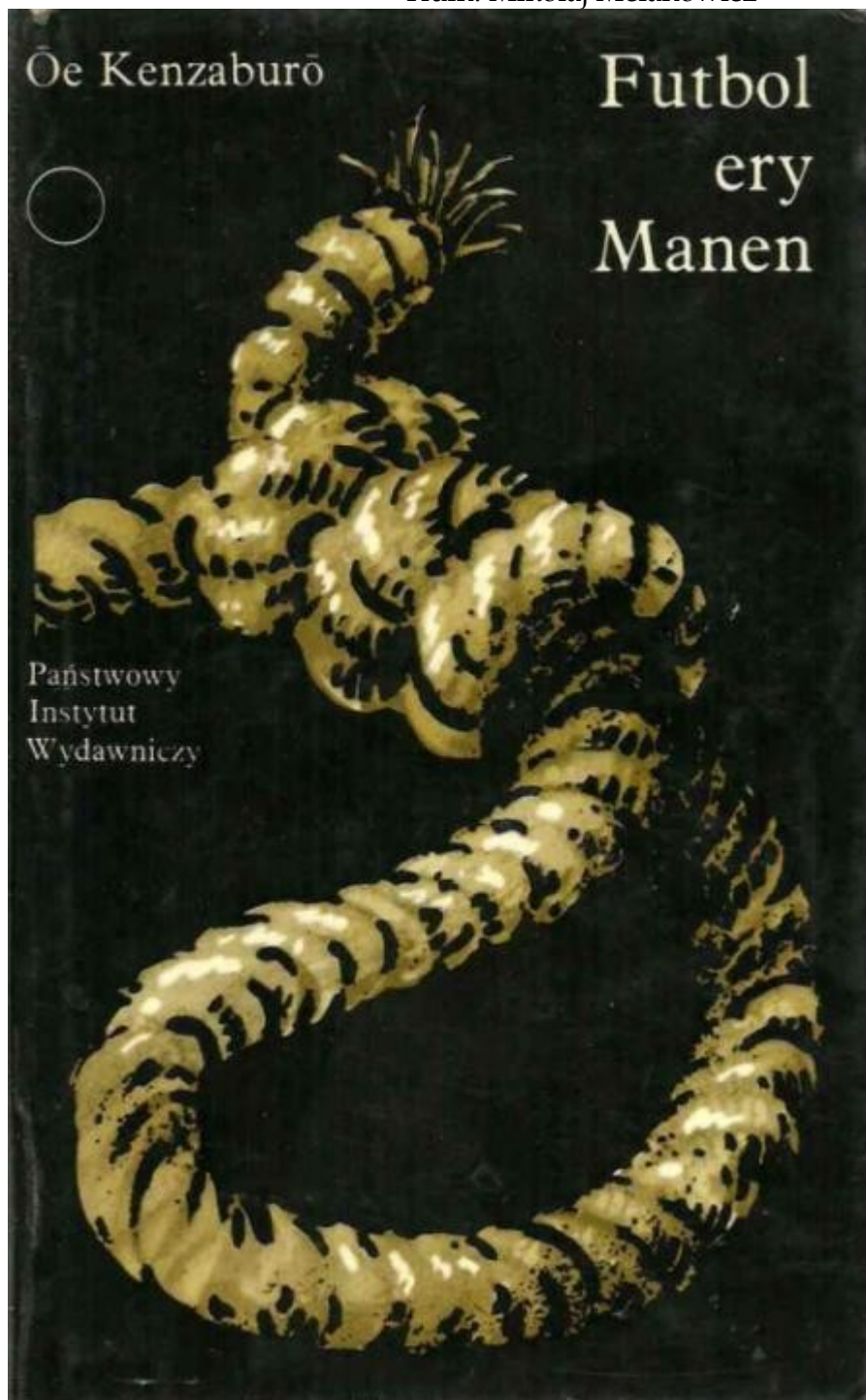


Kenzaburo Oe
Futbol ery Manen

Tytuł oryginału: Man'en-gannen-no futtoboru
Tłum. Mikołaj Melanowicz



1. Prowadzeni przez umarłych

Budząc się w mroku przed świtem, błędzę po omacku w świadomości pośród resztek gorzkiego snu w poszukiwaniu gorącego wrażenia „oczekiwania”. Wciąż na próżno poszukuję z niespokojną nadzieją gorącego „oczekiwania”, ożywającego w najgłębszych zakamarkach mojego ciała - jak obecność połykanej whisky rozpalającej wnętrzności. Zaciskam palce, które utraciły siłę. I wszędzie, w każdej cząstce ciała odczuwam odrębnie ciężar mięsa i kości; w mojej świadomości wracającej niechętnie ku światłu doznania te zamieniają się w tępy ból. Z poczuciem rezygnacji jeszcze raz biorę odpowiedzialność za to dręczące tęnym bólem ciężkie mięso, które straciło poczucie jedności. Śpię z podkulonymi nogami i rękami, w pozycji człowieka, który nie chce, aby przypomniano mu ani o jego istocie, ani o sytuacji, w jakiej się znalazł.

Kiedy się budzę, za każdym razem usiłuję odnaleźć to utracone poczucie gorącego „oczekiwania”, które nie jest świadomością braku, ale pozytywną realnością. Przekonany w końcu, że go nie odnajdę, staram się zwabić sam siebie na pochylnię prowadzącą w ponowny sen. Śpij, śpij! Świat nie istnieje. Dzisiejszego ranka jednak trucizna, zadająca męczarnie całemu ciału, jest tak silna, że zamyka drogę wiodącą do snu. Wzbiera we mnie strach. Do wschodu słońca pozostała chyba godzina. Nim ona minie, nie można powiedzieć, jaki będzie dzisiaj dzień. Leżę w ciemności, niczego nie świadomy, niby płód w łonie matki. Dawniej w takich momentach pożyteczne były złe nawyki seksualne. Ale dziś, w dwudziestym siódmym roku życia, mając żonę, a nawet dziecko w zakładzie opiekuńczym, na myśl o masturbacji odczuwam narastanie wstydu, rozgniatające nagle paki pożądania. Śpij! Śpij! A jeśli nie jest to możliwe, udawaj śpiącego. Nagle w ciemności pojawia się przed oczyma kwadratowy dół, który wykopali robotnicy, aby umieścić w nim zbiornik na śmiecie. W obolałym ciele wielokrotnieje pustosząca gorzka trucizna, która niby galareta z tubki za chwilę wytryśnie przez uszy i oczy, nos, usta, odbył i drogi moczowe.

Nadal udając śpiącego wstaję i idę wolno przez ciemność. Z zamkniętymi oczyma objam się ciałem o drzwi, ściany, meble i wydaję z siebie jęki podobne do bolesnego bredzenia we śnie. Prawe oko niczego nie dostrzega, nawet szeroko otwarte w samo południe. Ciekawe, czy kiedykolwiek zrozumiem, co się kryło za tym zdarzeniem, w którym oko stało się takie, jakie jest teraz? Był to paskudnie bezsensowny wypadek. Pewnego ranka szedłem ulicą, gdy grupa uczniów ze szkoły podstawowej, ogarnięta panicznym strachem i złością, zaczęła rzucać kamieniami. Trafiony wtedy w oko, upadłem na chodnik i leżąc tam nie mogłem zrozumieć, co się stało. Prawe oko wskutek poziomego pęknięcia od białka po źrenicę straciło zdolność widzenia. Do chwili obecnej ani razu nie miałem poczucia, że zrozumiałem prawdziwy sens tego zdarzenia. Przy tym boję się zrozumieć. Jeśli spróbujesz chodzić zakrywając dłonią prawe oko, zdasz sobie sprawę, jak dużo rzeczy czyha z prawej strony. Będziesz zderzał się z nieoczekiwanym. Raz po raz mocno uderzysz o nie głową, twarzą. Toteż prawą stronę mojej głowy i twarzy pokrywają ustawicznie odświeżające się rany, jestem więc brzydki. Zresztą jeszcze przed zranieniem oka często przypominałem sobie słowa matki, przepowiadającej moją brzydotę i porównującej mnie z młodszym bratem, który miał być przystojny, i stopniowo zacząłem dostrzegać cechy szczególne mojej wrodzonej brzydoty. Utracone oko z każdym dniem ją odnawiało i podkreślało. Ta wrodzona brzydota chciałaby się ukryć w cieniu i milczeć, ale utracone oko wydobywa ją wciąż na światło dzienne. Nie bez powodu zresztą temu oku, zwróconemu ku ciemności,

powierzyłem pewne zadanie: oko, które przestało normalnie funkcjonować, upodobiłem do oka otwartego w stronę mroku panującego wewnątrz czaszki. To jedno oko ustawicznie się wpatruje w gorący mrok wypełniony krwią nieco gorętszą od temperatury ciała. Po prostu zatrudniłem strażnika, który strzeże lasu w nocy mojego wnętrza, i w ten sposób zmusiłem się do ćwiczeń w obserwowaniu siebie od wewnątrz.

Przeszedłszy przez kuchnio-jadalnię po omacku odmykam drzwi i gdy tutaj po raz pierwszy otwieram oko, widzę bielejące przed świtaniem nikle pasmo ponad odległą krawędzią wznoszącego się wysoko ciemnego jesiennego nieba. Podbiega czarny pies i już ma podskoczyć ku mnie. Ale natychmiast pojmuje, że go odrzucam, i bez jednego warknięcia kuli się i przypada do ziemi; zwrócony w moją stronę wysuwa z mroku mały nosek podobny do grzybka. Biorę psa na rękę i powoli ruszam do przodu. Pies śmierdzi. Oddycha ciężko, przyciśnięty do mego boku. Pod ręką robi się ciepło. Może pies ma gorączkę. Palce bosych stóp uderzają o drewnianą ramę. Na chwilę puszczam psa na ziemię, szukam po omacku drabiny, następnie obejmuję rękami mrok w tym miejscu, w którym puściłem psa, i znów chwytam go tak, jak trzymałem poprzednio. Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, ale śmiech mój nie trwa długo. Pies na pewno jest chory. Z wielkim trudem schodzę po drabinie na dół. Na dnie jamy są niewielkie kałuże, w których zanurzają się boscie stopy po kostki. Wody w nich niewiele, tyle co soku wyciśniętego z mięsa. Siadając wprost na gołej ziemi czuję, jak woda przenika przez spodnie piżamy i slipki, moczy tyłek, i wtedy czuję, że przyjmuję to posłusznie, jak ktoś, kto nie jest zdolny do sprzeciwu. Naturalnie pies może odmówić moczenia go w wodzie. Ale on milczy, tak jak milczy pies, który potrafi mówić i utrzymuje równowagę na moich kolanach wspierając lekko o moją pierś swoje drżące, gorące ciało. Dla utrzymania równowagi zakrzywionymi pazurami wczepia się w skórę na kolanach. Czuję, że nie mogę też odrzucić tego cierpienia, a po pięciu minutach obojętnieję. Obojętnieję również na wodę, która zmoczyła tyłek i napłynęła między uda i jądra. Moje stuśiedemdziesięciodwucentymetrowe i siedemdziesięciokilo-gramowe ciało nie różni się od ziemi wykopanej wczoraj przez robotników z tego dołu, w którym teraz jestem, i wyrzuconej gdzieś daleko nad rzekę. Moje ciało upodobiło się do ziemi. Ciepło psa i nozdrza niby wewnątrz dwu jamochłonów - to dwie jedyne oznaki życia w moim ciele, w otaczającej ziemi i masie wilgotnego powietrza. Nozdrza z przerażającą siłą stają się coraz wrażliwsze i wchłaniają ograniczone wonie z dna jamy, jakby były one niepojętą obfitością. Nozdrza pracują z najwyższą sprawnością, gromadzą zbyt dużą ilość zapachów i nie mogą rozróżnić jednego od drugiego; omal nie tracę przytomności, kiedy uderzam tyłem głowy (zdawało mi się, że bezpośrednio gołą czaszką) o ścianę jamy, i odtąd już bez ustanku absorbuję jedynie tysiące różnych zapachów i minimalną ilość tlenu. Rozkładająca się gorka trucizna wciąż wypełnia moje ciało i już nawet nie zamierza - jak mi się zdaje - wysączyć się na zewnątrz. Nie wraca już gorące uczucie „oczekiwania”, ale ustępuje lęk. Obojętnieję na wszystko, co mnie otacza, obojętne mi jest i to, czy mam ciało, czy go nie mam. Żałuję tylko, że nikt nie ogląda tej mojej totalnej obojętności w stosunku do siebie samego. A pies? Ale pies nie ma oczu. Nawet ja, zobojętniały, nie mam oczu. Od chwili, w której zszedłem po drabinie, miałem oczy zamknięte.

Następnie zacząłem myśleć o przyjacielu, w którego kremacji uczestniczyłem. Pod koniec tego lata przyjaciel pomalował cynobrem głowę i twarz, rozebrał się do naga, wcisnął sobie ogórek w odbytnicę i powiesił się. Jego żona, wyczerpana nerwowo i wyglądająca jak chory zając, wróciła z nocnego przyjęcia i odkryła, że mąż popełnił samobójstwo. Dlaczego nie był na tym przyjęciu razem z żoną? Należał do tego rodzaju

ludzi, którym nikt się nie dziwił, kiedy posyłał żonę na przyjęcia, a sam zostawał w domu i zajmował się tłumaczeniem (była to praca, jaką mieliśmy wykonać wspólnie).

Od punktu oddalonego o dwa metry od wisielca żona przebiegła do miejsca, w którym odbywało się przyjęcie; była śmiertelnie przerażona wymachiwała rękami, wykrzykiwała coś niezrozumiałego, zamasyżycie wyrzucała przed siebie stopy w zielonych, jakby dziecinnych butach, gdy tak pędziła w ciemności w sam środek nocy, niewidoczna dla nikogo. Wróciła tą samą drogą niby postać na puszczonej do tyłu taśmie filmowej, a po zawiadomieniu policji dotąd płakała cicho, dopóki nie przyszedł ktoś z jej domu rodzinnego i nie zabrał jej ze sobą. Po zakończeniu procedury policyjnej ja wraz z jego stanowczą babką oddaliśmy ostatnią przysługę przyjacielowi, którego nic już nie mogło uratować, jego nagiemu ciału o czerwonej głowie, z ostatnią spermą w jego życiu przylepioną do ud. Matka zmarłego zachowywała się jak idiotka, więc na nic się nie przydała. Może poza jednym tylko przypadkiem, w którym niespodzianie przejawiała zdecydowaną wolę i przeciwstawiła się nam, kiedy zamierzaliśmy zmyć farbę z umarłego. Ja i stara kobieta wyprosiliśmy wszystkich przybyłych z kondolencjami i tylko we troje czuwaliśmy bez przerwy całą noc przy zmarłym, w którego ciele niezliczone ilości komórek, skarbniczek jego indywidualności, podlegały już niedostrzegalnemu, ale szybkiemu procesowi rozkładu. Wysuszona skóra niby tama powstrzymywała słodkawo-kwaśne różowe komórki, topniejące i zmieniające się w coś nieokreślonego. Ciało przyjaciela, o twarzy pomalowanej cynobrową farbą, leżące wyzywająco na prostym, niemal wojskowym łóżu i podlegające nieustającemu rozkładowi, nabrało teraz znacznie bardziej natrętnej realności niż kiedykolwiek podczas dwudziestosiedmioletniego życia, spędzonego na pożałowania godnych próbach przejścia przez ciemny tunel, jakby po to tylko, by urwać się niespodziewanie, zanim udało się przedostać na drugą stronę. Już wkrótce pęknie nieuchronnie tama skóry. Fermentujące skupiska komórek przygotowują, tak jak przygotowuje się wino, prawdziwą już teraz fizyczną śmierć ciała. Pozostający przy życiu będą musieli pić ten trunek. Fascynują mnie te zagęszczone chwile, odmierzane związkiem ciała przyjaciela z bakteriami rozkładu pachnącymi jak lilie. Obserwując przemijanie tego czystego czasu w jego niepowtarzalnym locie, uświadamiam sobie ponownie kruchość innego czasu, miękkiego i ciepłego jak czubek głowy niemowlęcia, czasu dopuszczającego powtórzenie.

Nie mogę się oprzeć uczuciu zazdrości. Oczy przyjaciela już nie będą się przyglądać, nie zrozumieją prawdziwego sensu tego, co będzie się działo, kiedy ja zamknę oczy po raz ostatni, a moje ciało będzie doświadczać czasu rozkładu.

- Kiedy przyjechał z sanatorium, powinienem był mu poradzić, aby tam wrócił.

- Nie, chłopak nie mógł już przebywać tam dłużej! -odpowiedziała babka przyjaciela. - Chorzy bardzo go szanowali, bo robił tam wspaniałe rzeczy. Dlatego nie mógł tam dłużej przebywać. Nie zapominaj o tym i nie rób sobie wyrzutów. Po tym, co się stało, wszystko jest już naprawdę jasne, ale to dobrze, że chłopiec stamtąd uciekł i zaczął prowadzić wolne życie! Gdyby tam chciał popełnić samobójstwo, nie mógłby się powiesić nago, pomalowawszy twarz na czerwono. Inni pacjenci nie pozwoliliby mu na to, bo zbyt go szanowali.

- Ty dobrze się trzymasz, to dodaje mi sił.

- Każdy musi umrzeć. A po stu latach nikt nie będzie sprawdzać, jak umierała większość ludzi. Najlepiej więc umrzeć, jak się komu podoba.

Matka przyjaciela, siedząca na krawędzi łóżka, bez przerwy gładziła trupa po nogach. Jak wystraszony żółw wcisnęła szyję głęboko w ramiona i nie reagowała na naszą

rozmowę. Drobne rysy twarzy, spłaszczonej i podobnej do jakiejś rośliny, okrutnie przypominały zmarłego syna, były martwe i zwiotczałe i kojarzyły mi się z topniejącym cukierkiem. Nigdy chyba nie widziałem twarzy, która by tak precyzyjnie wyrażała rozpacz.

- Jak Sarudahiko - powiedziała bez wyraźnego związku babka zmarłego.

Sarudahiko - to słowo miało dla mnie nieuchwytnie komiczne brzmienie kojarzące się ze wsią; zdawało mi się, że przywołuje na pamięć jakieś znaczenie, choć bardzo niejasne, lecz z powodu zmęczenia mózg zmienił się w galaretę i zaczął drżeć, ale drżenie to nie powiększyło się i nie rozwinęło osnowy tego znaczenia... Nawet gdy potrząsnąłem głową na próżno, słowo „Sarudahiko” zatoneło w głębinach pamięci, niby ciężarek, nie zdoławszy złamać pieczęci znaczenia.

I teraz w mojej głowie, gdy tak siedzę trzymając psa na dnie jamy, w której zebrało się trochę wody, wypłynęło słowo „Sarudahiko” jako wyraźna odnoga żyły bliskich mi wspomnień. Wiążąca się z tym słowem zamrożona od owego dnia galaretowata tkanka mózgu teraz się roztopiła. Sarudahiko, Sarudahikono mikoto w Amanoyachimata witał bogów zstępujących z nieba. Reprezentantka grupy intruzów, Amenouzume, prowadząca negocjacje dyplomatyczne z Sarudahiko, zebrała ryby, pierwotnych mieszkańców tego Nowego Świata, chcąc ustanowić tutaj własne rządy i mówiąc „te usta nie odpowiadają”, otworzyła paszczę morskiego trepanga opierającego się jej w milczeniu. Nasz wrażliwy Sarudahiko dwudziestego wieku pomalował sobie głowę cynobrem, był więc raczej pobratymcem trepanga, któremu rozcięto pysk. Na myśl o tym trysnęły mi z oczu łzy, spłynęły po policzkach na wargi i spadły na grzbiet psa.

Na rok przed śmiercią przyjaciel przerwał studia na uniwersytecie Columbia, wrócił do kraju i udał się do szpitala z powodu lekkich zaburzeń umysłowych. O lokalizacji tego domu dla umysłowo chorych i o tamtejszym życiu przyjaciela nie wiem nic poza tym, co on sam mi powiedział. Jego żona, matka i babka nie odwiedzały tego szpitala znajdującego się podobno w okręgu Shónan. Przyjaciel zabronił wszystkim bliskim odwiedzania go w tym zakładzie. A teraz nawet nie jestem pewien, czy ten szpital w ogóle istnieje. Jednak, jeśli wierzyć słowom przyjaciela, szpital ten nazywał się Ośrodek Ćwiczenia Uśmiechu, a ludzie tam zebrani przy każdym posiłku zażywali duże dawki środków uspokajających i w dzień i w nocy uśmiechali się wszyscy łagodnie, pędząc tu spokojnie swój żywot. Szpital mieścił się w parterowym budynku podobnym do zwykłych pensjonatów nadmorskich spotykanych w Shónan; połowę budynku zajmował tak zwany pokój słoneczny. W ciągu dnia większość pacjentów rozmawiała z sobą siedząc na licznych huśtawkach ustawionych na rozległej murawie. Zebrani w tym zakładzie pacjenci byli raczej podróżnymi w czasie dłuższego postoj. Po zażyciu środka uspokajającego przypominali najłagodniejsze na świecie zwierzęta i pędzili czas w pokoju słonecznym czy na murawie, wymieniając ze sobą przyjazne uśmiechy. Swobodnie mogli wychodzić z domu, nikt z nich nie odczuwał, że jest trzymany w zamknięciu, dlatego też nikt nie próbował ucieczki.

Kiedy przyjaciel po tygodniu pobytu w Ośrodku Uśmiechu wrócił do domu po nowe książki i zmianę ubrania, powiedział, że chyba się przystosował do tego dziwnego miejsca szybciej i przyjemniej niż łagodnie uśmiechający się pacjenci, którzy znaleźli się tam wcześniej od niego. Jednakże minęło jeszcze trzy tygodnie, przyjaciel znów wrócił do Tokio, tym razem w jego uśmiechu pojawił się ledwie dostrzegalny smutek. Wtedy przyjaciel opowiedział swojej żonie i mnie następującą historię. Pielęgniarski roznoszący środki uspokajające i posiłki był mężczyzną brutalnym, wyczyniającym straszne rzeczy z pacjentami, którzy będąc pod działaniem leków nawet nie odczuwali złości. Na

przykład bez żadnego powodu uderzał w brzuch przechodzącego obok pacjenta. Poradziłem wtedy, aby się poskarżył dyrektorowi ośrodka, ale przyjaciel odpowiedział: - Gdybym coś takiego zrobił, dyrektor by pomyślał, że z nudów kłamiemy lub po prostu cierpimy na manię prześladowczą, lub jedno i drugie. Nikt chyba, przynajmniej na plaży w Shónan, nie nudził się tak jak my, ponieważ my wszyscy w większym lub mniejszym stopniu jesteśmy wariatami. Ponadto dzięki środkom uspokajającym ja też w końcu dokładnie nie wiem, czy naprawdę jestem zły, czy nie.

Lecz zaledwie po dwu, trzech tygodniach od tej rozmowy przyjaciel nie wypił przy śniadaniu środka uspokajającego, podobnie uczynił z porcją obiadową i wieczorną, wylał je po prostu do ubikacji. I gdy następnego ranka poczuł, że ogarnia go gniew, zaczął się na brutalnego pielęgniarsza - sam ucierpiał wtedy niemało, ale w końcu pielęgniarsza omal nie zabił. Od tego wydarzenia zaczął się cieszyć dużym szacunkiem grzecznie uśmiechających się pacjentów, ale po rozmowie z dyrektorem musiał to miejsce opuścić. Gdy wychodził z Ośrodka Uśmiechu pomachawszy ręką pacjentom, którzy odprowadzali go dobrotliwym, głupawym uśmiechem, poczuł się tak głęboko zasmucony jak nigdy przedtem w życiu.

- Doznałem takiego smutku, o jakim wspomina Henry Miller. Prawdę mówiąc, do tego czasu wątpiłem w prawdziwość tekstu Millera: „Chciałem śmiać się razem z nim, ale śmiać się nie mogłem. Zrobiło mi się strasznie smutno, smutniej niż kiedykolwiek w życiu.” To znacznie więcej niż zwrot stylistyczny. Jest jeszcze jedno wyrażenie, również Millera, które odtąd wciąż mnie prześladowało: „Bądźmy weseli, cokolwiek się dzieje!”

Od pobytu w Ośrodku Ćwiczenia Uśmiechu aż do chwili śmierci przez powieszenie się nago, z głową pomalowaną na czerwono, słowa Millera były swoistą obsesją przyjaciela. „Bądźmy weseli, cokolwiek się dzieje!” Krótkie lata nazbyt wczesnego schyłku życia przyjaciel przeżył wyjątkowo wesoło, popadł nawet w pewien seksualny nawyk, oddając się temu szaleństwu z niezwykłą namiętnością. To wspomnienie powróciło podczas rozmowy z żoną, gdy przyszedłem do domu po uroczystej kremacji ciała przyjaciela, zmęczony i przybity. Żona, czekając na mnie, piła samotnie whisky. Wtedy po raz pierwszy ujrzałem ją pijaną.

Zaraz po powrocie do domu poszedłem do pokoju żony i syna. Wtedy dziecko było jeszcze w domu. Zapadł już zmierzch, dziecko leżało w łóżku, patrzyło na mnie brązowymi oczyma absolutnie bez wyrazu, łagodnie, z takim spokojem, z jakim mogłyby patrzeć rośliny, jeśliby miały oczy. Żony obok dziecka nie było. Potem odkryłem ją pijaną w mroku biblioteki. Kiedy ją znalazłem, siedzącą na stopniu między regałami, niby ptaka na chwiejącej się gałęzi, utrzymującą niepewną równowagę, poczułem się zażenowany i wstyd mi się zrobiło za samego siebie. Żona, wyciągnawszy whisky ze schowka pod schodami, gdzie ją ukryłem, pociągnęła łyk wprost z butelki, potem piła po trochu bez przerwy. Nad górną wargą zebrał się tłusty pot; na mój widok cofnęła się do tyłu jak mechaniczna lalka, ale wstać nie mogła. Jej oczy były rozgorączkowane i czerwone jak śliwki, a skóra na szyi i ramionach, widoczna ponad ubraniem, była szorstka, nierówna jak u gęsi; całe ciało przypominało chorego psa, który nerwowo gryzie trawę i zwraca ją z powrotem.

- Nie jesteś chora? - zapytałem bez sensu.

- Nie jestem chora - odpowiedziała wyczuwając w lot moje zakłopotanie i nie kryjąc chęci zakpienia ze mnie.

- To znaczy, że jesteś naprawdę pijana.

Gdy usiadłem na wprost niej, wzrok mój przyciągnęły drżące krople potu spadające z krawędzi górnej wargi, kiedy poruszyła ustami. Uderzył mnie jej nieprzyjemny oddech,

pełen ciężkich oparów alkoholu. Zmęczenie żyjącego człowieka, które przyniosłem od łoża śmierci przyjaciela, znów przesycało czernią wszystkie zakamarki ciała do tego stopnia, że chciało mi się płakać.

- Jesteś kompletnie pijana!

- Nie jestem tak bardzo pijana. Spociłam się ze strachu!

- Czego się boisz? Boisz się o przyszłość dziecka?

- To straszne, że mogą być ludzie, którzy malują sobie głowę na czerwono, rozbierają się do naga i popełniają samobójstwo!

Powiedziałem żonie tylko to, słowem nie wspomniałem o ogórku.

- Ale chyba nie to napawa cię lękiem?

- Boję się, bo ty, Mitsu, też możesz pomalować głowę na czerwono i nago popełnić samobójstwo! - powiedziawszy to zwiesiła głowę nie mogąc ukryć przerażenia.

Przez mgnienie zadrzałem na całym ciele, bo w ciemnobrązowej masie włosów żony dostrzegłem własnego trupa w miniaturze. Ujrzałem cynobrową głowę zmarłego Mitsusaburo Nedokoro z grudkami niedokładnie rozpuszczonej farby zastygłej za uszami, niby krople krwi. Podobnie jak ciało zmarłego przyjaciela, moje również wskazywało, że od decyzji samobójstwa w tak osobliwym stylu do jego popełnienia upłynęło niewiele czasu, gdyż uszy pozostały nie pomalowane.

- Ja nie popełnię samobójstwa! Nie mam powodu do popełnienia samobójstwa.

- Czy on był masochistą?

- Dlaczego? Dlaczego pytasz mnie o to w dzień po jego śmierci? Czy ze zwykłej ciekawości?

- Przypuśćmy - spostrzegłszy objawy gniewu w moim chrypliwym głosie, który nawet dla mnie nie był zupełnie jasny, powiedziała nad wyraz smętnie - że miał on jakieś zboczenie seksualne, to, rzeczywiście, nie muszę się chyba niepokoić o ciebie, prawda?

Znów cofnęła się i wpatrywała we mnie, jakby oczekiwała potwierdzenia. Przestraszył mnie wyraz rozpaczliwej bezsilności w jej dziwnie zaczerwienionych oczach. Lecz żona prawie natychmiast zamknęła oczy, podniosła butelkę whisky i pociągnęła łyk. Powieki pociemniały niby brudne opuszki palców. Zakrztusiła się, aż popłynęły łzy, a z kącików ust pociekła whisky ze śliną. Zamiast zmartwić się, że popłami swą jasnopopielatą jedwabną suknię, którą niedawno kupiła, wyjąłem z jej wychudłych i cienkich palców butelkę i sam pociągnąłem łyk, aby ukryć zniecierpliwienie.

To prawda, opowiadał mi z mieszaną przyjemnością i smutkiem, mając już za sobą pewne doświadczenia masochisty, choć jeszcze był w połowie drogi ku zboczeniu seksualnemu, zresztą nie tak znowu płytkiemu, by każdy mógł w nim przypadkowo zasmakować, ale jednocześnie nie tak jeszcze głębokiemu, by nie można było o nim mówić innym: niemniej był już w takim punkcie pochylni prowadzącej ku zboczeniu, że sam nie mógł mieć wątpliwości, dokąd to prowadzi. Przyjaciel odwiedzał pewien dom dla wtajemniczonych, w którym pełne okrucieństwa samice zaspokajały masochistów. Pierwszego dnia nic specjalnego się nie zdarzyło. Ale gdy po trzech tygodniach odwiedził ten dom po raz drugi, ogromna głupia kobieta, poznawszy dokładnie gust przyjaciela, objawiła mu, że odtąd nie będzie mógł się bez niej obejść. Potem zrozumiał, gdy leżał nago na brzuchu, a wiązka konopnych sznurów opadła głuchym odgłosem tuż nad jego uchem, że głupawa wielka baba jako niewątpliwa rzeczywistość wtargnęła w jego świat.

„Poczułem się tak, jakby moje ciało rozpadło się na kawałki, rozmiękło w każdej swej cząsteczce, niby sznur parówek pozbawionych czucia. Lecz mój duch unosił się gdzieś na wyżynach, całkowicie oddzielony od ciała.” Powiedziawszy to mój przyjaciel utkwiał

we mnie wzrok, a na jego twarzy pojawił się dziwnie wąty, zbolący uśmiech. Wypiłem jeszcze łyk whisky, zakrztusiłem się podobnie jak żona, a ciepławy alkohol popłynął pod koszulę na piersi i brzuch. Następnie znów ovladnęło mną nieodparte pragnienie, by powiedzieć coś brutalnego do żony siedzącej z zamkniętymi oczyma, gdy jej czerniejące powieki, niby zwodniczy deseń skrzydeł pewnego rodzaju ćmy, wyglądały jak druga para oczu.

Załóżmy, że był masochistą - chciałem powiedzieć - i tak nie będzie to znaczyło, że nie masz powodu do strachu. Nie możesz być spokojna widząc tylko tę różnicę między nim a mną i sądząc, że na pewno nie pomaluję głowy na czerwono, nie rozbiore się do naga i nie zabiję. A to dlatego, że zboczenia seksualne i temu podobne rzeczy nie są w końcu tak ważne! Chodzi tu po prostu o dewiację spowodowaną czymś strasznym i tajemnym, co drzemie w głębi człowieka. Potężna siła motoryczna szaleństwa, której trudno się przeciwstawić, drzemała w jego duszy i przez jakiś przypadek wy wołała zboczenie zwane masochizmem, to wszystko. To nie masochizm, który zrodził szaleństwo, doprowadził go do samobójstwa, lecz odwrotnie. A te trudne do uleczenia ziarna szaleństwa i we mnie też...

Ale nic z tego nie powiedziałem żonie, zresztą sama ta myśl nie zaczęła jeszcze zapuszczać korzeni - tak cienkich jak łądyżka wodnej trawy - w fałdach mózgu przytępiętego zmęczeniem. Złudzenie, niby bąbelki w szklance, zawrzało i od razu zniknęło. Jeśli takie złudzenie mija, nie pozostawia człowiekowi żadnego doświadczenia. Zwłaszcza gdy się milczy i nic o tym nie mówi. Wystarczy jednak po prostu czekać, aż to niepożądane złudzenie, nie zdoławszy jeszcze zranić fałd mózgu, po prostu przeminie. Jeśli mi się uda tego dokonać, to następnym razem będę mógł z całkowitą pewnością zaakceptować to jako doświadczenie, co do tego nie mam wątpliwości, mogę więc uniknąć tej trucizny przynajmniej do nadejścia ponownego uderzenia. Zacisnąłem usta, wziąłem żonę pod ramiona i uniosłem w górę. Odczułem to jako bluźnierstwo, że nieczystymi rękami, które unosiły zmarłego przyjaciela, podtrzymuję teraz tajemnicze i kruche, żywe ciało żony, istoty stworzonej, by rodzić w bólu i napięciu; ale mimo to z tych dwu ciał, jednakowo ciężkich dla moich rąk, ciało zmarłego przyjaciela wydało mi się bliższe. Ociężałym krokiem ruszyłem w stronę sypialni, gdzie czekało na nas dziecko, lecz przed łazienką żona zatrzymała się jak statek, który zarzucił kotwicę, i przedzierając się przez mroczne ciepławe powietrze letniego zmierzchu, jakby pływając w wodzie, weszła do ubikacji. Pozostała tam dosyć długo. Kiedy wreszcie wynurzyła się stamtąd, idąc jakby pod prąd wody zgęstniałej i mrocznej, wprowadziłem ją do sypialni, zrezygnowałem z rozbierania, po prostu położyłem ją na łóżku w tym, w czym była. Żona westchnęła bardzo głośno, jakby chciała wypluć z siebie duszę bez reszty, i od razu usnęła głębokim snem. Włóknista żółta substancja, która wydostała się z jej ust, przylegała do warg, delikatna, świecąca niby pręciki na tle płatków kwiatu.

Dziecko znów patrzy na mnie szeroko otwartymi oczyma, ale nie wiem, czy jest spragnione, czy głodne, czy może też odczuwa innego rodzaju przykrości - nie wiem zupełnie nic. Jak roślina hodowana w mrocznej wodzie leży z otwartymi oczyma bez wyrazu, po prostu spokojnie istnieje. Niczego nie żąda, nie wyraża żadnych absolutnie uczuć. Nawet nie płacze. Od czasu do czasu powątpiewam, czy ono naprawdę żyje. Co należałoby zrobić na wypadek, jeśliby żona po moim wczesnym wyjściu z domu przez cały dzień była pijana i pozostawiła dziecko bez opieki? Teraz żona nie jest niczym więcej jak tylko zwykłą pijaną kobietą, śpiącą głębokim snem. Nachodzi mnie nieodparte przecucie kłęski. Lecz podobnie jak przedtem w stosunku do żony, tak teraz odczuwam

jakby świętokradztwo, gdy wyciągam nieczyste ręce w stronę dziecka, więc powstrzymuję się od dotknięcia. Również od dziecka wydaje mi się bliższy mój zmarły przyjaciel. Dziecko, tak jak je widzę z góry, wciąż przygląda mi się oczyma absolutnie pozbawionymi wyrazu. W końcu z tych brązowych oczu z nieodpartą siłą fal przyływu nadchodzi zniewalająca senność. Nie przyniosłem nawet butelki mleka dla dziecka, skuliłem się w miejscu, w którym stałem, położyłem na boku i zapadłem w sen. Na krawędzi nieświadomości przemknęła myśl niby świeże zdumienie: jedyny przyjaciel pomalował głowę na czerwono i powiesił się, żona ku mojemu zdumieniu nagle się upiła, a syn jest debilem. Przy tym zasypiałem wciśnięty w szparę między łóżkiem żony i syna, nawet nie zamknąwszy drzwi, nie rozwiązawszy krawatu, skalany przez kontakt z trupem. Pozbawiony zdolności osądu wszelkich rzeczy, byłem podobny do bezsilnego owada przekłutego szpilką. Usypiałem drżący, czując, że zagraża mi niechybne niebezpieczeństwo i coś niepojętego wżera się we mnie. Rankiem jednak nie potrafiłem przypomnieć sobie tego, co tak wyraźnie przeżywałem poprzedniej nocy. To znaczy, że nie stało się to doświadczeniem. Mój przyjaciel pewnego dnia latem ubiegłego roku w drugistorze w Nowym Jorku spotkał mego młodszego brata. I przyniósł mi własne świadectwo o życiu brata w Ameryce.

Brat Takashi wyjechał do Ameryki jako członek studenckiego teatru kierowanego przez posłankę z ramienia prawicowej grupy postępowej partii politycznej. Ten zespół teatralny był jedną z grup „teatru odwrotu”, składał się tylko ze studentów, którzy brali udział w akcjach politycznych w czerwcu 1960 roku. Najpierw grali sztukę pełną skruchy pt. Nasz jest wstyd, następnie w imieniu pełnych poczucia winy działaczy studenckich występowali z ubolewaniem przeprasząc lud amerykański za to, że przeciwstawiali się przyjazdowi prezydenta USA do Japonii. Kiedy Takashi zawiadamiał mnie, że wstąpił do tego teatru i że wyjeżdża do USA, powiedział, że zaraz po przyjeździe do Stanów ma zamiar uciec z zespołu i podróżować niezależnie. Ale z artykułów prasowych o Naszym wstydzie, nie pozbawionych tonu kpiny czy zażenowania, jakie nadsyłali japońscy korespondenci z USA, dowiedziałem się, że Takashi nie uciekł z zespołu teatralnego rezydującego głównie w Waszyngtonie, że w dalszym ciągu występuje w sztuce Nasz jest wstyd wystawianej w różnych miastach USA od Bostonu aż po Nowy Jork. Próbowałem rozwiązać tę zagadkę, dlaczego brat zmienił swój pierwotny plan i gra w dalszym ciągu rolę działacza studenckiego żałującego swych poprzednich czynów, ale to wykraczało poza możliwości mojej wyobraźni. Wtedy wysłałem list do przyjaciela, który wraz z żoną przebywał w Nowym Jorku studiując na uniwersytecie Columbia, i poprosiłem, żeby odwiedził teatr brata. Ale ponieważ przyjaciel nie nawiązał kontaktu z zespołem, jego spotkanie z moim bratem było całkowicie przypadkowe. Gdy przyjaciel wszedł do jakiejś knajpki na Broadwayu, drobny Takashi, oparty o wysoką ladę, pił lemoniadę z wyrazem skupienia. Gdy przyjaciel położył mu z tyłu rękę na ramieniu, brat w tym samym momencie odwrócił się tak nagle, że aż przestraszył przyjaciela. Takashi był brudny i spocony, blady i jakiś napięty, wyglądał tak zaskoczony, jakby został przyłapany na planowaniu samotnego skoku na bank.

- O, Takashi, wiedziałem, że jesteś w Ameryce z listu twojego brata Mitsu! Mitsu się ożenił i, jak się zdaje, od razu zrobił dziecko.

- Ja ani się nie ożeniłem, ani nikomu nie zrobiłem dziecka -powiedział Takashi głosem wciąż jeszcze niespokojnym.

Przyjaciel zaśmiał się, jakby usłyszał świetny kawał. -W przyszłym tygodniu wracam do kraju, nie masz nic do przekazania bratu?

- Czy nie zamierzałeś zostać z żoną jeszcze przez kilka lat na uniwersytecie Columbia?

- Tak, ale to się zmieniło! Zostałem ranny w czasie demonstracji. Tym razem nie chodzi o ranę zewnętrzną, tym razem coś jest nie w porządku w głowie. Nie jest tak źle, żeby mieli mnie zamknąć w szpitalu dla umysłowo chorych, ale zdecydowałem się pójść do swego rodzaju sanatorium.

Kiedy przyjaciel to powiedział, dostrzegł głębokie zawstydzenie rozszerzające się niby brudna plama na twarzy Takashiego i wydało mu się, że zrozumiał znaczenie jego gwałtownej reakcji w chwili zaskoczenia. Jako człowiek wrażliwy i uprzejmy, nie mógł oprzeć się poczuciu żalu. Najwyraźniej bowiem utrafił w najbardziej czule miejsce skruszonego działacza studenckiego. Obaj zamilkli i wpatrywali się w gęste rzędy pękatych słoików stojących na półkach po przeciwnej stronie lady. Patrzyli na różowawy płyn wypełniający je po brzegi, słodkawy i surowy niby wnętrzości. W krzywiznach słoików odbijały się ich sylwetki; kiedy obaj się poruszali, chwiały się także różowe zjawy w przesadnych poruszeniach i zdawało się, że zaczynają śpiewać: Ameryka! Ameryka!

W czerwcową noc, gdy Takashi był jeszcze nieskruszonym działaczem studenckim, a przyjaciel nie tyle z przekonań politycznych, ile dla towarzyszenia swej dopiero co poślubionej żonie, która uczestniczyła w demonstracji jako członkini małego zespołu teatralnego, znalazł się przed gmachem parlamentu, powstało zamieszanie; wtedy przyjaciel, chroniąc żonę przed atakiem uzbrojonej policji, dostał silny cios pałką w głowę. W sensie chirurgicznym nie było to zbyt groźne pęknięcie, ale od tego uderzenia w ową noc pachnącą zielonymi liśćmi, w głowie przyjaciela pojawiła się jakaś anomalia - mroczna skłonność do maniakalnej depresji stała się jego nową cechą. Z takimi właśnie ludźmi najmniej pragną się spotkać skruszeni działacze studenci.

Przyjaciel, coraz bardziej zakłopotany milczeniem Takashiego, patrzył nadal na różowe słoiki; wydawało mu się, że jego oczy roztopione w gorączce zakłopotania zmieniły się w różową kleistą ciecz, taką samą jak zawartość słoików, która zaraz wypłynie mu spod czaszki. Przyjaciel wyobraził sobie, że jego różowe roztopione oczy, jak jaja spadające na patelnię, wypadają beznadziejnie i bezpowrotnie na srebrną ladę, o którą mocno wspierali nagie spocone ramiona Amerykanie południowoeuropejscy, anglosaksońscy, żydowscy. Środek lata w Nowym Jorku, obok Takashi pije głośno przez słomkę ostatnie krople napoju cytrusowego, mruży brwi chcąc strząsnąć krople potu z czoła.

- Jeśli miałbyś coś do przekazania Mitsu, to... - powiedział przyjaciel zamiast pożegnania.

- Proszę powiedzieć, że zamierzam uciec z zespołu teatralnego. Jeśli to się nie uda, zapewne mnie deportują, w każdym razie już dłużej w tym zespole nie zostanę. Proszę to powiedzieć.

- Kiedy uciekasz?

- Dzisiaj - powiedział zdecydowanie Takashi.

Wtedy przyjaciel spostrzegł, że Takashi na coś czeka w tym drugistorze, pełen napięcia czy zakłopotania. Jasno wiązał się teraz sens przestachu brata, gdy podskoczył jak na sprężynach, ze znaczeniem niespodziewanego milczenia i nerwowego wciągania przez słomkę resztek napoju - wszystko to utworzyło realnie istniejący krąg. Przyjaciel poczuł ulgę dostrzegając w oczach brata - mętnych, otoczonych tłuszczem jak u zawodowego zapaśnika - pojawiające się i znikające oznaki nie tyle skrzepowania z powodu niepożądanego spotkania, ile raczej pełnego wyniosłości współczucia.

- Czy przyjdzie tajny łącznik, który pomoże ci w ucieczce? - zapytał półzartem przyjaciel.

- Mam powiedzieć ci prawdę? - również nieco żartobliwie, choć z groźbą w głosie zareagował Takashi. - Widzisz tego aptekarza, który za półką z lekami napełnia buteleczkę pigułkami? (Przyjaciel za przykładem brata obrócił się wokół swej osi i za półką uzbrojoną w niezliczone słoiki, w cieniu, jakby na negatywie przedstawiającym Nowy Jork w środku lata, dostrzegł łysiejącego mężczyznę odwróconego tyłem i skupiającego całą swą świadomość na drobiazgowej czynności.) To lekarstwo jest dla mnie! Dla mojego rozpalonego chorobą, cierpiącego penisa! Gdy ono dotrze bezpiecznie do moich rąk, ucieknę od Naszego wstydu i będę mógł samotnie wyruszyć w drogę.

Mój przyjaciel wyczuł, że jedno wypowiedziane po angielsku słowo „penis” w ich rozmowie prowadzonej w niezrozumiałej japońszczyźnie, niby drogocenny kamień w mozaice, wywołało napięcie wśród otaczających Amerykanów. Ożył znów ogromny zewnętrzny świat roztaczający się wokół nich.

- Tego rodzaju lekarstwo możesz chyba dostać bez trudu? - zapytał przyjaciel z wielką powagą skierowaną przeciw otoczeniu, które zaczęło ich uważnie obserwować.

- Oczywiście, jeśli pójdziesz do szpitala zgodnie z normalną legalną procedurą - powiedział Takashi obojętny na drobne psychiczne powikłania przyjaciela. - Ale kiedy nie jest to możliwe, pojawiają się trudności nie do przewyciężenia, tu w Ameryce! Recepta, którą dałem teraz aptekarzowi, została podrobiona przez pielęgniarkę z gabinetu lekarza hotelowego. Gdyby ten trik wyszedł na jaw, pielęgniarka, młoda Murzynka, straciłaby pracę, a mnie chyba by deportowano.

Dlaczego Takashi nie zgłosił się normalnie do lekarza? Zaburzenia w jego drogach moczowych spowodowane były bez wątpienia rzeżączką, którą zaraził się w pierwszej noc w Ameryce od starej czarnej prostytutki, będącej pewnie w wieku jego matki. Oczywiście, gdyby fakt ten się wydał, starzejąca się posłanka, kierująca grupą teatralną, wysłałaby Takashiego natychmiast z powrotem do Japonii, skąd z takim trudem uciekł. Ponadto Takashi, chory na rzeżączkę, obawiał się, że zaraził się również syfilisem, i z powodu tych wątpliwości popadł w melancholię, która przytłumiła jego pozytywne nastroje mające rozbudzić w nim twórczą wyobraźnię i poderwać do podjęcia nowych czynów.

Pięć tygodni minęło od czasu, gdy odwiedził dzielnicę, w której kolory czarne i białe mieszały się w jeden skomplikowany cień, lecz nie pojawiły się pierwsze objawy syfilisu; poza tym, pod pretekstem bólu gardła, Takashi otrzymywał niewielkie dawki antybiotyków od sanitariusza zespołu teatralnego; dzięki temu dolegliwości dróg moczowych przestały - jak mu się zdawało - być tak bardzo dokuczliwe i mógł wyzwolić się z absolutnej inercji. Takashi w ciągu dłuższego pobytu w Nowym Jorku (bazie, z której zespół wyjeżdżał na krótko do innych miejscowości) poznał pielęgniarkę z gabinetu lekarza hotelowego i dostał od niej formularz na receptę. Czarna dziewczyna o bezgranicznej skłonności poświęcania się dla innych nie tylko wpisała na formularzu rodzaj i ilość lekarstwa odpowiedniego dla jego dolegliwości dróg moczowych, kazała mu również pójść do drugstore w najbardziej ruchliwej części miasta, gdzie było małe prawdopodobieństwo wykrycia fałszerstwa.

- Najpierw próbowałem powiedzieć pielęgniarce o nieprzyjemnych objawach w penisie słowami abstrakcyjnymi, nieorganicznymi, to znaczy wyrazić coś w rodzaju obiektywnego opisu - powiedział Takashi. - Nie miałem, co prawda, żadnych podstaw, ale wydawało mi się, że słowo gonorrhoea¹ byłoby zbyt przesadne i szokujące, dlatego

¹ gonorrhoea - rzeżączką

² urethritis - zapalenie dróg moczowych

próbowałem powiedzieć, że podejrzewam u siebie urethritis² Jednak dziewczyna tego słowa nie rozumiała. Wtedy powiedziałem, że podejrzewam inflammation of the urethra³. Wówczas błysk zrozumienia, jaki za jarzył się w oczach dziewczyny, uzmysłowił mi ponownie nie tyle abstrakcyjną i nieorganiczną, co lepką i w najwyższym stopniu fizyczną rzeczywistość cierpiącego moczowodu. Wtedy dziewczyna po prostu zapytała: „Czy twój penis jest burning⁴. Uderzenie tego realistycznego zdania sprawiło, że ze wstydu poczułem burning w całym ciele!

Takashi roześmiał się głośno, mój przyjaciel również. Otaczający ich nie-Japończycy, którzy nastawili uszu wsłuchując się w specyficzne słownictwo angielskie, którym posługiwał się Takashi, zaczęli gapić się na nich z tym większą podejrzliwością. Spoza półek z lekami wynurzył się aptekarz z twarzą ponurą, ociekającą potem. Z ptasiej, opalonej słońcem twarzy Takashiego nagle zniknął uśmiech. Pojawił się niepokój i jakieś pragnienie sprawiające, że wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty, przyjaciel również poczuł, że udziela mu się to napięcie. Łysy aptekarz, wyglądający na Irlandczyka, powiedział tonem ojcowskim:

- Taka ilość pigułek jest bardzo kosztowna, może wzięłby pan jedną trzecią?

- To wcale nie drogo w porównaniu z tymi kilku tygodniami, jakie przeżyłem z bólem w cewce moczowej - powiedział Takashi, odzyskując nagle spokój.

- Kupię je dla ciebie, by uczcić początek twojego nowego życia w Ameryce! - powiedział stanowczo przyjaciel.

Od tej chwili Takashi już w zupełnie dobrym nastroju patrzył z miną rezerwową dziewczynki na pigułki połyskujące smętnie w buteleczce, potem powiedział, że od razu zabierze swoje rzeczy z pokoju i wyruszy samotnie na wólcę po Ameryce. W każdym razie Takashi i mój przyjaciel szybko chcieli opuścić „miejsce przestępstwa”, wyszli więc z drugostoru i ruszyli razem do najbliższego przystanku autobusowego.

- Po rozwiązaniu problemu to, co cię dotąd tak męczyło, wydaje się bardzo głupie i banalne, co? - przyjaciel powiedział takim tonem, jakby zazdrościł radosnego spotkania Takashiego z tymi jego pigułkami w buteleczce.

- Przypuszczalnie każdy rozwiązany już problem wydaje się bardzo głupi i banalny, nie sądzisz? - odpowiedział Takashi jakby urażony. - A twój wyjazd do kraju specjalnie po to, aby pójść do sanatorium, pozostanie później w twojej świadomości jedynie trudem głupim i banalnym, niczym więcej, ale dopiero wtedy, gdy węzły w twojej głowie ulegną rozplataniu.

- Właśnie, gdy ulegną rozplataniu! - powiedział mój przyjaciel ze szczerym pragnieniem spełnienia. - Ale jeśli nie, to rzeczy głupie i banalne będą stanowić wagę brutto mojego życia.

- A w ogóle jakie są te węzły w twojej głowie?

- Nie wiadomo! Gdybym wiedział, mógłbym je sobie podporządkować i zacząć żałować, że dreptałem w miejscu przez wiele lat. Z drugiej jednak strony, jeśli im się poddam i przyjmę kurs na samozniszczenie, to staną się one rzeczywiście całą wagą mojego życia, i w końcu stopniowo i tak poznam prawdziwą ich naturę. Więc tym bardziej zrozumienie w tym wypadku nie miałoby dla mnie żadnego praktycznego znaczenia. Poza tym nie zamierzam przekazywać innym wiedzy o tym, że ktoś

² urethritis - zapalenie dróg moczowych

³ inflammation of the urethra - zapalenie dróg moczowych

⁴ burning - palący

zwariował i dopiero wtedy zrozumiał wszystko - poskarżył się przyjaciel ogarnięty nagle uczuciem smutku.

Takashi, jak się wydało, głęboko zainteresował się przyjacielem. Jednocześnie nie krył w zachowaniu oznak zniecierpliwienia, jakby pragnął jak najszybciej oddalić się od niego. Wtedy przyjaciel zrozumiał, że jego skarga poruszyła najwrażliwszą strunę Takashiego. W tym momencie przyjechał autobus. Gdy Takashi wsiadł, ze słowami „to jest podziękowanie za opłacenie antybiotyków” podał przyjacielowi przez okno broszurkę i zniknął w rozległej przestrzeni amerykańskiego lądu. Ani mój przyjaciel, ani ja nie mieliśmy odtąd żadnych wiadomości o bracie. Rzeczywiście, tak jak wyznał przyjacielowi, od razu opuścił teatr i wyruszył w samotną włóczęgę.

Wsiadłszy do taksówki przyjaciel otworzył broszurkę otrzymaną od Takashiego. Dotyczyła ona ruchu w obronie praw obywatelskich. Na pierwszej stronie widniała fotografia Murzyna - ciało popalone i spuchnięte, bez dokładnie widocznych rysów, wyglądało jak lalka topornie wyrzeźbiona w drzewie oraz podtrzymujących go nędznie ubranych białych ludzi. Wyglądało to komicznie, przerażająco i odpychająco, ukazywało gwałt tak oczywisty, że patrzący doznawał szoku, jak na widok przerażającej zjawy. Oglądanie tego zdjęcia wywoływało ponurą pewność porażki pod nieustającą presją strachu. W świecie emocji przyjaciela zjawa ze zdjęcia natychmiast złączyła się z nieokreślonym cierpieniem tkwiącym w jego głowie, tak nieuchronnie jak stapiają się dwie krople wody. I wtedy pomyślał, że Takashi pozostawił mu tę broszurę z takim zdjęciem na pierwszej stronie dobrze wiedząc, co znaczy ten podarunek przekazany właśnie jemu, a nie komukolwiek innemu. Takashi również poruszył najczulszą strunę przyjaciela.

- Chyba czasem spostrzegasz już po fakcie, że coś nieoczekiwanego odzwierciedli się w kamerze naszej świadomości, niewyraźnie, jakby nakładało się prawie nieuświadomiane na jej najbardziej zewnętrznej części. Przeszukawszy nieokreślone zakątki światła i mroku na takiej kliszy pamięci, przypomniałem sobie, że kiedy podszedłem od tyłu, Takashi pił lemoniadę wpatrując się uważnie w to zdjęcie! - powiedział przyjaciel. - Takashi w owym czasie zdawał się zmagać z jakimś naprawdę wyjątkowo kłopotliwym problemem. Wy daje mi się, że nie była to sprawa recepty na antybiotyk, o której mi tak szczegółowo opowiedział, z pewnością myślał o sprawie znacznie poważniejszej, podstawowej! Czy sądzisz, że Taka jest człowiekiem, który poddaje się rozpaczliwym nastrojom z powodu niegroźnej choroby wenerycznej? Był to dla mnie swego rodzaju szok, gdy zapytał mnie wprost: „Mam powiedzieć prawdę?” A czymże jest ta jego prawda? Myślę, że jest to coś zupełnie innego od tego, co mi rzeczywiście powiedział. Ale co to właściwie było?

Siedząc o świcie na dnie jamy z psem na kolanach nie mogłem powiedzieć, co to właściwie było, ta myśl w głowie mojego brata, której istnienie przynajmniej uświadomił mi mój przyjaciel. Nie wiedziałem również, czym było owo coś w głowie przyjaciela, powiększające się z każdym dniem; owo coś, które doprowadziło go w końcu do śmierci w tak osobliwym przebraniu. Śmierć niespodziewana przecina nić wiążącą z możliwością zrozumienia. Są rzeczy, których nigdy nie mówi się pozostającym przy życiu. W tych, którzy przeżyli, pogłębia się stopniowo podejrzenie, że to właśnie niemożliwość przekazania pewnych rzeczy skłoniła tamtych do wybrania śmierci. To, co pozostało w postaci nieokreślonej, może żywych prowadzić ku katastrofie, mimo to oczywiście dla nich będzie tylko jedno odczucie, że natknęli się na coś niepojętego. Jeśliby mój przyjaciel zamiast malować sobie głowę cynobrem, wbijać ogórek w odbytnicę i wieszać się, umarł wydając, na przykład, jedynie krótki okrzyk przez telefon, być może

byłby to jakiś trop. Oczywiście, jeśli przyjmiemy, że pomalowana cynobrem głowa, ogórek w odbytnicy nagiego ciała i śmierć przez powieszenie mogły być formą krzyku w milczeniu, to dla tych, którzy przeżyli, sam krzyk jest niewystarczający. Ten trop jest dla mnie zbyt nikły, abym mógł nim się kierować. Mimo to przypuszczalnie tylko ja spośród żywych znajdowałem się w sytuacji najkorzystniejszej dla zrozumienia zmarłego przyjaciela. Byłem z nim od pierwszego roku studiów we wszystkich sprawach razem. Koledzy z roku twierdzili, że jesteśmy obaj jak jednojajowe bliźniaki.

Nawet z wyglądu byłem bardziej podobny do przyjaciela niż do młodszego brata Takashiego. Brat zresztą w niczym mnie nie przypomina. Przeciwnie, wydaje mi się, że to coś, co istniało kiedyś w głowie zmarłego przyjaciela, było dla mnie bardziej dostępne niż to, co jawiło się w głowie mojego brata podczas włości po Ameryce. Pewnego jesienno dnia 1945 roku o zmierzchu z dwu starszych braci wysłanych na front wrócił tylko jeden, młodszy, i tego jesienno wieczoru załuczono go na śmierć w osiedlu Koreańczyków, które wyrastało niby narośl na skraju wsi w dolinie, i od tego dnia chora matka zwracając się do młodszej siostry tak mówiła o mnie i Takashim, jedynych już wtedy mężczyznach w domu:

- Obaj to jeszcze dzieci, na ich twarzach nie widać żadnych cech szczególnych, ale w końcu to Mitsusaburo będzie brzydki, a Takashi przystojny, będą go ludzie lubić i żyć mu będzie lżej. Powinnaś zżyć się z Takashim, dopóki jest jeszcze czas, i trzymać się go, nawet kiedy dorośnie..

Po śmierci matki młodsza siostra i Takashi wychowywali się w domu wuja - był to rezultat przestrogi matki, ale i tak siostra popełniła samobójstwo, zanim dorosła. Jej niedorozwój psychiczny nie był tak wyraźny jak u mojego syna, ale jednak siostra była opóźniona umysłowo do tego stopnia, że jak mówiła matka, nie mogłaby żyć bez pomocy kogoś bliskiego. Była wrażliwa jedynie na muzykę, czy może raczej na dźwięki.

Zaszczekał pies. Świat zewnętrzny ożył atakując mnie ze wszystkich stron, gdy tak siedziałem na dnie jamy. Prawą dłonią, której palce utworzyły kształt czerpaka, drapałem ścianę ziemi przede mną; dotąd wydłubałem i wyrzuciłem na kolana pięć, a może sześć kawałków cegły, pogrzebanych w pokładzie łu Kantó: pies uciekając od cegieł przylgnał do mej piersi. Z tym większym pośpiechem wbiłem prawą dłoń w powierzchnię ściany jeszcze raz, a następnie drugi. Wyczułem, że ktoś obcy zagląda z góry do jamy. Przyciągnąłem psa lewą ręką do siebie i spojrzałem w górę. Udzielił mi się psi strach, ogarnął mnie naprawdę zwierzęcy lęk. Światło poranka jest zmaćone jak oko bielmem. Ledwie bielejące w górze o brzasku niebo teraz ściemniało i opuściło się w dół. Gdybym widział na oba oczy, być może światło poranka bogaciej by wypełniło krajobraz (często opanowuje mnie to fałszywe przekonanie z zakresu optyki), lecz w pozostałym jednym oku panował mroczny poranek obnażający jedynie pustkę. Siedzę brudny, w miejscu znacznie niżej położonym niż ktokolwiek z mieszkańców tego miasta o poranku, mianowicie na dnie jamy, i gołą dłonią drapię ścianę ziemi. Atakuje mnie przytłaczający chłód od zewnątrz i rozpalający wstyd od wewnątrz. Niby upadająca wieża, zasłaniająca ciemne niebo, cień człowieka o krótkich szerokich plecach, ciemniejszy jednak od nieba, pojawił się jeszcze raz i zakrył wejście do dołu. Wyglądał jak czarny krab ustawiony pionowo. Pies zaczyna szaleć, mnie paraliżuje strach i wstyd. Brzęk niezliczonych szklanych przedmiotów ocierających się o siebie napływa do jamy jak podmuch siekającego gradu. Wytężyłem wzrok i spróbowałem rozróżnić rysy twarzy olbrzymia spoglądającego na mnie niby Bóg, i oszołomiony wstydem uśmiechnąłem się głupio.

- Jak się nazywa ten pies? - zapytał olbrzym.

Jest to pytanie zupełnie bez związku z wszelkiego rodzaju słowami, przeciw którym się uzbroiłem. Za jednym zamachem zostałem wyciągnięty na bezpieczny łąd codzienności, poczułem ulgę przynoszącą odprężenie. Przez tego mężczyznę skandal roznie się po całej okolicy, ale będzie to w najgorszym razie skandal nie wykraczający poza codzienność. Nie będzie to ten rodzaj przytłaczającego skandalu, którego obawiałem się i wstydziłem przed chwilą. Nawet jeśli zostaną weń wciągnięty, to i tak nie będzie to skandal, który sprawi, że z porów całego ciała wyrośnie złowróźbna psia szczecina, a ludzkie sprawy zostaną brutalnie odrzucone. Będzie to skandal spokojny, powiedzmy taki, jaki powstaje, gdy kogoś przyłapią na gorącym uczynku z podstarzałą służącą. Nawet pies na kolanach wyczuł bezbłędnie, że jego opiekun jakoś uniknął niebezpieczeństwa ze strony czegoś osobliwego tam, w górze, umilkł i siedział teraz cicho niby zając.

- Pan się upił i wpadł do tej jamy, prawda? - Mężczyzna ciągnął dalej, grzebiąc zdecydowanie w codzienności ten mój czyn o świtaniu. - Bo dziś rano mgła była gęsta.

Ostrożnie kiwnąłem mężczyźnie potakująco (ponieważ jego ciało rysowało się nade mną jak czarny cień, moja twarz, mimo słabego światła, musiała być dla niego wyraźnie widoczna) i wstałem trzymając psa na rękach. Krople wody spadały z krocza niby lzy i moczyły suche dotąd kolana. Mężczyzna zawahał się, mimo woli cofnął się krok do tyłu, dlatego też mogłem zobaczyć jego postać od kostek po czubek głowy. Był to młody mleczarz. Miał na sobie specjalne ubranie używane tylko do roznoszenia mleka, wyglądające jak kamizelka ratunkowa, której kieszonki powietrzne wypełniają butelki mleka. Przy każdym oddechu rozlegał się brzęk uderzającego o siebie szkła. Mleczarz oddycha jakby trochę za ciężko. Ma twarz płaską jak flądra, prawie bez mostka nosowego, białka oczu są niewidoczne jak u antropoida. Uważnie i znacząco wpatruje się we mnie swymi brązowymi oczyma i ciężko oddycha. Jego wydech przypomina białą brodę spływającą z krótkiego podbródka. Unikam patrzenia na wzbierającą w jego twarzy emocję, która może coś znaczyć, i przenoszę wzrok na czerwieniejące liście derenu za okrągłą twarzą chłopca. Oglądana z pozycji pięciu centymetrów nad powierzchnią ziemi wewnętrzna strona liści derenu skupiała czerwone światło, o odcieniu podobnym do płomieni z obrazu piekła, który oglądałem w wiejskiej świątyni w dolinie co roku podczas święta Urodzin Buddy (obraz ten ofiarował mój pradziadek po nieszczęśliwych wydarzeniach 1860 roku) - przerażająca to, a przy tym jakaś bliska sercu płomienna czerwień. Dereń był dla mnie sygnałem o niezbyt jasnym znaczeniu, który wywołał jednak nagłą stanowczość. Postawiłem psa na ziemi, rozkopanej i odsłaniającej czarne błoto zmieszane z zieloną i spłowiałą trawą. Pies wybiegł rozradowany, jakby chciał pokazać, że dotąd cierpliwie wszystko znosił. Uważnie wspinałem się po drabince w górę. Dochodzą mnie odgłosy co najmniej trzech gatunków ptactwa i szum opon samochodowych. Gdybym nie uważał, okropnie trzęsące się z zimna nogi zsunęłyby się ze szczebli drabiny. Kiedy w pasiastej brudnej piźamie pojawiłem się na powierzchni ziemi drżący na całym ciele, roznosiciel mleka zawahał się i cofnął o krok. Coś mnie kusiło, żeby go przestraszyć, ale oczywiście nie uczyniłem tego, wszedłem do kuchni i od razu zamknąłem drzwi za sobą.

- Kiedy zobaczyłem pana w tym dole, myślałem, że pan nie żyje! - krzyknął rozczarowany mleczarz widząc, że go zlekceważyłem i wszedłem do domu, jakbym chciał z niego zakpić.

Przed pokojem żony zatrzymałem się chwilę, by sprawdzić, czy jeszcze śpi. Następnie zdjąłem piżamę i wytarłem ciało. Myślałem, żeby zagrzać wody i umyć się, ale nie zrobiłem tego. Nie wiem, kiedy straciłem chęć utrzymywania ciała w czystości. Drzenie

stopniowo narastało. Coś czarnego pozostało na ręczniku, w końcu zapaliłem światło i sprawdziłem: okazało się, że z palca ciekła krew, ponieważ zdarłem paznokieć podczas kopania ziemi. Nie szukałem środka dezynfekcyjnego, tylko palec owinąłem ręcznikiem i drżący wróciłem do sypialni, która dla mnie była jednocześnie pracownią. Drżenie wciąż nie ustawało, pojawiła się w końcu gorączka. Oprócz bólu zranionego palca czuję tępy ból w całym ciele.

Ten sam ból, który zwykle odczuwam o świcie, tylko znacznie silniejszy. Zdaje sobie sprawę, że niczego nieświadome ręce wydłubywały z ziemi kawałki cegły, żeby obalić ścianę piasku i pogrzebać mnie żywcem. Drżenie i tępy nieznośny ból narastają. Do pewnego stopnia zaczynam rozumieć sens tego doświadczenia, jakie przeżywam co dzień w chwili przebudzenia, kiedy ciało rozpada się na cząstki, a każda cząstka przeszywa mnie tęnym bólem.

2. Połączenie rodziny

Po południu tego samego dnia, kiedy mój młodszy brat przysłał telegram, że przerywa nagle życie włóczęgi w Ameryce i przylatuje na lotnisko Haneda, ja i żona spotkaliśmy na lotnisku jego młodych przyjaciół. Na Pacyfiku była burza, samolot się spóźnił. Chcąc powitać Takashiego Nedokoro wynajęliśmy pokój w hotelu na lotnisku i czekaliśmy na spóźniony samolot. Moja żona siedziała zwrócona plecami do okna osłoniętego plastikową żaluzją (żaluzja nie odcinała całkowicie dopływu światła z zewnątrz, które gromadziło się jak dym nie mający ujścia), na twarz jej padał cień, więc nikt nie mógł dostrzec jej wyrazu, siedziała w niskim fotelu i bez słowa piła whisky. W lewej ręce, pociemniałej niby mokry pień drzewa, trzymała szklanę z rżniętego szkła, u jej bosych stóp obok butów stała butelka i naczynie z lodem. Whisky żona przyniosła z domu, tylko lód kupiła w hotelu.

Przyjaciele młodszego brata siedzieli na łóżku okrytym kapą, przytuleni do siebie jak dzikie zwierzątka ściśnięte w gnieździe, z kolanami podciągniętymi ku brodzie, oglądali program sportowy w tranzystorowym telewizorze szumiącym jak rój komarów. Oboje, Hoshio i Momoko, spotkałem przedtem dwukrotnie. Wkrótce potem, gdy mój brat zniknął po wykupieniu antybiotyków przez przyjaciela, oboje przyszli i próbowali wydobyć ode mnie jego nowy adres. Kilka miesięcy potem, gdy pojawili się u mnie po raz drugi, znali już adres kontaktowy Takashiego w Ameryce, bo może tylko do nich wysłał kartkę pocztową, ale odmówili podania mi tego adresu, żądali jedynie pieniędzy, by wysłać mu jakieś rzeczy. Indywidualności obojga nie wywarły wtedy szczególnego wrażenia ani na mnie, ani na żonie, może tylko to zwróciło naszą uwagę, że nieobecność mojego brata działa na nich tak, iż nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Świadczyło to o ich oddaniu, które poruszyło mnie do pewnego stopnia.

Pijąc piwo, zupełnie czarne w półmroku pokoju, patrzyłem przez szpary w żaluzji na rozległą przestrzeń, w której ciężkie odrzutowce i wytworne śmigłowce bez ustanku startują i lądują. Między pasami startowymi a naszym pokojem ocienionym żaluzjami, na wysokości oczu, przecina przestrzeń żelazobetonowy pomost. Przechodzi tędy, ostrożnie przechylając się do przodu, grupa uczennic zwiedzających lotnisko. Gdy stadko maluchów w ponurych mundurkach dochodzi do zakrętu pomostu, przez mgnienie wygląda jak samolot na pasie startowym wzbijający się w zachmurzone niebo. I osobliwie niestabilny. Ale to, co początkowo wyglądało na buciki spadające z nówek dziewcząt, okazało się w rzeczywistości gołębiami. Kiedy gołębie się rozproszyły w

locie, jeden ruchem nienaturalnym, jakby został zestrzelony, usiadł na suchym piasku na wąskim parapecie tuż za żaluzją. Przyglądam mu się uważnie i widzę, że jest kulawy. Za mało się rusza, dlatego jest zbyt tłusty i nie potrafi sprawnie siadać. Od wypukłej szyi w dół do brzuszka ciągnie się czarne pasmo cienia podobnego do skóry na ręce mojej żony. Ten tłusty gołąb nagle zrywa się do lotu (poza okiennymi szybami odpornymi na silne dźwięki chyba koncentrował się potężny huk, który przeraził gołębia, ale ponieważ nie docierał tutaj, wszystkie ruchy na zewnątrz zdawały się nie mieć ciągłości), dwadzieścia centymetrów przed moimi oczyma zatrzymuje się w bezruchu niby czarna plamka na karcie testu psychologicznego i odlatuje natychmiast. Cofnąłem się zaskoczony. Odwróciłem się i zobaczyłem, że mój nagły ruch zaniepokoił żonę, trzymającą szklanke whisky, i przyjaciół brata patrzących w telewizor tranzystorowy.

- Musi być straszna burza, skoro samolot tak się spóźnia - powiedziałem, żeby ukryć zakłopotanie.

- Trudno powiedzieć, jaka.

- Jeśli rzuca samolotem, brat się strasznie boi! Dwa razy bardziej niż inni boi się śmierci następującej po przeżyciu fizycznego bólu.

Mówią, że śmierć w katastrofie samolotowej przychodzi w jednej sekundzie, bez cierpienia.

- Takashi wcale się nie boi - wtrącił się w naszą -rozmowę Hoshio głosem zdradzającym napięcie, jakby dłużej już nie mógł milczeć. Zainteresował mnie, ponieważ były to pierwsze słowa, jakie dziś wypowiedział, nie licząc zdawkowego powitania.

- Takashi jest bojaźliwy! Należy do tego typu ludzi, którzy żyją w ciągłym lęku. Jeszcze w dzieciństwie, kiedy lekko skaleczył się w palec i ukazała się malutka kropelka krwi, zrobiło mu się niedobrze, zwymiotował i zemdłał.

Mowa tu o krwi, która wypłynęła z rany, powstałej kiedy czubkiem noża zaciąłem lekko opuszek jego środkowego palca. Takashi się przechwalał, że nic nie znaczyłoby dla niego, nawet gdyby przeciął sobie dłoń nożem. Wtedy postanowiłem dać mu nauczkę. Brat często powtarzał, że nie boi się żadnego gwałtu ani bólu fizycznego czy też śmierci, i wtedy za każdym razem spotykał się ze zdecydowanym sprzeciwem z mojej strony, toczyła się więc między nami tego rodzaju gra. Przy tym brat sam gorąco pragnął, żeby go wypróbować w takiej właśnie grze, mimo gorzkich doświadczeń.

- Kropelki krwi cicho wypływające z malutkiej rany na czubku palca środkowego zaokrągliły się i wyglądały jak oczy malutkiego węgorza. Kiedy im się przyglądaliśmy, brat nagle zakrztusił się, splunął sokiem z żołądka i zemdłał - wyjaśniłem szczegółowo, by zadrwić z oddanej mu straży przybocznej.

- Taka się nigdy nie boi! Ja widziałem, jaki był odważny w czasie demonstracji czerwcowych. Absolutnie się nie bał.

Jeszcze bardziej mnie zaintrygował ten naiwny, ale jakże uparty sprzeciw w obronie brata. Żona również wpatruje się w Hoshio i słucha go w skupieniu. Przyjrzałem się jeszcze raz z uwagą temu młodemu, który podniósł nieco głowę, usiadł prosto na łóżku i spojrzał na mnie. Sprawiał wrażenie młodego chłopca, który niedawno wyrwał się ze wsi. Grube rysy twarzy, brane jako oddzielne kształty, nie były brzydkie, ale wyglądały tak, jakby istniały obok siebie niezależnie, niedopasowane, więc jako całość były komiczne. Jego twarz, jakby pokryta przezroczystą siatką, była pochmurna i posępna, a jednocześnie beztroska - malująca się na niej charakterystyczna powolność i tępota były absolutnie typowe dla chłopskiego syna. Wełniana marynarka w ciemne i jasne pasy niewyraźnego koloru zwiedłej trawy, którą nosił z bałwochwalczą troskliwością, i tak

wkrótce będzie pognieciona, straci pierwotny kształt i będzie wyglądać jak wielki zdechły kot.

- Taka pragnął zostać człowiekiem brutalnym, dla którego normalne jest posługiwanie się gwałtem, ale kiedy mu się to przypadkowo udawało, sprawiał wrażenie amatora. Czyż to jest odwaga? - Nie mając specjalnie zamiaru przekonywania tego chłopca, próbowałem przeciąć polemikę odwracając strzałę w jego stronę. - Czy jest jeszcze whisky albo piwo?

- Ja nie piję - powiedział młodzieniec wyciągając jedną rękę na znak odmowy, z niechęcią tak wyraźną, że aż podejrzaną.

- Taka powiedział, że człowiek, który pije alkohol, jest mniej odporny na atak. Taka mówił, że z dwóch walczących ludzi o jednakowej sile i umiejętnościach zawsze zwycięży ten, który nie pije.

Z wahaniem dołałem sobie piwa, a whisky żonie, wyglądającej tak, jakby zainteresowała się czymś żywiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy. Następnie ściskaliśmy w dłoniach szklanki, jakbyśmy byli parą alkoholików związanych ze sobą wolą desperackiego oporu przeciw przewyższającej nas sile ludzi nie pijących alkoholu, zwrócenie twarzami w stronę pulchnych różowych rąk, które wyciągnął w naszą stronę chłopiec. Wygląd tych krótkich rąk świadczył o tym, jak niewiele czasu minęło od jego rozstania się ze wsią.

- Myślę, że słusznie oceniasz Takę. Dziś po raz pierwszy spotykam się ze szwagrem, ale bardzo się cieszę, że jest on tak prawym młodzieńcem.

Gdy żona to powiedziała, chłopiec mocno potrząsnął ręką, jakby mówił, że absolutnie nie przyjmuje drwin pijanej kobiety, i zdecydowanie odwrócił od nas twarz, by znów oglądać bzdurny program sportowy w telewizji. Zapytał cicho o punkty zdobyte przez atakujący zespół dziewczynę, która w czasie naszej rozmowy na moment nie oderwała oczu od telewizora. Ja i żona zamilkliśmy z konieczności, zajęci swoimi napojami.

Samolot wciąż się spóźniał. Zdawało się, że naprawdę opóźni się na zawsze. Nadeszła północ, a samolot brata nie wylądował. Lotnisko, które oglądałem między listewkami nadal zaciągniętych żaluzji, przypominało jaskinię pełną bladego światła niebieskozielonego i gorącej barwy pomarańczowej, wydrążoną w skale ciemności barwy brudnego mleka, która okrywała wielkie miasto; a noc zesłała w dół tak nisko, że objęła okolice jaskini i zawisała tu nad nią, jakby nie miała nigdy odejść. Zmęczeni zgasiliśmy światło w pokoju, tylko telewizor, w który wpatrywali się do ostatniego programu przyjaciele brata, wysyłał jeszcze wątlą smugę, mimo że nie było już żadnych obrazów. Świecił wciąż na próżno i był źródłem światła w naszym pokoju. Zdawało mi się, że ciągle brzęczał jak rój komarów, ale podejrzewam, że może to tak szumiało tylko w mojej głowie.

Żona, zwrócona w stronę pasów startowych, w pozycji gotowości do przyjęcia odwiedzających, którzy mogliby otworzyć fikcyjne drzwi wyobraźni i wejść do pokoju, wciąż popijała whisky małymi łykami. Miała osobliwy zmysł dokonujący pomiaru stopnia głębokości zamroczenia alkoholowego, więc kiedy osiągała pewną głębokość, to niby ryba utrzymująca się w odpowiadającej jej warstwie bytowania i aktywności, już wcale nie upijała się mocniej ani też nie trzeźwiała zbyt szybko. Ten zmysł, który pełni funkcję automatycznego urządzenia zabezpieczającego przed upiciem się, żona przejęła w spadku - wedle jej własnej oceny - po matce alkoholice. W ustabilizowanej warstwie zamroczenia, osiągnąwszy określoną stałą granicę, żona podejmowała decyzję nieomylnie i szła spać, natychmiast zasypiając. A ponieważ nigdy nie ma kaca, każdy

następny ranek rozpoczyna ponownym poszukiwaniem pretekstu do jak najszybszego powrotu w tę upragnioną warstwę zamroczenia.

- W tym jednym przynajmniej punkcie różnisz się od większości alkoholików, że własną wolą regulujesz stopień zamroczenia i możesz go utrzymywać przez dłuższy czas. Po kilku tygodniach, jak sądzę, minie całkowicie to twoje nagłe upodobanie do alkoholu. Nie powinnaś utrzymywać go w sobie, uzasadniając za pomocą dziedziczności i wiążąc ze wspomnieniem matki - powtarzałem jej wielokrotnie. Ale żona, im częściej to powtarzałem, tym mocniej odrzucała moje pouczenia.

- Przeciwnie, to, że mogę regulować stopień upicia się alkoholem, świadczy, iż jestem alkoholiką, z matką też było tak samo! I to, że dobrnąwszy do pewnej głębokości, zatrzymuję się, wcale nie znaczy, że hamuję siebie przed pokusą, ale że po prostu boję się wypaść z tej głębokości zamroczenia, które jest dla mnie tak przyjemne.

Różne przejawy strachu i odrazy wciągnęły ją w odmęty pijaństwa, lecz ona, niby ranna kaczka nurkująca w wodę, dobrze wie, że jeśli wypłynie na powierzchnię, zaatakuje ją natychmiast grad kul przerażenia, więc nigdy nie uwalnia się z lęków i odrazy, nawet podczas zamroczenia alkoholowego. Kiedy pije, jej oczy dziwnie nabiegają krwią, co ją tym bardziej niepokoi, że wciąż dręczy się przypominając narodziny naszego nieszczęśliwego dziecka. Kiedyś powiedziała tak: - W koreańskiej baśni ludowej jest mowa o tym, że kobieta, której oczy czerwienieją jak śliwki, jadła ludzkie ciało.

Woń oddechu pijanej kobiety wypełnia pokój. Już całkowicie wytrzeźwiałem z podniecenia wywołanego przez piwo, więc zmysł powonienia z regularnością pulsu wyczuwa ten oddech. Ogrzewanie działa tu aż nazbyt dobrze, więc otwieram lufcik podwójnego okna i wietrzę pokój. Nagle przez tę wąską szczelinę jak wir powietrza wpada przeraźliwy łoskot opóźnionego odrzutowca. Moje jedyne oko, niby wojownik walczący w samotności, ledwie widzące wskutek zmęczenia, błąka się niecierpliwie chcąc zobaczyć samolot, który musiał wylądować. Lecz odkrywa jedynie dwa równoległe światła odchodzące w głąb ciemności o barwie brudnego mleka. To huk silników startującego odrzutowca tak mnie przestraszył. Zdając sobie z tego sprawę, w dalszym ciągu nie mogę się obronić przed kolejnym złudzeniem. Tym bardziej, że teraz starty odrzutowców są już bardzo nieliczne, a całe lotnisko sprawia wrażenie na wpół sparaliżowanego. Noc stoi w bezruchu, nie mając dokąd uciec przed bezlitosnym światłem reflektorów. Stada samolotów barwy suszonych ryb również stoją w bezruchu, w chaosie ciepłej niebieskawej zieleni i gorącej barwy pomarańczowej.

Nadal cierpliwie czekamy w pokoju na opóźniony samolot: w odróżnieniu od „straży przybocznej” dla mnie i dla żony powrót brata nie mógł mieć żadnego pozytywnego znaczenia, mimo to wszyscy czekamy w skupieniu, jakby miał przywieźć nam jakąś wielką siłę wiążącą się z czymś podstawowym dla każdego z nas. Momoko z okrzykiem usiadła na łóżku. Spała dotąd na kapie, zwinięta niby płód. Hoshio, który leżał na podłodze, wstał powoli i zbliżył się do łóżka. Żona siedząca nadal ze szklanką whisky w ręce, z głową wyprostowaną jak łasica, i ja, oparty bezmyślnie plecami o żaluzje, nie mogliśmy nic zrobić dla tej dziewczyny pogrążonej we władzy snu, wpatrywaliśmy się tylko w odwrócony trójkąt pełnej napięcia twarzy Momoko, mokrej od łez, świecących bielą jak wazelina w blasku jarzeniówki.

- Samolot się rozbił, pali się, pali się! - jęczała dziewczyna.

- Nie rozbił się! Nie płacz! - głośno powiedział Hoshio z gniewem, jakby się wstydził wobec nas za płacz tej dziewczyny.

- Lato! Lato! - powiedziała Momoko, westchnęła padając znów na łóżko i zwinęła się przenosząc się w jeszcze jeden nowy sen.

Powietrze w pokoju jest gorące jak latem. Pocą się ręce. Dlaczego ta para dzieci czuje tak silną potrzebę bóstwa opiekuńczego w postaci mojego brata, że przez długą noc, nawet w czasie snu, czeka na niego w napięciu? Czy brat jest człowiekiem, który może zaspokoić niecierpliwe oczekiwanie ich serc? Powodowany współczuciem dla tych dwojga jego przyjaciół powiedziałem do Hoshio:

- Może napiłbyś się trochę whisky?

- Nie, nie piję!

- Czy dotąd nie wypileś jeszcze ani kropli alkoholu?

- Ja? Przedtem piłem! Po skończeniu liceum dla pracujących pracowałem sezonowo, trzy dni pracowałem, czwartego od rana do nocy piłem bez przerwy gin. W trakcie tego trochę spałem, ale i tak cały czas byłem pijany, zarówno we śnie, jak na jawie, więc miałem różne przyjemne sny. - Powiedział to głosem nieoczekiwanie nabrzmiałym wzburzeniem. Podszedł do mnie i oparł się plecami o żaluzję, która zachrobotła. Pojawił się pierwszy uśmiech, jaki ujrzałem na jego twarzy, jego oczy zajaśniały blaskiem widocznym nawet w ciemności. Był na pewno dumny z tego, co mi powiedział.

- Dlaczego więc przestałeś pić?

- Spotkałem Takę. Taka powiedział mi: „Nie pij! Przez życie trzeba przejść na trzeźwo!” Więc przestałem pić. Odtąd nie miałem ani jednego snu.

Takashi zmanifestował instynkt wychowawczy. Nigdy go o to nie podejrzewałem. Mógł więc chłopcu autorytatywnie powiedzieć: „Już nie pij! Życie trzeba przejść na trzeźwo.” Tylko dlatego młody pracownik sezonowy zmienia swoje nędzne życie. A teraz wspomina to spokojnie i z uśmiechem.

- Więc co do tego, czy Takashi jest odważny czy nie - zaczął chłopiec podejmując naszą wieczorną dyskusję teraz, kiedy widział, że słowa na temat picia alkoholu wzbudziły we mnie zaciekawienie. Nawet leżąc na podłodze, skulony jak pies, wciąż myślał z troską o obronie honoru swego bóstwa opiekuńczego. - W czasie demonstracji czerwcowych Taka zrobił coś zupełnie innego niż pozostali faceci. O tym pewnie nic pan nie wie.

Z zamiarem rzucenia mi wyzwania nową logiką przywołaną na poczekaniu chłopiec podciągnął się do pozycji pozwalającej mu patrzeć mi prosto w oko. Spojrzałem w jego stronę z niejasnym poczuciem wątpliwości, spojrzałem w jego oczy, które teraz wyglądały po prostu jak dwie ciemne dziury od kuł.

- Taka pewnego dnia przyłączył się do gangu i bił, i kopał bez litości ludzi, u boku których walczył jeszcze wczoraj i miał znów walczyć nazajutrz! - Chłopiec zaśmiał się, a ten śmiech pełen skrywanej dziecięcej radości wzburzył zgęstniały osad mojej antypatii.

- Tego rodzaju „wielka przygoda” to nic więcej jak tylko kaprys zepsutego dziecka, pozbawiony konsekwencji. To nie ma nic wspólnego z odwagą!

- Pan po prostu nienawidzi Taki, ponieważ pana przyjaciół został pobity i zraniony przed gmachem parlamentu, a teraz pan się dowiedział, że Taka używał pałki po stronie tych, co bili - odpowiedział chłopiec z otwartą wrogością. - Dlatego nie chce pan uznać odwagi Taki.

- Mojego przyjaciela uderzył policjant! Niemożliwe, żeby zrobił to Taka. Między jednym a drugim nie ma związku.

- Ale przecież było ciemno, poza tym wielkie zamieszanie, więc nic nie wiadomo - chłopiec podstępnie dawał coś do zrozumienia.

- Nie sędzę, żeby Taka mógł uderzyć kogoś w głowę i rozbić czaszkę tak mocno, że w konsekwencji uderzony zwariował i popełnił samobójstwo. Znam go od dzieciństwa i wiem, jak jest tchórzliwy.

Mówiąc to stopniowo traciłem zapał do tej bezsensownej dyskusji. Zmęczenie i nie wiadomo skąd płynąca złość sprawiały, że wydało mi się, jakby wypadł spróchniały ząb, usta wypełnił nieprzyjemny smak pustki. Ożyło wspomnienie zmarłego przyjaciela i upominało mnie pytając, czy naprawdę ten banalny spór z dzieciakiem jest wszystkim, co mogę uczynić dla zmarłego, który tak wiek dla mnie znaczył?

Przez kilka ostatnich miesięcy bez żadnego wyraźnego powodu dręczyły mnie niejasne przecucia. Był to okres, w którym umarł mój przyjaciel, żona zaczęła pić whisky i musieliśmy oddać nasze debilne dziecko do zakładu. Niewykluczone zresztą, że przecucia te wiązały się z czymś, co nagromadziło się już wcześniej. Zrodziło się we mnie przekonanie, że umrę w sposób jeszcze bardziej bezcelowy, absurdalny, groteskowy niż mój przyjaciel. Byłem także przeświadczony o tym, że pozostali przy życiu nie postąpią wobec mnie właściwie po mojej śmierci.

- Pan nie rozumie Taki, pan nic o nim nie wie. Naprawdę, pan ani trochę nie jest podobny do Taki. Pan jest zupełnie podobny do myszy. Dlaczego pan przyszedł witać go dzisiaj? -Mówił przez łyzy, co mnie zaskoczyło i wzruszyło. A później, kiedy odwróciłem wzrok od jego żalostnej zapłakanej twarzy, odsunął się ode mnie, poszedł i położył się na łóżku obok swej koleżanki, i odtąd leżał tam zupełnie cicho, nie mówiąc ani słowa.

Podniosłem butelkę whisky stojącą u stóp żony i papierowe kubki, które kupiłem wraz z kolacją przeznaczoną dla zwiedzających lotnisko, a właściwie rozdawane z potrawami podróznym w samolocie, i napiłem się czegoś szczypiącego i wydzielającego przykrą, drażniącą woń. Żona kupuje tylko najtańszą whisky. Paliła mnie w gardle, więc zaśliniłem się żałością i ohydnie jak pies chory na nosówkę.

- Hej, Myszo, dlaczego całą noc patrzysz na lotnisko, mam ci coś do powiedzenia! - zawołała beznamietnie żona, ukrywająca się wygodnie w średniej warstwie swego zamroczenia alkoholowego.

Trzymając ostrożnie butelkę whisky i papierowy kubek usiadłem obok kolan żony.

- Co powinniśmy odpowiedzieć, gdy Taka zapyta o dziecko?

- Nic, możemy przemilczeć.

- Ale jeśli potem zapyta, dlaczego piję, to nie będę mogła milczeć - powiedziała żona manifestując osobliwy obiektywizm, jaki wyzwała w niej pijaństwo. - Oczywiście, jeśli odpowiem na jedno z tych pytań, nie będzie już potrzeby odpowiadać na resztę, a to uprości całą sprawę.

- Wcale nie uprości! Jeśli w ten sposób uświadamiasz sobie jasno, co łączy oba problemy, to znaczy, że już przezwyciężasz I problem dziecka i problem picia alkoholu. I możesz na trzeźwo począć nowe dziecko.

- Ciekawe, czy Taka będzie również mnie pouczał mówiąc: „Nie pij, przez życie trzeba iść trzeźwo”? Ale ja wcale nie chcę być reedukowana - powiedziała zdecydowanie żona.

Dolałem nieco whisky do jej szklanki.

- Jak myślisz, czy Taka nie spodziewa się, że na jego powitanie przyprowadzimy dziecko?

- Brat nie jest w tym wieku, żeby mógł mieć jakieś konkretne wyobrażenia na temat dzieci. On sam nie jest jeszcze całkowicie dojrzały.

Wydało mi się, że żona patrzy na zjawę dziecka znajdującą się gdzieś między jej lewym a moim prawym kolanem. Gdy ryzykownie postawiła szklankę na oparciu fotela,

wyciągnęła uwolnioną rękę i wykonała jeden ciągły ruch, jakby kreśliła zarys dziecka otylego lub grubo owiniętego w pieluchy, pogłębiając moje zakłopotanie i poczucie rozdrażnienia i niemocy,

- Mam na przykład wrażenie, że Taka przywiezie w prezencie misia Pu-san i postawi nas w wyjątkowo kłopotliwej sytuacji.

- Taka chyba nie ma pieniędzy na kupowanie misiów -mówiąc to zdałem sobie sprawę, że w równym stopniu nie chcę, by żona opowiedziała bratu, którego spotka po raz pierwszy, o nieszczęśliwym dziecku, jak sam pragnę uniknąć tego obowiązku.

- Czy Taka jest typem wrażliwym, czy gruboskórnym?

- Bywa wyjątkowo wrażliwy i nadzwyczaj gruboskórny. W każdym razie nie jest on typem szczególnie pożądanym jako nowy członek rodziny w obecnym twoim stanie. - Kiedy to powiedziałem, chłopiec na łóżku poruszył się niemrawo, następnie skurczył się jak zaatakowana stonoga i chrząknął cicho. Strażnik przyboczny Takashiego spróbował powściągliwie zaprotestować.

- Nie chcę, żeby mnie ktokolwiek przesłuchiwał - odparła nagle wzburzona broniąc samej siebie, po czym równie nagle uspokoiła się, jak gdyby piłka uczucia wybita w górę osiągnęła właśnie punkt, w którym zamiera w bezruchu.

- Oczywiście! Nikt cię nie musi przesłuchiwać! Nie masz też specjalnie powodu, żeby się obawiać Takashiego. Po prostu denerwujesz się z powodu spotkania nowego członka rodziny. Poza tym wcale nie musisz się bać. Zresztą tak naprawdę teraz też wcale się nie boisz.

Pocieszałem żonę obawiając się, że zacznie schodzić w dół po bezkresnych krętych schodach histerycznej odrazy do siebie albo rozczulania się nad sobą. Następnie jeszcze raz dolałem whisky do jej szklanki. Jeśli sama nie zamierza podjąć decyzji i położyć się spać, to teraz należy sprawić, by uczyniła krok dalej od jej przeciętnego poziomu zamroczenia alkoholowego. Coś znacznie gorszego od fizycznego bólu głowy czy żołądka, jak zjawa szalejąca nocą, zaczyna atakować umysł żony, poddający się łatwo sugestiom. Żona pociągnęła łyk whisky wyraźnie walcząc z mdłościami. Wytężając osłabione oko, zmęczone i bolące z powodu walki z ciemnościami, patrzyłem w jej twarz samotną i bezradną, skupioną i zwróconą do własnego wnętrza; w końcu żona przezwyciężyła słabość. Surowe rysy twarzy, lekko zwróconej ku górze i z zamkniętymi oczyma, nabrały miękkości, a ich miejsce zajęła twarz małej dziewczynki. Dłoń trzymająca szklankę uniosła się w przestrzeni ponad kolanami. Gdy wziąłem od niej szklankę, na kolana opadła ręka wychudła, koścista, szerniała niby martwa jaskółka. Żona od razu pogrążyła się w głęboki sen. Wypiłem pozostawioną przez nią whisky, poruszyłem się, ziewnąłem i podobnie jak zrobił to przedtem chłopiec, położyłem się na podłodze (jesteś po prostu zupełnie podobny do myszy) i przygotowałem się do wsiadania na trzęsący powóz snu.

Właśnie stoję na skrzyżowaniu, gdzie szeroka aleja z linią tramwajową przecina boczną ulicę. Za mną przechodzi ogromny tłum, ciała obcych ludzi bez ustanku mijają mnie, trącają w bok i plecy. Drzewa rosnące wzdłuż alei mówią o późnej jesieni. Ich gałęzie są tak gęste, jak w głębi lasu otaczającego dolinę, w której leży moja wieś. Niepodobny do codziennego tłoku świata, znajdującego się za moimi plecami, ten drugi, jeszcze jeden świat rozciągający się przede mną, któremu się przyglądam, jakbym wpatrywał się w głąb, zanurzony twarz pod powierzchnią wody, jest pogrążony w głębokiej ciszy. Dlaczego jest tak absolutnie wyciszony? -zastanawiałem się. Bo wszyscy ludzie przechodzący wolno chodnikiem po obu stronach jezdni są starzy. Również starzy, wszyscy bez wyjątku, są przejeżdżający samochodami, starzy są pracownicy

knajp, aptek, sklepów galanteryjnych, księgarń, podobnie jak ich klienci. Na prawo, tuż u wejścia w boczną ulicę, znajduje się fryzjer - goście owinięci po szyję w białe płótno, widoczni w szerokim lustrze, które ujrzyć można przez na wpół otwarte francuskie okno, to ludzie tak samo starzy, jak pracujący tam fryzjerzy. Poza klientami i pracownikami fryzjera wszyscy mają głęboko wciśnięte na głowę kapelusze, czarne ubrania i buty jak kalosze opinające ściśle kostki. Ci starzy ludzie pogrążeni w głębokiej ciszy wywierają na mnie silne wrażenie, a ja staram się przypomnieć sobie coś, co mocno mnie niepokoi. Następnie spostrzegam, że wśród starców zapełniających aleję znajdują się również przyjaciel, który się powiesił, i niedorozwinięte moje dziecko, odesłane do zakładu opiekuńczego - oni też mają kapelusze nasunięte po uszy, czarne ubrania i głębokie buty. Ukrywają się pośród przyjaciół starsuszków, zresztą prawic nie różnią się od pozostałych starców, tutaj wszyscy są dla mnie przyjaciółmi, trudno mi nawet odróżnić, czy to coś, co tu się znajduje, to moje dziecko czy nie, lecz ta niejasność sama w sobie nie jest przeszkodą dla moich doświadczeń emocjonalnych. Wszyscy starzy ludzie wypełniający ulicę mają jakiś związek ze mną. Próbuje wtargnąć w ich świat, spotykam się z niewidocznym sprzeciwem i wydaję okrzyk rozpaczy.

- Ja was opuściłem!

Lecz mój krzyk zamienia się jedynie w niezliczone echa pobrzmiwające wokół głowy i nie mam żadnej pewności, czy dotarł on do świata starców. Starzy ludzie ze spokojem i bez pośpiechu prowadzą samochody, starannie wybierają książki, tkwią w skupieniu bez ruchu w lustrach u fryzjera - cały czas, na zawsze. Przejął mnie ból, jakby deptano po mnie i rozgniatano wnętrzności. W jaki sposób ich opuściłem? Nie powiesiłem się zamiast nich z twarzą pomalowaną na czerwono, ani też nie zostałem wyrzucony do domu opieki, by zmienić się w maltretowaną małą bestię. Dlaczego jest to teraz dla mnie tak jasne? A jednak jest naprawdę jasne, ponieważ nie byłem w to późne lato na tej ulicy, nie byłem jednym z tych spokojnych starców w kapeluszach nasuniętych na uszy, czarnych ubraniach, nie miałem też na nogach głębokich butów.

- Ja was porzuciłem!

Już zdaję sobie sprawę, że to jest sen, ale świadomość tego nie zmniejsza poczucia udręki, jakiej doznaję od zjaw tych łagodnych starców. Przeżywam ich istnienie jako coś całkowicie pewnego.

Ciężka ręka spoczęła na moim barku. Powieki uciska mi coś, czego nie mogę określić - oślepiające światło czy poczucie wstydu. Mimo to otwieram oczy i widzę przypatrującego mi się z bliska brata, ubranego jak myśliwy w spodnie drelichowe i kurtkę z kołnierzem z borsuka (lub imitacji). Jego twarz jest mocno opalona, jakby zardzewiała.

- Hej - powiedział do mnie głosem podnoszącym na duchu.

Wstając ujrzałem na łóżku nagą dziewczynę pochylającą się, aby wziąć do ręki ciemnobrązową suknię. W środku zimy, nie mając na sobie nic prócz kusych majteczek, dziewczyna wkłada sukienkę bezpośrednio na gołe ciało. Moja żona i Hoshio przyglądają się temu z głęboką uwagą opiekunów. W nagiej Momoko zamiast erotyki dostrzegam okrucieństwo jakiegoś straszego opuszczenia.

- To indiańska skórzana sukienka! To jedyna rzecz, jaką kupiłem w Stanach Zjednoczonych. Sprzedałem w końcu wisiołek siostry, żeby mieć na to pieniądze.

- W porządku - powiedziałem kryjąc rozczarowanie z powodu utraty pamiątki po siostrze.

- To mnie martwiło. - Gdy Takashi to powiedział, jakby naprawdę przestał się tym martwić, podszedł radośnie do okna potrącając po drodze butelkę po whisky, szklanki,

pudełko po posiłkach podawanych w samolotach, leżące tu od wczorajszego wieczoru, i podciągnął do końca żaluzję uniesioną przedtem do połowy.

Pod zupełnie zachmurzonym niebem bieląło poranne wątle światło; samoloty przyczepione do ziemi jak szarańcza kryły się we mgle. I w tym również odkryłem - na nieporównanie większą skalę - to samo wrażenie okrutnego opuszczenia, jakie wywołał we mnie widok nagiej nastolatki, i wtedy zrozumiałem, że to odczucie ma swoje źródło raczej we mnie samym, że zostało rozbudzone przez resztki wczorajszego zamroczenia alkoholowego, osłabienie i niedostatek snu.

W świetle padającym z odsłoniętego całkowicie okna Momoko z zakłopotaniem potrzasa małą głową wystającą z szerokiego owalnego kołnierza skórzanej sukni. Martwi się chyba tym, że suknia dolnym brzeżkiem oparła się o biodra i dolna część ciała pozostała nadal obnażona. Lecz wzburzona jej twarz płonie naiwną dumą, ponieważ jedyny prezent, jaki Takashi przywiózł, przeznaczony był właśnie dla niej. Nawet jej narzekanie, niby łajanie skierowane do skórzanej sukni, brzmi jak pieśń opiewająca radość trudną do ukrycia.

- Ta skóra nie ślizga się po mojej! Zupełnie nie wiem, którą tasiemkę w którą dziurkę wciągnąć. Taka, tyle tych tasiemek!

- Matematyka Indian opiera się tylko na dwu działaniach, prawda? Ale jak w takim razie radzą sobie z taką ilością frędzli?

- To nie ma związku - chłopiec również zanucił radosną pieśń podając niezgrabnie pomocną rękę. - Czy te tasiemki z pociętej skóry nie są po prostu ozdobą?

- A jeśli nawet, to nie powód, żebyś je odrywał!

W tym momencie żona przyłączyła się do szczęśliwego i kółka rodzinnego otaczającego indiańską suknię ze skóry i dzielnie pomagała Momoko się ubrać. Byłem zaskoczony, odkrywszy tego ranka żonę tak bardzo naturalnie wtopioną w krąg straży przybocznej mojego brata. Podczas gdy spałem snem bolesnym i poniżającym, Takashi, który wyszedł z opóźnionego samolotu, oswoił moją żonę ze swoimi nieletnimi przyjaciółmi posługując się błyskawicznie działającą siłą magii. Cierpienie, które ją nękało cały wczorajszy wieczór, przeniosło się na mnie i pozostało nadal tylko moim udziałem.

- Niemowlę było ciężko chore, niedorozwinięte umysłowo, i wiesz, w końcu musieliśmy je oddać do zakładu opiekuńczego.

- Ach, słyszałem - powiedział brat tonem dostatecznie przygnębionym, dając wyraz swemu współczuciu.

- Po pięciu tygodniach poszliśmy zabrać je z powrotem, ale w ciągu tego okresu zupełnie się zmieniło i było w takim stanie, że ani ja, ani moja żona nie mogliśmy poznać, czy jest naszym synem, czy nie. Oczywiście dziecko również nas nie rozpoznaje. Wygląda tak, jakby zrobiono z nim coś strasznego. Odnoszę wrażenie, że bariera między nami a nim jest znacznie większa, niż gdyby umarło. Dlatego wróciliśmy po prostu z pustymi rękami - powiedziałem przyciszonym głosem, nie chcąc, by to dotarło do uszu żony.

Na twarzy słuchającego w skupieniu brata, tej samej, dawno nie golonej twarzy, jaką ujrzałem w chwili mego przebudzenia, odkryłem to samo, co kryło się w głosie, gdy o nieszczęściu naszego dziecka powiedział „ach, słyszałem”; jest to ta sama szczerą powagą, bez oporu wchodząca w fałdy mojego uczucia i nie budząca sprzeciwu. Nie spodziewając się od niego cienia powagi, zrozumiałem, że dotknąłem krawędzi świata uformowanego przeżyciami w Ameryce.

- I o tym też słyszałeś?

- Nie, nie słyszałem. Ale zrozumiałem, że zdarzyło się coś strasznego. - Brat jeszcze bardziej przyciszył głos i powiedział to prawie nie poruszając wargami.

- Czy słyszałeś, że mój przyjaciel popełnił samobójstwo?

- Słyszałem! On był trochę dziwakiem, prawda? Zrozumiałem, że Takashi już znał szczegóły dotyczące jego śmierci. Po raz pierwszy usłyszałem słowa ubolewania z powodu jego śmierci z ust człowieka, który był po prostu obcy dla zmarłego.

- Wydaje mi się, że zewsząd otacza mnie woń śmierci.

- Jeśli to prawda, to otrząśnij się z niej i wznies się znowu w rejony życia. W przeciwnym razie odór śmierci przejdzie na ciebie, Mitsu.

- To znaczy, że w Ameryce stałeś się przesądny.

- To prawda. - Mój brat zadał cios przejrzawszy moją próbę ukrycia echa, jakie jego słowa wywołały w moim pustym wnętrzu.

- Ale ja po prostu jeszcze raz odnalazłem ducha, który przesycił mnie tak obficie w dzieciństwie, a który potem został przypadkowo utracony. Czy pamiętasz, jak z siostrą zbudowaliśmy „domek z trawy” i mieszkaliśmy w nim przez pewien czas? Wtedy próbowaliśmy oddalić się od zapachu śmierci i zacząć nowe życie. Było to zaraz po tym, jak brat został pobity i umarł.

Nie odpowiadając, przyglądałem się Takashiemu uważnie; w jego oczach, które skierował w moją stronę, pojawił się cień tłęcej się podejrzliwości, wzbierającej i zmieniającej się w coś niebezpiecznego i brutalnego. Takashi zawsze tracił spokój, gdy ktoś napomknął mu o śmierci siostry. I pod tym względem się nie zmienił. Ale tak jak stal napięta do granic swej elastyczności nagle pęka, tak w ułamku sekundy zniknęło to, co zaczęło nabrzmiewać i nabierać kształtu w jego oczach. Poczulem smak nowego zdumienia.

- W końcu siostra umarła, ale magia nowego życia nadal działa. Widzisz, śmierć siostry była czymś, co przedłużyło moje życie. To właśnie jej śmierć wyzwoliła współczucie wuja, iii'

który w rezultacie posłał mnie na Uniwersytet Tokijski. Gdybym nadal mieszkał we wsi naszego wuja, umarłbym ze smutku. Mitsu, jeśli nie rozpocziesz zaraz nowego życia, potem może być dla ciebie za późno, nie sądzisz? - brat mówił spokojnie starając się mnie przekonać.

- Nowe życie? Gdzież więc jest ten mój „dom kryty trawą”? - zadrwiłem z brata, ale muszę przyznać, że wyrażenie „nowe życie” zaczęło na mnie działać.

- Mitsu, a jakie w ogóle jest twoje życie? - zapytał poważnie, jakby przejrzał moje wahania.

- Po śmierci przyjaciela od razu zrezygnowałem z posady na uniwersytecie, gdzie podobnie jak on byłem wykładowcą. Poza tym nic się nie zmieniło.

Po skończeniu studiów na Wydziale Literatury Uniwersytetu Tokijskiego żyję głównie z przekładów opisów polowań i hodowli dzikich zwierząt. Jedna z książek, poświęcona obserwacjom z życia zwierząt, miała kilka wydań, a honorarium za jej przekład zapewniło minimalne środki utrzymania dla mnie i mojej żony. Tym bardziej że obecnie wszystkie wydatki związane z utrzymaniem mieszkania i umieszczeniem dziecka w zakładzie opieki pokrywa ojciec żony. Poza tym po rezygnacji z pracy wykładowcy teść będzie chyba musiał nawet ponosić nieprzewidywane koszty utrzymania mojej rodziny. Początkowo miałem pewne obiekcje i wahałem się, czy przyjąć dom, który kupił dla nas teść, ale od czasu samobójczej śmierci przyjaciela przestało mnie obchodzić, w jakim stopniu żona korzysta z pomocy ojca.

- A jaki jest stan twego ducha? Chyba nie najlepszy? Kiedy zobaczyłem cię śpiącego na tej brudnej podłodze, przeżyłem przykre zaskoczenie! A poza tym nawet na jawie twoja twarz i barwa głosu się zmieniły. Mówiąc wprost, mam wrażenie, że spadasz w dół i dochodzisz teraz do dolnego biegu swej rzeki.

- Na pewno jestem wyjątkowo zmęczony od śmierci przyjaciela. Mam też tę historię z dzieckiem - powiedziałem z wahaniem na usprawiedliwienie.

- A czy nie sądzisz, że to trwa za długo? - naciskał Takashi. - Jeśli to się przeciągnie, na twojej twarzy pozostanie na trwałe owo przygnębienie spadania w dół. W Nowym Jorku spotkałem Japończyka-filozofa, żyjącego jak ułomny samotnik; przyjechał do Ameryki studiować następców Deweya, a potem całkowicie utracił pewność siebie i tak się to skończyło.

Mitsu, ty mi go przypominasz! I twarz, i głos macie podobne, zachowujecie się identycznie.

- Twoja straż przyboczna twierdzi, że jestem podobny do myszy.

- Myszy? Filozofa właśnie przezywali Myszą. Trudno ci w to uwierzyć, Mitsu? - Takashi uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Wierzę ci! - odpowiedziałem, ale zaczerwieniłem się usłyszawszy, że mój głos wyraźnie zabarwia się współczuciem dla samego siebie.

Na pewno, stałem się bez wątpienia podobny do myszy, tak samo jak ten filozof, który stracił wiarę w siebie. Nawet potem, gdy wyszedłem po spędzeniu o świcie stu minut w dole na śmiecie, wciąż przeżuwałem to doświadczenie. Jestem tego świadomy, że moje ciało i duch schodzą coraz niżej, a pochyłość, na której się znajduję, prowadzi do miejsca, gdzie gęstnieje woń śmierci. Dzisiaj po raz pierwszy pojąłem sens tego, co pojawiło się jak ból bez powodu, odczuwany odrębnie we wszystkich częściach ciała, które nie miały już ze sobą związku. Nie mogę też powiedzieć, że te bóle uległy przewyciężeniu dzięki uświadomieniu sobie ich psychicznej natury. Przeciwnie, atakują mnie z tym większą częstotliwością. I wciąż nie powraca gorące wrażenie „oczekiwania”.

- Musisz rozpocząć nowe życie, Mitsu - powtarzał coraz częściej i z większym naciskiem Takashi.

- Byłoby dobrze, gdybyś rozpoczął nowe życie, o którym mówi Taka. Nawet ja wiem, że to ci jest potrzebne, Mitsu - mrużąc oczy z powodu oślepiającego światła powiedziała żona, patrząc zarówno na mnie, jak i brata pod oknem.

Momoko już wystroiła się jak malutka indiańska panna młoda, nawet głowę przybrała skórzaną ozdobą. Żona właśnie skończyła pomagać ubierającej się Momoko, odwróciła się i podeszła w naszą stronę - w świetle poranka wyglądała bardzo brzydko.

- Nie muszę o tym mówić, że chciałbym rozpocząć nowe życie. Ale problem polega na tym, gdzie znajduje się ten mój domek pod strzechą - powiedziałem poważnie. Dosłownie czułem potrzebę takiego domu o dobrze mi znanym zapachu zielonej trawy.

- Może rzuciłbyś to wszystko, co robisz tu w Tokio, i pojechał ze mną na Shikoku? Mitsu, byłby to niezły początek nowego życia! - Takashi przejawiał szczerą żarliwość, jakby obawiał się, że z miejsca to odrzucę; w rezultacie jego słowa miały dla mnie kuszącą siłę. - To właśnie w tym celu wsiałem w odrzutowiec i przyleciałem, poddając się działaniu filtrującej kratownicy różnicy czasu.

- Taka, jeśli już mamy jechać na Shikoku, to zabierzmy się samochodem! Z bagażami zmieszczą się jeszcze bez trudu trzy osoby, a w czasie jazdy jedno z nas będzie mogło spać. Kupiłem w tym celu starego Citroena! - wtrącił się do naszej rozmowy chłopiec.

- Hoshi przez te dwa lata mieszkał i pracował w warsztacie samochodowym. I kupił citroena, a raczej wrak samochodu, naprawił go tak, że jakoś jedzie, i sam to zrobił! - uzupełniła Momoko.

Chłopiec tak się zarumienił, że wyglądało to aż nieprzyzwoicie.

- Już zawiadomiłem w warsztacie - mówił z naiwną egzaltacją - że rezygnuję; kierownikowi o odejściu powiedziałem w dniu, w którym Momoko przysłała mnie zawiadomić, że przyszedł list od Taki.

Takashi jak dziecko, mimo pewnego zażenowania, nie mógł ukryć wyrazu zadowolenia na twarzy.

- Oni w ogóle się nie zastanawiają, to straszne!

- Wyjaśnij konkretniej, co masz na myśli mówiąc „nowe życie na Shikoku”. Nie sądzę, żebyś zaczął entuzjasmować się uprawą roli, jak twoi przodkowie?

- Taka w Ameryce był tłumaczem japońskiej grupy turystów, którzy przyjechali zwiedzać supersamy - powiedziała Momoko. - Między podróżnymi znalazł się ktoś, kto zainteresował się nazwiskiem Taki i okazało się z rozmowy, że był to właściciel sieci supersamów z waszych okolic na Shikoku. On jest bardzo bogaty, rządzi teraz waszym okręgiem, okazało się też, że chce kupić stylowy stary dom, w którym przed laty urodziliście się. Ma zamiar przewieźć ten dom do Tokio i założyć w nim restaurację regionalną.

- Zjawił się w końcu lokalny nowobogacki, który wyzwoli nas z kłopotu, jakim jest to stare drewniane monstrum - podjął Takashi. - I jeśli zgodzisz się na sprzedaż, Mitsu, to i tak będziemy chyba musieli tam pojechać i dopilnować rozbiórki domu. Mam też zamiar dokładnie dowiedzieć się we wsi, jak to było naprawdę między naszym pradziadkiem i jego młodszym bratem. Dlatego właśnie wróciłem z Ameryki.

Nie mogłem tak od razu uwierzyć w realność planu Takashiego. Nawet zakładając, że brat nagle odkrył w sobie talent przedsiębiorcy, to jednak czy potrafi sprzedać rozpadający się stary dom ze wsi w dolinie dyrektorowi sieci supersamów, obdarzonemu bez wątpienia najbardziej nowoczesnym umysłem? Restauracja regionalna? Ale przecież nie jest to budynek o tego rodzaju uroku, to przecież zwykły spichrz sprzed stu lat. Większe na mnie wywarło wrażenie raczej to podtrzymywane nadal zainteresowanie prawdą o naszym pradziadku i jego bracie. Pewnego razu, tuż przed rozproszeniem się naszej rodziny, kiedy mieszkaliśmy jeszcze we wsi w dolinie, Takashi usłyszał plotki o skandalu sprzed około stu lat dotyczącym naszego rodu.

- Pradziadek zabił swego brata i opanował wielki bunt chłopski. I wyobraź sobie, że zjadł kawałek mięsa z uda brata. - Takashi powtarzał to, co usłyszał, głosem drżącym ze zgrozy.

Ja też o tym wydarzeniu nic pewnego nie wiedziałem. Ale podczas wojny miałem wrażenie, że wszyscy dorośli z naszej wioski unikali rozmów na temat tego zdarzenia, nasza rodzina też starała się zlekceważyć skandal wywołany przez pradziadków. Chcąc jednak uspokoić brata, żeby przestał się bać, opowiedziałem mu jeszcze jedną pogłoskę, którą ktoś mi powiedział w tajemnicy.

- Nie, pradziadek po buncie pomógł bratu uciec przez las do Kóchi. Brat przepłynął morze, udał się do Tokio, zmienił nazwisko i stał się wybitnym człowiekiem. W czasie Restauracji Meiji przysłał kilka listów do pradziadka. Ponieważ pradziadek cały czas milczał, wszyscy zaczęli powtarzać plotkę, którą ty słyszałeś. Dlaczego milczał? Chyba dlatego, że z powodu jego brata wielu mieszkańców wioski poniosło śmierć, ich rodziny żywiły nienawiść, więc chyba chciał zapobiec wybuchowi ich gniewu.

- W każdym razie przenieśmy się do mojego domu. I tam rozpatrzmy ten plan nowego życia - zaproponowałem wspominając z tęsknotą tę ogromną władzę, jaką miałem nad młodszym bratem kilka lat po zakończeniu wojny.

- Zgoda. Problem wiąże się z likwidacją po stu latach naszego rodzinnego domu i spichrza we wsi położonej w dolinie i u niego, z pewnością możemy więc porozmawiać bez pośpiechu.

- Jeśli oboje pojedziecie taksówką, to ja pojedę za wami z Taką i Momoko Citroenem - powiedział chłopiec wykonując bez skrupułów manewr wyłączający nas, małżonków, poza ścisły krąg najbliższych.

- Chciałam jeszcze wypić przed odjazdem - powiedziała z żalem żona próbując dotknąć czubkiem buta pustej butelki leżącej bokiem. Widać wyzbyła się już całkowicie skrępowania obecnością swego szwagra.

- Mam butelkę bourbona, kupioną bez cła w samolocie - od razu odpowiedział Takashi i pospieszył żonie z pomocą.

- Czy zrezygnowałeś z abstynencji? - zapytałem chcąc zburzyć idola straży przybocznej.

- Gdybym upijał się w Ameryce, na pewno by mnie zatłukli na śmierć w jakimś ciemnym kącie. Mitsu, wiesz chyba, jak ja się upijam? - powiedział Takashi i wyciągnął z torby butelkę whisky. - Więc butelka ta była przeznaczona dla mojej bratowej.

- Wygląda na to, że podczas gdy ja spałem, nie traciście czasu i teraz dostatecznie dobrze się rozumiecie, prawda?

- Bo mieliśmy na to dosyć dużo czasu. Czy zawsze tak długo dręczą cię przykre sny, Mitsu? - Moją drwinę Takashi odparł kontratakiem.

- Czy coś powiedziałem przez sen? - zapytałem, znów całkowicie zbity z tropu.

- Nie sądzę, że mógłbyś porzucić kogoś w biedzie, w to nikt nie uwierzy. Mitsu, ty naprawdę, w odróżnieniu od pradziadka, nie jesteś typem, który mógłby uczynić coś strasznego innym ludziom - litując się nad moim zakłopotaniem powiedział Takashi.

Wziąłem bourbona, którego łyk prosto z butelki wypila żona, i napiłem się podobnie jak ona, starając się w ten sposób ukryć zawstydzenie.

- No, wyruszamy w stronę Citroena Hoshiego!

Na sygnał Momoko, wzburzonej szczęściem i odważnej w skórzanym stroju Indianki, ruszyła w drogę nasza rodzina, która się znów połączyła. Idąc w ogonie pochodu, ja, najstarszy mężczyzna o wyglądzie myszy, z wyrazem przygnębienia na twarzy, przeczuwałem, że w końcu będę posłuszny naprawdę wątpliwym planom młodszego brata. Już w tej chwili utraciłem odporność i nieustępliwość konieczną, żeby mu się sprzeciwić. Gdy myślę w ten sposób, żar wywołany łykiem whisky nieoczekiwanie łączy się w głębi ciała z wrażeniem „oczekiwania”. Ale gdy próbuję się na nim skoncentrować przeszkadza mi trzeźwa świadomość wykrywająca różne niebezpieczeństwa, jakie czyhają na mnie podczas prób odrodzenia siebie samego przez rezygnację z własnych aspiracji

3. Potęga lasu

W samym sercu lasu autobus zatrzymał się niespodzianie, jakby uległ awarii. Moja żona, śpiąca dotąd niby mumia na ostatnim siedzeniu, owinięta kocem od piersi po stopy, pochyliła się do przodu, więc ją uniosłem do pierwotnej pozycji chroniąc przed upadkiem, ale nagle zaniepokoiłem się myśląc, jaki wpływ będzie miało na nią to

nienaturalne przerwanie snu. Przed autobusem stała młoda chłopka z wielkim tłumokiem na plecach, a u jej stóp siedziało w bezruchu coś niby zwierzątko. W mroku leśnej scenerii spostrzegłem, że jest to klęczące dziecko, z wyraźnie rysującym się obnażonym małym tyłkiem, i dziwnie jasnożółtawą nieznaczną kupką ekskrementów. Leśna droga, zamknięta po obu stronach wysokimi wiecznie zielonymi drzewami, przed autobusem spadała stopniowo w dół, toteż kobieta i dziecko u jej stóp wyglądały, jakby się unosiły trzydzieści centymetrów w powietrzu. Przypatrując się im, machinalnie wychyliam się przez okno. Przeżywam niejasne przeczucie niebezpieczeństwa i utraconym prawym okiem widzę coś nieokreślonego i groźnego, co czyha, by wyskoczyć z mroku skalnego nawisu, znajdującego się w celu widzenia. Żalodne wypróżnianie się dziecka wciąż się nie kończy. Współczuję mu, ogarnia mnie to samo poczucie konieczności pośpiechu, opanowuje ten sam serach i wstyd. Ponad naszymi głowami zastygł w bezruchu wąski pasek zimowego nieba nad leśną drogą, jakby" biegnącą po dnie głębokiego rowu otoczonego ścianami wiecznie zielonych drzew, gęstych i pogrążonych w ciemności. Popołudniowe niebo powoli schodziło w dół blednąc jak strumień zmieniający barwę. Nocą niebo zamknie rozległy las, jak słuchotka pokrywa ciało skorupą. Gdy to sobie wyobrażam, budzi się we mnie uczucie klaustrofobii. Choć urodzony i wychowany w głębi tego lasu, za każdym razem, gdy przecinałem jego pasmo w drodze do naszej doliny, nie mogłem do końca wyzwolić się z owego przytłaczającego uczucia. W samym środku tego doznania duszności kryją się uczucia przodków, którzy dawno pomarli. Od dawna spychani przez potężnego Chósokabe, wciskali się coraz głębiej i głębiej w las, aż w końcu odkryli w dolinie nieckę w kształcie wrzeciona, która oparła się sile wdzierania się lasu, i tu osiedlili się na stałe. W tej niecce było źródło bardzo dobrej wody. Moje doznanie duszności było wciąż wypełnione tym samym uczuciem, które przeżywał „pierwszy mężczyzna” naszego rodu, przewodzący nielicznej grupie uciekinierów, w czasie gdy wchodził w chmurę ciemności w głębi lasu, kierując się siłą wyobraźni w stronę niecki. Chósokabe to obcy olbrzym, budzący grozę, istniejący w każdym czasie i każdym miejscu. Ilekroć byłem nieposłuszny, babka straszyla mnie mówiąc: „Chósokabe przyjdzie z lasu!” Echo tego głosu nie tylko w moim dziecięcym sercu, lecz również u osiemdziesięcioletniej babki wywoływało poczucie realnej obecności budzącego grozę monstualnego Chósokabe, który nadal żyje w tej samej co my epoce...

Autobus jedzie już pięć godzin od opuszczenia bazy w prowincjonalnym mieście. Na rozwidleniu dróg na grzbiecie nad przepaścią wszyscy pasażerowie z wyjątkiem mnie i mojej żony przesiedli się do innego autobusu, który brzegiem lasu zjeżdżał w dół ku morzu. Ta droga z miasta prowincjonalnego, która wchodzi w najgęstsza część lasu i prowadzi do naszej niecki, a następnie wzdłuż rzeki wypływającej z doliny znowu idzie w dół, by połączyć się z drogą autobusową, która odgałęzia się na grzbiecie, ostatnio jest zaniedbana i stopniowo niszczeje. Na myśl o tym, że niszczeje droga, którą jeździliśmy przez sam środek lasu, przykry wstrząs sięga dna duszy. W zieleni cedrów, sosen, kryptomerii tak mrocznej, że bliskiej czerni, oczy lasu wpatrywały się we mnie, podobnego do myszy, pochłoniętego myślą o niszczącej drodze.

Chłopka, którą ciągnął do tyłu ciężar tłumoków, pochyliła do przodu głowę - widziałem ruchy jej warg wydających głos. Dziecko wolno się podniosło, wciągając spodnie patrzyło na własne ekskrementy i zamierzało dotknąć ich czubkiem buta. Chłopka nagle trzepnęła je po uchu. Następnie zaczęła gwałtownie bić dziecko, zakrywając głowę oburącz, potem podeszła i stanęła obole autobusu. Autobus wziął nowych pasażerów i znowu pędził przecinając groźną ciszę lasu. Kobieta z dzieckiem

specjalnie przeszła na tył autobusu i zajęła miejsce na wprost nas. Usiadła przy oknie, dziecko zaś obok przejścia, zwrócone bokiem i opierające się oburącz o poręcz siedzenia, więc w nasze pole widzenia wdarła się wygolona jego głowa i profil drobnej twarzy obciążonej skórą niezdrowego koloru. Przekrwionymi jak śliwki oczyma, w których pozostały jeszcze resztki odurzenia alkoholowego, żona patrzyła uważnie na chłopca. Również ja, mimo uczucia odrazy, nie mogę oderwać od niego wzroku. Jego głowa i cera mają zdolność przywoływania naszych najgorszych wspomnień. Ta wygolona głowa i skóra, która jakby całkowicie utraciła krew, są przesycone trucizną najostrzej działającą na to. coś, co zaczyna się krystalizować przy byle okazji u mojej żony, już wcześniej przesycał jej wnętrze. To bezpośrednio cofa ją wstecz do dnia, w którym operowano osobliwą narośl na głowie naszego dziecka.

Owego ranka niecierpliwie czekaliśmy przed windą dla pacjentów w korytarzu, w którym znajdował się pokój operacyjny. W końcu zobaczyliśmy, że nadjechało żelazne pudło windy, otwarły się drzwi zewnętrzne, natomiast wewnętrzne drzwi w zielonej metalowej siatce oparły się wysiłkom pielęgniarki i nie chciały się otworzyć.

- Dziecko nie chce, żeby je operowano - powiedziała żona wpatrując się intensywnie przez siatkę, zadrżała i przechyliła się do tyłu, jakby chciała stamtąd uciec.

Przez drucianą zieloną siatkę, jakby w słabym zielonkawym świetle padającym w lecie poprzez liście, widać wygoloną jak u przestępcy głowę dziecka leżącego na wózku z oddziału dziecięcego. Jego mocno zaciśnięte oczy przypominają zmarszczkę na białej, jakby posypanej pudrem skórze pozbawionej życia. Stojąc na palcach, mogłem dostrzec z drugiej strony głowy dziecka kontrastującą z jej wyrazem tępoty i niespokojnego napięcia narośl, wypełnioną do granic wytrzymałości krwią i szpikiem, zabarwioną czerwoną ochrą żywą rzecz pozostającą w mocnym, choć obojętnym związku z głową. Ta narośl wzbudza lęk. Jest realnym dowodem obecności koszmarnego siły kryjącej się we wnętrzu, której nie można opanować. Para, która zrodziła to dziecko i tę narośl przepelnioną siłą przekraczającą możliwości jej przewyciężenia, to znaczy ja i moja żona, być może pewnego ranka po przebudzeniu odkryjemy, że w naszych głowach wyrosły obce ciała wypełnione tym samym krzykiem życia, i że między wszystkimi naszymi organami mającymi związek z psychiką a tą naroślą przepływa z ogromną szybkością wielka ilość szpiku podlegającego metabolizmowi. I wtedy być może my też skierujemy się do pokoju operacyjnego ze zgolonymi głowami, czując się jak brutalni przestępcy. Pielęgniarka zdecydowanie kopie drzwi w drucianej siatce. Dziecko z powodu wstrząsu otwiera szeroko bezzębne usta, ciemnoczerwone niby rana, i zaczyna płakać. Wtedy potrafiło jeszcze wyrażać siebie za pomocą płaczu.

- Wydaje mi się, że przyjdzie lekarz i powie: „No, zwracam wam wasze dziecko”, i wręczy nam uciętą narośl -z westchnieniem powiedziała żona, kiedy pielęgniarka minęła kilkoro drzwi i doprowadziła wózek do pokoju operacyjnego.

Te słowa uzmysłowiły mi, że dla nas obojga, i dla mnie, i dla żony, konkretniejszą realność stanowiła raczej ta czerwieniejąca, nabrzmiała narośl niż blade ciało dziecka leżącego bez ruchu z zamkniętymi oczyma. Operacja dziecka trwała dziesięć godzin. Z nas dwojga czekających, wyczerpanych i zrozpaczonych, tylko ja byłem wzywany do pokoju operacyjnego i trzykrotnie dawałem krew. Podczas ostatniego przetaczania krwi, gdy ujrzałem głowę dziecka umazaną w jego własnej i mojej krwi, wydało mi się, że jest ono gotowane w bulgocącym własnym sosie. I w mojej głowie, o osłabionej zdolności rozumowania wskutek ubytku krwi, pokazało się następujące równanie: wycięcie narośli dziecka jest czymś równoznacznym z amputacją części mojego ciała - i wtedy naprawdę poczułem głęboko w sobie ostry ból. Z dużym wysiłkiem musiałem walczyć z sobą, by

nie zapytać lekarzy dzielnie przeprowadzających operację: „Czy panowie są pewni, że nie wycinają mnie i mojemu synowi czegoś bardzo ważnego?” W końcu dziecko wróciło do nas jako istota nie przejawiająca żadnych ludzkich odruchów, prócz spokojnego wodzenia za nami brązowymi oczyma, a ja czułem, że wycięto mi cały zespół nerwów, gdyż bezdenna tępota stała się odtąd moją nową cechą. Przy tym ubytek spowodowany amputacją był znacznie wyraźniejszy u mojej żony niż u dziecka i u mnie.

Gdy autobus wjechał do lasu, żona zamilkła popijając nadal whisky z kieszonkowej butelki. Wiedziałem, że jej zachowanie nabierze posmaku skandalu w oczach jadących autobusem szanujących się mieszkańców tych okolic, ale nie miałem ochoty jej powstrzymywać. Jednak żona, zanim usnęła, postanowiła rozpocząć na trzeźwo nowe życie w tej wiosce w dolinie, gdyż wyrzuciła w głąb lasu butelkę z resztą whisky. Ja pragnąłem tylko, by to odurzenie, prowadzące ją w tej chwili do snu, stało się jej ostatnim zamroczeniem. Teraz jednak, czując obok siebie gorącą rzeczywistość jej oczu, wciąż przekrwionych po przebudzeniu i wpatrujących się uparcie w głowę syna chłopki, odrzuciłem od siebie tę słodką nadzieję, iż żona być może rozpocznie tutaj na trzeźwo nowe życie. A przecież moim jedynym pragnieniem było tylko to, żeby tutaj nie nastąpiło zbyt gwałtowne odrodzenie się i rozrastanie niebezpiecznych uczuciowych doświadczeń wywodzących się z narośli u dziecka, ale stopniowo zdaję sobie sprawę, iż jest to próżne pragnienie. Oddech żony staje się coraz głębszy i mocniejszy. Dotkliwie żałuję wyrzuconej whisky.

Konduktorka z brzuchem wypiętym dla podtrzymania równowagi przechodzi na tył autobusu. Młoda chłopka ignoruje ją, marszczy brwi i patrzy przez okno. Dziecko też nie reaguje na konduktorkę, ale obserwując je od dłuższego czasu mogę zauważyć narastające napięcie. Prawdopodobnie chłopka z dzieckiem usiadła z tyłu obok nas, aby uniknąć spotkania z konduktorką.

- Bilety - zażądała konduktorka. Początkowo chłopka zlekceważyła wezwanie, ale w końcu okazała się bardzo gadatliwa. Zaatakowała konduktorkę za to, że żąda określonej opłaty za przejazd od szczytu wzniesienia do doliny. A przecież przeszła z synem dwie trzecie tej drogi piechotą. Gdyby chłopiec nie uskarżał się na bóle brzucha (mówiąc to chłopka uderzyła lekko po plecach dziecko opierające się o drewnianą poręcz), doszłaby do doliny piechotą. Konduktorka wyjaśnia, że dystans między grzbietem a doliną stanowi od niedawna minimalną jednostkę opłaty za przejazd. Spółka autobusowa z powodu deficytu na tej linii wydała nowe zarządzenie. Jest to też symptom upadku tej leśnej drogi. Wydawało się, że rozumowanie konduktorki przekonało młodą chłopkę. Ale nagle na plebejskiej, nieprzyjemnie czerwonej twarzy chłopki, ożywionej dotąd oburzeniem, pojawiły się oznaki reakcji, która mnie zaskoczyła i rozbawiła. Młoda chłopka roześmiała się i powiedziała głosem swobodnym i pewnym siebie: - Nie mam pieniędzy.

Jej syn nadal siedział blady i napięty. Konduktorka chwilę się wahała, znów zmieniała się w bezradną wiejską dziewczynę i poszła naradzić się z kierowcą. A mnie przyszło do głowy, że ten dziwaczny śmiech chłopki pomoże rozproszyć nastrój napięcia u mojej żony. Spoglądam więc na żonę i uśmiecham się, ale jednocześnie widzę, że jej twarz i szyję pokrywa gęsia skórka, choć oczy zwrócone na głowę chłopca błyszczą jak w gorączce. Przewidując kłopoty, zawahałem się, bezradny. Wewnątrz mnie trysnęły iskry jak sztuczne ognie i rozbiegły się. W końcu zdenerwowanie nie mając ujścia pozostało i krąży wewnątrz mnie. Dlaczego nie powstrzymałem żony przed wyrzuceniem butelki whisky? Dokonałem wyboru bez zastanowienia.

- Wsiadamy. Taka powinien oczekiwać nas na przystanku autobusowym; przekażemy wiadomość przez konduktorkę, żeby wyjechał po nas samochodem.

Żona spojrzała na mnie podejrzliwie, pochylając powoli głowę niby nurek działający przeciw ciśnieniu wody w głębinach przerażenia. Wyczułem, że znajduje się w stanie chwiejnej, niebezpiecznej równowagi między tkwiącym w niej strachem a strachem wywołanym przez wyobrażenie siebie pozostawionej w samym środku lasu. Zdając sobie sprawę, że chciałbym jakoś żonę przekonać, zanim strach przed lasem się powiększy i przykuje ją do siedzenia w autobusie, muszę przyznać, że to raczej ja nerwowo pragnę uciec od zjawy dziecka, którą wywołała ogolona głowa syna chłopki i jego blada cera.

- A jeśli telegram nie doszedł i Takashi z przyjaciółmi nie wyszedł po nas?

- Nawet piechotą dotarlibyśmy do doliny przed nocą, przecież to dziecko miało przejść całą drogę - powiedziałem.

- W takim razie ja też chcę wysiąść z autobusu - powiedziała żona takim tonem, jakby czuła się uratowana, choć jeszcze nie wyzbyła się niepokoju, dlatego odetchnąłem z ulgą i ze smutkiem.

Dałem znak konduktorce, żywo rozmawiającej z kierowcą i jednocześnie nie tracącej z oczu chłopki z synem, która powiedziała, że nie ma pieniędzy.

- Mój brat powinien na nas czekać na przystanku w doli nie. Mogłaby pani przekazać mu nasze bagaże i poprosić, żeby podjechał po nas samochodem? Dalej będziemy iść pieszo -' powiedziałem, ale gdy konduktorka wpatrywała się w nas wzrokiem otepiałym, oczyma jakby pokrytymi tłuszczem i pełnymi podejrzliwości, poczułem się zakłopotany, gdyż spostrzegłem, że nie wymyśliłem żadnego pretekstu, który miałby siłę przekonywania dla obcych.

- Niedobrze mi się zrobiło od jazdy autobusem - przyszła żona na ratunek, w lot pojawił się, o co chodzi, ale konduktorka nadal patrzyła podejrzliwie. Albo też raczej przeżywała to, co jej powiedziałem, starając się zrozumieć.

- Autobus nie jedzie do doliny, bo powódź zniszczyła most - w chwilę potem powiedziała konduktorka.

- Powódź? Zimą powódź?, - Latem powódź zniszczyła most.

- I tak zostało od lata?

- Po tej stronie mostu jest nowy przystanek, i do tego tylko miejsca dochodzi autobus.

- Więc tam chyba czekać będzie brat, nazywa się Nedokoro - powiedziałem. Ale zastanawiałem się, dlaczego most zniszczony przez powódź latem nie został naprawiony do zimy.

- Ja go znam, przyjechał samochodem! -wtrąciła się chłopka, przysłuchująca się z boku naszej rozmowie. - Jeśli go nie będzie na przystanku, chłopiec pobiegnie do pana Nedokoro ze Spichrza.

Młoda chłopka z pewnością fałszywie myśli, że „Spichrz” jest nazwą geograficzną wzgórza, na którym stoi nasz dom. Jest to tego samego rodzaju błąd, jaki popełniali często towarzysze moich zabaw przed dwudziestu laty. W każdym razie poczułem ulgę. Jeśli mamy iść przez las do zmroku, to przeżycie to może zasiać w sercu żony nowe zgryzoty. A jeśli zapadnie noc i pojawi się mgła, las czarny jak laka na pewno będzie napawał żonę trwogą.

Przez okno w tyle autobusu, który zostawił nas na leśnej drodze, patrzyły na nas chłopka i konduktorka. Syn chłopki, na pewno wciąż jeszcze blady, obejmuje poręcz siedzenia i nie próbuje nawet wyjrzeć przez okno. Gdy ukloniliśmy się, konduktorka szczerze pomachała ręką, ale młoda chłopka nadal chichocząc ścisnęła nieskromnie palec

jednej ręki w dłoni drugiej i pogroziła w naszą stronę. Zaczerwieniłem się ze zdenerwowania i wstydu, ale zniewaga ta jakby nieco rozładowała napięcie u żony. Pragnienie ukarania siebie samej, obejmujące szeroki obszar psychiki, zawładnęło żoną. Jakaś część tego pragnienia spełniła się teraz dzięki tej młodej matce, która żyje zajmując się dzieckiem o cerze bez połysku i głowie ogolonej, siedzącym bez ruchu jak nasze niemowlę. Przyciskając płaszcz do ciała, owiewani bocznym wiatrem, wilgotnym i chłodnym, ciężkim od przesycających go rozmaitych zapachów, ruszyliśmy leśną drogą, której czerwoną ziemię pokrywały gnijące opadłe liście. Gdy czubki butów podrywały zwiędłe liście, ukazywała się goła ziemia przypominająca wspaniałe cynobrowy brzuch traszki. Dzisiaj, w odróżnieniu od czasów dzieciństwa, nawet czerwona ziemia budzi we mnie lęk. To naturalne, stałem się człowiekiem podejrzliwym i tchórzliwym jak mysz, a teraz próbuję znów szukać więzi z lasem, od którego kiedyś uciekłem, więc oczy lasu obserwują mnie nieufnie. Tak bardzo intensywnie odczuwałem ten nadzór, że nawet gdy kilka ptaków z krzykiem przeleciało wysoko nad drzewami, wydało mi się, że czerwona ziemia chwyci mnie za nogi.

- Ciekawe, dlaczego Taką telefonując nie powiedział, że most zerwany w czasie powodzi nie został dotąd naprawiony?

- Nie sądzisz, że i tak miał wiele do powiedzenia? Skoro opowiadał tak niecodzienną historię, nic dziwnego, że nie miał ochoty mówić o stanie mostu - żona usprawiedliwiła Takashiego.

Takashi wyjechał do doliny dwa tygodnie przed nami. Wsiadł do citroena razem ze swoją ochroną i odbył długą podróż samochodem. Dniem i nocą na zmianę z Hoshio prowadził samochód, i tak bez przerwy - z wyjątkiem jednej godziny przejazdu promem łączącym Shikoku z główną wyspą - uciekali jak ścigani, aż trzeciego dnia dotarli do wioski w dolinie. Takashi zadzwonił do nas z poczty i wtedy usłyszeliśmy po raz pierwszy niecodzienną historię, która tak silne wrażenie wywarła na Takashim. Była to wiadomość dotycząca chłopki w średnim wieku o imieniu Jin, opiekującej się naszym domem i w zamian mającej prawo do uprawiania niewielkiego kawałka ziemi, jaki nam jeszcze pozostał. Jin pojawiła się w naszej rodzinie jako młodzianka pomoc do dziecka, kiedy urodził się Takashi. I od tego czasu nie rozstawała się z naszym domem. Mieszkała u nas nawet po wyjściu za mąż i urodzeniu dzieci.

Takashi i jego przyjaciele zaparkowali citroena na placu przed urzędem wiejskim i kiedy szli z bagażami do domu stromą brukowaną dróżką, na ich powitanie zbiegł z góry zdyszany mąż Jin z synami. Dzieci były tak chude, że Takashi i jego przyjaciele stanęli przed nimi jak wryci; synowie Jin mieli chorobliwie szerną skórę, wyjątkowo duże rybie oczy i przypominali Takashiemu twarze dzieci uciekinierów z Ameryki Południowej i Środkowej. Ci słabowici chłopcy z zapalem wyrwali bagaże od gości i ponieśli je bez trudu. Zasepiony mąż Jin próbował coś wyjaśnić Takashiemu napiętym i jakby rozgniewanym głosem. Ale ponieważ był zbyt zażenowany, Takashi zrozumiał z tego tylko to, że chce on opowiedzieć o czymś niezwykłym, co się przydarzyło Jin, zanim Takashi ją spotka. Następnie jakby z wielką niechęcią wyjął z kieszeni złożoną we czworo miejscową gazetę i pokazał Takashiemu. Na kawałku brudnej i postrzępionej na zagięciach gazety widniała tak duża fotografia, że z pewnością zburzyła tego dnia kompozycję całej kolumny. Takashi doznał szoku, gdy ją zobaczył. Prawa połowa zdjęcia przedstawiała nienaturalnie upozowanych, wychudłych członków rodziny w wyprasowanych białych letnich ubraniach, jak na pamiątkowym zdjęciu ślubnym. Całą lewą stronę wypełniała olbrzymia Jin, otyła i nadęta. Siedziała pochylona na bok w sukni

w drukowane kwiaty, opierając się na lewej ręce, wyglądającej jak miech kowalski. Wszyscy, włącznie z Jin, patrzyli przed siebie smutno i cierpliwie, jakby natężali słuch.

Wiejska kobieta cierpi na „chorobę obżarstwa”

Mąż pracuje dniem i nocą, ale nie zaspokaja potrzeb jej żołądka.

Dowiedzieliśmy się, że najgrubsza kobieta w Japonii mieszka w naszej prefekturze. „Najgrubsza kobieta” to pani Jin Kanaki, mieszkająca we wsi Okubo w okręgu leśnym w południowo-wschodniej części prefektury. Mężatka, 45 lat, jest matką czworga dzieci, ma 153 cm wzrostu, ale waga jej jest niezwykle, sięga bowiem 132 kg. W białym 120 cm, w biodrach 120 cm, obwód przegubu 42 cm. Pani Jin nie była dawniej taka otyła. Przed 6 laty ważyła 43 kg, była typem raczej szczupłym. Jej dramat rozpoczął się pewnego dnia 6 lat temu. Pani Jin zachorowała na anemię, poczuła skurcze w rękach i nogach i zemdlła. Po kilku godzinach odzyskała przytomność, ale od tego czasu zaatakował ją głód niezwykle, nie dający się pohamować; nie mogła utrzymać się na nogach, dopóki czegoś nie zjadła. Gdy posiłek się opóźnia, dostaje drgawek, zaczyna jęczeć i w końcu mdleje.

Teraz je co godzinę. Najpierw po przebudzeniu pochłania cały garnek gotowanych jarzyn, słodkie ziemniaki¹, ryż mieszany z jęczmieniem. Następnie do południa co godzinę je albo papkę z mąki gryczanej, albo makaron błyskawiczny, w południe to samo co na śniadanie, a do kolacji co godzinę papkę z mąki lub makaron błyskawiczny, na kolację znów pełen garnek gotowanych jarzyn, alg, suszonej rzodkwi i galaretki z konnyaku, słodkie ziemniaki, ryż mieszany z jęczmieniem. Jest to codzienne menu. Ten niezwykle apetyt w ciągu sześciu lat potroił jej wagę. Obecnie w dalszym ciągu tyje. Z tego powodu największe ofiary ponosi mąż pani Jin. Nielatwo mu zapewnić sobie choćby minimalny posiłek. Zwłaszcza takie ilości makaronu błyskawicznego bardzo dużo kosztują. Choć Jin zarabia trochę szyciem, to jednak, wobec strasznych potrzeb jej żołądka, jest to kropla w morzu. Urząd miejski biorąc pod uwagę trudną sytuację rodziny przyznaje co miesiąc zasiłek pieniężny, ale to nie wystarcza.

Słowa p. Jin: Długo ustać nie mogę, już po piętnastu minutach się męczę. Nie mogę też szyc dla zarobku tyle, ile bym chciała, prawie cały dzień muszę siedzieć. Nie mogę sama wsiąść do autobusu i gdy wybieram się do Szpitala Czerwonego Krzyża, muszę korzystać z samochodu ciężarowego. Nocą źle sypiam, często mam sny.

Gdy Takashi szedł bez słowa, mąż Jin powiedział, że w tej sytuacji dla zdobycia pieniędzy wynajął dom nauczycielowi szkoły podstawowej, umówił się jednak, by podczas pobytu Takashiego i jego przyjaciół nauczyciel zamieszkał w pokoju gościnnym szkoły. Była to w gruncie rzeczy sprawa, która najbardziej martwiła męża Jin.

- Jin siedziała w ciemnym kącie na podłodze przy wejściu do oficyny, ale nie wyglądała na szczególnie przygnębioną swym nieszczęściem. Powtarzała ciągle: „To poniżające być taką otyłą, to poniżające.” Jeśli macie zamiar przywieźć upominek Jin, to najbardziej ją ucieszy pudło makaronu błyskawicznego - powiedział przez telefon Takashi.

Przed odjazdem żona odwiedziła swoją rodzinę i kiedy o tym opowiedziała, mój teść, człowiek o rzadko w jego wieku spotykanej elastyczności umysłu, mogący zrozumieć takie tragikomiczne i niezwykle historie, kazał - zgodnie z radą Takashiego - dostarczyć nam pół tuzina pudeł makaronu. Wyruszyliśmy w drogę po nadaniu na bagaż żywności dla „najgrubszej w Japonii kobiety”.

Droga, którą szliśmy, i las przytłaczający ją z obu stron ciągnęły się monotonicznie bez końca. Słabe wycucie perspektywy wskutek braku jednego oka sprawiło, że miałem wrażenie, iż poruszam nogami stojąc w miejscu.

- Wygląda tak, jakby czerwieniło się niebo, czy to z winy moich oczu? Mitsu, to chyba niemożliwe, by z powodu przekrwionych oczu oglądane rzeczy również wydawały się czerwone.

Spojrzałem w górę. Wielkie drzewa rzuciły nieprzenikniony cień tworząc złudzenie kurtyn osłaniających drogę z obu stron, ale szare niebo widniejące w szparze między nimi pokrywały smugi czerwieni, które nie były złudzeniem.

- To zachód słońca. Poza tym twoje oczy nie są już czerwone.

- Mitsu, wiesz, przez to ciągle przebywanie w mieście nie przyszło mi nawet do głowy, że taki kolor może mieć tylko zachodzące słońce - tłumaczyła się żona. - Przez szarość przesącza się czerwień, zupełnie jak barwne zdjęcie mózgu w słowniku medycznym.

Żona błędziła jeszcze w kręgu obrazów związanych z nieszczęśliwym wspomnieniem: od ogolonej głowy chłopca z autobusu do głowy naszego dziecka, a stąd do uszkodzenia mózgu. Z oczu jej zniknęły całkowicie oznaki odurzenia, przekrwienie minęło i oczy wyglądały jak dwa ciemnopopiele-te dołki. A skórę na jej twarzy pokrywała drobniutka łuska gęsto zachodząca na siebie, jak igły kryptomerii w tym lesie. Nawiedziła mnie pewna myśl, zapowiedziana kwaśnym smakiem strachu na języku.

Drogą przed nami nadjechał dżip, rozpryskując zwiędłe liście i ziemię jak wściekła dzika bestia. Zetknięcie się z dżipem przywróciło mi głębię perspektywy i wyzwoliło z wrażenia stąpania w miejscu.

- To Taka przyjechał!

- Ale co z ich Citroenem? - wyraziłem zaniepokojenie, reagując na głos żony przepelniony zbyt wyraźną radością, choć -v pędzącym prosto na nas dżipie odkryłem już oznakę przynależności do Taki - brutala z własnej woli.

- Mitsu, to Taka! - z przekonaniem tłumaczyła mi żona. Na pięć metrów przed nami dżip, wznosząc falę czerwonej ziemi, wjechał maską w kępę uschłej trawy na poboczu leśnej drogi, dotknął zderzakiem drzew, zahamował z taką samą szaleńczą szybkością, z jaką jechał do przodu, zmienił kierunek zawracając do tyłu i zatrzymał się. Żona odsunęła moją rękę, którą wyciągnąłem, by bronić ją przed pędzącym dżipem, ręka zawisała w powietrzu nadal wyciągnięta, niepotrzebna. Pragnąłem tylko, aby tego nie dostrzegł Takashi, który obrócił się w bok i wychylił na zewnątrz.

- Hej, Natsu! Hej, Mitsu! - przywitał się wesoło Taka, ubrany jak strażak w impregnowaną kurtkę z kapturem spadającym na plecy.

- Dziękuję, Taka - żona uśmiechnęła się do brata odzyskując po raz pierwszy życie, które całkowicie utraciła po przebudzeniu się w autobusie.

- Most podobno zniszczony?

- Tak! Naszego Citroena jakoś wprowadziliśmy do doliny, ale gdy przyszło nam wyjechać po was, niełatwo było wywlekać go z powrotem. Więc pożyczyłem dżipa od leśniczego. On mnie jeszcze pamięta. Oprócz dżipa pożyczył mi też kurtkę impregnowaną - mówił Taka z naiwną dumą. - Mitsu, siadaj z tyłu! Natsu, chodź do przodu.

- Dziękuję, Taka.

- Bagaże zabrał Hoshi. Gdy tylko przeniesie je na plecach przez część mostu, na drugim brzegu można będzie użyć Citroena - mówiąc to Takashi wprowadził dżipa w ruch bardzo ostrożnie, -zupełnie inaczej niż prowadził dotąd.

- Co z Jin?

-, Był to szok, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Ale poza tym, że od czasu do czasu wygląda strasznie groteskowo, jej otyła twarz wydaje się teraz młodsza i

sympatyczniejsza. Można nawet uznać, że jest pociągająca jak na kobietę tej doliny, która przekroczyła czterdziestkę. - Taka roześmiał się. - Naprawdę, najmłodsze dziecko poczęła, gdy już zaczęła tyć, co znaczy, że dla jej męża było jednak coś seksualnie pociągającego w kobiecie, która przekroczyła sto kilogramów wagi.

- Czy jest im ciężko?

- Nie jest tak źle, jak to przedstawiał artykuł w gazecie. Na pewno dziennikarz dał się nabrać na strasznie ponurą twarz męża Jin, podobnie jak ja. A jak sobie radzą? Po prostu mieszkańcy doliny przynoszą Jin różne rzeczy do jedzenia. Nie mam pojęcia, dlaczego ci skąpi ludzie z doliny robią to przez całe sześć lat. Więc kiedy spotkałem kapłana świątyni, który w szkole był rówieśnikiem brata S., zapytałem go o to, a kapłan powiedział, że to dlatego, iż życie ludzi w dolinie jest niemal beznadziejne. W tym okresie swoje religijne tęsknoty skupili na tej osobliwej kobiecie, która nagle zaczęła tyć i przekroczyła sto kilogramów. Kto wie, czy człowiek owładnięty chorobą[^] niepojętą i beznadziejną jak choroba Jin, nie jest po prostu barankiem ofiarnym, który przyjmie na siebie nieszczęścia wszystkich ludzi doliny! Taka jest w każdym razie interpretacja kapłana. Jest on raczej nastawiony filozoficznie, prawda? Żyjąc ze świadomością odpowiedzialności za wszystkie dusze w dolinie, stał się takim właśnie człowiekiem. Mitsu, ty też mógłbyś się z nim spotkać. To najznakomitszy inteligent w tej dolinie - powiedział Takashi. Jego słowa wywarły na mnie bardzo żywe wrażenie. Idea baranka ofiarnego odkupującego grzechy wszystkich ludzi w tej dolinie ma moc rozbudzania wspomnienia pogrążonego we mnie głęboko, sięgającego korzeniami mojego istnienia.

- Mitsu, czy pamiętasz wariata o imieniu Gii? - kontynuował Takashi, gdy milczałem przekopując własną pamięć.

- Tego pustelnika Gii, który żył w lesie?

- Tak. Wariata, który nocą schodził do doliny.

- Pamiętam! Właściwie miał na imię Giichiró, znałem go dobrze. Wiele dzieci w dolinie słyszało tylko legendy o pustelniku Gii. Niektóre nawet myślały, że to chochlik śpiący w dzień w lesie, który tylko nocą schodzi do doliny. Ale ponieważ nasz dom znajduje się w połowie drogi między lasem a doliną, miałem okazję oglądać Gii, gdy o zmierzchu schodził brukowaną drogą - wyjaśniłem żonie, która dotąd była wyłączona z naszej braterskiej rozmowy. - Gii, jak dziki pies, z osobliwą zwinnością zbiegał ze zbocza góry. Gdy śledziłem jego sylwetkę znikającą z oczu, całą dolinę zasnuwał już mrok. Gii z niepojętą dokładnością przebiegał tę krótką przerwę między dniem a nocą. O ile pamiętam, miał zawsze smętnie opuszczoną głowę i spieszył w stronę mroku.

- Wiesz, spotkałem pustelnika Gii - powiedział Takashi ignorując moje wspomnieniowe westchnienie. - W środku nocy szukałem czegoś do jedzenia objeżdżając samochodem całą dolinę. Zapomnieliśmy zrobić zakupy w ciągu dnia. Ale supersam był zamknięty, pozostałe sklepy są na skraju ruiny i też były pozamykane, w rezultacie mogłem tylko spotkać się z Gii.

- Więc pustelnik Gii jeszcze żyje? A to ci historia! Musi już być bardzo zniedołężniały? Nigdy bym nie przypuszczał, że wariat mieszkający w lesie tyle lat może tak długo żyć.

- Jednak Gii nie wygląda na tak bardzo starego człowieka. Spotkałem go w ciemności, więc dokładnie go nie widziałem, ale miałem wrażenie, że przekroczył dopiero pięćdziesiątkę. Ma niezwykle małe uszy. Specjalnie nie wygląda na wariata, tylko te zbyt małe uszy sprawiają wrażenie, jakby skupiły wszystkie lata szaleństwa. Gii zainteresował się naszym samochodem i wyszedł do nas z mroku. Gdy Momoko go powitała, odpowiedział całkiem poważnie, że jest pustelnikiem Gii. A kiedy mu się

przedstawiłem mówiąc, że jestem synem Nedokoro, odpowiedział: „To mnie pamiętasz, rozmawiałeś kiedyś ze mną.” Żałuję, że tego nie pamiętam.

- To mnie wspominał pustelnik Gii! Kiedy brat S. wrócił z wojska, Gii przyszedł do nas do domu i rozmawiał z S. i ze mną. Gii przyszedł się dowiedzieć, czy wojna naprawdę się skończyła. Gii uciekł do lasu bojąc się, że wezmą go do wojska. On jeden z całej wioski uciekł od służby wojskowej. S. wyjaśnił mu, że już nie potrzebuje się ukrywać, ale Gii nie mógł już wrócić do życia we wsi. W mieście byłby chyba bohaterem przez jakiś czas po wojnie. Ale na wsi szaleniec, który raz uciekł do lasu, absolutnie nie ma już powrotu do społeczeństwa. Tym bardziej, że w czasie wojny Gii uzyskał prawo do życia jako wariat, więc i po wojnie mógł przeżyć zachowując ten sam status - powiedziałem. Znajomy, odległy nastrój trysnął z głębi zapomnienia z taką mocą, że pozbawił mnie siły.

- Ale że teraz jeszcze żyje pustelnik Gii?! Musiał mieć ciężkie życie!

- A przy tym wcale nie jest jeszcze zgrzybiały, to leśny superman! - Takashi zaśmiał się. - Gdy po rozstaniu z Gii objechaliśmy dolinę i wracaliśmy do domu, przebiegł przed nami w smudze światła, niby dostojny zając, podskakując chyżo, naprawdę był bardzo szybki. Początkowo wyglądało tak, jakby biegł z desperackim wysiłkiem, aby uciec z kręgu światła, ale myślę, że po prostu demonstrował nam stan swego zdrowia. To całkiem sympatyczny pomyleniec.

W moim dzieciństwie w dolinie zawsze był tylko jeden stały wariat. Chociaż we wsi żyło kilku krańcowo wyczerpanych nerwowo i debili, tylko jednego wszyscy uznawali za prawdziwego wariata. Nie zdarzyło się, żeby kiedykolwiek powiększała się liczba takich oficjalnych wariatów, ani też żeby ten jeden wariat zniknął całkowicie z doliny. Wyglądało na to, że właśnie jeden wariat był stałym komponentem społeczności doliny, niezbędnym dla określenia jej specyfiki. Wydaje mi się, że wiele razy widziałem wymianę wariatów w dolinie, którzy, jak królowie, żyli tu tylko pojedynczo. Ale od końca wojny rolę tego niezbędnego samotnika przejął pustelnik Gii. Pogłoski na temat pustelnika Gii przychodziła nawet sprawdzać policja z miasta. Oddział miejscowych weteranów wojskowych urządził na niego polowanie w górach, wątpię jednak, czy naprawdę go szukali; poza tym w głębi lasu czekało na nich wiele powalonych drzew, pnączy zamykających drogę, miejsc podmokłych; las w głębi łączył się z puszcza dziewiczą, gdzie nie można było wejść i prowadzić poszukiwań, dlatego oczywiście Gii nie schwytano. Na placu przed urzędem wioski (to znaczy w niecce na wprost naszego domu stojącego na górze, dlatego siedząc na krawędzi długiego muru mogłem obserwować wszystko, co się tam działo) oczekiwał żandarm za parawanem i przez cały dzień matka Gii płakała i jęczała chodząc i pełzając na kolanach wokół tego ogrodzenia w czerwono-białe paski. Lecz następnego dnia, gdy żandarm opuścił dolinę, zmieniła się znów w zwykłą wiejską kobietę i pracowała z uśmiechem na twarzy.

Pustelnik Gii był - jak to mówią w dolinie - człowiekiem wykształconym, ponieważ skończył „szkołę młodzieżową”, to znaczy wieczorową, i pracował jako zastępca nauczyciela. Pewnego razu grupa pijanych łobuzów, którzy wrócili z wojska, zaczęła się i polowała na Gii włóczącego się po dolinie i poszukującego pożywienia. Po kilku dniach rankiem odkryto wiersz napisany przez pustelnika Gii na tablicy ogłoszeń na placu przed urzędem wioski, przeznaczonej do użytku ruchu demokratyzacji wsi. Brat S. mówił, że był to wiersz Kenjiego Miyazawy, ale ja dotąd nie znalazłem tego wiersza w dziełach zebranych poety Miyazawy.

Niezła dla was zabawa, połączyliście się, by rzucać kamieniami. Dla mnie to śmierć. Czy widzieliście moje usta zaciśnięte i twarz bladą, zmienioną?

Gdy czytałem ten tekst w wesołym tłumie przed tablicą ogłoszeń, zastanawiałem się, o kim on mówił „dla mnie to śmierć”, kim w ogóle był ten, kto patrzył na tę wyblakłą i zmienioną twarz? Zapytałem brata S., ale on zamiast odpowiedzi zacisnął usta, zbladł, zrobił dziwną minę, popatrzył na mnie ostro, potrząsnął pięścią i przegonił mnie.

- Zapytałem Gii - powiedział Takashi - czy życie pustelnicze w lesie nie jest przykre teraz, gdy do lasu wdziera się bezlitośnie moc człowieka. Zaprzeczył zdecydowanie mówiąc: „Nie, to moc lasu wzrasta coraz bardziej. Wieś w tej dolinie wkrótce zostanie wchłonięta przez potęgę lasu.” Naprawdę -utrzymywał Gii - przez te ostatnie lata potęga lasu niebywale rośnie i przytłacza dolinę, czego dowodem jest choćby to, że runął po pięćdziesięciu latach most na rzece biorącej swój początek w lesie. Jeśli pustelnik Gii jest naprawdę wariatem, to chyba w tego rodzaju twierdzeniach należy dopatrywać się nienormalności.

- Nie uważam tego za nienormalne, Taka - wtrąciła się dotąd milcząca żona. -Ja też w czasie jazdy autobusem czułam cały czas, że moc tego lasu wciąż rośnie. Tak mnie przytłoczyła, że omal nie zemdlałam. Jeśli byłabym pustelnikiem Gii, nie uciekałabym do tego przerażającego lasu, wołałabym pójść do wojska.

- Natchan, być może odczuwasz to samo co pustelnik Gii -powiedział Takashi. - Można by sądzić, że ludzie odczuwający tego rodzaju lęk przed lasem są krańcowym przeciwieństwem tych, którzy tracą zdrowe zmysły i uciekają do lasu, ale sądzę, że z punktu widzenia psychologii należą do tego samego typu.

Teraz te słowa pobudziły mnie do zastanowienia się, co by się zdarzyło; gdyby paki lęku, które u żony wywołały szorstką gęsią skórę przed pojawieniem się dżipa Takashiego, nadal się rozwijały. Ujrzałem w duchu obraz ogarniętej szaleństwem żony uciekającej w głąb lasu, ale zaraz przeciąłem łańcuch skojarzeń. Zacząłem jednocześnie przypominać sobie zdanie, które napisał Kunio Yanagida: „Kobieta naga, tylko biodra okryte łachmanem, włosy rude, oczy zielone i płonące... Być może niezwykle ważną wskazówką do wyjaśnienia problemu jest fakt, że wiejskie kobiety, które uciekały i kryły się w górach, często cierpiały na zaburzenia poporodowe.”

- Taka, jak myślisz, czy sprzedają whisky w dolinie? -zapytałem powodowany instynktem samoobrony.

- Taka, Mitsu chce złamać moje postanowienie życia w abstynencji.

- Nie, to ja chcę pić. Ty przyłączysz się do niepijącej straży przybocznej Takashiego.

- Jediną rzeczą, jaką się teraz martwię, jest to, czy będę mogła zasnąć bez whisky. Już wcale mi nie chodzi o to, by pić whisky co wieczór, szukając w tym oszołomienia. A kiedy Hoshio przestał pić, czy nie cierpiał na bezsenność?

- To nie jest takie jasne, czy Hoshio naprawdę był alkoholikiem. Może on w życiu jeszcze kropli nie wypił, a tylko tak opowiada. Chciałby pochwalić się heroiczną przeszłością, choć jest w wieku, w którym nie mógł jeszcze niczego przeżyć. Trudno powiedzieć, ile w tym jest kłamstwa! - powiedział Takashi. - Żebyście tylko posłuchali, jak on poucza Momoko na temat seksu, co za głupoty! Mimo że żadne „z nich nie ma w ogóle doświadczeń seksualnych, on po prostu wierzy, że to heroizm mówić tak, jakby był specjalistą w tych sprawach.

- Takashi roześmiał się.

- Wobec tego zupełnie samotnie i bez wsparcia będę musiała ćwiczyć się w trzeźwości - powiedziała żona nie kryjąc rozczarowania; jej słowa miały wyraźny pogłos smutku i nie budziły sprzeciwu.

Wąskie pasmo nieba, kryjącego się za gałęziami drzew pochylonych w jedną stronę wskutek ustawicznego naporu wiatru, stopniowo przybierało kolor mocnej czerwieni,

przypominającej barwę oparzonej skóry. Nisko nad leśną drogą poruszyła się lekka mgła. Niby wyziewy wydobywające się z dna poszycia lasu otaczającego drogę, pełnie powoli na wysokości kół dżipa. Nim mgła podniesie się do wysokości naszych oczu, trzeba uciec z lasu. Takashi przyspiesza ostrożnie. W końcu dżip wy dostał się z lasu i nieoczekiwanie wyjechał na wyżynę, z której roztaczał się rozległy widok. Zatrzymaliśmy dżipa i patrzyliśmy na nieckę w kształcie wrzeciona, oplecioną gęstym lasem, tworzącym w zasięgu wzroku jednakowy ciemnobrązowy cień pod ciemnoczerwonym niebem. Droga, po której pędziliśmy naszym dżipem, skręca pod kątem prostym na wyżynie, następnie zalesionym zboczem schodzi prosto w dół do wylotu doliny (tutaj spotyka się ze skrzyżowaniem brukowanej drogi biegnącej przez most do doliny z drogą asfaltową prowadzącą w dół aż do wybrzeża wzdłuż rzeki opływającej podstawę wzgórza). Patrząc w dół z wyżyny widać, jak droga do doliny przecina nieckę, by po przeciwnej stronie, na krawędzi lasu, urwać się nagle i zniknąć niby piaszczyste koryto rzeki. Z wyżyny również skupiska domów i otaczające je pola i poletka ryżowe wyglądają za ledwie jak kawałki papieru. Bo głęboki, gęsty las otaczający nieckę zniekształca poczucie wielkości. Można odnieść nieodparte wrażenie, że nasza niecka, jak widzi ją zwariowany pustelnik, jest tylko wątłym istnieniem z trudem przeciwstawiającym się piszczącej mocy lasu. Byłoby bardziej naturalne nie mówić o „istnieniu” niecki, a raczej o pojawiającym się w świadomości wrażeniu „nieistnienia” w tym miejscu drzew, rosnących wszędzie indziej. Kiedy się przyzwyczajamy do tego doznania, iż tylko otaczający las jest niepodważalną realnością, ukaże się nam przed oczami ogromna pokrywa zapomnienia zamykająca nieckę. Na dnie doliny zakłębiła się mgła od rzeki przecinającej nieckę przez sam środek i po chwili pokryła skupiska domów. Nasz dom rodzinny stoi na wzgórzu, wokół niego widać tylko niewyraźnie bielejący długi mur. Zamierzałem żonie pokazać położenie domu, ale tępy, ciężki ból oka nie pozwolił mi dłużej patrzeć w tamtą stronę.

- Więc może spróbuję poszukać tu whisky, Mitsu - powiedziała żona głosem nieśmiałym, jakby oczekującym zgody. Takashi spojrział na mnie i żonę z głębokim zainteresowaniem.

- Zamiast tego może napijesz się wody? Tutaj jest źródło, mieszkańcy doliny mówią, że woda w nim jest najsmaczniejsza w całym lesie. Jeśli jeszcze nie wyschła... - nakłaniałem żonę.

Woda w źródle jeszcze nie wyschła. U stóp wzgórza od strony lasu przy drodze ujrzelśmy nieoczekiwanie wodę, właściwie kałużę, którą łatwo można by objąć obiema rękami. Wypływa z tak małego źródła, a jednak płynie dostatecznie obficie, by utworzyć rzeczulkę spadającą w dolinę. Obok kałuży wody źródlanej stały stare i nowe piece, których ścianki osmalona, czarna glina i kamienie napawały lękiem. Kiedyś w dzieciństwie zbudowałem z kolegami obok źródła taki piec i gotowałem ryż i zupę. Co roku odbywały się tu obrzędy, podczas których decydował się podział sił wśród dzieci doliny przez wybór grupy, w której przebywały na biwaku. Zabawy na otwartym powietrzu trwały tylko dwa dni wiosną i jesienią, lecz wpływ grup w ten sposób utworzonych utrzymywał się przez cały rok. Nie było nic bardziej poniżającego niż wyłączenie z grupy, do której dziecko przystąpiło. Kiedy nachyliłem się, chcąc się napić wody bezpośrednio ze źródła, poczułem nagle pewność, że wszystko - małe drobne kamyczki szarozielone, cynobrowe i białe, leżące na dnie i tak jasne, jak gdyby zatrzymały światło południa; drobny piasek, którego poruszenia zacieśniały wodę, i to nieznaczne drgnienie przebiegające po jej powierzchni - jest takie, jak przed dwudziestu laty. Ta pewność, wyrosła z tęsknoty, przynajmniej we mnie zrodziła przekonanie, że tryskająca

nieprzerwanie ze źródła woda jest tą samą wodą, która płynęła tędy w tamtych czasach. Ale pewność ta rozwinęła się bezpośrednio w inne doznanie: ja, który naprawdę teraz tutaj się pochylam, nie jestem tym samym „ja” z dzieciństwa, klękającym na gołych kolanach; między tymi dwoma „ja” nie ma ciągłości, „ja”, które teraz tu się pochyla, jest czymś obcym dla tamtego. Obecne „ja” utraciło prawdziwą tożsamość. Nic, ani we mnie, ani na zewnątrz nie daje nadziei na odrodzenie. Na przezroczystej wodzie kałuży pluskają drobniutkie fale i słyszę, jak mnie oskarżają: „Jesteś podobny do myszy.” Zamykam oczy i pociągam łyk zimnej wody. Działa się kurczą, na języku pozostaje smak krwi. Gdy wstałem, żona nachyliła się naśladując mnie posłusznie, jakbym był autorytetem w picciu wody źródlanej. Ale podobnie jak żona, która po raz pierwszy przeszła przez ten las, również ja jestem teraz całkowicie obcy dla tej kałuży. Zadrzałem. Ostry chłód znów przenika świadomość- Żona również drżała, kiedy podnosiła się i próbowała uśmiechnąć, by pokazać, że woda jej smakowała, ale gdy skurczyły się jej pąsowe usta, ukazały się zęby, obnażone jak w gniewie. Gdy z żoną, ramię przy ramieniu, milczący i drżący z zimna wracaliśmy do dżipa, Takashi odwrócił wzrok, jakby ujrzał coś zbyt żalosego.

Następnie zjechaliśmy w dolinę przez gęstą i pogłębiającą się mgłę. Kiedy wyłączywszy silnik pozwoliliśmy ostrożnie staczać się dżipowi w dół, dookoła nas rozbrzmiewały jedynie plaśnięcia wyskakujących spod opon kamyków, świst wiatru na masce i lekki szelest liści spadających wśród rzadko rosnących wysokich dębów czy buków i z rzadka rozrzuconych sosen. Liście spadające z wysokich wierzchołków, unoszone działającą horyzontalnie siłą, zamiast spadać prosto w dół, wydawały się płynąć leniwie na boki. I szeleściły cichutko bez ustanku.

- Natchan, czy umiesz gwizdać? - zapytał poważnie Takashi.

- Umieć - odpowiedziała ostrożnie.

- Kiedy tutaj zagwizdziesz nocą, mieszkańcy doliny naprawdę będą się wściekać. Mitsu, czy pamiętasz stare tabu tej doliny? - Takashi mówił z melancholią w głosie, harmonizującą z moim obecnym -nastrojem.

- Pamiętam. Mówią, że kiedy się gwizdzie po zapadnięciu nocy, z lasu wychodzą moce czarnoksiężskie. Babka mówiła, że przyjdzie Chósokabe.

- Tak? Po przybyciu do tej doliny zrozumiałem, że nie pamiętam zbyt wiele. Jeśli nawet wydaje mi się, że pamiętam, i tak nie mam pewności, czy moje wspomnienia są wierne. Nieraz słyszałem w Ameryce słowo uprooted⁵ i chciałem się upewnić co do swoich korzeni, więc wróciłem w dolinę, okazuje się jednak, że zostałem wyrwany z korzeniami, zacząłem więc odczuwać, że jestem zwykłą trawą bez korzeni. To właśnie ja jestem uprooted. Muszę tu stworzyć sobie nowe korzenie, ale w tym celu, jak mi się wydaje, potrzebny jest odpowiedni czyn. Dokładnie nie wiem jaki, ale narasta we mnie przeczucie, iż jakiś czyn jest jednak konieczny. W każdym razie tylko dlatego, że wróciłeś do miejsca swego urodzenia, nie możesz jeszcze oczekiwać, że znajdziesz tu własne korzenie. Pomyślisz, Mitsu, że jestem sentymentalny, ale dawny dom z trawy zniknął... - mówi Takashi przejawiając nieodpowiednie dla jego wieku uczucie beznadziejnego zmęczenia. - Ja nawet nie pamiętałem dobrze Jin. Nie mógłbym z pewnością rozpoznać Jin z dawnych lat, nawet gdyby się tak nie roztyła. Kiedy Jin we mnie dzisiejszym odnalazła obraz dziecka, którym się kiedyś zajmowała, i zaczęła płakać, poczułem po prostu lęk o to, co będzie, jeśli ta nieznaną mi kobieta wyciągnie swoje tłuste, guzowate ręce i zechce mnie dotknąć. Mam tylko nadzieję, że mój wstrętny lęk nie dotarł do świadomości Jin.

⁵ * uprooted (ang.) - wyrwany z korzeniami

Gdy zjechaliśmy w dolinę, była już noc. Po drugiej stronie drewnianych belek tymczasowego mostku, przedzierającego się przez powalone i leżące pod różnymi kątami betonowe ' dźwigary starego, nagle rozległ się wesoły ton klaksonu, młodzi zaczęli przesyłać nam znaki, ale ich Citroena nie dojrzeliliśmy w mroku. Takashi zwrócił dżipa i kurtkę leśniczemu, teraz miał na sobie strój myśliwski, w którym przyjechał z Ameryki, i wydawał się mały, jakby się nagle skurczył od chłodu. Wyobraziłem sobie brata grającego rolę działacza studenckiego, żałującego swoich czynów, przed publicznością amerykańską. A jednak widziany z doliny czarny las na wzgórzach wydawał się bardziej przytłaczający niż jakakolwiek publiczność i to ja raczej aniżeli mój brat muszę znosić wołania lasu: „Jesteś po prostu myszą.” Gdy pełen napięcia szedłem przez niebezpieczny tymczasowy most podtrzymując żonę, w moim wnętrzu pąki radości powrotu do doliny pozostawały wciąż zaciśnięte. Podmuchy wiatru od mrocznej powierzchni wody w dole pod nami cięły mnie w oczy kolcami twardymi i lodowatymi, więc bałem się, że oślepnę nawet na drugie oko. Nagle w dole za nami rozległy się głosy jakiegoś ptactwa.

- Kury! Kółko młodzieżowe hoduje teraz kury tam, gdzie kiedyś była osada Koreańczyków.

Sto metrów od mostu nad drogą prowadzącą do morza stało kilka domów odsuniętych od wioski. Dawniej mieszkali tu Koreańczycy wykonujący przymusowe roboty przy wyrębie lasu. Ponieważ doszliśmy do połowy mostu, pisk kurcząt bez przeszkód dochodził do nas z dołu z odległości stu metrów.

- Czy o tej porze kury gdaczą?

- Tych kilka tysięcy kur podobno zdycha z głodu. Na pewno tak hałasują, bo są głodne.

Żona drży nieustannie w objęciu mojego ramienia.

- Młodzież z doliny nie może bez przywódcy zrobić niczego godnego uwagi. Nic nie potrafi, dopóki nie pojawi się człowiek w typie młodszego brata naszego pradziadka. Nie umie sama znaleźć odpowiedniej drogi wyjścia z trudności - powiedział Takashi z jawną niechęcią. - Mitsu, to była pierwsza rzecz dotycząca obcych mi ludzi, mieszkających tu przez cały czas, jaką zrozumiałem po powrocie do doliny.

4. Czy wszystko, co oglądam i co widzę, jest tylko snem we śnie?

Gdy rankiem pierwszego dnia w dolinie jedliśmy posiłek siedząc wokół paleniska w pokoju sąsiadującym z obszerną sienią, w której znajdował się piec i studnia przykrywana grubą deską, nie wiadomo kiedy przyszło czworo wychudłych dzieci, przypominających odwrócone trójkąty, i wielkimi oczyma wpatrywało się w nas, ukrytych w mroku. Gdy żona je zachęcała, żeby zjadły razem z nami, westchnęły jednocześnie i odmówiły: „Nie, my nie jemy.” Następnie najstarsze z nich powiedziało, że Jin chce ze mną rozmawiać. Wczoraj wieczorem widziałem Jin, olbrzymią, to prawda, ale - jak mówił Takashi - wcale nie tak brzydką, może z wyjątkiem sytuacji szczególnych. Jej smętne oczy o niewyraźnym zarysie, opuchnięte, przepełnione łzami, wyglądały jak soczewki rybich oczu na tle nalanej dużej bladej twarzy, o której już wiedziałem. Ponieważ Jin wydzielala zwierzęcą woń, moja żona zbladła i omal nie zemdląła, więc szybko wróciliśmy do domu. Tylko Hoshio i Momoko chcieli ją dłużej oglądać, więc pozostali. Poczzerwieniały im twarze, trzymali się za nosy, wzajemnie poszturchiwali w bok, by się powstrzymać od wybuchu śmiechu, oglądali z ciekawością całe ciało Jin, co

chyba rozbudziło wrogość jej dzieci. Prawdopodobnie z powodu obecności źle wychowanych, uśmiechających się nastolatków czworo wychudłych dzieci dziś rano odrzuciło zaproszenie żony. Po skończonym posiłku Takashi z żoną i dwojgiem nastolatków poszli obejrzeć wnętrze spichrza, podczas gdy ja z czworgiem dzieci udałem się do mieszkania rodziny Jin w oficynie.

- Halo, Jin, dobrze spałaś? - stając u wejścia do kuchni i pozdrowiłem Jin, której duża okrągła i smętna twarz ukazała się w mroku podobnie jak wczoraj wieczorem. Wokół niej stały brudne garnki i inne naczynia kuchenne, jakby garncarz otoczył się swoimi produktami; Jin leżała na plecach, cierpiąca, brodę opierała o torbę tłuszczu na szyi i milczała znacząco. Poranne promienie słońca padały ponad moimi barkami na kolana Jin, dlatego nie mogłem od razu zorientować się, że Jin siedziała bokiem na domowej roboty nędznym krześle bez nóg, przypominającym odwrócone siodło. Wczoraj wieczorem pomyliłem je z częścią otyłego ciała i wydało mi się, że Jin jest podobna do stożkowatego mózdzierza. Obok krzesła klęczał jej mąż, tak jakby miał za chwilę powstać, w tej pozycji pozostawał jednak bez ruchu i bez słowa. Mąż o twarzy wychudłej i zadumanej, wczoraj, również czekał w milczeniu, aż Jin wyrazi swą wolę ruchem powolnym i leniwym, następnie niezwykle szybko zrywał się na nogi i karmił ją szarą kulą z gryczanej mąki. Nawet przez pięć minut naszego spotkania z Jin apetyt nie miał dla niej litości, a może raczej była to inscenizacja służąca konkretnemu wyjaśnieniu ciężkiej sytuacji, w jakiej się Jin znajduje.

Gdy wreszcie Jin z trudem wyrzuciła z siebie ogromną ilość powietrza, patrząc na mnie z wyrzutem, powiedziała:

- Nie mogę spać! Cały czas widzę ten straszny sen, ciągle sen o tym, że nie mam domu!

Zrozumiałem natychmiast powód, dla którego Jin chciała się ze mną spotkać, zrozumiałem też, dlaczego jej mąż wpatruje się we mnie siedząc tuż przy niej na klęczkach z ponurą miną.

- Tylko spichrz rozbieramy, by przenieść do Tokio, a głównego budynku nie będziemy rozbierać.

- Sprzedacie chyba ziemię? - dopytywała się Jin.

- Jin, dopóki problem mieszkania dla ciebie nie będzie rozstrzygnięty, sprawa ziemi, głównego budynku i oficyny pozostanie bez zmian.

Na twarzach Jin i jej męża nie pojawił się wyraz uspokojenia, ale czwórka dzieci stojących za rodzicami i wpatrujących się we mnie naraz się uśmiechnęła, więc zrozumiałem, że niepokój rodziny został na pewien czas odsunięty, dlatego poczułem się zadowolony.

- Co zrobicie z grobem rodzinnym, panie Mitsusaburó?

- Chyba pan wie, że prochy brata S. są w świątyni -

powiedziała Jin, już zmęczona tą krótką rozmową; wokół jej oczu pojawiły się gęstniejące cienie, które zdradzały jej gorycz, a głos chrypiał, jakby w gardle potworzyły się dziury. Właśnie w takich chwilach Jin wygląda jak monstrum, wykraczające poza normalną ludzką brzydotę. Odwracając od niej wzrok pomyślałem ze zgrozą, że w końcu Jin umrze na atak serca. I rzeczywiście, Jin opowiadała Takashiemu o przecuciu swej bliskiej śmierci i obawach, że jej otyłe ciało nie wejdzie do pieca krematoryjnego.

- Jin jest tak otyła, że nic nie może robić, a przy tym codziennie musi zjadać ogromną ilość potraw, więc tym bardziej tyje; ona wie, że takie życie jest zupełnie niepotrzebne, bez sensu. W słowach strasznie otyłej czterdziestopięcioletniej kobiety mówiącej o tym, że jej dni obżarstwa były bezsensowne, trudno nie usłyszeć czegoś więcej. To nie jest jej

przejściowy nastrój; jest ona raczej przeświadczona, że jej istnienie z każdego punktu widzenia nie ma sensu, a mimo to od ranka do wieczora pożera taką masę różnych świństw. Tak, Jin ma realne podstawy do pesymizmu - powiedział Takashi współczująco.

- Prochy brata S. zabierzemy ze świątyni. Chcę też obejrzeć znajdujący się w świątyni obraz piekła, więc pójde tam jeszcze dzisiaj! - obiecałem wychodząc z kuchni.

- Gdyby żył S., nigdy by nie sprzedał spichrza! Ale cóż, teraz pan Mitsusaburó głową rodu, to źle, to bardzo źle! - usłyszałem za sobą cichy, chrypliwy głos wyrzutu ze strony Jin, ale już nie zareagowałem.

Poszedłem szukać brata i innych w spichrzu, stojącym na końcu podwórza między głównym budynkiem a oficyną. Nie tylko grube drzwi, otynkowane dla ochrony przeciwpożarowej, lecz także podwójne drzwi wewnętrzne zrobione z siatki i desek były otwarte. Dwa pokoje na dole wypełniły promienie przedpołudniowego słońca, wyraźnie uwydatniające czerń belek z drzewa keyaki i biel ścian dokoła, nikogo tu jednak nie było. Wszedłem do pokoju i obejrzałem liczne ślady cięć na nieokorowanych belkach i nadprożach. Belki wciąż emanowały jakąś brutalnością, przytłaczającą mnie w dzieciństwie. Na rysunku wachlarza wiszącego we wnęce pokoju w głębi można z trudem odróżnić litery alfabetu, wypisane niezdarne tuszem na zbrązowiałym tle papieru. Nawet podpis „John Mang” w rogu z prawej strony, który przed dwudziestu laty nauczył mnie czytać brat S., już nie był zbyt wyraźny. Pradziadek potajemnie uciekł przez las, skierował się w stronę Nakanohamy w Kóchi i tam spotkał się z rozbitkiem, który przybył z Ameryki. Zgodnie z tym, co powiedział S., wachlarz z napisem europejskim pradziadek otrzymał wtedy od owego rozbitka.

Na piętrze rozległ się szelest, jakby stąpania cichych kroków. Skierowałem się w tamtą stronę, żeby wejść ciasnymi schodami na górę, i uderzyłem prawą skronią o sterczący twardy występ drewnianej belki, aż jęknąłem z bólu. W głębi mroku nie widzącej gałki ocznej zatańczyły gorące cząsteczki. Przypominały one cząstki naładowane elektrycznością, przeskakujące w komorze Wilsona, przypominały mi również o tabu kategorycznie zabraniającym wchodzenia do spichrza. Wtedy na chwilę stanąłem niezdecydowany, dotknąłem ręką policzka i zobaczyłem krew pomieszana ze łzami. Kiedy przycisnąłem chusteczkę do skroni, na piętrze ukazała się twarz Takashiego, który zapytał drwiąco:

- Mitsu, czy ty zawsze ostrzegasz stukając w ścianę, gdy twoja żona jest sam na sam z obcym mężczyzną, i czekasz? Jesteś idealnym mężem dla cudzołożników.

- Czy nie ma twojej straży przybocznej?

- Reperują citroena. Dla nastolatków lat sześćdziesiątych konstrukcje z drewnianych belek nie mają żadnego uroku. Wcale się nie wzruszyli, gdy im powiedziałem, że to jedyna tego rodzaju budowla w całym rejonie otoczonym lasem. - Takashi jak dziecko pokazywał z dumą architekturę spichrza stojącej za nim bratowej.

Gdy wszedłem na piętro, żona wpatrywała się w wielkie belki z drzewa keyaki podtrzymujące konstrukcję z bali, nawet nie zwróciła uwagi na moją zranioną, krwawiącą skroń. Byłem jej za to wdzięczny, odkąd odczuwałem bezpodstawny wstyd za każdym razem, gdy uderzałem się o cokolwiek głową. W końcu żona odwróciła się z westchnieniem podziwu i powiedziała:

- Wspaniałe, wielkie belki! Wytrzymają jeszcze ze sto lat.

Spostrzegłem, że zarówno żona, jak i Takashi mieli rumieńce na twarzy. Miałem wrażenie, że wciąż jeszcze w wiązaniach belek pod sufitem spichrza błąkało się słabiutkie echo słowa „cudzołożnik”. Po tym, co się stało z naszym dzieckiem, żona

niszczyła w zarodku to, co wiązało się z seksem. Dla nas obojga poruszenie problemów seksu było równoznaczne z wywołaniem wspólnego nam uczucia niesmaku i bólu, na którego zaakceptowanie żadne z nas nie było przygotowane. Dlatego ignorowaliśmy każdą wzmiankę na ten temat.

- Gdyby było dużo tak wielkich drzew keyaki w lesie, można by zbudować taki spichlerz bardzo tanio.

- To chyba wcale nie takie proste. Podobno był to niemały wysiłek dla pradziadka, który go zbudował. Była to raczej dość niezwykła budowla - odpowiedziałem powoli, starając się ukryć przed żoną, że próbuję opanować ból zranionej skroni.

- Nawet jeśli drzew keyaki było pod dostatkiem, pamiętajmy, że spichrz zbudowano w okresie upadku gospodarczego wioski. Na pewno budynek ten sprawiał niezwykle wrażenie. Właśnie zimą tego samego roku, kiedy został zbudowany, wybuchło powstanie chłopskie.

- To dziwne.

- Myślę, że właśnie przewidując możliwość wybuchu powstania, pradziadek uznał za konieczne postawienie budowli odpornej na ogień.

- Pradziadek budzi we mnie wstręt, bo był taki konserwatywny, rozważny i przewidujący. Mitsu, jestem przekonany, że to samo odczuwał jego młodszy brat. Właśnie dlatego wystąpił przeciw niemu i został przywódcą chłopów. Należał do tych, którzy stawiają opór i śledzą prądy epoki.

- A czy nie sądzisz, Taka, że pradziadek również widział najnowsze prądy epoki? Jeździł nawet do Kóchi po ostatnie wieści ze świata.

- Tym, który jeździł do Kóchi, był raczej młodszy jego brat - sprzeciwił się Takashi. Świadomie chyba wybrał fałsz, gdyż chciał uwierzyć, że tak właśnie było.

- To nie tak. Do Kóchi najpierw jeździł pradziadek, a nie jego młodszy brat. Po prostu jest taka hipoteza, że później po powstaniu młodszy brat wyjechał do Kóchi i tam pozostał, już stamtąd nie wrócił - złośliwie rozbijałem zafalszowaną pamięć Takashiego. - Jeśli jest prawdą to, że jeden z braci opuścił lasy, spotkał Johna Manjiró i usłyszał od niego nowe wiadomości, to tym człowiekiem był na pewno pradziadek, tę tezę można udowodnić. John Manjiró po powrocie do kraju przebywał w Kóchi tylko rok, od 1852 do 1853. W czasie buntu w 1860 roku młodszy brat pradziadka miał osiemnaście albo dziewiętnaście lat i jeśli ten brat miał jeździć do Kóchi w 1852-1853 roku, to musiałby opuścić tutejszy las gdzieś w dziesiątym roku życia, a to raczej byłoby niemożliwe.

- A jednak to młodszy brat urządził w głębi lasu poligon, gdzie przygotowywał synów chłopskich do powstania, a metody ćwiczeń musiał oprzeć na wiadomościach uzyskanych w Kóchi - powiedział Takashi z wahaniem. - To chyba niemożliwe, żeby pradziadek, który przeszedł na stronę tłumiących bunt, przekazał młodszemu bratu metody taktyki powstańczej. Czy może sądzisz, że obaj przeciwnicy spiskowali, aby wywołać powstanie?

- Możliwe - powiedziałem ze świadomą obojętnością, ale usłyszałem, że mój głos zabrzmiał ostro z powodu irytacji. Już ód dzieciństwa musiałem walczyć ze skłonnością brata do wkładania bohaterskiej aureoli młodszemu bratu pradziadka.

- Mitsu, ty przecież krwawisz! Znów uderzyłeś się w głowę. - Żona powiedziała to zatrzymując wzrok na mojej skroni. - Dlaczego tak się emocjonujesz tymi starymi historiami, jakby wyjętymi ze snu? Nie zwracasz nawet uwagi na krew płynącą ci po skroni.

- W starych historiach przypominających sny są też ważne rzeczy - Takashi po raz pierwszy przejawiał niezadowolenie wobec mojej żony.

Żona wyjęła mi chusteczkę ze zwisającej bezwładnie ręki, wytarła skroń, pośliniła palec i zwilżyła ranę. Brat wpatrywał się w nas takim wzrokiem, jakby oglądał tajemne zbliżenie fizyczne. Następnie wszyscy troje zeszliśmy w milczeniu schodami, zachowując dystans, jakby unikając dotknięcia się naszych ciał. W spichrzu wcale nie było kurzu, ale po pewnym czasie przebywania wewnątrz poczułem w nozdrzach zwiększoną ilość pyłu, jakby okleiła je brudna błona.

Późno po południu z Takashim, żoną i parą nastolatków poszliśmy do świątyni po prochy brata S. Synowie Jin pobiegli przed nami, aby uprzedzić kapłana o naszym przybyciu, więc będziemy mogli w kaplicy rozwinąć i zobaczyć - tak jak w święto Narodzenia Buddy - obraz piekła, który ofiarował pradziadek. Gdy schodziliśmy do citroena zaparkowanego na placu przed urzędem wiejskim, dzieci wyśmiewały się z tego starego rozklekotanego samochodu, to znów robiły aluzje do szerokiego plastra przyklejonego nad moim prawym uchem. Nie zwracaliśmy na nie uwagi, tylko żona, która od wczorajszej nocy nie piła whisky i była w dobrym nastroju, jakby przeżywała swego rodzaju rekonwalescencję, wydawała się wręcz ubawiona obraźliwymi krzykami, jakimi obrzucały nas dzieci, gdy citroen ruszył.

Gdy wjechaliśmy samochodem na podwórze świątyni, kapłan, który uczył się w szkole razem z bratem S., właśnie stał w ogrodzie i rozmawiał z młodym mężczyzną. Stwierdziłem, że twarz kapłana wcale się nie różniła od tej, którą miałem w pamięci. Białą błyszczącą głowę o przedwcześnie posiwiałych i krótko ostrzyżonych włosach zdobiła dobrodusznie uśmiechnięta twarz, gładka i aseptyczna jak jajo. Kapłan poślubił nauczycielkę szkoły podstawowej, ale nauczycielka uciekła od niego do miasta z dawnym kolegą, przedtem jeszcze dając powód do skandalu tak głośnego, że wszyscy w dolinie o tym wiedzieli. Przez cały ten czas udało mu się zachować uśmiech dobrotliwego dziecka, co musi wywołać zdumienie każdego, kto zdaje sobie sprawę, jakie okrutne konsekwencje niesie podobne nieszczęście człowiekowi żyjącemu w społeczności doliny. W każdym razie przezwyciężył kryzys nie tracąc łagodnego uśmiechu. Rozmawiający z nim młodzieniec miał gigantyczną twarz, kontrastującą z obliczem kapłana. W mojej dolinie są dwa rodzaje twarzy i większość można przydzielić do jednego lub drugiego rodzaju, ale twarz tego młodzieńca, uważnie i czujnie wpatrującego się we mnie i żonę, gdy wysiadaliśmy z samochodu, nie należała do żadnego z obu typów.

- To- jest przywódca grupy młodzieżowej w dolinie, zajmującej się hodowlą kur - poinformował mnie i żonę Takashi. Gdy wysiedliśmy z citroena, Takashi podszedł do chłopca i zaczął z nim cicho o czymś rozmawiać. Wyglądało tak, jakby młodzieniec przyszedł do świątyni tylko po to, żeby spotkać się z Takashim. Podczas ich rozmowy kapłan, ja i żona musieliśmy czekać wymieniając między sobą wieloznaczne uśmiechy. Młodzieniec miał okrągłą, wielką głowę, a czoło rozciągnięte i wygięte szeroko, przez co głowa wyglądała jak przedłużenie twarzy. Wystające kości policzkowe, szeroka, tępo zakończona broda upodobiały go do jeża morskiego w ludzkim przebraniu. Przy tym umieszczone blisko nosa oczy i małe wargi sprawiały wrażenie, jakby twarz uległa rozciągnięciu przez jakąś potężną siłę. Nie tylko twarz, ale również wyniosła postawa, jaką przyjął w rozmowie z Takashim, rozbudziła we mnie coś, co nie było chyba wspomnieniem, a raczej przecuciem nieszczęścia. Niewątpliwie pogłębiająca się skłonność do skrywania uczuć sprawiała, iż spotykając się z czymś nowym i szczególnie reagowałem w ten sposób.

Potem Takashi cicho rozmawiając odprowadził młodzieńca w stronę citroena. Dwoje nastolatków nadal siedziało w samochodzie, który był dla nich najprzytulniejszym

gniazdkiem. Gdy Takashi posadził młodzieńca na tylnym siedzeniu, wydał polecenie siedzącemu za kierownicą Hoshio. Następnie Citroen ruszył ku wyjściu z doliny.

- Popsuła się furgonetka służąca do przewozu jaj kurzych, przyszedł więc z prośbą, by Hoshio naprawił im silnik. - Takashi wyjaśnił mi z naiwną dumą, że tylko on nawiązał kontakty z grupą młodzieżową. To widocznie przywraca mu równowagę w dzieciennym poczuciu rywalizacji, zachwianą podczas dyskusji o kwestii związanej z wyjazdem pradziadka do Kóchi.

- Czy nie mówił o tym, że kury zdychają z głodu? - zapytałem.

- W tym, co robią młodzi ludzie w tej dolinie, nie ma żadnego ładu. Pieniądzy ze sprzedaży jaj nie wystarcza im na pokarm dla kur i mimo że powinni opracować od podstaw nowy system działania, myślą tylko o samochodzie do transportu jaj. Oczywiście, jeśli do tego na dobre popsuje się im ta furgonetka, nie będą mogli opanować sytuacji - kapłan odpowiedział zamiast Takashiego z nieśmiałym uśmiechem, jakby wstydził się jako mieszkaniec tej doliny za siebie i za tych młodych ludzi.

Weszliśmy do głównego pawilonu świątyni i obejrzelśmy obraz piekła. W płomieniach rzeki ognia i lesie ognistych języków znów odkryłem płonąca czerwień, którą widziałem u spodu liści dereni skupiających promienie słońca w pochmurny dzień wkrótce po tym, gdy przeżyłem sto minut w jamie o świcie. Zwłaszcza ciemne punkty na całej powierzchni czerwonych fal w rzece płomieni wiążą się bezpośrednio ze wspomnieniem liści dereni, których jesienną czerwień zaczęły znaczyć brudne plamki. Obraz piekła gwałtownie mnie wciągnął. Kolor rzeki płomieni i starannie przeciągnięte delikatne linie fal przynoszą pokój sercu. Z rzeki płomieni przelewa się do mego serca bezmiar spokoju. W tej rzece jęczy niezliczona ilość zmarłych z ramionami uniesionymi ku niebu i odstającymi włosami, jakby rozwianymi przez silne porywy wiatru. Niektórym widać tylko wychudłe, kanciaste pośladki i sterczące w powietrzu nogi. Choć wyglądają tak, jakby byli pogrążeni bez reszty w cierpieniu, to jednak ich widok przynosi mi ukojenie, bo te cierpiące ciała zdają się brać udział w jakiejś poważnej zabawie. Wyglądają na przyzwyczajonych do cierpienia. Takie samo wrażenie wywierają również zjawy stojących na brzegu mężczyzn z posępnie wyeksponowanymi penisami, podczas gdy rozpalone kamienie spadają im na głowy, brzuch, biodra. Żeńskie widma, które demony gnają żelaznymi pałkami w stronę lasu płomieni, wyglądają tak, jakby przepełniała je radość z powodu znajomych kajdanów, wiążących zwykle dręczycieli i dręczonych, i jakby chciały więzy te za wszelką cenę utrzymać. Wyjaśniłem kapłanowi, że tak właśnie to odebrałem.

- Zmarli przebywający w piekle naprawdę cierpią już długi okres i dlatego przyzwyczaili się do cierpienia, a przy tym być może tylko dla zachowania właściwego porządku rzeczy udają cierpienie. Wie pan, określenie długości czasu takich cierpień w piekle jest naprawdę wyjątkowo wariackie! - kapłan potwierdził moje obserwacje. - Na przykład w tym płójącym piekle długość jednego dnia i nocy odpowiada szesnastu tysiącom lat, złożonych z jednostek długości tysiąca sześciuset lat w ludzkim świecie. To bardzo długo! Co więcej, w tym piekle umarli muszą przecierpieć szesnaście tysięcy lat tych najdłuższych jednostek, więc nawet najbardziej opóźniony duch zdąży się przyzwyczać do cierpienia.

- Ten demon, odwrócony od nas i wyglądający jak blok skalny, ten, co tak dzielnie pracuje, ubrany w przepaskę biodrową, ma na całym ciele czarne dziury; nie wiem, czy to cienie, czy szramy po ranach, w każdym razie wygląda bardzo nędznie. Już ta kobieta, którą bije, prezentuje się zdrowiej. Na pewno zjawy ludzi przywykły i zaprzyjaźniły się z demonami, wydaje się, że już w ogóle się nie boją, Mitsu.

Powiedziała to żona, przystosowując się niejako do mojej obserwacji, jednak nie wyglądało na to, że podobnie jak ja zaraziła się głębokim spokojem płynącym z obrazu. Przeciwnie, blask dobrego samopoczucia, bijący od niej rano, teraz zaczynał stopniowo blednąć. Spostrzegłem też, że Takashi odwrócił się od nas i wpatrując się w złocisty mrok wewnętrznego sanktuarium świątyni uporczywie milczał.

- No, co o tym myślisz, Taka? - bezceremonialnie zwróciłem się do niego, ale nieprzyjaźnie zignorował pytanie i odwróciwszy głowę powiedział obcesowo:

- Mitsu, zamiast zajmować się obrazem, weźmy lepiej prochy brata S. i chodźmy stąd, co?

Wtedy kapłan kazał swemu młodszemu bratu, który przyglądał się nam badawczo z galerii głównego pomieszczenia świątyni, pójść z Takashim po urnę z prochami.

- Taka-chan już w dzieciństwie bał się obrazu przedstawiającego piekło - powiedział kapłan. Następnie, wracając do tematu chłopca, który przyszedł tu spotkać się z Takashim, zaczął krytykować dzisiejsze życie w dolinie. - Mieszkańcy tej wioski na żadną sprawę nie patrzą z dalszej perspektywy. I niepowodzenie w hodowli kur prowadzonej przez grupę młodzieżową, do której należy ten chłopiec, przychodzący do Takashiego z prośbą o naprawę furgonetki, bezpośrednio ilustruje taką typową ślepą uliczkę, w jaką wpadają i szamocą się bez sensu. Jedynie na sprawy banalne tracą beznadziejnie wiele czasu, i gdy nie mogą opanować sytuacji, liczą nieodpowiedzialnie na to, że w końcu wszystko samo się jakoś zmieni i ułoży. Typowym przykładem jest sprawa supersamu. Wszystkie sklepy w tej wiosce, z jedynym wyjątkiem sklepu alkoholowego i kolonialnego - przy czym tylko alkohol w nim pozostał - zbankrutowały wraz z wtargnięciem do doliny presji supersamu. Jednak sklepikarze nie tylko nie bronili się przed tym, ale większość z nich ciągle powiększa swe zadłużenie w supersamie i chyba liczą na cud, na to, że nikt nie zażąda zwrotu długu, kiedy w końcu będą musieli go spłacać i znajdą się w sytuacji bez wyjścia. Wierzą, że supersam tak po prostu zniknie nagle na zawsze. Jeden tylko supersam zapędził ludzi doliny w taką sytuację, z której jedynym wyjściem w dawnych czasach byłoby zwijanie manatków i ucieczka!

W tym momencie wrócił z kaplicy Takashi z urną owiniętą w białą bawełnę; jego poprzednie smętne niezadowolenie całkowicie zniknęło, zmieniło się nawet w lekkie podniecenie.

- W urnie znajdują się również metalowe oprawki okularów brata S. Wiesz, Mitsu, wyraźnie sobie przypomniałem jego twarz.

Gdy wsiedliśmy do citroena, którego przyprowadził na podwórze świątyni ktoś z grupy młodzieżowej zamiast Hoshio i Momoko, Takashi powiedział beczelnie:

- Natchan, weź urnę z prochami brata S., dobrze? Mitsu nie potrafi nawet swojej głowy upilnować od uderzenia, nie można więc mu powierzać urny.

Świadczyło to nie tylko o stosunku Takashiego do brata S., lecz także o chęci odsunięcia mnie - podobnego do myszy - jak najdalej od brata S. Takashi posadził żonę trzymającą w ramionach urnę na miejscu obok siebie i prowadząc citroena opowiadał o bracie S. Podciągnąłem kolana i położyłem się na tylnym siedzeniu, pozwalając myślom błądzić wokół koloru płomieni z obrazu piekieł.

- Czy pamiętasz zimowy mundur kadeta, Natchan? Brat S. w środku lata do ciemnoniebieskiego zimowego munduru przypiął miecz, włożył skórzane buty pilota i schodził w dół brukowaną drogą. A gdy spotykał kogoś z doliny, stukał obcasami, jak wojskowi hitlerowcy, i tak oddawał honory. Jeszcze dziś wydaje mi się, że rozbrzmiewa

po dolinie stuk obcasów z twardej skóry i męski głos: „Jestem S. Nedokoro, wróciłem z wojska!”

Tak opowiadał Takashi, ale brat S. w mojej pamięci niewiele miał wspólnego z typem takiego junaka. Brat S. bez wątpienia miał na sobie zimowy mundur kadeta, kiedy dochodził do stóp mostu, ale potem rzucił do wody czapkę, buty, szablę, zdjął marynarkę, wziął ją na rękę i pochylony do przodu schodził drogą wykładaną kamieniami. To jest brat S. zaraz po powrocie z wojska, którego ja pamiętam.

- Jeszcze wyraźniej pamiętam dzień, w którym brat S. został pobity na śmierć, teraz często widzę to nawet w snach. Naprawdę, tę scenę pamiętam z rozmaitymi szczegółami -powiedział Takashi mojej żonie.

- Brat S. - mówił dalej Takashi - leżał twarzą w wyschniętym błocie, które, rozdeptane na drobne cząsteczki, zmieniło się w żwir o stępionych krawędziach i w biały pył. W promieniach pogodnej jesieni nie tylko droga, lecz również urwisko skalne pokryte trawą, zbocze po przeciwnej stronie i daleko w dolinie koryto rzeki bieleły w odbitym świetle. W środku tej wszechobejmującej bieli rzeka płonie najbardziej agresywną bielą. I Takashi, skulony pięćdziesiąt centymetrów od głowy brata S., zwróconej w stronę rzeki, leżącej twarzą do ziemi, i biegający wokół nich pies, ujadający piskliwym głosem przypominającym zgrzytanie zębów, również są biali. I zabity brat S., i Takashi, i pies zalani są chmurą bielejących promieni. Łza tworzy jedną plamkę na błonce kurzu pokrywającej kamień przy wskazującym palcu Takashiego. Lecz i to szybko wysycha, pozostawiając na powierzchni kamienia jedynie bielejący pęcherzyk i nic więcej.

Naga, zdruzgotana głowa brata S. podobna jest do rozpląszczonej czarnej torby. Wystaje z niej coś czerwonego. I głowa, i to, co z niej wystaje, już są suche, niby tkanka wyłożona na słońce. Nic nie wydziela woni, prócz rozpalonej w słońcu ziemi i kamieni. Nawet rozbita głowa brata S. pozbawiona jest zapachu, niby kawałek papieru. Obie ręce brata S., jak ramiona tancerza, niepoważnie i bezwładnie wyciągnięte są nad barkami, obie nogi ułożone w pozycji biegnącego skoczka. A cała skóra na szyi, rękach i nogach, wyzierająca spod koszuli i spodenek używanych podczas ćwiczeń gimnastycznych kadeta morskich sił lotniczych, czerni się jak wygarbowana, uwydatniając biel przylepionego do niej błota. Takashi wreszcie spostrzega mrówki rzędem wchodzące do dziurek w nosie i wycofujące się z otworów usznych z czerwonymi maleńkimi ziarenkami w pyszczkach. Wtedy Takashi myśli, że trup brata S. wysechł, zmałał i stracił wszelki zapach dzięki pracy mrówek. Brat S. w tym stanie wyschnie jak rozcięta suszona ryba. Mrówki całkowicie wyzarły oczy pod mocno zaciśniętymi powiekami. Pod nimi kryły się czerwone otwory wielkości orzecha włoskiego, w których słabe czerwone światła rozjaśniają drobniutkie kończyny mrówek wędrujących po bokach trójkąta między nosem i uszami. Kropla krwi, w której tonie mrówka, widoczna jest za delikatną półprzezroczystą błoną, niby przyciemnionym szkłem, szerniałej skóry na twarzy brata S.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że to rzeczywiście widziałeś?

- Oczywiście, to część uzupełniona w świecie snu. Ale gdzie się łączy sen z rzeczywistością, którą widziałem na drodze z mostu sto metrów dalej w dniu, w którym S. został zabity, to nie jest dla mnie teraz jasne. Widzisz, pamięć przygotowuje pokarm dla snów. Nie miałem wewnętrznego motywu, by odkopywać i tropić własne wspomnienia o śmierci brata S. Po prostu poczułem potrzebę wytknięcia błędów z myślą o zdrowiu psychicznym Takashiego: teraz jego pamięć w stopniu znacznie większym, niż to sobie uświadamia, okupują twory snu.

- Taka, choć wierzysz, że widziałeś to w rzeczywistości -owo wspomnienie, które wciąż w sobie odnawiasz, jest od początku do końca jedynie snem, niczym więcej. Obraz wyschniętego trupa brata S. wytworzyło pewnie wspomnienie żaby zduszonej pod oponą i wysuszonej na słońcu. Widok zmiażdżonej czarnej głowy brata S. w twoim opisie i tego, co z niej się wydobyło, przypomina rozgniecioną żabę. Spłaszczoną żabę, której wnętrzości się stopiły i wypłynęły! Po tej krytyce przedstawiłem argumenty sprzeczne z pamięcią Takashiego.

- Absolutnie niemożliwe, żebyś w ogóle widział ciało zabitego brata, a tym bardziej na drodze. Bo to tylko ja go widziałem, kiedy poszedłem z wózkiem po trupa, i ludzie z osady koreańskiej pomagający załadować ciało. Koreańczycy zatłukli go, to fakt, ale przecież w stosunku do martwego brata S. byli uprzejmi, delikatni, obchodzili się z nim tak samo jak z ciałem kogoś należącego do ich własnej rodziny. Następnie podarowali mi biały jedwabny całun. Leżącego na wózku brata S. okryłem właśnie tym materiałem i pchając ciężki wózek wróciłem do doliny. Wydało mi się, że pchając raczej niż ciągnąc, łatwiej utrzymać równowagę wózka z takim ciężarem, bałem się poza tym, że trup może spaść, przemienić się w diabła, wstać i pogryźć mnie, więc wołałem mieć go cały czas na oku. Gdy przywiozłem brata S. do doliny, był już wieczór, ale nikt z dorosłych nie wychodził z domów stojących po obu stronach drogi, dzieci też się pochowały i wyglądały przez szpary z ukrycia. Obawiały się zmarłego brata S. jako pośrednika nieszczęścia i bały się mieć jakikolwiek z nim związek. Zostawiłem wózek na placu i gdy wróciłem do domu, Taka, ty stałaś w kuchni z wielkim kawałkiem cukru w buzi, a z obu kącików ust płynęła ci ciemnobrązowa ślina. Wygląd tej śliny przypominał krew płynącą przez zaciśnięte zęby człowieka, który wypił truciznę w wiejskim przedstawieniu teatralnym. Matka była chora i leżała, a obok niej młodsza siostra również udawała chorobę. Jednym słowem nikt z rodziny nie okazał się pożyteczny, nikt mi nie pomógł. Wtedy poszedłem i przywołałem Jin, która rąbała drzewo na opał na polu za spichrzem. Była wtedy jeszcze szczupłą, silną i zdrową dziewczyną. Gdy zeszliśmy w dół na plac, biały całun z wózka już ktoś ukradł, ciało brata S. leżało nagie. Było skurczone, pamiętam, przypominało mi wtedy śpiące dziecko. Całe ciało oblepione wyschlłym błotem roztaczało wokół siebie woń krwi. Próbowałem z Jin wziąć brata S. za ramiona i nogi i podnieść, ale był za ciężki dla nas. I ja, i Jin ubrudziłyśmy się krwią. Więc Jin powiedziała mi, żebym poszedł po nosze, które służyły dawniej do ćwiczeń obrony przeciwlotniczej, a kiedy męczyłem się, żeby ściągnąć nosze zawieszane pod okapem w sieni, usłyszałem, jak matka rozmawia z naszą siostrą na temat urody Taki i mojej. Taka w tym momencie w ciemności kuchni jadł cukier i - jak mi się zdawało - nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Była już noc, kiedy udało nam się przenieść do spichrza okrężną drogą od strony muru trupa brata S., dlatego też Taka do końca nic nie widział, czy nie mam racji?

Ponieważ Takashi prowadził citroena i uważnie patrzył przed siebie, spostrzegłem tylko, że zaczerwienił się na szyi wokół uszu i lekko drżał, od czasu do czasu wydobywając z gardła zduszone „hm-hm”. Widocznie przeżył wstrząs słuchając mojego opowiadania, które od podstaw zmieniało świat jego wspomnień; jechaliśmy chwilę w milczeniu. Następnie żona, jakby pocieszając Takashiego, powiedziała:

- Jeżeli jednak Taka stał cały czas w kuchni, czy to nie dziwne, że się nie zainteresował trupem brata S., leżącym na wózku?

- Oczywiście - sięgnąłem do jeszcze głębszego pokładu pamięci. - Rozkazałem mu nie wychodzić z kuchni. Żeby dotrzymał obietnicy, dałem mu cukru, poza tym

przewoziliśmy z Jin ciało drogą okrężną od strony parkanu po to, aby ani Taka znajdujący się w kuchni, ani leżące w pokoju matka i siostra nie zobaczyli trupa.

- Na pewno, pamiętam o cukrze, ale to brat S. mi go dał, rozbił nasadą sztyletu blok cukru zrabowanego podczas pierwszego ataku na osiedle Koreańczyków. Dokładnie pamiętam i kształt, i kolor sztyletu marynarskiego. Potem brat S. wyszedł, aby walczyć po raz drugi, i został zabity. W każdym razie brat S. był w dobrym humorze, był wesoły, kiedy dawał mi zdobyczne słodczyce. Myślę, że celowo użył rękojeści sztyletu marynarskiego, żeby jego mały brat, a także i on sam, mieli trochę więcej emocji. Jeszcze teraz widzę w snach porywający obraz: w czystej białej koszuli i spodniach kadeta szkoły lotnictwa marynarki trzyma odwrotnie sztylet i opuszcza go na blok cukru. Brat S. ze snu uśmiecha się cały czas promiennie i potrząsa połyskującym sztyletem - mówił Takashi z żarem, jakby wierzył, że w ten sposób uleczy miejsca zranione moją próbą skorygowania jego pamięci.

Czekałem cierpliwie na to, że moje poprawki staną się przynętą i znów wykryją skrzywienia w pamięci Takashiego, i odkryłem przewrotną przyjemność w jej rozbijaniu. Choć czułem odrazę do siebie, skoncentrowałem się na zrywaniu z portretu brata S. aureoli heroizmu, której kształt formował właśnie Takashi w umyśle mojej żony.

- Taka, to też wspomnienie z twoich snów, to zwykle odkrycie z marzeń sennych, które zagnieździło się w twoim wspomnieniu z taką samą intensywnością, jakby to zdarzyło się w rzeczywistości. Faktem jest, że podczas pierwszego ataku brat S. i jego koledzy ukradli z osady Koreańczyków alkohol z przemytu i krystalizowany cukier. Ale od czasu jak brat S. po powrocie z wojny chciał wysłać matkę na obserwację do szpitala dla umysłowo chorych, stosunki między nimi się popsuły, wstydził się, że matka mogłaby się dowiedzieć, iż przyniósł do domu kradziony cukier, schował go więc w snopku słomy w szopie. Po cichu mu podkradałem i jadłem, dałem też tobie, Taka. Tym bardziej, że brat S. po pierwszym ataku nie mógł być w dobrym nastroju. Po prostu dlatego, że wtedy w osiedlu Koreańczyków zginął już jeden człowiek. Drugi atak nie miał celów agresywnych, chodziło po prostu o to, by padł ofiarą ktoś po stronie Japończyków z doliny i wyrównał rachunek strat, żeby sprawy nie przekazywać w ręce policji. Z góry zdecydowano, kto miał zginąć w tym ataku wyrównującym bilans. Brat S. wiedział, że tę rolę musi wziąć na siebie.

Jak wyglądał brat S. między tymi dwoma atakami? Otóż pamiętam to bardzo niewyraźnie, jak obrazek na nieostrej fotografii, ale nie ja sfabrykowałem tę fotografię. Podczas gdy reszta upijała się wspólnie kradzionym alkoholem z przemytu, brat S. na obrazie mojej pamięci był trzeźwy, leżał skulony w mroku pokoju w spichrzu, odwrócony tyłem, i nawet nie drgnął. Być może patrzył na rysunek na wachlarzu Johna Manjiró. W tym czasie szukałem ukrytego przez brata S. cukru, pamiętam nawet, że zawstydzilem się, kiedy brat S. zobaczył, jak trzymam kawałek cukru w ustach. Lecz to wspomnienie zrodziło się może we śnie, tak jak w twoim wypadku, Taka, mogłem to stworzyć potem, gdy. zrozumiałem znaczenie przeżywanego przez brata S. wstydu i poczucia głupoty z powodu kradzieży w osiedlu Koreańczyków. Ja również często widywałem brata S. w snach. Na różnych etapach naszego rozwoju śmierć brata S. wywierała na nas ogromny wpływ. I dlatego mieliśmy tyle różnych snów z nim związanych. Ale teraz, gdy tak z tobą rozmawiam, widzę, że sny twoje i moje miały zupełnie inną tonację - powiedziałem. Ponieważ zrobiło mi się żal, że Takashiego przyciskałem do muru zbyt mocno, więc zaproponowałem drogę prowadzącą do kompromisu.

- Wydaje mi się, że jego śmierć miała różny wpływ na każdego z nas. - Zamyślony Takashi zignorował moje kroki ugodowe. Zamierzał jednym uderzeniem obalić hegemonię mojej pamięci, więc przeszukiwał na ślepo wszelkie mroczne zakątki swojej pamięci i świata snów. Jednak polemika między mną a bratem spowodowała niebezpieczne obsunięcie się ziemi ze zbocza niepokoju w duszy mojej żony, którą traktowaliśmy dotąd po prostu jak osobę postronną.

- Dlaczego brat S., wiedząc, że zostanie zabity, wziął udział w ataku i przy tym naprawdę został zabity? Dlaczego musiał brać na siebie rolę ofiary odkupienia? Przerazenie mnie ogarnia, gdy pomyślę o bracie S. leżącym nieruchomo w mroku spichrza. Myśl o tym młodym człowieku, czekającym na drugi atak, naprawdę napawa mnie przerażeniem, jest wstrętne. Zwłaszcza że dziś rano obejrzałam wewnątrz tego spichrza; nie mogę się oprzeć wyobrażeniu, jak to naprawdę wyglądało, przed moimi oczyma ukazują się wyraźnie nawet jego plecy - powiedziała żona. Teraz już zjeżdżała gwałtownie w dół po psychicznej pochylni mrówczej nory prosto do whisky. Nowe życie, rozpoczęte dopiero pomiędzy wczorajszym wieczorem a dzisiejszym porankiem, zostanie teraz przerwane.

- Dlaczego to brat S. musiał być tym człowiekiem, którego zabili dla wyrównania krzywd? Czy może dlatego, że to on zabił Koreańczyka podczas pierwszego ataku?

- Chyba nie, jak myślisz, Mitsu? - wtrącił się poważnie Takashi. - Jednak on był przywódcą. Ja wiem, że jest to wspomnienie ze snów, nie musisz mi o tym mówić, ale ja czuję, że jest we mnie wspomnienie wspaniałej sceny, w której brat S. w zimowym mundurze kadeta lotnictwa morskiego kierował grupą młodzieży w tej dolinie i prowadził wojnę z silnymi oddziałami osiedla Koreańczyków.

- Taka, śledząc zniekształcenia twojej pamięci, można przypuszczać, iż kryje się w tym jedno gorące pragnienie, aby tak było, jak mówisz. To jest całkowicie jasne. Nie o to chodzi, że nie mogę tego zrozumieć. Jednak brat S. wcale nie był przywódcą młodych w tej dolinie, przeciwnie. Nawet ja, jego młodszy dziesięcioletni brat, widziałem wyraźnie, jak było naprawdę. Przecież brat S. był dla nich często przedmiotem kpin. W końcu zaraz po wojnie nie było w dolinie człowieka, który by miał zrozumienie dla motywów kierujących dziwnym zachowaniem brata S. w dzień powrotu z wojska. Mówiąc wprost, brat S. był pośmiewiskiem. Myślę, że wy oboje nie potraficie dostatecznie dobrze zrozumieć, jak straszną siłą niszczącą wyzwał w dolinie taki złośliwy śmiech. A spośród młodych mężczyzn, którzy wrócili z wojska do doliny, tylko brat S. nie zajmował się kobietami. Mimo to wszedł do społeczności wiejskiej jako mężczyzna, ale w końcu był najmłodszy w grupie zwolnionych z wojska awanturników, którym nadano robotę zaatakowania osiedla Koreańczyków. Był też niskiego wzrostu, słaby fizycznie i tchórzliwy. Poza tym, jeśli chodzi o powód ataku na osiedle Koreańczyków, to musisz wiedzieć, że młodzież podburzyli i doprowadzili do sytuacji, w której nie mogła już nic innego zrobić, wpływowi farmerzy na czele z wójtem. Chodziło o to, że grupa koreańskich czarnorynkowych handlarzy odkryła ryż, który rolnicy chowali przed władzami, i zabierała im ten ryż, by sprzedawać go w mieście. Chłopi, którzy składali fałszywe deklaracje i ukrywali zboże, nie mogli wezwać na pomoc policji, dlatego pokładali nadzieję w grupie rzezimieszków mających dość siły, by sprostać Koreańczykom. Większość członków tej grupy to synowie rolników, więc włączenie się ich do tej walki było klasową koniecznością. A nasze gospodarstwo już przed powojenną reformą rolną zbankrutowało. To raczej Jin znalazła kontakt z Koreańczykami i w tajemnicy kupowała od nich ryż czarnorynkowy. Mimo to brat S. przyłączył się do ataku, a kiedy jego krewcy koledzy zabili Koreańczyka, przyjął na siebie rolę baranka

ofiarnego jako pokutę. Jako dziecko nie mogłem tego zrozumieć. Na przykład chora matka powiedziała, że to S., który chciał ją zaprowadzić do szpitala dla umysłowo chorych, naprawdę zwariował, a potem, gdy Jin doprowadziła jego ciało do porządku, nawet do spichrza nie poszła, aby spojrzeć na syna. Później gniewała ją ta beznadziejnie głupia przygoda S., nawet zaczęła go nienawidzić. I dlatego nie wyprawiła mu pogrzebu. Na prośbę Jin dorodzi z grupy sąsiedzkiej, która zwyczajowo przetrwała od wojny, pomogli przeprowadzić kremację, a prochy brata S. pozostały w świątyni. Gdybyśmy urządzili oficjalny pogrzeb, chyba bez trudu można było złożyć jego prochy w grobowcu rodu Nedokoro. Prochy młodszej siostry właśnie tam spoczywają.

- Czy został do tego zmuszony? - żona skierowała to pytanie specjalnie do Takashiego, ale on nie odpowiedział. Zaciął mocno usta dlatego, że wspomniałem o śmierci młodszej siostry.

- Nie sędzę, by został zmuszony. Raczej sam wystąpił z inicjatywą wobec kolegów, że weźmie na siebie tę rolę. A ponieważ koledzy porzucili bez opieki zabitego S., ja musiałem pójść i zabrać go na wózek...

- Dlaczego? Dlaczego? - żona nie ustępowała, załęczniona.

- Nie mogłem potem przeprowadzić dochodzenia w tej sprawie. Ci, którzy brali udział w napadzie, zobaczywszy, że brat S. został zabity, odeszli zostawiając go u przeciwników. Oczywiście, z rodziną S. nie chcieli mieć nic wspólnego, dlatego od nich nie mogłem się niczego dowiedzieć. Nikogo z nich chyba nie ma teraz w dolinie. Jeden wyjechał do miasta i został zawodowym przestępcą. Jeszcze kiedy byłem w liceum, czytałem obszerną informację na jego temat w miejscowej gazecie. Podejrzywałem, że to jeden z tych, co zabili Koreańczyka w pierwszym napadzie, więc przyjrzałem się fotografii w gazecie i od razu go rozpoznałem. Widocznie do zabijania można się przyzwyczaić.

Chciałem sprowadzić rozmowę na sprawy bardziej ogólne, ale żona, która popadła niemal w panikę, uniemożliwiła tę próbę. Uparcie zadawała pytania Takashiemu, który jednak wolał milczeć.

- Taka, a co mówią twoje wspomnienia ze snów? Dlaczego, dlaczego tak się stało? - naciskała żona, ponawiając pytania.

- Wspomnienia ze snu? - Takashi zaczął teraz mówić z nieustępliwą zaciętością, która nie była znaną mi z dzieciństwa cechą jego charakteru, ale jego odpowiedź nie zadowoliła żony. - W snach nie mam cienia wątpliwości, dlaczego brat S. musiał wziąć na siebie tę rolę. Brat S. urodził się jako bohater-ofiara i taki istnieje w moich snach. Poza tym nie tylko w snach nie patrzę na niego tak krytycznym okiem jak Mitsu. Toteż szokuje mnie nawet samo pytanie „dlaczego?“, które zadajesz, Natchan. Dlaczego? W snach nie potrzebuję o to pytać brata S. I nawet w realnym świecie przed dwudziestu laty też nie mogłem zapytać „dlaczego?“, ponieważ - jak twierdzi Mitsu - miałem usta zapchane cukrem.

- Dlaczego? Dlaczego? - uprzejmie odepchnięta przez Takashiego nie pytała już ani Takashiego, ani mnie, lecz gonila echo w swej wewnętrznej pustce: „dlaczego, dlaczego, dlaczego?“. - Dlaczego tak musiało być? To przerażające, gdy wyobrażam sobie okrągłe plecy nieruchomego chłopca leżącego w mroku spichrza, ogarnia mnie przerażenie. Na pewno dzisiejszej nocy ujrzę go we śnie i na pewno, jak Taka, nie będę mogła pozbyć się tego obrazu...

Poprosiłem Takę, by zawrócił i podjechał pod sklep z alkoholem, o którym opowiadał kapłan buddyjskiej świątyni. Już wcześniej dojechaliśmy do placu przed urzędem

wioski, zatrzymaliśmy tam samochód i rozmawialiśmy. Kupiliśmy butelkę taniej whisky i wróciliśmy brukowaną drogą.

Gdy dojechaliśmy do domu, żona od razu zaczęła pić. Zignorowała Takashiego i mnie, i milczała. Siedząca grzecznie przed paleniskiem i powoli, lecz systematycznie upijająca się żona przywoływała w mojej pamięci wrażenie, jakie odniosłem w dniu, w którym po raz pierwszy ujrzałem ją pijaną. Tamta żona, którą widziałem wówczas w bibliotece, jest bardzo podobna do tej, która siedzi teraz w blasku wątłego oświetlenia domu, które krzyżuje się ze światłem bijącym od paleniska. To jest dla mnie jasne, choćby dzięki temu, że wszystkie doświadczenia emocjonalne tamtego dnia odkrywam teraz w naprawdę zdumionych, choć udających obojętność oczach Takashiego, który po raz pierwszy widzi ją taką pijaną. Od powrotu Takashiego do kraju żona nieraz była pijana w jego obecności, ale było to pijaństwo w gronie bliskich członków rodziny i nie sięgało tego stopnia, żeby w jej oczach, w ekspresji jej skóry dostrzec można było wstępowanie na kręte schody prowadzące ku przerażającym mrokom jej wnętrza. Drobne kropelki potu ukazywały się niby wszy pokrywające gęsto wąskie czoło, podkrążone oczy, wykrzywioną górną wargę i szyję. Mocno zaczerwienione oczy mówiły o tym, że znajduje się ona już poza sferą przyciągania moją i Takashiego. Powoli, lecz konsekwentnie schodzi krętymi schodami ku owej niespokojnej głębi, wydzielając woń podłej whisky i gęsty pot.

Ponieważ żona zupełnie nie wykazywała zainteresowania światem zewnętrznym, więc Momoko, która wróciła razem z Hoshio, przygotowała kolację. Hoshio rozebrał silnik i przywiózł go tutaj; rozsiewając w kuchni słabą woń benzyny zajmował się nadal jego naprawą, obserwowany przez czworo wychudłych dzieci. Przynajmniej Hoshio udało się zamienić niechęć dzieci w szacunek. Nawet mnie wydało się, że nie spotkałem nigdy tak pracowitego nastolatka jak on, i odtąd nie miałem już do niego uprzedzenia. Od przybycia do doliny Hoshio jest pełen wiary w siebie, mam nawet wrażenie, że na jego śmiesznej twarzy pojawiło się swego rodzaju piękno harmonii. Takashi i ja, rozłożeni po drugiej stronie paleniska, naprzeciw uparcie milczącej żony, słuchaliśmy starych płyt zebranych przez zmarłą siostrę, przegrywając je na adapterze starego typu. Ostatnie nagrania walca Chopina, wykonane przez Lipattiego.

- Siostra miała specyficzny sposób słuchania gry na fortepianie. Nie przepuszczała ani jednego dźwięku, wsłuchiwała się w każdy odrębny dźwięk. Niezależnie od tego, jak szybko grał Lipatti, wychwytywała wszystkie pojedyncze dźwięki fortepianu. Jakby rozkładała akordy na części i odbierała je pojedynczo. Kiedyś nawet powiedziała mi, z ilu dźwięków składa się walc Es-dur z tej płyty, a ja, głupiec, tę liczbę zapisałem co prawda „w notesie, ale potem zgubiłem. Rzeczywiście, siostra miała słuch niebывały - mówił Takashi cichym, ochrypłym głosem. Wydało mi się, że były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział z własnej woli o siostrze od dnia jej śmierci.

- Czy siostra umiała liczyć?

- Nie umiała, dlatego całą powierzchnię dużej kartki papieru poznażyła punktami, niby maleńkimi plamkami kurzu. Obraz przypominał szkic wyraźnych punktów przerysowanych ze zdjęcia ciał niebieskich Drogi Mlecznej. A były to przecież wszystkie dźwięki walca opus 18. Na podstawie tego rysunku robiłem przez wiele godzin obliczenia. Żałuję bardzo, że zgubiłem ich rezultat. Myślę, że liczba punktów zrobionych przez siostrę ołówkiem była ścisła - powiedziawszy to Takashi nieoczekiwanie uczynił gest pojednawczy. - Twoja żona również wydaje się człowiekiem szczególnym.

Przypomniałem sobie, jak Takashi użył tego samego wyrażenia mówiąc o moim przyjacielu, który pomalowawszy głowę cynobrem powiesił się; teraz skojarzyłem te

słowa, głęboko wstrząśnięty. Brat S. też był człowiekiem szczególnym, więc jeśli Takashi to miał na myśli, to nie mam już zamiaru podejmować prób jakichkolwiek korektur jego wspomnień ze snów. Były to słowa człowieka, który naprawdę wyczuł obecność czegoś, co znajdowało się w głębi osób spętanych niepokojem, osób, które umarły nie mogąc tego czegoś przekazać innym.

5. Cesarz supersamu

W pogodny, bardzo chłodny ranek zamarzała ręczna pompa w sieni, dlatego czerpaliśmy wodę ciężkim wiadrem ze studni znajdującej za domem w podłużnym ogrodzie, który nazywaliśmy dawniej „Sedawa”, przedzielonym wąskim pasem drzew morwowych od wzgórza pokrytego gęsto drzewami. Pierwszy zajął wiadro brat i długo mył twarz, szyję, mył się też za uszami, tarł wytrwale obnażone piersi i plecy. Stałem obok niego znudzony, czekając na wiadro, i wtedy stwierdziłem, że brat, który bał się zimna w dzieciństwie, teraz bardzo się zmienił. Na nagich plecach, które chyba specjalnie mi przy tej okazji pokazywał, widniały ciemne ślady uszkodzeń skóry i tkanki mięśniowej wskutek pobicia jakimś tępym narzędziem. Ponieważ ujrzałem je po raz pierwszy, poczułem nieprzyjemny ucisk w żołądku, jakby odżyło wspomnienie bólu, którego doznało kiedyś moje ciało.

Gdy wciąż jeszcze czekałem na swoją kolejkę, od strony kuchni Momoko przyprowadziła „Zjawę jeża morskiego”. Ten miejscowy chłopiec, o groteskowej twarzy, w wyjątkowo mroźny poranek miał na sobie tylko zielone robocze spodnie i koszulę o długich rękawach, zakrywających palce do połowy. Drżąc bez przerwy, zwiesił okrągłą wielką głowę i wcale nie zamierzał rozpocząć rozmowy z Takashim w mojej obecności. Był błydy nie tylko z zimna, ale też z doszczętnego wyczerpania. W rezultacie, rezygnując z umycia twarzy, wycofałem się do kuchni, aby dać im okazję do rozmowy w cztery oczy. Zresztą nie czuję teraz przykrości z tego powodu, że się nie myję. Ponieważ zębów nie czyszczyć już od kilku miesięcy, pozostały mi jak u dzikiego zwierzęcia. W moim wypadku ta zmiana charakteru nie była świadoma. Tę nową naturę zostawił mi mój zmarły przyjaciel i dziecko oddane do zakładu opiekuńczego.

- Mitsu, czy temu chłopcu nie jest zimno? Gdy był w świątyni, miał na sobie takie ubranie, jakie nosi się jesienią - powiedziała żona przyciszonym głosem, aby inni nie usłyszeli.

- Chyba jest mu zimno, bo strasznie drży. W środku zimy chodzi bez płaszcza, a nawet marynarki dlatego, aby zwrócić na siebie uwagę kolegów, by pokazać im, że jest typem stoickim o dużej cierpliwości. Być może nawet w tej dolinie trudno zdobyć szacunek tylko z tego powodu, ale wygląd chłopca i postawa ignorowania innych ludzi wyróżniają go spośród kolegów.

- Jeśli to wystarczy, aby zostać przywódcą grupy młodych, jest to raczej prymitywne.

- Dziwak zgrywający naiwnego nie musi koniecznie mieć prostej struktury psychicznej. W tym kryje się złożoność polityki młodzieży tej wioski - powiedziałem.

W końcu Takashi wrócił do kuchni, idąc ramię w ramię z chłopcem w przesadnej przyjaźni, następnie uściśnął mu rękę dodając otuchy, co było widoczne nawet dla postronnych, i w milczeniu odprowadził go wzrokiem. Gdy chłopiec przekroczył próg domu, na jego szerokiej twarzy, oblanej promieniami słońca, ukazała się drapieżna melancholia, tak odpychająca, że wytrąciła mnie z równowagi, kiedy mu się przyglądałem.

- O co chodzi, Taka? - zapytała nieśmiałym głosem żona, równie jak ja zaniepokojona.

Nie odpowiedział od razu, podszedł i stanął obok paleniska, z ręcznikiem na szyi jak ćwiczący bokser. Wyras jego twarzy mówił o szarpiących nim dwu sprzecznościach i gwałtownych uczuciach. Wydało mi się, że usiłuje opanować jakąś osobliwą wesołość, a jednocześnie jakieś nieodwracalne nieszczęście. Następnie popatrzył na mnie i na żonę oczyma wypełnionymi zuchwałym ogniem i powiedział głośno:

- Mówi, że z głodu albo z zimna zdechły wszystkie kury, kilka tysięcy kur! - Takashi roześmiał się.

Milczałem, przytłoczony poczuciem absurdu i zgrozy na myśl o tysiącach tych nieszczęsnych zdechłych kur. Następnie, gdy wyobraziłem sobie stojącą bez ruchu „Zjawę jeża morskiego” i jego drżących bez przerwy, udających obojętność na chłód kolegów, przed stosem wychudłych kur, cała groza ich sytuacji wywołała we mnie uczucie odrazy i zawstydzenia.

- Więc przyszedli do mnie z prośbą, żebym pojechał spotkać się z „cesarzem” supersamu i przedyskutował sposób załatwienia sprawy kilku tysięcy zdechłych kur. Nie mogę zostawić ich własnemu losowi, więc pojedę do miasta.

- „Cesarz” supersamu? Masz na myśli właściciela systemu supersamów? Nie sądzę, by dzięki rozmowie z nim zdechłe kury można było sprzedać. Co, może zrobi z nich mnóstwo zupy w proszku?

- Większość funduszy na hodowlę kur dostarczył „cesarz”. Grupa młodzieżowa chciała się uniezależnić od władzy supersamu, ale ze względu na zakup paszy i sprzedaż jaj, trudno im było wyzwolić się spod jego wpływu. Więc teraz, gdy wszystkie kury przepadły, straty, jakie poniosła grupa młodzieżowa, są również stratami „cesarza”, finansującego przedsięwzięcie. Oczekują oni ode mnie, że przeprowadzę z „cesarzem” negocjacje i stępię nieco ostrze zarzutów o braku odpowiedzialności, jakie skierowałoby się przeciw grupie. Założę się, że w tym zbiorowisku tępych głupców są i tacy marzyciele, którzy spodziewają się, że „cesarz” supersamu wymyśli jakiś korzystny sposób rozwiązania problemu mar-^ twych kur.

- A przecież nie uratuje się ich od nieszczęścia, nawet jeśli, na przykład, ludzie tej doliny zjedzą te kilka tysięcy zdechłych kur i zatrują się - westchnąłem w nastroju pogłębiającej się depresji.

, - Jeśli kury zamarzyły na śmierć z pustymi żołądkami, mogą być równie nieszkodliwe dla zdrowia jak mrożone warzywa. Może więc wezmę od nich kilka niezbyt wychudłych sztuk w zamian za trud wyjazdu do miasta i uzyskam z nich trochę białka dla Jin, co o tym myślisz?

- Jin choruje na nadmierny apetyt, ale białka zwierzęcego prawie nie je, ponieważ szkodzi je j na wątrobę - odpowiedziała żona łagodząc sprawę.

Podczas pospiesznego śniadania Takashi rozmawiał z Hoshio o szczegółach związanych z dojazdem i powrotem z miasta furgonetką grupy młodzieżowej i o odległościach dzielących punkty, w których można zaopatrzyć się w benzynę. Wiedza Hoshio o samochodach naprawdę była praktyczna i szczegółowa, dlatego ledwie Takashi wypowiedział pytanie, od razu otrzymywał odpowiedź krótką i na temat, więc rozmowa toczyła się w szybkim tempie. Wyjaśniając braki silnika furgonetki, Hoshio przewidywał nieuniknioną możliwość mechanicznego defektu, który zdarzyć się może w ciągu kilku godzin jazdy przez las, więc w rezultacie zdecydowano, że do miasta pojedzie również Hoshio.

- Hoshio jest specjalistą od reperacji wraków samochodowych, jeśli go zabierzesz, nawet w czasie długiej jazdy nie będziesz miał powodu do zmartwienia. Im samochód

starszy, tym Hoshi lepiej zna jego budowę, będzie z niego pożytek w drodze. - Popisawszy się bezstronnością Momoko westchnęła i powiedziała z uczuciem dziecinnej zazdrości: - Ach, jakie filmy teraz grają w cywilizowanym świecie? Czy Brigitte Bardot jeszcze żyje?

- Momoko też zabierzemy ze sobą. Te niedorośle dziewczęta we wszystkim niepotrzebnie przesadzają - powiedział Takashi i uśmiechnął się ze szczerą prostotą na widok radości promieniującej z całego ciała Momoko.

- Taka, prowadź ostrożnie, droga przez las jest chyba oblodzona! - powiedziała żona.

- OK, zwłaszcza w drodze powrotnej będę ostrożny, ponieważ kupię dla Natchan pół tuzina butelek whisky trochę lepszej od tej, którą można dostać we wsi. A ty, Mitsu, masz jakieś zamówienia?

- Nie mam.

- Mitsu teraz niczego się nie spodziewa ani od kogoś, ani od siebie. - Takashi zakpił ze mnie za to, że byłem nieprzyjemny.

Takashi celnie wyczuł we mnie brak poczucia „oczekiwania”. Symptomy mówiące o jego utracie być może teraz są już widoczne dla każdego, kto mi się przyjrzy.

- Proszę też o kawę, Taka.

- Wrócę z pełnym zaopatrzeniem. Wyciągnę od „cesarza” zaliczkę za spichrz. Oboje z Mitsu macie prawo do przyjemności za te pieniądze.

- Taka, jeśli to możliwe, chciałabym ekspres do kawy i trochę świeżo zmielonych ziaren kawowych - żona również zaczęła przejawiać tęsknotę do podróży do miasta.

Od razu po śniadaniu Takashi ze swoją strażą przyboczną zbiegł do Citroëna stojącego na placu przed urzędem wiejskim, a ja z żoną, przerwawszy w połowie śniadanie, odprowadzaliśmy ich wzrokiem stojąc na niebezpiecznie oblodzonej ziemi podwórza.

- Taka stopniowo wchodzi do młodzieżowej grupy w tej dolinie. A ty, mimo że tutaj przyjechałeś, siedzisz zamknięty jak we własnym pokoju w Tokio.

- Taka stara się ponownie zapuścić tu korzenie. A ja widocznie nie mam tych korzeni, które można by tu zapuścić odpowiedziałem z takim żalem, że poczułem odrazę do brzmienia własnego głosu.

- Hoshi wydaje się być krytycznie nastawiony do głębszych związków Taki z młodzieżą w tej dolinie.

- A czyż on sam nie pracuje na rzecz tej grupy, pomagając Tace?

- On będzie z zapalem pomagał we wszystkim, cokolwiek będzie robił Taka. Ale w duchu nie jest chyba zadowolony. Może jest zazdrosny o nowych przyjaciół Taki?

- Jeśli byłaby to prawda, to Hoshi, który do niedawna jeszcze mieszkał na wsi, przeżywa coś w rodzaju kazirodczej nienawiści do tych młodych z doliny. Hoshi zna dobrze chłopów i chyba nie może zaufać młodzieży z doliny tak szybko i bezpośrednio jak Taka, który życia w dolinie już prawie nie pamięta.

- A co ty, Mitsu, odczuwasz? - domagała się wyjaśnień żona, ale jej nie odpowiedziałem.

Ryk z rury wydechowej Citroëna dotarł aż po mur kamienny obok nas z nadmierną, przerażającą siłą, pozostawił po sobie echo przepelniające całą dolinę i zniknął w prostokacie nieba ograniczonego wysokim lasem. A potem, gdy Citroën zniknął równie szybko jak echo, w dolinie wczesnego poranka, w której zamarł wszelki ruch, wzniosła się dziwaczna jasnożółta trójkątna flaga. Jaskrawa flaga powiewała wesoło na maszcie nad dawnym magazynem gorzelnicy należącym niegdyś do rodziny równie starej jak nasza, której dom, jako jedyny prócz domu Nedokoro, zaatakowano podczas powstania

chłopskiego w 1860 roku. Rodzina właściciela gorzelnii opuściła wieś, ściany wykupionego od niej magazynu usunięto i wewnątrz urządzono supersam.

- Na fladze jest wyszyte 3S2D - powiedziałem z zainteresowaniem. - Co to za skrót?

- Oczywiście Self Service Discount Dynamie Store. Widziałam to wczoraj w ulotce reklamowej wydanej przez miejscową gazetę. Myślę, że jest to system, który właściciel supersamu poznał podczas podróży po USA. Ale nawet jeśli ten zwrot angielski jest wynalazkiem Japończyków, to jest to mocne, wspaniałe hasło.

- To naprawdę ciebie tak zainteresowało? - zadając to pytanie usiłowałem znaleźć w zakamarkach mojej niepewnej pamięci codzienny wygląd doliny i zastanawiałem się, czy tę flagę wywiesza się każdego ranka. Wydaje mi się, że widzę to po raz pierwszy?

- Wisi chyba dlatego, że dziś jest dzień wyprzedaży. Jak mówiła Jin, w dniu wyprzedaży drogą prowadzącą wzdłuż rzeki przybývają po zakupy nawet z sąsiedniej wsi, nie mówiąc o osadach znajdujących się pod lasem.

- „Cesarz” supersamu jest widocznie człowiekiem utalentowanym - powiedziałem przerażony widokiem trójkątnej flagi, która teraz załopotiała od nagłego powiewu wiatru.

- Na pewno - powiedziała żona, ale w tym momencie zawładnęła nią już inna myśl. - Jeśli wszystkie drzewa w tym lesie uległyby zniszczeniu i zgniły, to jak długo ludzie tej niecki mogliby się oprzeć wydzielanej przez nie woni?

Zachęcony słowami żony już miałem popatrzeć na otaczający las, gdy zaatakowano mnie przecucie budzące jakąś konkretną niechęć, więc spojrzałem w dół na ziemię, na której zaczęły rozpadać się kryształki igieł lodowych. Mój zamarzający oddech spadał na dół i rozpływał się na boki wraz ze stopniowo narastającym wrażeniem stagnacji i zawisał niezdecydowanie. W tym momencie poczułem odradzające się wspomnienie niemal zatykającej dech w piersi przykrewj woni mięsistych, grubych liści ozdobnych roślin świątecznych mrozem i gnijących.

- Wobec tego może powoli dokończymy nasze śniadanie - powiedziałem drżący, ponaglając żonę.

Kiedy obróciła się i zrobiła krok, pękły pod jej stopami sopte lodu, straciła równowagę i padając zabrudziła o zamarzniete błoto obie dłonie i kolana. Często traciła poczucie równowagi po długiej nocy pijaństwa nie tylko pod wpływem utraty siły fizycznej, lecz także psychicznej, dlatego od czasu do czasu zdarzały się jej takie upadki. Teraz również w nozdrzach żony odżyło wspomnienie przykrewj woni i przytępiło nieco poczucie równowagi. To znaczy, że duchy umarłych ozdobnych roślin z naszego tokijskiego mieszkania powaliły żonę na ziemię.

Po naszym ślubie żona w południowej części naszej kuchnio-jadalni zbudowała szklaną cieplarnię wielkości ponad trzech metrów kwadratowych i hodowała w niej drzewko kauczukowe, monstere, rozmaite paprocie i odmiany orchidei. W środku zimy, gdy zapowiadano nadejście chłodu, zapalała w kuchni piec gazowy na całą noc, co godzinę wstawiała z łózka i wpuszczała do małej cieplarni ogrzane powietrze. Sugerowałem różne kompromisowe rozwiązania, jak na przykład pozostawienie szpary między kuchnią a drzwiczkami małej cieplarni czy umieszczenie kosza z węglem drzewnym w cieplarni, ale żona od dzieciństwa obawiała się złodziei i grozy pożaru. Z powodu tej neurotycznej troskliwości całą cieplarnię od podłogi po niski sufit zapełniły bez reszty wybujałe i gęste rośliny. Lecz tej zimy co noc przed snem piła whisky i trudno jej było czuwać nad cieplarnią od północy do świtu, ja też bałem się, kiedy pijana żona obsługiwała piecyk gazowy. W takim to okresie zapowiedziano nadejście pierwszej tej zimy fali chłódów. Czekaliśmy na nią z takim samym uczuciem, z jakim mały i słaby

oddział oczekuje zbliżania się wielkiej armii. Wczesnym rankiem po nocy tak chłodnej, że trudno było spać, poszedłem do kuchni, by przez oszklone drzwi zajrzeć do cieplarni, i wtedy odkryłem, że wszystkie liście są uszkodzone, pokryte czarnymi punktami. Ale nie było to objawienie szczególnie złowieszcze, przynajmniej o tyle, o ile wiązało się z wrażeniem wzrokowym. Wszystkie liście były uszkodzone, ale jeszcze nie zwiędły; otworzyłem oszklone drzwi, wszedłem do cieplarni i dopiero wtedy, gdy bezpośrednio zetknąłem się z prawdziwymi rozmiarami strat, jakie poniosły ozdobne rośliny, przeżyłem straszny szok. Po prostu odrzucił mnie silny zapach surowizny, podobny do woni mokrego psiego pyska, wypełniający małą cieplarnię. Gdy woń opanowała całą moją świadomość, spostrzegłem, że liście drzewka kauczukowego i monstery pokryte są po obu stronach plamami w różnych odcieniach czerniejącej zieleni i wyglądają jak olbrzymi mężczyźni, którzy umierają stojąc, a czarne skupisko szerokolistnej orchidei, przycupniętej u moich stóp, wyglądało jak schorowany jenot. Przygnębiony wróciłem do sypialni i od razu zasnąłem udręczony wonią psiego pyska, która przyłgnęła do całej skóry. Przed południem, gdy znów się obudziłem, od żony, jedzącej w milczeniu spóźnione śniadanie, buchnęła ku mnie znana mi już woń i przypomniała chwile spędzone w cieplarni, gdy żona leżała niczego nie świadoma. Odkąd zaczęła unosić się w głębszej warstwie zamroczenia alkoholowego, symptomy rozkładu w naszym domu były już bardzo liczne, ale dotąd nigdy jeszcze nie przejawiały się z tak agresywną siłą atakującą bezbronne zmysły. Przewyciężając odrazę znowu zajrzałem za oszklone drzwi: w mocniejszym świetle słonecznym czarne plamy objęły już całe liście, które, niby ręce ułamane w przegubie, zwisały więdnące na badylach, więc tym razem nie miałem wątpliwości, że rośliny umierają.

Na pewno jeśliby wszystkie drzewa w lesie otaczającym dolinę zostały porażone przez mróz, ludzie tej wioski poczuliby się tak, jakby otoczyła ich woń mokrych pysków stu milionów psów, a do tej sytuacji nie mógłby się przystosować człowiek dysponujący zwykłą życiową wrażliwością. Zastanawiając się nad tym, odniosłem wrażenie, że zaczynam tracić równowagę stojąc na tych pękających soplach lodowych. Gdy w budzącym grozę milczeniu wróciliśmy do pokoju, kończyliśmy ponure śniadanie w zupełnie innej atmosferze niż je zaczynaliśmy, gdy Takashi był ośrodkiem zainteresowania.

Po południu listonosz przyniósł list dla Momoko i powiedział, że jest dla nas paczka na pocztę. Zawiera urządzenie zwane „wygódką”, które zamówiła żona przez swą rodzinę w Tokio, gdy odkryła je w dziale ogłoszeń pewnej gazety. Zgodnie z katalogiem jest to coś w rodzaju krzesła bez dna. Ustawia się je nad otworem ubikacji w stylu japońskim i w ten sposób powstaje ubikacja w stylu europejskim, umożliwiająca siedzenie w czasie wypróżniania się, co nie męczy kolan. Żona podarowała je Jin, żeby mogła oprzeć ogromny ciężar swego ciała i żeby ta „najgrubsza kobieta w Japonii” mogła wyzwolić się od ciężkiego obowiązku przysiadania. Co prawda szkielet tej „wygódki” składa się z elementów zrobionych z lekkiej rurki metalowej, nie wiadomo więc, czy wytrzyma ciężar ponad stu trzydziestu dwu kilogramów i czy staroświecka Jin da się przekonać i zechce używać tego urządzenia bez dodatkowych sensacji. W każdym razie nadejście „wygódki” rozbudziło naszą ciekawość, więc, zmęczeni nudą ponurego przesiadywania w domu, od razu wyruszyliśmy na pocztę brukowaną drogą prowadzącą w dół.

Gdy przechodziliśmy przed supersamem, zatrzymał nas tłum dziwnie ożywiony. Owa wesoła atmosfera we wspomnieniach dni spędzonych w tej dolinie łączy się bezpośrednio z gwarem festynu. Oddalone nieco od gęstego tłumu przy wejściu do hali

targowej dzieci w świątecznych kimonach były zajęte starodawną zabawą w kopanie kamyków - barwność ich strojów również wiąże się ze wspomnieniem festynu. Wśród nich była mała dziewczynka w szkarłatnym kimonie o wzorach feniksa utkanych złotem i zielenią oraz srebrzystym pasie obi, które zapewne dostały się w ręce rodziców w zamian za niewielką ilość ryżu w okresie kryzysu żywnościowego; na jej szyi wisiał złocisty dzwonek wielkości pięści, samą szyję natomiast owijał czerwony kołnierz ze sztucznego lisa. Gdy dziewczynka kopała kamyk, dzwonek dzwonił hałaśliwie i straszyl otaczające dzieci. Na czerwonej kurtynce zwisającej z okapu magazynu, którego stare ściany usunięto i na ich miejsce wstawiono plastikowe płyty, wymalowane były następujące hasła reklamowe:

Czar zwielokrotniony rozbudza wir eksplodującej popularności.

Wasz ulubiony 3S2D wprowadza wielką obniżkę cen, niebywałą i ostatnią w tym roku.

Cały sklep ogrzewany.

- „Cały sklep ogrzewany”, to wspaniale, prawda?

- Wiesz, Mitsu, jest tam zaledwie parę nędznych piecyków - powiedziała żona, która wraz z Momoko już kilka razy przychodziła tutaj kupować żywność.

Również kobiety, które skończyły zakupy, wcale nie zamierzały odchodzić, tłoczyły się nadal przy dużej szybie okiennej u wejścia (na niej białą farbą wypisane były znacznie obniżone ceny wielu artykułów; z miejsca, w którym staliśmy, nie mogliśmy zobaczyć, co było wewnątrz). Niektóre spośród zgromadzonych kobiet przytknęły czoła do szyby, wpatrując się we wnętrze poprzez labirynt białych napisów. W końcu, gdy wyszła chłopka trzymająca przed sobą papierową torbę pełną zakupów, z prostokątnym kocem na ramionach i głowie jak Indianka z Południowej Ameryki, wśród zebranych na zewnątrz przebiegła fala westchnień zazdrości. Drobną kobietą okrytą kocem skuliła się nieco i ubawiona roześmiała się piskliwie, jakby ją polachotały kobiety, które podchodziły, otaczały ją i wyciągały ręce, aby dotknąć koca. W moim oku, które długo znajdowało się daleko od tej doliny, wszystkie te kobiety wyglądały tak, jakby przyszły spoza tutejszej wioski, ale nie byłem tego całkowicie pewien. Może należałoby raczej uznać, że wśród miejscowych mieszkańców pojawiły się nowe obyczaje.

Już odchodziliśmy stamtąd bez słowa, gdy przypadkowo odkryłem wychodzącego spoza pleców kobiet młodego kapłana niosącego również pakunek z zakupami. Spozrzegł nas z daleka i podszedł z dobrodusznym uśmiechem. Pod przedwcześnie posiwiałymi, krótko przystrzyżonymi włosami, starannie wymytmymi i połyskującymi srebrzyście, wokół płonących oczu różowiła się skóra nadająca całej twarzy wygląd nowo narodzonego królika.

- Przyszedłem kupić noworoczne ciasto ryżowe - tłumaczył się bardzo zawstydzony młody kapłan.

- Ciasto ryżowe? Czy już wierni w tej dolinie zapomnieli o zwyczaju dostarczania kapłanowi ciasta ryżowego?

- Teraz już w żadnym domu nie przygotowują ryżowego ciasta, to dlatego. Wszyscy kupują je w supersamie albo wymieniając za specjalny ryż nadający się na to ciasto, albo za pieniądze. W ten sposób zanikają powoli podstawowe elementy życia w tej dolinie. Stopniowo się rozpadają jak komórki traw. Czy widziałaś kiedy, Natchan, trawę pod mikroskopem?

- Tak.

- Wiesz, pojedyncze komórki liści mają określoną formę. Gdy się rozpadną i zamienią w miękką bezkształtną masę, oznacza to, że albo są chore, albo już umarły. Kiedy

przybędzie takich komórek bez formy, liść więdnie. Również dla życia doliny sytuacja będzie groźna, gdy podstawowe jego elementy stopniowo tracą formę. Zgadzasz się ze mną? Ale ja nie mogę powiedzieć ludziom tej wioski, że muszą znów wyciskać z siebie pot tłukąc ryż na ciasto mochiw tym samym starym młódku kamiennym, tłuczkami, które przekazali im przodkowie. Po prostu będą mnie fałszywie posądzać o to, że chciałem od nich otrzymywać to ciasto. - Kapłan roześmiał się.

Porównanie do roślin podziałało na nas mocno, wywarło duże wrażenie. Żona dostosowując się do śmiechu kapłana uśmiechnęła się wstydliwie, z największym trudem. Z supersamu wyszło jeszcze kilka kobiet, powitały je czekające na zewnątrz, ale jedna z tych, które wyszły, krzyknęła chrapliwym głosem, kpiąc z samej siebie: „Co za zakalec!” Była w średnim wieku, o wzburzonej twarzy czerwonomiedzianego koloru, śmiała się do rozpuku marszcząc brwi i wymachiwała nad głową plastikową zieloną zabawką w kształcie miniaturowego kija golfowego.

- Zakalec znaczy u niej rzecz nic niewarta - przetłumaczyłem żonie znaczenie słowa.

- Rzecz nic niewarta, bo co ma wspólnego kij golfowy z tą wioską? Nawet w postaci zabawki? - pytała żona powątpiewająco. - A dlaczego takie rzeczy kupują?

- Nie kupują; to, co ona ma oprócz toreb - koc i zabawkę - to nagrody. Przy wyjściu jest stoisko z loterią, wygrywają więc różne bezużyteczne rzeczy, nawet ci, którzy skończyli zakupy, tam się gromadzą i przypatrują nędznemu szczęściu innych - powiedział kapłan odwracając od nas twarz.

Gdy szliśmy na pocztę, kapłan między mną i żoną, rozmawialiśmy o nieszczęściu, jakie spotkało grupę młodzieżową, o ich kilku tysiącach kur. Kapłan wiedział już o tym, że kury pozdychały, ale zbladł, gdy usłyszał, że Takashi pojechał do miasta przedyskutować sprawę niepowodzenia z „cesarzem” supersamów.

- Jeśli zwracają się teraz z taką prośbą do Takashiego, to dlaczego nie porozumieli się z „cesarzem”, zanim ptactwo nie pozdychało? Wszystko, co robią, jest bez ładu i składu, i ze wszystkim się spóźniają - krytykował.

- Czy grupa młodzieżowa nie zamierzała działać w miarę możliwości niezależnie od „cesarza” supersamu? Mimo że była w sytuacji, w której musiała mu ulec, choćby ze względu na system sprzedaży? - wypowiedziałem pogląd neutralnego obserwatora.

- Przede wszystkim nie chcieli zawrzeć kontraktu o przekazywaniu wszystkich jaj do sprzedaży w supersamie, starali się zachować sobie swobodę rozszerzania dróg zbytu na targu i w małych sklepikach i w ten sposób przyczynili się do własnej przegranej. To był poroniony pomysł od samego początku. Mitchan, przecież teren, na którym hodowali kury, i budynek należą do właściciela supersamu. Teoretycznie ziemię, na której znajdowało się osiedle Koreańczyków odbywających przymusowe roboty w lesie, sprzedano im po wojnie, ale wkrótce całą tę ziemię zmonopolizował jeden z nich, wykupiwszy działki innych. Odtąd ciągle się bogacił, aż stał się „cesarzem” dzisiejszego supersamu.

Był to dla mnie głęboki wstrząs. Jin i jej rodzina, inni starzy znajomi z tej doliny nie powiedzieli nam słowa na temat przeszłości „cesarza”, dowiedziawszy się, że mamy zamiar sprzedać mu spichrz.

- Dobrze by było, gdyby Taka o tym wiedział przed rozpoczęciem rozmów. Martwię się, czy grupa młodzieżowa tej doliny przekazała Takashiemu dostateczne informacje - żona przejawiała otwartą nieufność wobec „Zjawy jeża morskiego”, który z Takashim rozmawiał zwykle po cichu, całkowicie nas lekceważąc. Mogłem tylko na zimno wyobrazić sobie tę drobną frustrację, jaka może spotkać Takashiego, gdy aktywnie

przystąpi do współpracy z młodzieżą. Całkowite milczenie mieszkańców wioski na temat tego, kim był „cesarz” supersamu, legło ciężko na mojej świadomości.

- Jeśli nawet stał się naturalizowanym Japończykiem, to mimo wszystko nadanie człowiekowi pochodzenia koreańskiego miana japońskiego cesarza świadczy o dużej złośliwości, do której zdolni są mieszkańcy tej doliny. Ale dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

- To proste, Mitchan. Ludzie tej doliny nie chcą przyznać się teraz, że są ekonomicznie zależni od Koreańczyka, który przybył do przymusowej pracy przy wyrębie lasu dwadzieścia lat temu. Tego rodzaju uczucia ukrywają głęboko i dlatego chyba celowo nazywają tego mężczyznę „cesarzem”. Dolina jest śmiertelnie chora!

- Chyba naprawdę śmiertelnie chora - zgodziłem się w ponurym nastroju. Przeczuję, że jest to istotnie przejaw śmiertelnej choroby o głębokich korzeniach. Przeczuję, że coś niepojętego, mrocznego i złego kryć się musi we wzajemnych stosunkach ludzi tej doliny z „cesarzem” supersamu. -Ale wróciwszy do doliny nie słyszałem ani nie widziałem niczego, co wskazywałoby na objawy do tego stopnia groźne.

- Ludzie doliny już dawno przywykli do objawów śmiertelnej choroby. Przy tym udoskonalili sztukę zręcznego ich ukrywania przed oczami obcych. - Kapłan powiedział to takim tonem, jakby zdradzał tajemnicę.

- A jaki jest człowiek, którego nazywają „cesarzem”?

- Pytasz, czy jest to człowiek zły, czy nie? Muszę przyznać, Mitsu, że nie mam nic przeciw niemu. A co do sposobu prowadzenia przez niego handlu, to myślę, że gorsi są mieszkańcy doliny. W końcu to oni zostaną zapędzeni w ślepy zaułek. Przykładem tego jest sprawa z kurami! Od czasu do czasu ogarnia mnie niepokój o to, co kryje w zanadrzu ten człowiek przeciw ludziom doliny, ale w obecnej sytuacji nic nie mogę powiedzieć.

- Mimo wszystko to bardzo nieprzyjemne, wydaje mi się, że jest jednak coś niedobrego w całej tej dolinie.

- Dla nas to coś więcej niż nieprzyjemność - kapłan przez sekundę popatrzył na mnie surowym wzrokiem i dodał ze smutkiem: - To trudno wyjaśnić, Mitchan. To, co jest jasne, to tylko stan śmiertelnej choroby.

.. Następnie kapłan, jakby obawiając się kolejnego mojego pytania, poprawił na ramieniu torbę z ciastem mochi i odszedł z wyraźnym pośpiechem.

Zamilkłem i przyspieszyłem kroku idąc w dół brukowanej drogi, a nie nadążająca za mną żona podbiegła, aby mnie dogonić. Na poczcie otrzymaliśmy przesyłkę z „wygódką” i wróciliśmy tą samą brukowaną drogą. Żona poszła do supersamu i kupiła noworoczne ciasto dla nas i rodziny Jin. Żona, choć nie całkowicie obojętna wobec uczucia oburzenia i niechęci, jakie wzbudzał we mnie ten magazyn odnowiony i zamieniony na supermarket, nie uważała tego jednak za przeszkodę nie do pokonania. Wyszła z supersamu niosąc zieloną plastikową żabę, którą wygrała.

- A przecież to moja pierwsza loteria od zamążpójścia -poskarżyła się rozczarowana.

Po rozpakowaniu przesyłki ukazało się proste urządzenie zrobione z wygiętych na kształt „U” dwu rurek, połączonych podtrzymującymi je słupkami. Gdy to ujrzałem, odniosłem wrażenie, że wyjaśnienie Jin sposobu posługiwania się tym przyrządem nie będzie czymś zwyczajnym i prostym, dlatego zawałem się. Jin może to odrzucić mówiąc „zakalec” z wielokrotnie większą jadowitością w głosie niż kobiety zgromadzone przed supersamem, może też posądzić nas, że jest to forma kpiny, którą wymyśliłem z dużym nakładem pracy i cierpliwości. Dlatego zadanie objaśnienia

wygódki powierzyłem żonie, na ten czas zawołałem synów Jin na podwórze i - rozgniatając pąk po pąku niespokojne spekulacje związane z „cesarzem” supersamu, którego dotąd nie spotkałem - zebrałem tekturę z opakowań i rozpałem małe ognisko. Dzieci też wiedziały, że pozdychały wszystkie kury grupy młodzieżowej. Według synów Jin, młodzież postawiła straż wokół kurników, aby nikt z doliny nie przyszedł kraść zdechłych kur. Dawna osada koreańska wygląda jak brudny ul, zapchana wielopiętrowymi kurnikami i pokładami schnących kurzych odchodów, a nad całym terenem unosi się chmura gęstej intensywnej woni. Niestety, dziś rano ptactwo sztuka po sztuce padało i nie podnosiło się więcej w ciasnych i dusznych pomieszczeniach. Synowie Jin wraz z innymi dziećmi chcieli je obejrzeć, ale odpędził ich patrol grupy młodzieżowej.

- Chłopcy są tak rozgniewani, jakby to była nasza wina -poskarżył się najstarszy z synów Jin, z wyrazem twarzy łagodnym, a jednocześnie niezwykle chytrym. - Nikt tu nie będzie kradł zdechłych kur, chyba że z wściekłości oni to zrobią sami.

Wychudli synowie Jin wybuchnęli piskliwym śmiechem. To jasne, że ich kpiący śmiech krył w sobie chłodną obojętność wszystkich dorosłych w tej dolinie wobec grupy młodzieżowej, której nie powiodła się hodowla kur. Po raz pierwszy ogarnęło mnie współczucie dla miejscowej organizacji młodzieżowej, wziętej w krzyżowy ogień, między „cesarzem” supersamu, który teraz wydał mi się bezwzględny potworem, a równie bezwzględnymi dorosłymi tej doliny. Podobnie rzecz się miała z grupą chłopców zwolnionych z wojska, których brutalna działalność doprowadziła do śmierci brata S.; dorośli z doliny, wykorzystując ich do własnych celów, mieli do nich stosunek oparty na głęboko zakorzenionym poczuciu ostrożności i pogardy. Dopiero po ucieczce w zewnętrzny świat, umożliwiającej obiektywne spojrzenie wstecz na życie codzienne wioski, dopiero teraz, gdy przekroczyłem wiek, w którym umarł brat S., po raz pierwszy mogę to zrozumieć. Była oczywiście jedna różnica: dawniej dzieci występowały przeciwko dorosłym, otaczając uwielbieniem grupę młodzieżową, podczas gdy dziś zachowują równą obojętność wobec tej grupy, co wobec dorosłych. Gdy ognisko się dopaliło, na zamarznętej ziemi pozostał ciepły czarny wrzód. Dzieci zadeptały go bez jakiegoś szczególnego sensu.

Żona, która wróciła z oficyny, powiedziała do synów Jin:

- Możecie iść do domu. Są ciastka ryżowe. - Ale dzieci zlekceważyły to i dalej zadeptały ognisko. Były przeczulone i miały swoją dumę, gdy chodziło o wszelkiego rodzaju pożywienie. Zastanawiałem się, czy nie dlatego są takie chude, że Jin, przeklinająca swój ogromny apetyt - który wyrobił w niej przekonanie, że z pokarmów wyrastają kolce cierpienia zaszczepiła im także tę myśl.

- Mitsu, Jin się ucieszyła - powiedziała żona.

- Nie rozgniewała się?

- Początkowo popatrzyła na przyrząd i powiedziała, że kpisz sobie z niej, ale w końcu zrozumiała, że to ja zamówiłam go dla niej. Ona naprawdę użyła słowa „kpić”.

- To prawdopodobne. Słowo to, przynajmniej w czasach mojego dzieciństwa, było słowem codziennym w tej dolinie. Moja matka, gdy żartowałem, gniewała się, zdenerwowana, że kpimy z rodziców. Czy sądzisz, że ten problematyczny produkt przyda się Jin?

- Myślę, że tak. Tylko musi uważać, żeby się nie zraniła, jeśli się przewróci na bok, zresztą pierwsza próba była udana. - Żona złożyła sprawozdanie, potem zrezygnowała z dalszych szczegółów w obecności dzieci, które uparcie siedziały bez ruchu i pilnie słuchały, następnie powiedziała nagle:

- Jin zapytała, więc powiedziałam o naszym dziecku.

- To trudno. Skoro zanosłaś jej tego rodzaju urządzenie, to oczywiste, że miałaś ochotę pomówić o sekretach, by zmniejszyć jej zakłopotanie.

- Ale jeśli usłyszysz, co ona mi powiedziała, Mitsu, to chyba nie będziesz taki wyrozumiały. Oczywiście, ja nie zgadzam się z tym, co powiedziała Jin. - Żona mówiąc to jakby stopniowo przewyciężała jakąś przeszkodę. - Jin zastanawiała się nad tym, czy to nie dziedzictwo z twojej strony zaważyło na chorobie dziecka.

Wstrząsnął mną palący gniew. Wystarczająco silny, by w ciągu chwili wymieść złowieszczy cień, który rzucił „cesarz” na moje serce. Czerwieniejąc od mrocznej chmury niepokoju wywołanego jakby atakiem nieznanego zupełnie wroga, uczyniłem wysiłek, by przygotować się do obrony.

- Podstawy do tego rodzaju podejrzeń są naprawdę błahe. Może jedynie to, że dostałeś raz konwulsji w wieku przedszkolnym. - Żona wyjaśniła z pośpiechem i zaczerwieniła się pod wpływem reakcji widocznej na mojej twarzy.

- Miałem atak i zemdlałem w czasie, gdy oglądałem przedstawienie szkolne - powiedziałem z uczuciem głębokiej ulgi odrzucającej poprzedni wstrząs, próbując językiem smaku resztek gorączki gniewu błakającego się jeszcze we mnie i nie dającego się w żaden sposób usunąć z zakamarków ciała.

Synowie Jin roześmieli się piskliwie. Tym dziecinnym piskliwym śmiechem, przepelnionym chęcią obrażenia i mnie, i żony, z godną pochwałą odwagą wyrównały nasz psychiczny rachunek, pozostawiając między wierzycielami czystą kartę, bo gdy rzuciłem na nie gniewne spojrzenie, bynajmniej nie zrażone śmiały się nadal odchodząc szybko, jeden obok drugiego, do swej otyłej matki i noworocznych ciastek ryżowych. My z żoną wróciliśmy do paleniska. Obawiając się przyływu podejrzliwości, jaki mógłby nastąpić dziś wieczorem w duszy pijanej żony, wiedziałem, że aby zgnieść te ziarna, muszę opowiedzieć o prawdziwej naturze złego ducha, który nawiedził mnie nagle w dzieciństwie, gdy oglądałem szkolne przedstawienie. Przy tym moje wspomnienie nie może zawierać nic takiego, co by popchnęło żonę w przeciwną stronę po spadzistym zboczu ku pijaństwu. Opowiadając, zwracałem na to szczególną uwagę.

Przedstawienie szkolne, o którym często mówiono jako o ostatnim w naszej szkole przed wojną, musiało się odbyć jesienią tego roku, kiedy rozpoczęła się wojna. Wówczas mój ojciec wykonywał w północno-wschodnich Chinach pracę o nieokreślonym charakterze, pracę tajemniczą nie tylko dla nas, dzieci, ale również dla żyjącej jeszcze wtedy babki i dla matki. Sprzedał pole, zgromadził kapitał, przepłynął cieśninę i udał się do Chin, gdzie odtąd spędzał ponad sześć miesięcy w roku. Najstarszy brat studiował na uniwersytecie w Tokio, brat S. był w szkole średniej w pobliskim mieście, dlatego w skład rodziny przebywającej na wsi wchodziła babka, matka, poza tym, oprócz Jin, ja i mój młodszy brat oraz siostra, która tylko co się urodziła. Wzięliśmy więc zaproszenie przysłane na nazwisko ojca i poszliśmy, troje dzieci i Jin, na przedstawienie szkolne. Jeszcze dziś pamiętam wyraźnie tę scenę, jakbym miał trzecie oko patrzące z sufitu klasy i dające mi możliwość widzenia z lotu ptaka: na samym środku w pierwszym rzędzie największej klasy w szkole siedziała Jin z siostrą na plecach, a po jej bokach brat i ja na szkolnych drewnianych krzesłach, z nogami zwisającymi w powietrzu.

Metr przed nami znajdowała się scena zestawiona z dwu platform, na której uczniowie odgrywali sztukę. Najpierw z przepaskami z ręczników na głowach (sądząc po liczbie dzieci w starszych klasach w dolinie, nie mogło ich być więcej niż czternastu czy piętnastu, ale w moich dziecięcych oczach wyglądało to na wielki tłum) naśladowali ruchy uprawiania ryżu. Przedstawiają po prostu chłopów z dawnych czasów. Po chwili

odrzucają motyki i rozpoczynają ćwiczenia walki za pomocą siekier i sierpów. Pojawia się przywódca, jeden z miejscowych chłopów, w oczach dziecka jest on naprawdę wielkim mężczyzną. Pod jego przewodem uzbrojeni chłopci ćwiczą prowadzenie walki, w której mają odciąć głowę najpotężniejszego człowieka klanu feudalnego. Głowę symbolizuje czarne zawiniątko, a podzieleni na dwie grupy chłopci walczą o zdobycie tej „falszywej głowy”. W drugim akcie pojawia się mężczyzna we wspaniałym kostiumie i ostrzega chłopów mówiąc, że nie wolno zabijać człowieka wpływowego, ale wzburzeni chłopci już go nie słuchają. Wtedy mężczyzna mówi, że on sam zetnie tę głowę. Przed czatującymi w ciemności chłopami przechodzi mężczyzna w masce i w tym momencie atakuje go człowiek w pięknym kostiumie. Rolę mężczyzny w masce grał uczeń z czarną zasłoną na twarzy i czarną kulą przywiązaną nad głową, dlatego był wyższy od pozostałych dzieci i jego sylwetka budziła grozę. „Prawdziwa głowa” zaatakowanego mieczem mężczyzny z ciężkim łoskotem spadła na scenę i potoczyła się, a mężczyzna, który zadał cios, krzyknął donośnie w stronę ukrywających się chłopów: „Oto głowa mojego młodszego brata!” Chłopci, zdjąwszy maskę stwierdzili, że jest to głowa ich młodego przywódcy, płakali gorzko ze wstydu. Jin wcześniej opowiedziała mi treść sztuki, ponieważ oglądała przedstawienie w czasie prób, i mimo że dobrze znałem sztuki teatralne, to jednak w momencie kiedy spadła „prawdziwa głowa” zrobiona z koszyka wypełnionego kamieniami, a może w momencie gdy przestraszył mnie krzyk: „Oto głowa młodszego brata”, albo może - zgodnie z rzeczywistym odczuciem świata moich wspomnień - w tym najbardziej krytycznym momencie, w którym połączyły się obie rzeczy, ogarnął mnie strach, upadłem z jękiem na podłogę, dostałem konwulsji i straciłem przytomność. Kiedy odzyskałem świadomość, byłem już w domu, a babka przy moim łóżku powiedziała do matki: „Nawet u prawnuka więź krwi to rzecz przerażająca!” Gdy to usłyszałem, znów opanował mnie strach tak wielki, że zamknąłem oczy i zeszywniałem, udając w dalszym ciągu nieprzytomnego.

- Pamiętasz, kiedy wydałem swój pierwszy przekład, otrzymałem list od emerytowanego nauczyciela szkoły podstawowej w dolinie. Napisał mi, że w czasie owego przedstawienia był zastępcą kierownika szkoły; był matematykiem, a ponieważ studiował historię swego regionu, napisał scenariusz do tej sztuki. Jednak tej zimy rozpoczęła się wojna, w następnym roku zmienił się system szkolny, powstały tak zwane szkoły narodowe, tekst sztuki spotkał się z krytyką, a jej autora pozbawiono wyższej rangi i stał się znów zwykłym nauczycielem. Gdy wobec tego zapytałem go listownie, czy mój pradziadek naprawdę zabił swego młodszego brata, odpowiedział mi na to, że tamta legenda chyba nie mówi prawdy, a on sam skłonny jest raczej uważać za fakt historyczny inną wersję, a mianowicie tę, która mówi, iż mój pradziadek wysłał do Kóchi młodszego brata, przywódcę buntu chłopskiego. Pytałem go również o szczegóły dotyczące śmierci mojego ojca, ale odpowiedział mi, że moja matka, która w tej sprawie powinna coś wiedzieć, nie miała najmniejszej chęci wgłębiania się w znaczenie tego zdarzenia, co więcej, czyniła wszelkie wysiłki, aby o tym zapomnieć, więc dzisiaj w ogóle nie ma kogo zapytać, by dowiedzieć się czegoś pewnego w tej kwestii.

- Ciekawe, czy Takashi nie chce spotkać się z tym byłym nauczycielem? - zapytała żona.

- To jasne, że Takashi interesuje się faktami czy tajemnicami różnych nieżyjących już ludzi z naszej rodziny, ale wątpię, czy ów historyk rodzinnej ziemi zaspokoi jego potrzebę heroizmu - powiedziałem i zakończyłem rozmowę.

Gdy rozpoczęła się wojna na Pacyfiku, mój ojciec przysłał wiadomość, że rzucił pracę w Chinach i wraca do domu, ale zaginał bez wieści; dopiero po trzech miesiącach policja

w Shimonoseki przekazała matce ciało. Śmierć budziła wiele wątpliwości, na jej temat krążyły liczne pogłoski, twierdzono, że ojciec zmarł na atak serca na promie, to znów, że skoczył do morza, gdy wchodzili do portu, a nawet, że zmarł w czasie przesłuchania na policji; matka zaś, która jeździła po odbiór ciała, nie powiedziała ani słowa o jego śmierci po powrocie do wsi. Po wojnie brat S. próbował wypytać matkę o szczegóły śmierci ojca, ale spotkał się z absolutną odmową, co go zdenerwowało; to było bezpośrednim powodem prób zaprowadzenia matki na badania do szpitala dla umysłowo chorych.

O zmierzchu od strony wejścia do doliny nadleciał nagły poryw wiatru, który przecesał niekę w kształcie wrzeciona i uniósł się później w górę. Do domów w dolinie przyniósł dziwną woń jakby palonej substancji zwierzęcej, wywołując dolegliwości fizyczne i mdłości. Ja i żona, zakrywając chustką nos i usta, wyszliśmy na podwórze i patrzyliśmy w stronę wejścia do doliny, a także na samą dolinę, ale widać było tylko wznoszące się wątle smugi dymu, niezbyt wyraźne, znikające, wchłaniane przez porywy wstającej z ziemi świeżej mgły. W czerwieniejącym mroku głębi nieba widoczne były resztki dymu wydobywające się z ciężkich warstw mgły i usiłujące wznieść się ku górze, to znów rozpadające i rozsypujące się bez śladu. Bieleły one wyraźnie na tle czarnego lasu i połyskiwały niby ślina. Z oficyny wyszedł mąż Jin z synami, stanął w mroku kilka kroków od nas i też patrzył na niebo nad doliną. Dzieci głośno pociągały nosami, starając się rozpoznać, co to za dym. W pogłębiającym się stopniowo mroku małe noski chłopców wyglądały jak czerniejące palce i hałaśliwie, z energią potwierdzały swoje istnienie. Również na placu przed urzędem wiejskim pojawiło się kilka czarnych sylwetek ludzkich spoglądających w niebo.

Noc już zapadła na dobre, powrócił Takashi ze swoją strażą przyboczną. Wszyscy byli zmęczeni i brudni, ale poza milczącym Hoshio, Takashi i Momoko byli w bardzo dobrych humorach. Takashi, zgodnie z obietnicą, kupił pół tuzina butelek whisky, więc żona aż zaniemówiła widząc je stojące rzędem. Poza tym kupił dla Hoshio kurtkę skórzaną, a dla Momoko - sweter. Mimo nowych ubrań, ten sam osobliwy odór, wypełniający dolinę o zmierzchu, przylegał do ich ciał jeszcze ściślej niż ochronna błona.

- Co tak podejrzliwie na nas patrzycie, Mitsu i Natchan? -zapytał Takashi udając, że nie rozumie naszej reakcji na wydzielany przez nich zapach. - Nie jesteśmy duchami tych, którzy zginęli w wypadku w głębi lasu. To prawda, po oblodzonej drodze, we mgle, jechaliśmy szybko tym rozpadającym się gratem z uszkodzonym sprzęgiem, ale Hoshio jest geniuszem, świetnie prowadzi. W ciemności lasu jeździ z taką swobodą jak biegnący pies uderzający pazurami o lód. W epoce cywilizacji maszyn pojawia się szczerp, który potrafi wytworzyć w sobie specjalne, instynktowne wycucie mechaniki.

Takashi wyraźnie dążył do ożywienia nastroju Hoshio, ale ten inżynier-nastolatek nie bardzo na to reagował. Albo wyczerpał się nerwowo szaleńczą jazdą przez las, albo też przeżył coś przykrego, co wyczerpało jego dziecinną energię.

- Taka, na pewno nie jesteś duchem, ale cuchniesz -powiedziałem wprost.

- To dlatego, że spaliłem kilka tysięcy zdechłych kur. -Takashi roześmiał się. - Zerwaliśmy deski kurników i wszystko spaliliśmy, zesztynniałe kury, miękkie gówno, wszystko. Ale ten smród, potworny! Na pewno przeniknął do naszej krwi.

- Czy ludzie z doliny się nie skarżyli?

- Oczywiście, skarżyli się! Ale nie zwracaliśmy na to uwagi. W końcu przyszedł nawet policjant, ponieważ ognisko było niemałe. Ale policjant zawrócił bez słowa, kiedy zobaczył czterech czy pięciu z grupy młodzieżowej strzegących zejścia z mostu. Młodzi odkryli własną siłę pozwalającą im przeciwstawić się policji. Wszyscy są tym podnieceni. Kilka tysięcy kurczęt zdechło i spaliło się bez sensu, ale czegoś to grupę

młodzieżową nauczyło. W każdym razie był to pewien zysk. - Nie potrzebowali odpędzać policjanta. Bo przecież pokonają jednego, ale przegrają, gdy przyjedzie cały oddział. Więc to nie ma sensu - wtrącił zamyślony Hoshio.

To mi przypomniało, z jakim uporem ten chłopiec przeciwstawiał mi się w ową noc, kiedy czekaliśmy na lotnisku na Takashiego. Hoshio był młodzieńcem, który nie tylko dla obrony honoru swego bóstwa opiekuńczego, ale nawet wbrew temu bóstwu upierał się przy swoich stałych poglądach.

- Hoshi, kiedy śnieg zacznie padać i przerwana zostanie komunikacja z miastem i z osadami nadmorskimi, będą mieli do czynienia tylko z jednym policjantem. Założę się, że w dzieciństwie straszono cię policjantem, kiedy byłeś niegrzeczny!

- Nie mówię, że nie można walczyć z policjantem. Wtedy w czerwcu popierałem wszystko, co robiłeś, Takashi, czy nie tak było? - zdecydowanie bronił się Hoshio. - Nie rozumiem, dlaczego Taka dla grupy hodującej kury angażuje się do tego stopnia, że wywołuje nieporozumienia z policjantem. I o tym mówię.

Do tej chwili Momoko samotnie czytała list od rodziny, nagle podniosła głowę i traktując chłopca jak dziecko wtrąciła swoje trzy grosze żartobliwym, śpiewnym głosem.

- Hoshi tak mówi dlatego, że chce Takę zmonopolizować dla siebie. Na próżno by dyskutować. Hoshi będzie się tylko skarżył jak dziewczynka. Natchan przygotowuje nam coś smacznego. Zjedźmy więc kolację i chodźmy spać.

Chłopiec z wyrzutem spojrział na Momoko i pobladł, ale wzburzenie odebrało mu mowę, więc spór na tym się skończył.

- Jak wypadły negocjacje z „cesarzem”? - zapytałem przekonany, że odpowiedź będzie negatywna, skoro Takashi dotąd ociągał się z rozpoczęciem sprawozdania z tej najważniejszej części swojej misji.

- Całkowite fiasko. Odtąd grupa młodzieżowa tej doliny będzie musiała chyba zaprzestać wszelkiej działalności, by całkowicie nie wpaść w jego szpony. Konkretny plan, który przedstawił „cesarz”, to tylko tyle: „Spalcie wszystkie bez wyjątku kury.” Na pewno obawiał się, że gdy ludzie z doliny będą jeść zdechłe kury, spadnie sprzedaż artykułów spożywczych w supersamie. Kiedy wróciliśmy od niego i powiedziałem, że będziemy palić kury, niektórzy wieśniacy patrzyli na mnie złym okiem i nie kryli żalu, więc jego obawy były słuszne. Ale chcę wierzyć, że poprzez to bezużyteczne polewanie benzyną i spalanie kilku tysięcy kur, w rozmiękłych i niewydarzonych mózgach tych ludzi zadufanie i pożądlivość zmienią się w ocet silniejszej niż dotąd nienawiści.

- Jakiego happy endu oczekiwała grupa młodzieżowa, kiedy wysyłała cię do miasta? - zapytałem z goryczą w sercu.

- Oni niczego sobie nie wyobrażali. Oni absolutnie nie mają wyobraźni. Spodziewali się pewnie, że zrobię dla nich użytek z mojej własnej. Ale ja, zamiast podać im smaczne ciastko mojej wyobraźni, pojechałem do miasta po to, aby obnażyć przed ich zamglonymi oczyma rzeczywistość, w której wypada im cierpieć potworny głód. - Takashi zaśmiał się.

- Czy wiedziałeś, że „cesarz” supersamu pochodzi z osady Koreańczyków?

- Dziś sam mi o tym powiedział. Dodał też, że był we wsi w dniu, w którym brat S. został zabity. Więc ja też mam osobisty powód, żeby się mu przeciwstawić wraz z grupą młodzieżową doliny.

- Ależ, Taka, mógłbyś znaleźć tyle powodów, ile sam zapragniesz, publicznych i prywatnych, aby razem z grupą młodzieżową znęcać się nad biednym wiejskim policjantem. Według mnie Hoshio jest uczciwszy - powiedziałem wracając do jego sporu

z Hoshim, aby uniknąć rozszerzenia się we mnie gałęzi niepokoju związanego z „cesarzem” supersamu.

- Uczciwszy? Czy nadal posługujesz się takimi słowami? -zapytał Takashi z wyrazem twarzy tak ponurym, że wzbudził we mnie dreszcz, gdy tak wpatrywałem się w niego. Kiedy Takashi nagle zamilkł, Momoko, która już od dłuższego czasu mruczała coś w rodzaju „wielka wieczerza, wielka wieczerza”, chcąc nas zachęcić do jedzenia, w końcu znalazła okazję, by zwrócić się do niego bezpośrednio.

- Wiesz, Taka, u nas w domu wszyscy czytali książkę o gorylach, którą Mitsu przełożył, i teraz są zupełnie o mnie spokojni, gdy wiedzą, że mieszkam pod jednym dachem z tak uczonym człowiekiem. Mitsu ma uznanie w społeczeństwie, no nie? - wyraziła swój fałszywy respekt.

- Chociaż Mitsu całkowicie wycofał się z życia społecznego, jest wciąż człowiekiem, który cieszy się w tym społeczeństwie uznaniem - wyjaśniła żona, która zdążyła już wypić pierwszą szklankę whisky. - To musi być jasne dla kogoś takiego jak ty, Taka, jesteś przecież całkowicie odmiennym typem!

- Oczywiście, jasne. - Takashi odwrócił wzrok ode mnie, odpowiadając żonie. - I pradziadek, i dziadek, i ich kobiety byli takimi samymi typami jak Mitsu. Prawie wszyscy pozostali z naszej rodziny, oczywiście, zmarli śmiercią przedwczesną, w przeciwieństwie do nich, którzy żyli spokojnie i wygodnie długie lata. Natchan, Mitsu już po dziewięćdziesiątce zachoruje na raka, a przy tym będzie to lekki przypadek!

- Taka, próbujesz wykryć typowy model naszej rodziny i bardzo się z tym spieszysz, prawda? - odparłem, nie chcąc rezygnować ze swego, ale nikt prócz Hoshio mnie nie słuchał. - Dopóki nie odkryjesz, że sam jesteś tym typem, to cały twój wysiłek będzie związany tylko ze światem fikcji i nie stanie się jakąkolwiek rzeczywistą siłą, prawda, Taka?

Po kolacji Takashi połowę zaliczki, jaką otrzymał od „cesarza”, oddał mojej żonie, ale pijana żona nie zainteresowała się tym w ogóle, a kiedy chciałem już całą sumę schować do kieszeni, powiedział:

- Mitsu, czy nie podarowałbyś pięćdziesięciu tysięcy jenów na drużynę piłki nożnej, którą mam zamiar zorganizować dla trenowania grupy młodzieżowej w tej dolinie? Dziesięć piłek przywozłem z miasta, są w citroenie, ale koszty wzrosną, wiadomo.

- Czy piłki są takie drogie? - zapytałem małostkowo Takashiego, który był zawodnikiem drużyny piłkarskiej na uniwersytecie.

- Piłki kupiłem za własne pieniądze. Ale niektórzy kandydaci na członków drużyny codziennie jeżdżą na roboty do sąsiedniej wsi, więc jeśli na początek nie wypłacę im dniówki, nie będą kopać piłki.

6. Futbol po stu latach

W czasie snu usłyszałem trzask bambusu pękającego od chłodu w czerni nocy otaczającej ciemną formę mojego ciała. Dźwięk zmienił się w ostre stalowe kleszcze, wczepił się w śpiącą głowę i rozdrapał ranę. Sceny snu zmieniają się: strumień obrazów sennych wiąże się z powstaniem chłopskim w dolinie, dochodzi do wspomnień z dnia, w którym pod koniec wojny dorośli ze wszystkich domów w dolinie, po jednym z każdego, zostali zmobilizowani i poszli wycinać drzewka w wielkim gaju bambusowym; od tego miejsca strumień zawraca i znów tworzy nowy potok snów coraz bliższych roku 1860. Zapadając ponownie w głębinę snu, wolę ulec tchórzliwej pokusie i oglądać

znajome koszmary senne, zamiast obudzić się i stanąć twarzą w twarz z „cesarzem” supersamu, Koreańczykiem o mocnym ciele i nieprzeniknionym wyrazie twarzy, i ze wszystkimi kłopotami rodzącymi niepokój...

W tym nowym śnie chłopci żyjący we wspólnym „czasie” 1860 roku i końca ostatniej wojny, w mundurach obrony narodowej koloru khaki, ze stalowymi hełmami na plecach i włosami ściągniętymi w staromodny kok, z oddaniem pracują wycinając ogromne ilości bambusowych włóczni. Niektórzy z wymachujących włóczniami, postępujący do przodu, dominują nad innymi w walce w roku 1860, inni mają desperacko zaatakować opancerzone samoloty i łodzie desantowe. Moja matka również wymachuje siekierą i podcina pnie bambusów, ale matka boi się wszelkich ostrych narzędzi, więc choćby tylko dlatego, że trzyma w dłoniach siekierę, traci zimną krew i na zszarzałej twarzy pojawiają się krople potu, zamyka oczy, na ślepo uderza i zadaje rany bambusowi. Bambusy rosną gęsto i o wypadek nietrudno. Nagle matka zrobiła zamach siekierą i uderzyła wierzchem dłoni i trzonkiem siekiery w bambus za plecami. Czubek odbitego ostrza trafił w jej głowę, rozległ się odgłos uderzenia. Matka wolno opuściła siekierę w kępę paproci, powoli dotknęła ręką tyłu głowy, i uniosła ją przed oczy i spojrzała na wgłębienie dłoni zabrudzone krwią w kolorze jasnego cynobru, jakim barwi się ciastka podawane podczas buddyjskich uroczystości żałobnych. Zamarłem, ścięty odrazą i strachem aż do najdalszych głębin mojej istoty. Ale matka, przeciwnie, jakby odzyskała wigor, powiedziała z triumfem do mnie:

- Zraniłam się, więc poproszę o zwolnienie z ćwiczeń!

Powiedziawszy to, zostawiła siekierę i lekko podcięty bambus i ruszyła w dół po zboczu, ślizgając się niemal na kolanach po paprociach.

Kiedy siedzieliśmy z matką w zamknięciu spichrza, oddział mieszkańców doliny, niosący na ramionach bambusowe włócznie, wspinał się po brukowanej drodze pod górę. Dowodził nim Takashi w nieokreślonym wieku. Jest on jedynym w tej dolinie człowiekiem, który oglądał w rzeczywistości Amerykę i Amerykanów, dlatego dla ludzi z doliny, którzy muszą odeprzeć za pomocą włóczni bambusowych wojska amerykańskie, mające wylądować w mieście nadmorskim, jest chyba przywódcą godnym największego zaufania. Ale pierwszym celem oddziału włóczników jest spichrz, w którym ukrywam się z matką.

- Mogą całkowicie zburzyć główny budynek, ale spichrz nie spłonie, nie spalił się też w 1860 roku! - powiedziała matka ze stężałą z wrogości szeroką twarzą, i czołem podwyższonym nieprzyjemną łysiną. - Wiesz chyba o tym, że twój pradziadek odparł atak buntowników strzelając przez otwory strzelnicze w spichrze!

Jednak mimo ponagleń matki nie mam najmniejszego pojęcia jak posługiwać się staroświecką strzelbą, którą trzymam w ręce. W mgnieniu oka główny budynek ulega zniszczeniu, ogień przechodzi na oficynę i w blasku płomieni widzę, jak otyła Jin, która absolutnie nie ma dokąd uciekać, toczy się po ziemi jak larwa, a z jej cierpiącego ciała wypływa w ogromnych ilościach osocze. Mój młodszy brat, przywódca ludu, już stapia się w jedno z młodszym bratem pradziadka z 1860 roku, ustawicznie prowokuje mnie, matkę i rodzinne duchy kryjące się w spichrze. Wokół Takashiego skupia się masa chłopców z grupy młodzieżowej, których wyszkolił na treningach piłki nożnej. Wszyscy chłopcy, poczynając od „Zjawy jeża morskiego”, są ubrani w staromodne piżamy w poprzeczne paski i mają duże czarne koki na głowach. Cały tłum zjednoczył się w jednym okrzyku, skierowanym przeciwko mnie:

- Ty jesteś myszą!

Do tej chwili moja świadomość ze snu składała się z dwóch gałek ocznych, latających nad wzgórzami wokół doliny i ciągnących za sobą wiązki nerwów, niby krótkich kabli od mikrofonów. Głosy drwin miażdżą gałki oczne i całe moje ciało, kiedy tak siedzę bezradny w spichrzu ze staroświecką strzelbą na kolanach. Obudziłem się z jękiem. Falowanie uczuć ze snu przetrwało jeszcze w całym ciele po przebudzeniu, a ponieważ realność snu już nie istnieje, więc tylko te niespokojne, przepełnione smutkiem, wielkie i niezrównoważone falowania przytłaczają mnie w chwili przebudzenia. Tęsknię teraz boleśnie za prostokątną jamą, dziś już zajęta przez zbiornik na śmiecie i zamkniętą betonową klapą. Obok mnie żona, gorąca jak niemowlę z powodu działania resztek alkoholu i gorączki snu, śpi spokojnie, jak martwa, a moje rozbudzone ciało stygnie z każdą chwilą.

W tym miejscu, w którym rozstawszy się ze środkiem niecki wchodzimy pod górę, rzeka wpływa w ukryte fałdy lasu rozciągającego się po obu stronach, dlatego patrzącemu z płaskowyżu od wejścia do doliny niecka wydaje się w tym miejscu zamknięta. Łożyisko rzeki w górnym biegu stanowią nagie skały, oba brzegi porastają wielkie bambusy, natomiast brukowana droga oddalając się od rzeki staje się dróżką wspinającą się stromo pod górę. Mieszkańców osad rozproszonych w różnych miejscach po obu stronach tej dróżki ludzie niecki nazywają „prowincjuszami”. Wielki gaj bambusowy tworzy tutaj pas łączący się prostopadle z pęknięciem w kształcie klina wrzcionowatej niecki wcinającej się w las, i oddziela ją od „prowincji”. Kiedy ludzie doliny, uzbrojeni we włócznie zrobione z wyciętego w wielkim gaju bambusu, zgromadzili się na boisku szkoły narodowej, przedstawiciel urzędu prefektury, który przybył na wizytację ćwiczeń posługiwania się włócznią, powiedział:

- Przecież mieszkańcy wioski Okubo są przyzwyczajeni do posługiwania się tego rodzaju bronią! - Powiedział to bezmyślnie, ignorując wójta i innych wpływowych ludzi wioski. W rezultacie wójt wyjechał do miasta z protestem, a urzędnik został zwolniony ze stanowiska. Przeciwwstawiając się władzy prefektury, dorośli wioski odnieśli zwycięstwo - ten nagły gniew, który spowodował osobliwą zmianę sytuacji, krył w sobie niepojętą dla dzieci tajemnicę. Każdego ranka, gdy szedłem razem z dorosłymi do wielkiego gaju bambusowego, trzymając się matki, lękającej się siekiery i wszelkich innych ostrych narzędzi, tak jak w moim śnie, odgłos pękającego bambusu złowieszczo pobrzmiwał wokół mnie i nakładał się na wspomnienie okrutnego gniewu dorosłych tej wioski, budząc niepojęty strach. Kiedy po wojnie na lekcji zagadnień społecznych po raz pierwszy usłyszałem o powstaniu chłopskim w 1860 roku, nauczyciel podkreślił, że uzbrojenie chłopów stanowiły włócznie zrobione z bambusu wyciętego w wielkim gaju. Wtedy dopiero zrozumiałem sens gniewu wójta i innych ludzi. Gaj bambusowy był najbardziej bezsporną pozostałością tego powstania, którego wspomnienie traktowano w czasie wojny jak plamę na honorze wszystkich mieszkańców wioski. W tej sytuacji mieszkańcy doliny znów zostają popędzeni do wycinania takiego samego bambusu i podobnie jak wtedy muszą go ostrzyć. Trudno więc przypuszczać, żeby mogli puścić mimo uszu słowa urzędnika, który przypomniał zdarzenie będące dla mnie dotąd powodem do hańby. Wójt i jego kompani z tej samej grupy konformistów, którzy wstydzą się, że mieli przodków wycinających bambus, aby przeciwstawić się porządkowi społeczno-politycznemu, pragnęli usunąć całkowicie w cień rok 1860 ostrząc teraz pracowicie bambusy, by służyć swojemu krajowi.

Słowa matki ze snu były powtórzeniem rzeczywistych słów, które słyszałem przed dwudziestu kilku laty. Po śmierci ojca najstarszy mój brat, który skończył uniwersytet, od razu został powołany do wojska, a brat S. zgłosił się na ochotnika do szkoły

przygotowawczej lotnictwa marynarki wojennej, matka zaś, wskutek wielu rozczarowań cierpiąca na manię prześladowczą, powtarzała czasem, iż ludzie doliny zaatakują nasz dom, zburzą i podpala. Mówiła, iż trzeba być przygotowanym na to, by po odkryciu oddziału napastników od razu uciec do spichrza i zamknąć się. Gdy protestowałem, wyjaśniła mi, jaką to przemoc stosowano w 1860 roku w stosunku do naszej rodziny; chciała niewątpliwie podzielić się swoimi lękami z moim dziecięcym sercem.

Przyczynę powstania 1860 roku matka przypisywała zachłanności chłopów doliny i ich bezradności. Najpierw zwrócili się o kredyt do przywódcy klanu, którego ziemia dawała siedemdziesiąt tysięcy koku⁶ ryżu, zamek położony w punkcie, gdzie do Morza Wewnętrznego wpada rzeka przepływająca przez dolinę, i spotkali się z odmową. Tak więc Nedokoro, piastujący urząd naczelnika tej wioski, pożyczył im odpowiednią sumę pieniędzy, ale chłopci skarżyli się, że procenty od pożyczki i dostawy ryżu z zastawionych gruntów są niesprawiedliwie wysokie, więc w wielkim gaju wycięli bambusy na włócznie i zaatakowali najpierw dom Nedokoro, całkowicie niszcząc główny budynek. Następnie ruszyli na magazyn należący do miejscowego właściciela gorzelnii i spili się; atakując po drodze bogate domy, powiększając się stopniowo szeregi buntowników dotarli aż do miasteczka i zamku na brzegu morza - tak wyjaśniała matka. Jeśliby dziadek nie skrył się w spichrze i nie stawiał samotnie oporu, jeśliby nie strzelał z karabinu sprowadzonego z Kóchi, buntownicy zajęliby również spichrz. Główną figurą wśród młodzieży podburzonej przez chytrych chłopów doliny, tym, który przyjął bezprawnie tytuł przywódcy doliny, bo nie tylko brał udział w rozmowach w sprawie kredytu, ale po nieudanych staraniach poparł gwałt i stanął na czele powstania chłopskiego, był młodszy brat pradziadka. Z punktu widzenia rodziny Nedokoro był więc szaleńcem najgorszego rodzaju, który zburzył i spalił własny dom, a mój ojciec, który w Chinach prowadził jakąś podejrzaną robotę, nie dającą żadnych owoców, stracił majątek i życie, odziedziczył to rodzinne szaleństwo. Spośród moich braci najstarszy, który - wprawdzie na krótko - podjął jednak pracę po skończeniu wydziału prawa, nie był taki zły, skoro nie poszedł dobrowolnie do wojska, a brat S., który straciwszy zmysły zgłosił się na ochotnika, odziedziczył po ojcu krew młodszego brata pradziadka.

- On nie jest moim synem - oświadczyła matka. - Twój pradziadek był wspaniałym człowiekiem! Kiedy tłum był uzbrojony tylko we włócznie bambusowe, pradziadek przygotował strzelbę. Zbudował spichrz, który niełatwo mogli zburzyć czy spalić, a potem strzelał do nich z piętra! Który z was, Mitsusaburó czy Takashi, będzie taki jak pradziadek, który?

Jeślibym milczał i pozostawił bez odpowiedzi to pytanie, tak chytrze utkane z dydaktycznych intencji, matka nie ustąpiłaby nigdy, a gdybym pod przymusem odpowiedział jej, że to ja będę podobny do pradziadka, odpowiedziałaby milczeniem i słabym powątpiewającym uśmiechem.

Historyk tych okolic, były nauczyciel, z którym korespondowałem, ani nie zaprzeczył pogładowi mojej matki na temat przyczyn powstania, ani nie starał się go zdecydowanie potwierdzić. Zajmował postawę naukową i przywiązywał dużą wagę do faktu, że około roku 1860 nie tylko w naszych okolicach, lecz także w całym rejonie Ehime wybuchały rozmaite powstania, o różnej sile i tendencjach w poszczególnych okolicach: były one symptomami nadchodzącej odnowy. Jedyną cechą szczególną, jaką wykrył w naszym regionie, wiązał z tym, że kilkanaście lat przed rokiem 1860 przywódca klanu pełnił tymczasową funkcję zwierzchnika wydziału świątyni buddyjskich i shinotoistycznych, i

⁶ koku = 180 litrów

zaniedbał wtedy zarządzanie gospodarką prowincji. Na wszystkich mieszkańców miast znajdujących się pod jego jurysdykcją nałożył „opłaty dzienne”, nazywając je uniwersalnym środkiem, na chłopów zaś najpierw nałożył „zadatek na rzecz podatku” wypłacanego ryżem, a następnie „uzupełnienie zadatku”. Pod koniec listu historyk zacytował fragment z materiałów, jakie zgromadził: „Gdy cierpi in odradza się jang, gdy cierpi jang, ożywa in, obraca się niebo i ziemia, wszystko, co odchodzi, znowu powraca, człowiek jest panem wszystkich rzeczy, ale kiedy rządy nie są mądre, cierpi lud, dlaczego by więc nie wprowadzić nagłej zmiany?” W tych rewolucyjnych naukach jest tego rodzaju siła, która rozbudziłaby bardziej uczucia Takashiego aniżeli moje. Jak powiedziała żona, Takashi powinien chyba spotkać się z emerytowanym historykiem, jeśli nie zachorował on jeszcze na raka lub nie dostał ataku serca. Lecz ja nie mogę przyłączyć się do tłumu, niezależnie od tego, czy dzieje się to w śnie, czy na jawie; co więcej, nawet ukryty w spichrzu nie mogę walczyć posługując się karabinem, a ponieważ jestem człowiekiem o takiej, a nie innej mentalności, to obcy są mi ci wszyscy, którzy biorą udział w powstaniu. Takashi przejawia cechy charakterystyczne dla zupełnie innego niż ja typu człowieka i przynajmniej w moim śnie osiąga swoje cele...

Brzęk doszedł od strony oficyny; to pewnie ta kobieta w średnim wieku, cierpiąca na chorobę żarłoczności, przerażona koszmarem sennym, wstaje w mroku nocy i pożera jakieś środki zastępcze o nędznych wartościach odżywczych po to tylko, by wypełnić czymś żołądek. Dopiero północ. W ciemności wyciągnąłem rękę i poszukałem butelki, w której żona powinna była zostawić jeszcze whisky. Nagle palce dotykają czegoś zimnego, podobnego do skorupy kraba, z którego wydlubano mięso. Zapalam latarkę leżącą obok poduszki i widzę pustą puszkę po sardynkach. Obawiając się oświetlenia twarzy śpiącej żony, mały krąg światła przenoszę dalej, znajduję butelkę i piję whisky przy świetle latarki. Próbuję przypomnieć sobie, czy żona jadła sardynki pijąc wieczorem, ale bez powodzenia. Zwyczaj picia alkoholu przez żonę bez wątpienia stał się teraz częścią mego życia codziennego. Coraz częściej się zdarza, że nie zwracam specjalnie uwagi, widząc jak żona upija się whisky, tak jakby po prostu paliła papierosy.

Pijąc whisky, uporczywie wpatruję się w blaszaną puszkę po sardynkach. W samym środku otwartego w puszcze okienka stał prostopadle, z obsesyjną dokładnością, mały widelec w kształcie pazura. Biel blachy na zewnątrz jest zachmurzona oliwą, wewnątrz pokrywa złocista warstewka iskrząca się poprzez resztki oliwy i ryby. Gdy kruchym kluczykiem otwierała do końca puszkę, pozostawiając na krawędzi zwiniętą ciasną rurkę blachy, i gdy przed jej oczyma pojawiał się równy rząd delikatnych rybich ogonów, musiała przeżywać pierwotną radość, jak ktoś, kto z muszelki raniącej wargi wyjmuje miękką zawartość ostrygi i zaczyna jeść. Jadła sardynki wargami zabrudzonymi oliwą i okruchami ryby, siorbała whisky, następnie oblizywała trzy palce, którymi brała przedtem rybę. Dawniej jej palce były tak słabe, że zawsze mnie prosiła, kiedy trzeba było otworzyć puszkę sardynek. Odkąd poznała zwyczaj picia w samotności, palce jej się wzmocniły, a mimo to odczuwam tę zmianę jako wyraz żalosego upadku. I chcąc wepchnąć z powrotem w pierwotne gniazdo litość dla żony, nabrzmiewającą we mnie i szukającą dróg ujęcia, a także jakiś bliżej nie określony smętny gniew, zamknąłem oczy i wlałem do ust większą porcję whisky. Alkohol przypieka skórę w gardle i pali żołądek, rozpala mrok w głowie - zasypiam snem bez jednej mary sennej.

Gdy rano Takashi i jego straż przyboczna zbierają chłopców doliny, aby przeprowadzić pierwszy trening piłki nożnej, i wyruszają na boisko szkoły podstawowej wykorzystując porę wakacji zimowych, czuję smak drażniącej pustki i wiem, że ja i żona

musimy też coś rozpocząć. Ta potrzeba staje się tak silna, że z pomocą synów Jin wynoszę z domu maty na piętro spichrza, wstawiam tam grzejnik na węgiel drzewny i rozpoczynam tłumaczenie, które przedtem robiłem wspólnie ze zmarłym przyjacielem. Jest to książka relacjonująca zabawne wspomnienia z młodzieńczych dni, jakie spędził na Morzu Egejskim angielski badacz i łowca zwierząt; odkrył ją najpierw nieżyjący przyjaciel i czytał z przyjemnością. Gdy rozpocząłem pracę, żona również znalazła coś dla siebie: zabrała się do czytania dzieł Sóseki Natsume, które znalazła przypadkowo szukając grzejnika w komórce domu, więc udało nam się jakoś nasz czas wypełnić.

Niezlomna babcia mojego przyjaciela obiecała mi przekazać szkice przekładu tej części, którą on skończył, lecz po pogrzebie pojawiły się głosy sprzeciwu ze strony jego krewnych i w rezultacie to, co napisał przyjaciel, zostało spalone. Jego krewni obawiali się, że z pozostawionych rękopisów, z rozmaitych jego notatek może wyskoczyć jeszcze jedno monstrum, nagie z głową pomalowaną cynobrem i z ogórkiem wetkniętym w odbytnicę, i zagrozić światu tych, którzy zostali przy życiu. Nawet ja nie mogłem całkowicie ukryć głębokiej ulgi rozpalonej wątlymi płomieniami palonych rękopisów. Ale nie mogłem powiedzieć, że w ten sposób zostałem całkowicie wyzwolony z władzy potwora. Trzeba będzie jeszcze raz przetłumaczyć część przydzieloną przyjacielowi - myślę - i oglądając tekst wydany przez Penguin Book, w którym pozostały wpisy i podkreślenia przyjaciela, widzę, że tu też niespodzianie czyha na mnie kilka pułapek. Na przykład na marginesie rozdziału opisującego żółwia greckiego, który je chętnie poziomki, przyjaciel zostawił szkic żółwia wielkości trzech centymetrów, przerysowanego z ilustrowanego atlasu zwierząt, dopuszczając do głosu pełną poczucia humoru część swą delikatnej i dziecinnej wrażliwości. Podkreślenia następnego zdania wydawały się przekazywać mi posłanie głosem przyjaciela. „Więc powiedzmy sobie «żegnaj» - zaczął mówić, lecz jego głos zadrżał, załamał się i po zmarszczonych policzkach popłynęły łzy. - Na Boga, płakać nie będę - załkał nadymając wielki brzuch. - Ale to tak jakbym mówił «żegnaj» swojej prawdziwej rodzinie, bo wydaje mi się, że jesteście moją własnością,”

Wydawało mi się, że żona, czytająca w milczeniu Sósekiego, od czasu do czasu natrafiała na coś, co ją wstrząsało. Wzięła używany przeze mnie słownik i sprawdzała słowa angielskie wpisane przez Sósekiego, potem zaczęła mówić:

- Czy wiesz o tym, że w dzienniku Sósekiego, z okresu jego pobytu w Shózenji, kiedy cierpiał na wrzód żołądka, jest kilka zwrotów angielskich? Mam wrażenie, że są to słowa bardzo odpowiednie dla ciebie, Mitsu. Na przykład: languid stillness⁷, weak state⁸, painless⁹, passivity¹⁰, goodness¹¹, peace¹², calmness¹³.

- Co? Painless? Czy sądzisz, że jestem w stanie, w którym nie czuję zupełnie bólu? Sądzisz, że jestem tak zmordowany, iż nawet nie mogę zrobić niczego złego, choć to prawda, że jestem słabeuszem, który nic innego nie potrafi poza dobrocią. Ale czy ty naprawdę wierzysz, że ja jestem w stanie, który można określić „peace”.

- Przynajmniej w moich oczach tak to wygląda, Mitsu. Byłeś przez te kilka miesięcy człowiekiem tak spokojnym, jak nigdy od czasu naszego ślubu - upierała się przy swoim z przesadnym spokojem alkoholika w momentach trzeźwości.

⁷ languid stillness (ang.) - ospały bezruch

⁸ weak state (ang.) - kiepski stan

⁹ painless (ang.) - bezbolesny

¹⁰ passivity (ang.) - bierność

¹¹ goodness (ang.) - dobroć

¹² peace (ang.) - pokój

¹³ calmness (ang.) - spokój

Walczyłem z wywołaną tą rozmową przerażającą wizją samego siebie w stanie zwierzęcego spokoju, przechodzącego w końcu w ostateczny spokój roślinności. Czytałem kiedyś historię o tym, że stary kapłan buddyjski z okresu Muromachi, który zapragnął zamienić się w mumię, zmniejszał stopniowo ilość przyjmowanego pokarmu sądząc, że kiedy przyjdzie pora wejścia do grobu, wystarczy wstrzymać oddech, by ciało od razu zaczęło schnąć. W ten sposób kusilem śmierć, gdy grałem rolę człowieka antyzwierzęcego, żyjąc sto minut w jamie owej nocy jesiennej. Wierzyłem, że rozpocząłem znowu codzienne życie, wycofując się stamtąd z uczuciem najgłębszego strachu, ale w oczach żony wyglądam tak samo, jakbym siedział jeszcze na dnie jamy zbiornika na śmieci, obejmował gorącego psa i moczył tyłek siedząc bez ruchu. Wstyd ogarniał najdrobniejsze komórki mojego ciała, a fale gorącej beznadziei oblewały moją postać myszy. Jeżeli moje położenie jest wyraźne nawet dla kogoś tak nieustannie pijanego i zamkniętego w sobie jak moja żona, tym trudniej będzie mi powrócić do owego uczucia „oczekiwania”. Nowe życie? Chata ze strzechą? Chyba już nigdy tego nie znajdę.

- A ty, czy uważasz, że zaczęłaś nowe życie? - zapytałem.

- Czemu pytasz? Wiesz, że piję whisky tak samo jak zwykle. Nawet gdybym chciała, trudno byłoby zachować to w sekrecie, bo whisky, jaką można dostać tu w dolinie, jest tak podła i cuchnąca, że zdradziłby mnie sam zapach. - Przyjęła moje pytanie za złośliwość, która miała ją zranić, toteż jej słowa były ostre i wyzywające. - Niewątpliwie tobie, a nie mnie Takashi sugerował rozpoczęcie nowego życia.

- Masz rację. To moja sprawa - zgodziłem się, wycofując się w głąb siebie. - Co do twojego picia, to chciałbym sprawdzić jedną rzecz.

- Myślę, że chciałbyś wiedzieć, czy traktuję swój alkoholizm jako młodzieńcze doświadczenie, które minie samo, czy też jako coś, z czym będę musiała żyć aż do śmierci - jako sygnał przejścia od młodości w wiek dojrzały? Tak naprawdę, to prawdziwym jego źródłem jest dziedziczność, czyli moja matka. A ja nie jestem już tak młoda, bym straty jednego dnia mogła naprawić w dniu następnym. Tak więc spodziewam się, że będę z tym musiała żyć. Jestem w tym wieku, kiedy uświadamiam sobie, że każda nowo odkryta zmarszczka przybliża mnie do śmierci.

- Jeśli to mówisz z dziecinnym pragnieniem zaszokowania mnie, to jesteś w błędzie. Na pewno jesteś w tym wieku. Ale jeśli masz jeszcze raz urodzić dziecko, to decyzję tę musisz podjąć jeszcze w tym roku. W przyszłym roku sytuacja będzie nieodwracalna. Od razu pożałowałem tych słów, wypowiedzianych zbyt gwałtownie. Ich trucizna była za silna nawet dla mnie. Milczeliśmy oboje; potem, wpatrując się we mnie oczyma zaczerwienionymi tym razem od łez, a nie od whisky, powiedziała głosem pełnym rozpaczliwej wrogości:

- Gdy nadejdzie czas, w którym, jak mówisz, nie będzie odwrotu, może będziemy bardziej czuli i wyrozumieli dla siebie.

- A może byśmy poszli popatrzeć, jak grupa Takashiego trenuje piłkę nożną? - z odrazą do siebie popróbowaliśmy taktyki uniku.

- Wobec tego zrobię przekąskę na obiad dla drużyny futbolowej. Może dzięki tego rodzaju pracy ujrzę nadzieję nowego życia i może też rozproszy to trochę mgłę skandalu w tej dolinie, Mitsu - powiedziała żona pokpiwając z siebie i ze mnie i wycofała się do głównego budynku. Mówiąc o „skandalu w dolinie” miała na myśli plotki o tym, że żona trzeciego syna Nedokoro jest nic niewartą alkoholiczką, które sama słyszała w supersamie.

Sposób, w jaki zareagowała żona na moje słowa, świadczył -jak mi się wydało - o tym, że jej wola, która próbuje przeciwdziałać obsuwającej się ziemi w jej wnętrzu, jeszcze nie jest całkowicie rozbita przez niszczącą siłę alkoholu. Powinienem wyciągnąć ku żonie pomocną rękę, ale również pod moimi stopami niebezpiecznie usuwa się grunt.

Nie chcąc słuchać wypełniających spichrz głosów moich przodków „Jesteś myszą!”, skoncentrowałem się na tłumaczeniu. Wydaje mi się, że z dala dochodzi do mnie odgłos kopania piłki i okrzyki, ale może to po prostu szum w mojej głowie.

Najmłodszy syn Jin wstąpił wieczorem do mnie i powiedział, że przyszedł młody kapłan i chce ze mną rozmawiać. Gdy wszedłem do domu, całą kuchnię wypełniała masa pary o zapachu bambusu. Żona akurat zdejmowała niezapomniany stary garnek, służący do gotowania potraw na parze, z kotła zawieszzonego nad paleniskiem kuchennym, podczas gdy dwaj synowie Jin całkowicie, a kapłan po pierś osnuci parą, wpatrywali się w ruchy żony. Dziecko, które przyszło mnie zawołać, zakasłało i przyłączając się do starszych braci ukryło się w parze.

Gdy żona, której twarz po uszy zaczerwieniła się od ognia, wyciągnęła rękę, aby dotknąć czegoś, co znajdowało się w garnku, synowie Jin zgodnym tryumfującym głosem zawołali:

- Gorące! Gorące! - ostrzegli i roześmiali się dobrodusznie, gdyż żona nagle uniosła palce i przytknęła do poczerwieniałych uszu.

- Co przygotowałaś? - zapytałem z ulgą, gdy przyłączyłem się do kółka otaczającego żonę, pogrążonego w parze.

- Pierogi w liściach bambusowych, Jin mnie nauczyła. Dzieci przyniosły z lasu liście bambusu - odpowiedziała żona inaczej niż w czasie rozmowy w spichrzu, głosem młodzieńczym i radosnym. - Chyba udało mi się, Mitsu. Pamiętasz jeszcze chimaki, pierogi w liściach bambusowych?

- Chimaki to posiłek od dawna znany w dolinie robotnikom pracującym przy wyrębie lasu. A ojciec Jin był zawodowym drwalem. Więc Jin dobrze wie, jak to robić. Żona podała wszystkim „prawdziwe” chimaki, wielkie jak dwie złęczone pięści. I ja, i kapłan, nie wiedząc, co zrobić z nadmiernie wielkimi liśćmi bambusu ociekającymi gorącymi kroplami wody, rozłamaliśmy je na talerzu na kawałki i zaczęliśmy jeść. Dzieci Jin gryzły z wprawą same brzegi, żeby nie zniszczyć kształtu, i obracały chimaki w dłoniach. Były to kule zrobione z kleistego ryżu, przyprawione sosem sojowym, nadziane mięsem wieprzowym i świeżymi grzybami shiitake. Pokrywające pierogi liście bambusowe wyglądały żałośnie -były suche i zbiałałe po brzegach, ale były to mimo wszystko liście bambusu, których zebranie o tej porze roku kosztowało zapewne dzieci wiele pracy, musiały zdobyć się na duży wysiłek, żeby opanować strach. Gdy patrzyłem, z jaką zręcznością jadły, wierzyłem, że jeszcze nie zmienił się ten zwyczaj i że dzieci z doliny nadal boją się wchodzić zimą do lasu.

- Te pierogi są dosyć smaczne, ale pachną czosnkiem. W dolinie, przynajmniej w okresie kiedy tu mieszkałem, do potraw, a szczególnie do pierogów chimaki czosnku nie dodawano. - Skierowałem krytykę do żony, która z parowego garnka przenosiła pozostałe pierogi do podłużnych pudełek nazywanych w moim dzieciństwie morobuta. I parowy garnek, i drewniane pudełka przyniesiono z komórki za radą Jin.

- Co? - zareagowała żona z niedowierzaniem. - Ponieważ Jin specjalnie mi przypominała, żebym nie zapomniała o dodaniu czosnku, kupiłam go w supersamie razem z mięsem.

- Mitchan, to typowy przykład na to, że zwyczaje w dolinie się zmieniają! - powiedział kapłan trzymając skromnie w palcach kawałek rozłupanego pieroga. - Wiesz, do wojny

czosnek nie miał żadnego związku z życiem wioski. Mało kto wiedział o roślinie nazywanej czosnkiem, nie znali nawet tej nazwy. Ale kiedy się rozpoczęła wojna, robotnicy koreańscy, którzy przybyli tu wycinać las, założyli osadę i wtedy zaczęto określać ich pogardliwie jako zjadaczy cuchnącej rośliny, zwanej „czosnek”, i w ten sposób czosnek wszedł do świadomości tej wioski. Mitchan, czy ty to spostrzegłeś? Bo widzisz, kiedy pod przymusem sprowadzono tutaj Koreańczyków do pracy przy wyrębie lasu, miejscowi mieszkańcy, chcąc podkreślić swoją wyższość, powiadali złośliwie, że bez pierogów chimaki nie wolno wchodzić do lasu. Wtedy Koreańczycy również zaczęli zaopatrywać się w pierogi owinięte liśćmi bambusowymi, ale wierni własnemu poczuciu smaku dodawali czosnku. To z kolei wywarło wpływ na sposób przygotowania pierogów chimaki w całej wiosce, i tak właśnie upowszechnił się zwyczaj dodawania do smaku czosnku. Oto jak zmieniają się zwyczaje doliny, dzięki próżnej dumie i braku zasad mieszkańców tej wioski. Choć czosnek nie należał tutaj do tradycyjnych przypraw, dziś jest najważniejszym towarem sprzedawanym w supersamie, co „cesarza” bawi podwójnie, czy może nawet potrójnie.

- Nic by nie szkodziło, jeśli tylko ten brak zasad przyczynił się do sukcesu mojej potrawy - z niechęcią powiedziała żona. - Nawet gdyby miało to być wbrew tradycji!

- Na pewno sukces! Jeśli mogę sobie pozwolić na ocenę sentymentalną, to w porównaniu z pierogami chimaki, które robiła matka, są znacznie smaczniejsze.

- Na pewno, na pewno - kapłan przyłączył się do mojej pochwały, ale żona tylko spojrzała na nas bardzo podejrzliwie i nie dała się ułagodzić.

Twarz kapłana, zazwyczaj dobroduszna niczym podręcznik dobroci, zmarszczyła się w zakłopotaniu: - Ale prawdę mówiąc nie przyszedłem tutaj po to, aby korzystać z poczęstunku. Po prostu przyniosłem notatnik waszego najstarszego brata, odnaleziony pamiętnik, który brat zostawił u mnie przed śmiercią.

- Dobrze, chodźmy więc na piętro do spichrza porozmawiać. Nie biorę udziału w ćwiczeniach, więc się nudzę. - Zaprosiłem go nie tylko po to, aby dodać mu odwagi, ale naprawdę chciałem z nim porozmawiać. - Czy może interesował się ksiądz buntem chłopskim z 1860 roku?

- Przeprowadziłem badania na ten temat i mam trochę notatek. Nie wiem, czy orientujesz się, że najważniejszą rolę prócz twoich przodków - choć nic nas z nimi nie wiązało - odegrał patriarcha tej świątyni - młody kapłan powiedział to z naciskiem, nie kryjąc radości z powodu wybawienia go z kłopotliwej sytuacji.

Ignorując reakcję wrażliwej świadomości kapłana, żona z ożywieniem wydawała polecenia synom Jin, wysłała trochę pierogów chimaki dla ich matki, prosiła też, by znajdujący się na boisku przed szkołą Hoshio przyjechał Citroenem po pierogi. Następnie, kiedy już wychodziłem z kapłanem z domu, zaatakowała nas:

- Mitsu, po południu ja też pójde popatrzeć na ćwiczenia futbolowe. Chciałabym usłyszeć, co chłopcy sądzą o pierogach z czosnkiem.

Skrepowany młody kapłan i ja, wydzielając z siebie woń czosnku, jak ziejące ogniem bestie z fantastycznego filmu, skierowaliśmy się w stronę spichrza. Przyniesiony przez kapłana notatnik najstarszego brata był niewielką książeczką oprawioną w płótno barwy winogron. Najstarszy brat był dla mnie dalekim krewnym, który przebywał zwykle w internacie w pobliskim mieście lub na stacji w Tokio i nawet na wakacje rzadko przyjeżdżał do domu. Dokładnie pamiętam jedynie nieprzyjemne wrażenie, jakie zrobiła na mnie opowiadana przez dorosłych w dolinie historyjka o tym, jak to w niespełna dwa lata po studiach zginął na wojnie, która to historyjka miała potwierdzać teorię, że dawanie synowi wyższego wykształcenia jest inwestycją bez żadnego pożytku. Wziąłem

notatnik do ręki i położyłem na książce Penguina, którą zostawił zmarły przyjaciel. Czułem, że kapłan jest zawiedziony, gdyż nie rozpocząłem czytania pamiętnika w jego obecności, ale szczerze mówiąc, notatki zostawione przez brata, zamiast budzić we mnie żywe zaciekawienie, mroziły mi serce w przeczuciu czegoś kłopotliwego i złego, choć nie było to jeszcze takie jasne. Więc postanowiłem zachowywać się jak człowiek, któremu pamiętnik jest całkowicie obojętny i bez zwłoki zapytałem kapłana:

- Moja matka mówiła, że pradziadek strzelając przez okna spichrza nie przypuścił do siebie buntowników. Te okienka rzeczywiście są zbudowane jak strzelnice, więc wygląda to na prawdę, ale mimo wszystko wątpię w prawdziwość tego opowiadania. Co ksiądz o tym myśli? Mówiła, że pradziadek przywiózł strzelbę z podróży do Kóchi. Ciekaw jestem, czy to możliwe, żeby w 1860 roku chłopci w Ehime mogli mieć broń palną?

- Twój pradziadek, Mitchan, był najbogatszym obszarnikiem w tej okolicy, słowo „chłop” nie bardzo do niego pasuje, więc nic w tym dziwnego, że miał broń. Ale tego karabinu nie przywiózł on sam z Kóchi, broń tę przemycił dla niego ktoś, kto przedostał się tu przed buntem - powiedział kapłan. - Mężczyzna, który przybył z Kóchi, zatrzymał się w tej świątyni i za pośrednictwem ówczesnego kapłana wpłynął na pradziadka i jego brata, i wywołał bunt - tak objaśniał to mój ojciec. Nie można zdecydowanie powiedzieć, że tym agentem był samuraj z klanu Tosa, w każdym razie był to człowiek z tamtej strony lasu, który przybył w przebraniu mnicha wędrownego. Za pośrednictwem kapłana spotkał się on z pradziadkiem i jego młodszym bratem. W tym czasie nie tylko w ówczesnej dolinie, ale w całym regionie należącym do feudała panował niepokój, sprzyjający działalności wyrotowca przysłanego tutaj przez siły strony przeciwnej, dla której wywołanie buntu i zburzenie panującego porządku administracyjnego było korzystne. I kapłan, i twój pradziadek chyba zgodzili się z tym poglądem, że nic już chłopów nie uratuje, jeżeli nie zbuntują się. Kapłan jest neutralny, naczelnik wioski i właściciel ziemski stoją po stronie władzy, ale jeśli lud zostanie doprowadzony do upadku, oni również razem z nim przegrają. Więc chyba najważniejszym problemem, nad którym rozmyślali, była sprawa skali powstania i czasu jego wywołania. Bo przecież w pogarszających się warunkach najchętniej byłoby, zanim atak skoncentruje się na miejscowym właścicielu ziemskim, dać drogę ujęcia dla groźnej energii nabrzmiewającej podczas powstania i narastający w dolinie gwałt utrzymać pod kontrolą, a całą resztę skierować na zamek. Dla wzniesienia buntu potrzebna jest grupa przywódców, którzy niezależnie od powodzenia czy klęski powstania muszą być schwytani i skazani na śmierć. W końcu jest to los tych, którzy mają ponieść ofiarę, jak więc wybrać grupę przewodzącą chłopom nie tylko w dolinie, ale w całym okręgu obejmującym również miasteczko wokół zamku? Wtedy to zwrócono uwagę na grupę młodzieży, którą ćwiczył młodszy brat twojego pradziadka. Co prawda było wśród nich kilku najstarszych synów mających prawo dziedziczenia ziemi po ojcach, ale większość stanowili drudzy i trzeci synowie, będący na wsi ludźmi niepotrzebnymi, nie mającymi praw do własnej ziemi. Gdyby ci młodzi nawet zginęli, to nie tylko nie byłoby to szczególnie cios dla doliny, ale może nawet przeciwnie, ułatwiłoby to rozwiązanie kłopotliwej sytuacji.

- To znaczy, że młodszy brat pradziadka od początku przeznaczony był na stracenie zarówno przez przywódców powstania, mężczyznę z za lasu, jak i pradziadka.

- Wydaje mi się, że jedynie młodszy brat pradziadka miał tajne przyrzeczenie, że po powstaniu wymknie się do Kóchi, a stamtąd do Osaki i Tokio. Mężczyzna, który przybył z za lasu, był odpowiedzialny za dotrzymanie obietnicy. Mitchan, słyszałeś chyba

po głoskę o tym, że młodszy brat pradziadka uciekł z lasu, zmienił nazwisko i został wysokim urzędnikiem w nowym rządzie po Restauracji?

- To by znaczyło, że młodszy brat pradziadka od początku był zdrajcą? Tak czy inaczej, jestem więc potomkiem rodu zdrajców.

- Nie, Mitchan, chyba nic pewnego nie można powiedzieć. Twój pradziadek spotkał się z atakiem chłopów doliny, którym dowodził jego młodszy brat, musiał się bronić ostrzeliwując z karabinu, ponieważ zwątpił w to, czy brat naprawdę dotrzyma obietnicy i nie spali spichrza. Jeśliby ród Nedokoro nie został w ogóle zaatakowany, to twój pradziadek również zostałby poddany śledztwu ze strony władz klanu, a wtedy domu nie uratowano by przed zniszczeniem. Myślę, że tego rodzaju wątpliwość była powodem zostawienia sobie dostarczonej z lasu broni palnej i nieprzekazywania jej grupie młodych. Naprawdę, w rezultacie powstania trwającego pięć dni i pięć nocy nie tylko zniesiono „system zaliczki podatkowej” w ryżu, ale wykonano wyrok śmierci na konfucjaniście, który zaproponował władcy feudalnemu ten system. A potem młodszy brat pradziadka i jego grupa nie chcieli, żeby ktokolwiek spośród nich padł ofiarą i dlatego stawili opór w tym spichrze. W grupie przywódców biorących udział w powstaniu, skupionych wokół młodszego brata pradziadka, niewątpliwie zrodziło się poczucie solidarności.

Po zakończeniu powstania młodszy brat pradziadka i jego grupa zamknęli się w spichrze i stawili opór urzędnikom prowadzącym śledztwo. Choć uzbrojeni, to jednak pełni niepokoju, w okresie oblężenia spichrza zirytowani uderzali mieczami po belkach i progach, pozostawiając liczne nacięcia, które w dzieciństwie prowadziły mnie często do krwawych halucynacji. Ponieważ chłopci nie dostarczyli pożywienia i wody wczorajszym swoim przywódcom, oblężeni zostali odizolowani i musieli się poddać - wywabionych ze spichrza ścięto na wzgórzu przed obecnym urzędem wioski. Człowiekiem bezpośrednio odpowiedzialnym za oszukanie cierpiących w spichrze z głodu i pragnienia był pradziadek. Kazał on dziewczętom z doliny ubrać się w najlepsze stroje i postawić prowizoryczną kuchnię przed spichrzem, a następnie przyprowadził policję, która nagle zaatakowała pijanych i śpiących młodych mężczyzn. Jest to epizod, który z dumą przytaczała babka jako chwalebny dowód pomysłowości rodziny Nedokoro. Pamiętam, jak matka opowiadała o tym, że kiedy przyjechała do doliny jako panna młoda, żyła jeszcze jedna z owych dziewcząt, którymi posłużył się pradziadek w swoim fortelu. W czasie masakry tylko młodszy brat pradziadka uniknął egzekucji, ponieważ ukrył się w lesie. Mimo że miał poczucie solidarności w stosunku do współtowarzyszy powstania, jak twierdzi młody kapłan, w końcu zrezygnował z dochowania wierności tym uczuciom, nie można więc chyba powiedzieć, że ja, jako człowiek wywodzący się z tego rodu, całkowicie wyzbyłem się niepokoju dzięki słowom kapłana. Czy młodszy brat pradziadka nie przeżył takiej chwili zwątpienia, gdy uciekając samotnie do lasu stanął na wzgórzu, odwrócił się i spojrzał na biednych kolegów, którym przerwano pijacki sen i puciano głowy? A z drugiej strony pradziadek musiał chyba być obecny podczas kaźni lub patrzył na nią stojąc na kamiennym murze.

- Dlaczego młodszy brat pradziadka specjalnie ćwiczył grupę młodych mężczyzn z doliny? Kiedy zadaję sobie to pytanie, wydaje mi się, że odpowiedzi należy szukać w odpłynięciu „Kanrinmaru” do Ameryki - młody kapłan zrezygnował z tematu wyczuwając moją melancholię. Będąc tak wyjątkowo wrażliwym musiał tu żyć stawiając czoła różnym opowieściom, jakie rozszły się w dolinie po ucieczce jego żony, plotkom przepelnionym brudnymi i trującymi kalumniami, robiącymi z niego impotentą.

- Młodszy brat pradziadka musiał słyszeć pogłoskę o tym, że John Manjiró, z którym się spotkał twój pradziadek w Kóchi, po raz drugi na „Kanrinmaru” miał wyjechać do Ameryki. Naturalnie, musiał boleśnie odczuwać to, że sam jest zamknięty w ciasnej dolinie, w epoce gdy synowie rybaków z za lasu przeżywają przygodę w świeżo skolonizowanej Nowej Ziemi. Gdy na początku lata tego roku otrzymał wiadomość, że rząd centralny zezwala chłopcom nawet z tego klanu na wstępowanie do szkoły morskiej, rozpoczął poprzez kapłana starania o to, by go wybrano do tej szkoły. Mój ojciec mawiał, że czytał kopię podania, więc myślę, że jeśli dokładnie się przeszuka archiwum świątyni, jeszcze dziś można będzie ją znaleźć. A było to możliwe, bo drugi syn wpływowego właściciela ziemskiego mógł wśliznąć się do najniższej grupy warstwy samurajskiej. Naprawdę, była to przecież epoka, gdy synowie ziemian z za lasu zajmowali się namiętnie działalnością polityczną we frakcji występującej w obronie cesarza i skierowanej przeciw obcokrajowcom! Ale ambitne próby młodszego brata pradziadka nie powiodły się. I to nie z powodu jego niezdolności, ale raczej z niechęci feudała do podjęcia ryzyka wysłania swego człowieka do szkoły morskiej. Wydaje mi się, że to gorzkie oburzenie zrobiło z niego działacza występującego przeciw ówczesnym porządkom społecznym, który mógł zaplanować specjalne ćwiczenia z młodzieżą doliny czy podjąć się reprezentowania chłopów w staraniach o uzyskanie pożyczki od klanu. I wtedy na tego niebezpiecznego, młodego przywódcę zwrócił uwagę ów agent, który przybył z za lasu, a także kapłan i pradziadek, i zaczęli wywierać na niego wpływ. To jest wniosek z moich studiów.

- W każdym razie jest to najbardziej interesujący pogląd na wydarzenia z 1860 roku, jaki słyszałem - przyznałem. -Wiążąc to z wypadkiem zabójstwa brata S. w osadzie Koreańczyków, można dojść do wniosku, że rolę, jaką spełniły - z jednej strony - grupa młodych rzeźmieszków po wojnie i grupa buntowników z 1860 roku z drugiej - są identyczne i dają wiele do myślenia.

- Szczerze mówiąc - przyznał równie otwarcie młody kapłan - to dzięki wiedzy, jaką nabyłem obserwując wydarzenia w osadzie koreańskiej, mogłem zinterpretować wypadki roku 1860. W działaniu brata S. były zagadki, które można było rozwiązać tylko pamiętając o 1860 roku. Nie można więc powiedzieć, że to, co wiąże lata 1860 i 1945, jest tylko naciągany poglądem.

- Jeśli myślisz, że brat S. przejmował się tym, iż spośród odpowiedzialnych za bunt jedynie młodszy brat pradziadka uniknął kaźni, i że dał się tylko dlatego zabić jako jedyny spośród uczestników ataku na osadę Koreańczyków, to jest to interpretacja w stosunku do nieżyjącego bardziej życzliwa niż inne.

- Byłem jego przyjacielem - powiedział młody kapłan zawstydzony, jego mała twarz pod przedwcześnie posiwiałymi włosami zaczerwieniła się. - Byłem przyjacielem, który na nic mu się nie przydał.

- Takashi, tak samo jak brat S., pragnie chyba działać pod wpływem wypadków 1860 roku. Nawet to, że od dziś zebrał młodzież doliny i rozpoczął trening piłki nożnej, jest rezultatem jego oczarowania opowiadaniem o młodszym bracie pradziadka wycinającym drzewa, budującym plac ćwiczeń wojskowych, na którym przygotowywał młodych mężczyzn do walki.

- Ale dzisiaj nie może wybuchnąć takie powstanie jak w 1860 roku, nie jest to też epoka, w której można zabijać bez ingerencji policji, jak zaraz po wojnie w starciach między osadą Koreańczyków i mieszkańcami doliny. W tej pokojowo nastawionej epoce nawet Takashi nie może zostać przywódcą powstania, nie ma więc powodu do zmartwienia. - Na twarz kapłana powrócił zwykły uśmiech.

- Ale czy w pamiętniku jest coś takiego, co nie pasuje do tej epoki pokoju? - Wykorzystując uśmiech kapłana zadałem podchwytliwe pytanie. - Jeśli tak jest, to może lepiej dać go Takashiemu. Spośród charakterów rodu Nedokoro przejąłem krew tego typu ludzi, którzy nie czerpią inspiracji z heroizmu wydarzeń 1860 roku. Nawet w snach, zamiast zjednoczyć się z bohaterskim młodszym bratem pradziadka, nie tylko drzę ze strachu zamknięty w spichrzu, ale jako tchórzliwy obserwator nie potrafię nawet strzelić z karabinu jak pradziadek.

- Więc uważasz, Mitchan, że pamiętnik należałoby oddać Takashiemu, prawda? - zapytał kapłan, a jego uśmiech znikł na chwilę, jakby w zakłopotaniu.

Wziąłem notatnik z książki Penguina, pozostawionej mi przez zmarłego przyjaciela, i włożyłem do kieszeni płaszcza, następnie poszedłem z kapłanem na boisko szkoły podstawowej, gdzie Takashi z nowymi kolegami trenował futbol.

Pod pogodnym niebem, przy silnym wietrze wiejącym poprzez dolinę w nieokreślonym kierunku, milczący młodzi chłopcy kopią piłkę z powagą zapierającą dech w piersi. Zwłaszcza „Zjawa jeża morskiego”, z grubym ręcznikiem owiniętym wokół wielkiej głowy nie pasującej do krótkiego tułowia, biega jak szalenię, wciąż się przewracając, ale - o dziwo! - nikt się z tego nie śmieje. Nawet dzieci z doliny stojące nieruchomo wokół boiska pogrążone były w ponurej powadze i milczące; zachowywały się zupełnie inaczej niż dzieci miejskie, które w żywym, wesołym nastroju oglądają gry sportowe.

Kierujący biegającymi chłopcami Takashi i Hoshio dawali znaki mnie i kapłanowi, nie przerywali jednak ćwiczeń. Tylko Momoko i moja żona objechały Citroënem grupę kopiących piłkę i przyszły z nami porozmawiać.

- Przerazający widok, prawda? Nie wygląda na to, żeby to ich bawiło, więc dlaczego są tacy zapamiętali w tym działaniu? - powiedziałem.

- Ci ludzie nie znają innej zasady działania oprócz całkowitego oddania się sprawie, czegokolwiek się tkną. I mnie, i Momoko spodobał się tak poważnie traktowany trening futbolu. Odtąd będziemy codziennie tu przychodzić i oglądać. - Żona nie chciała dostosować się do mojego nastroju niezadowolenia.

Gdy spróbowałem kopnąć piłkę, która wyrwała się z kręgu chłopców i potoczyła się do mnie, nogą trafiłem w próżnię, piłka gwałtownie zakręciła się i wzbijając kurz zatrzymała w miejscu. Kobiety siedzące w samochodzie obojętnie przyglądały się mnie i piłce, i nawet się nie uśmiechały. Młody kapłan przywdział na twarz swój zwyczajowy uśmiešek, jakby chcąc złagodzić moje zakłopotanie, ale mój chłodny nastrój niezadowolenia tylko się pogłębił.

Kiedy wieczorem, już po kolacji, wszyscy leżeliśmy obok pieca, Takashi podszedł do mnie.

- Mitsu, w pamiętniku są straszne rzeczy - powiedział przyciszonym głosem tak, aby pijana żona nie usłyszała, ale był to głos okrutny, przepelniony mroczną namiętnością. Wpatrywałem się w mrok, aby uniknąć spojrzenia bratu prosto w twarz. Zanim usłyszałem następne słowa Takashiego, zawrzało we mnie uczucie odrazy.

- Najstarszy brat uczył się języka niemieckiego na uniwersytecie. Używa więc słowa *Zusammengeschaft* i pisze, że armia jest zbiorowiskiem wrednych drani. Gdy w czasie ćwiczeń kompanii jeden z facetów został uderzony za złamanie szyku, popełnił samobójstwo pozostawiając ironiczną notatkę, że przeprasza dowódcę. A tym dowódcą był właśnie starszy brat! „Jaka jest dzisiaj Japonia, jest samym chaosem, jest nienaukowa, całkowicie nieprzygotowana. A poza tym takie ni to, ni owo. Patrz choćby na system kartkowy stosowany dziś w Niemczech - kartki wydrukowano już w 1933 roku, kiedy

Hitler ledwie doszedł do władzy. Błagam cię, Panie, niech Związek Radziecki zrzuci na nas deszcz bomb! Japończycy zatruci snem o pokoju wpadli pod szubienicę, a mimo to szaleją, rzucając się raz na prawo, raz na lewo” - tak pisze. A jedyna rzecz, jaką wyniósł z armii, to tylko to: „Niecو wzrosła moja odporność. Wzrost siły fizycznej”. Uważa, że lektury prowadzące do jakiegoś celu powinny być rozległe i wnikliwe, na własny użytek zrobił nawet notatki na temat systemu głębokiego oddechu niejakiego Takashimy Beihó. W pewnej jednostce na wyspie Hainan dowódca sam powiedział, że można zbrukać virgin Fraulein, ale potem musisz sprzątnąć po sobie. „Sprzątnąć po sobie” znaczy oczywiście tyle, co „zabić”. A na następnej stronie spotykamy takie zasady moralne: „Aby wspiąć się na szczyt Fudzi, trzeba rozpocząć od pierwszej stacji.” Jest też dokładnie opisana taka sytuacja: „Dowódca, który schwytał na wyspie Leyte miejscowego mężczyznę, podejrzanego o szpiegostwo, podobno najpierw kazał, żeby zakłuł go rekrut, ale potem sam się tym zajął, po raz pierwszy w życiu zamachnął się mieczem japońskim i ściął głowę tubylcowi.” Przeczytasz to, Mitsu?

- Nie interesują mnie te notatki i nie mam ochoty czytać, Taka - odmówiłem szorstko. - Ponieważ przeczuwałem, że pisze o takich właśnie sprawach, dlatego przekazałem notatki tobie. Ale czyż jest w tym coś więcej poza pospolitą śpiewką o wojnie?

- Nie, dla mnie na tym to się nie kończy, Mitsu. Ja w tym odkryłem bliskiego członka rodziny, który na polach bitew zachował swą normalną postawę, a był jednocześnie zdolnym wykonawcą zła! Gdybym żył w epoce najstarszego brata, byłby to dziennik napisany przeze mnie. Gdy pomyślę w ten sposób, wydaje mi się, że otwiera się przede mną nowy aspekt mojego świata. - Takashi mówił tonem zdecydowanym, nie przyjmując mojej krytyki. Niewątpliwie był to głos dostatecznie doniosły, aby w jednej chwili zakłócić świadomość nawet pijanej żony. Gdy odwróciłem wzrok na brata, żona też podniosła głowę i wpatrywała się uważnie w niego, w brata strasznie wzburzonego, wyglądającego na ponurego groźnego przestępcę.

7. Odrodzenie tańca *nembutsu*

Następnego ranka zbudziłem się i nagle zdałem sobie sprawę z tego, że śpię sam, podobnie jak w okresie zwykłych dni tokijskich, bez poniżającego poczucia lęku, że zobaczy mnie leżącą obok żona, mogę przewracać się hałaśliwie w bólu rozpadających się cząstek ciała i posępnym uczuciu pustki pod żebrami. Daje mi to smak fizycznego wyzwolenia. Leżałem tak, eksponując wszystkie moje słabości, niebaczny na spojrzenia innych, jak zawsze kiedy śpiam sam. Początkowo unikałem ustalenia, na jakim wspomnieniu opiera się moja pozycja w czasie snu. Ale teraz przyznaję, że jest to po prostu wspomnienie groteskowej, w najwyższym stopniu odpychającej rzeczy w drewnianym łóżeczku, na którą patrzyłem z góry razem z żoną, gdy poszliśmy zabrać niemowlę oddane do zakładu opieki. Lekarz miał obawy, czy dziecko wytrzyma ponowną zmianę środowiska i nie umrze od wstrząsu. Ale rzeczywistym powodem pozostawienia tam niemowlęcia był lęk o to, że wskutek odrazy do tego przerażającego przedmiotu i z powodu wstrząsu umrzeć moglibyśmy my sami. Naszego czynu niczym się nie da usprawiedliwić. Więc jeśli ono umarło, zmieniło się w wychudłego demona i wróciło po to, aby nas pożreć, to przynajmniej ja nie próbowałbym przed nim uciekać.

Poprzedniej nocy żona nie chciała się przenieść na tę stronę przepierzenia, z której spałem, lecz położyła się obok paleniska razem z Takashim i jego strażą przyboczną. Naszą rozmowę na temat nowego życia i rozkładu wiodącego do śmierci, prowadzoną

na piętrze w spichrzu, żona rozwinęła dalej w toku samoczynnego procesu zachodzącego w jej rozgrzanym alkoholem mózgu; w konsekwencji przyjęła postawę zdecydowaną.

- No, idziemy spać. Możemy pić whisky pod kocem! - gdy tak namawiałem już ciężko pijaną, odmówiła mi zdecydowanie głosem wyraźnym i przyciszonym ze względu na charakter rozmowy, chociaż specjalnie chyba nie uświadamiała sobie obecności Takashiego i jego grupy.

- Jeśli chcesz mimo wszystko mnie stąd zabrać, żebym jeszcze raz urodziła dziecko, jakby to ciebie w ogóle nie dotyczyło, Mitsu, to pomyśl, że w tym celu ty też musisz się cofnąć. Ale ty nie chcesz się cofać. No więc dłaczego mam na twój sygnał od razu lecieć jak wierny piesek i wpełzać pod wspólny koc?

Z uczuciem ulgi w duszy zostawiłem żonę i wycofałem się. Takashi nie próbował wtrącać się w nasze drobne konflikty. Podtrzymywany przez nie znany mu głos najstarszego brata, dochodzący od notatnika koloru winogron, Takashi usiłował wkręcić się w siebie samego, w mroczną głębię swoich własnych problemów, niby śruba o ostrym gwincie. Ja natomiast nie pragnąłem wpływu ze strony ducha zmarłego brata, więc nie czułem się specjalnie tym wzburzony. Uważałem to za banalną śpiewkę okresu wojny, więc starałem się odwrócić twarz w inną stronę. Łatwiej jest mi spać otwierając jaskinię w świecie wyobraźni, zamiast przywoływać złowieszczonego brata, okrwawionego, który stoi gdzieś na nie znanych mi polach bitewnych...

Po raz pierwszy od dłuższego czasu ukryłem się z głową pod kocem i wdycham woń rozgrzewającego się ciała. Mam wrażenie, jakbym rozdrapał własne wnętrze i wepchnął w nie swój nos. Zamieniwszy się w jamochłona długości stu siedemdziesięciu dwóch centymetrów, zanurzyłem głowę w żołądek i zamknąłem przyjemnie rozgrzane koło własnego ciała. Tępy ból rozmaitych jego części i niejasne poczucie braku wydaje się bezpośrednio zmieniać w rozkosz o niepojętym posmaku winy. Jest to rozkosz świadomości tego, że teraz jestem wolny od obcych oczu, a ból i owo poczucie braku stanowią moją wyłączną własność. Mam nawet uczucie, że mógłbym stać się ciężarny dzięki tym wrażeniom i jak zwierzę najniższego rzędu osiągnąć reprodukcję jednokomórkową. Jestem „spokojnym człowiekiem”. Znoszę cierpliwie ciężki oddech, tkwiąc ukryty w ciepłym cuchnącym mroku pod kocem. Próbuję wyobrazić sobie scenę, w której umieram uduszony, wdychając woń własnego ciała w ciemności, pod ciepłym kocem, z twarzą pomalowaną cynobrem i z ogórkiem w odbytnicy. Stopniowo zarysy tej sceny nabierają coraz „bardziej rzeczywistych kształtów...”

Bliski uduszenia się, z rozgrzaną, przekrwioną i nabrzmiałą skórą na twarzy, energicznie wytknąłem głowę na chłód powietrza ponad kocem i wtedy usłyszałem, jak za przepierzeniem Takashi rozmawia cicho z moją żoną. Głos Takashiego jest równie podniecony jak wczoraj. Mam nadzieję, że żona słucha go z głową odwróconą w stronę mroku. Nie chodzi mi o to, żeby zachować w tajemnicy objawy rozkładu, które musiały być wyraźne na jej ledwie rozbudzonej twarzy, ale po prostu wzrok młodszego brata w ten sposób wdzierający się w naszą „rodzinę” rani moją dumę własną. Takashi opowiadał wspomnienia ze snu. Stopniowo składały się one na całość o znaczeniu przypominającym dyskusję w citroenie.

- Gdy wskazał na zniekształcenia rzeczywistości, nic nie mogłem powiedzieć. Pamiętasz? Zmęczyło mnie, bo podejrzewał mnie o to, że widzę diabła w mroku, lecz z tego, co mówili członkowie drużyny futbolowej... już się wyzwoliłem, Natchan.

- Czy twoja pamięć, Taka, w porównaniu z pamięcią Mitsu... - zaczęła żona bezsilnym głosem. Taki głos żony nie świadczył o nieuwadze, przeciwnie, był sygnałem, że koncentruje się ona - a na trzeźwo jest zazwyczaj dobrym słuchaczem - na słowach Taki.

- Nie, nie mówię, że moja pamięć zgadza się z faktami. Ale też nie zniekształcam ich świadomie. W końcu skoro jestem człowiekiem, który kiedyś miał swoje korzenie tutaj w tej dolinie, to przyłączenie się do wszechobejmujących aspiracji tutejszej społeczności nie jest chyba indywidualnym zniekształceniem. Jest to pamięć wspierana takim wspólnym snem, wypielegnowana w mojej głowie od czasu odcięcia mnie od tej wioski. Jako dziecko, rzeczywiście w tańcu nembutsu podczas święta zmarłych widziałem ducha brata S. w zimowej kurtce munduru kadeta lotnictwa marynarki wojennej, dowodzącego gromadą chłopców walczących z mężczyznami osady koreańskiej, ale niestety, brat został pobity na śmierć, kurtkę mu zabrano i pozostawiono go leżącego twarzą do ziemi w bielutkiej koszuli i spodniach. Mówiłem chyba, że ręce zamordowanego brata S. leżały, jakby zamarły w ruchu tanecznym, nogi w pozycji skoku, sugerując sylwetkę człowieka biegnącego? To w tej postaci wyrażały chwilę nagłego zatrzymania w tańcu nembutsu przepelnionym gwałtownymi podskokami. Tańce nembutsu odbywały się w samo południe w szczycie lata, dlatego te białe promienie słońca rozświetlające moją pamięć to te same, które widziałem podczas rzeczywistego Święta Zmarłych. Nie jest to pamięć o rzeczywistym ataku na osadę Koreańczyków, lecz o fakcie, który odrodził się skonkretyzowany we wspólnych odczuciach ludzi tej doliny; jest to więc doświadczenie z kręgu przeżywania tańca nembutsu. Chłopcy z drużyny futbolowej mówią, że nawet po moim odejściu z tej niecki widzieli „ducha” brata S., jak tańczył ten sam taniec, który ja pamiętam z dorocznego Święta Zmarłych. Po prostu musiałem mieszać w procesie zapamiętywania taniec nembutsu ze Święta Zmarłych i scenę rzeczywistego ataku na wioskę Koreańczyków. To raczej oznacza, że mam jeszcze korzenie, które łączą mnie z emocjami wspólnoty doliny. Przynajmniej ja w to wierzę. Niewątpliwie, Mitsu razem ze mną w dzieciństwie oglądał taniec nembutsu i powinien, jako starszy ode mnie, pamiętać to dokładniej, lecz w czasie dyskusji w Citroenie usiłował własną logikę pokazać w korzystnym świetle i dlatego milczał. Mitsu też ma w sobie coś podstępnego.

- Taka, a jaki jest ten taniec nembutsu Święta Zmarłych? Mówiąc „duch” masz na myśli duszę zmarłego? - zapytała go żona. Ale musiała wyczuć istotny sens tego, co mówił Takashi, i zrozumiała dostatecznie dobrze również i to, że Takashi jest dumny z odkrycia za pomocą snu własnych korzeni łączących go z emocjami wspólnoty doliny.

- O to zapytaj Mitsu. Bo będzie zazdrosny, jeśli ja ci wszystko opowiem o tej dolinie! Dzisiaj też zrobisz obiad dla drużyny futbolowej? Myślę o tym, żeby wkrótce zaprosić ich tutaj i pomieszkać trochę razem z nimi. Na Nowy Rok chłopcy zbierają się i spędzają razem dzień i noc, to taki zwyczaj w tej dolinie, mam zamiar zrobić to u nas. Natchan, pomożesz mi w tym?

Odpowiedzi żony dokładnie nie usłyszałem, ale zrozumiałem dokładnie, że żona należy już do straży przybocznej brata. Po południu prosiła o wyjaśnienia na temat zwyczajów związanych ze Świętem Zmarłych w tej dolinie. A ponieważ nie wspomniała słowa „zazdrosny”, które wypowiedział Takashi, objaśniłem jej tańce nembutsu przemilczając to, że słyszałem ich poranną rozmowę.

Ze wszystkich złych istot atakujących tę nieckę z zewnątrz i przynoszących nieszczęście, najbardziej typowym jest Chósokabe, wróg absolutnie odrzucany przez lud tej doliny, lecz w niecce nawiedzało ludzi inne zło czy raczej złoczyńca. Ale ponieważ istoty te wywodziły się pierwotnie od samych mieszkańców doliny, nie można było się ich pozbyć przez proste odrzucenie. Co roku w Święto Zmarłych wracają one z

zalesionych gór, tworząc procesję na kamienistej drodze, witaną z szacunkiem przez żywych. Z artykułu Shinobu Orikuchi dowiedziałem się, że istoty te, które wracają z lasu, oznaczającego tamten świat, i oddziałują na dolinę - świat rzeczywisty - to są „duchy złe”, które przynoszą szkody. Gdy powodzie niezmiennie szaleją w dolinie czy gdy nawiedzają ją szczególnie groźne klęski nieurodzaju ryżu, uważa się, że sprawcami są „złe duchy”, więc w celu ich ułagodzenia ludzie przejawiają tyle entuzjazmu podczas Święta Zmarłych. Właśnie w czasie epidemii tyfusu plamistego pod koniec wojny taniec nembutsu w czasie Święta Zmarłych wykonano „na cześć ducha” szczególnie widowiskowo. Procesja świąteczna, w której szedł z lasu również osobnik ubrany tak, że przypominał ogromną białą kałamarnicę, przeraziła dzieci.

Był to pewnie „duch” krwiożerczej wszy. Ale to nie wesz zdechła i zamieniła się w „złego ducha”, lecz raczej zmarły brutalny człowiek spośród naszych przodków, albo dusza dobrego człowieka, który zmarł śmiercią nieszczęśliwą, owego roku objawił się pod postacią „ducha” wszy i przyniósł nieszczęścia, tak przynajmniej uważano. W dolinie był specjalista od tańca nembutsu i on kierował przygotowaniem procesji na Święto Zmarłych. Od dawna zajmował się wytwarzaniem mat, ale kiedy na przykład panowała epidemia i izolowany szpital polowy w wielkim gaju bambusowym przepelniał się chorymi, ten człowiek od wiosny oddawał się z zapalem opracowaniu inscenizacji następnego Święta Zmarłych, i nawet kiedy pracował w swoim warsztacie, zwykle podnieconym donośnym głosem zwracał się o poradę do przechodzących brukowaną drogą.

Kiedy co roku w Święto Zmarłych procesja z lasu dochodzi do podwórza przed naszym domem, tworzyła koło i rozpoczynał się taniec, wreszcie wchodziła do naszego spichrza; a ponieważ po wypowiedzeniu pochwał na temat wnętrza otrzymywała poczęstunek, więc znajdowałem się w sytuacji uprzywilejowanej w porównaniu z wszystkimi innymi dziećmi doliny. W ten sposób spośród procesji, które oglądałem, w pamięci pozostała, jako najbardziej rzucająca się w oczy, ta, w której pewnego lata podczas wojny pojawiły się niespodziewanie po raz pierwszy „złe duchy” w mundurach wojskowych. Były to „złe duchy” tych z naszej doliny, którzy powołani do wojska zginęli na wojnie. Z każdym rokiem liczba „duchów” w mundurach wzrastała. „Duchy” zmobilizowanych do pracy w Hirosimie chłopców, którzy zginęli od bomby atomowej, wyszły z lasu w górach zupełnie czarne, przypominając wypalone kawałki węgla drzewnych. W Święto Zmarłych następnego lata po śmierci brata S. wytwórca mat przyszedł, aby pożyczyć mundur kadeta; dałem mu w tajemnicy przed matką kurtkę munduru zimowego. Następnego dnia w oddziale, który wyszedł z lasu brukowaną drogą, znajdował się tańczący z temperamentem „duch” ubrany w tę kurtkę.

- Mitsu, to nieuczciwie w stosunku do Taki, że nie powiedziałeś mi o tym w Citroenie.

- Ja nie milczałem umyślnie. Wiem, że nie był on przywódcą młodzieży doliny, ale ja naprawdę widziałem leżącego zamordowanego brata S., i to mną wstrząsnęło. Nie mogłem więc związać tego heroicznego i pięknego „ducha” z bratem S.

- To znaczy, Mitsu, że jesteś teraz daleki od tego, co Taka nazywa emocjami wspólnoty.

- Jeśli jestem naprawdę odcięty od tej doliny, to „zły duch” nic mi nie zrobi, nawet jeśli będzie chciał przynieść mi nieszczęście, więc tym lepiej dla mnie. - Zdusiłem w zarodku próbę ataku kryjącą się w jej pozornie obojętnych słowach. - Zrozumiałabyś od razu, gdybyś widziała w rzeczywistości taniec nembutsu; „duch” w mundurze kadeta, choć na pewno poruszał się wytwornie w kole tanecznym, był tylko „duchem” niskiej rangi wlokącym się w ogonie procesji. Na czele pochodu natomiast stał duch przywódcy

powstania 1860 roku, który zarówno ze strony widzów, jak i innych „duchów” otaczany był wciąż jako postać centralna, ubrana w strój historyczny. Był to „duch” przebrany za młodszego brata naszego pradziadka.

- Czy zwyczaj tańczenia tańca nembutsu rozpoczął się od powstania 1860 roku?

- Nie, ten taniec wykonywano tutaj dawniej, a „duchy”, jak myślę, istniały w tej dolinie od czasu osiedlenia się ludzi. Kilka, a może kilkadziesiąt lat po powstaniu „duch” młodszego brata pradziadka, podobnie jak „duch” brata S., był po prostu „duchem” początkującym, wlokącym się w ogonie procesji. Shinobu Orikuchi takiego nowego „ducha” nazwał „nowicjuszem” i jego ćwiczenia w tańcu nembutsu zaliczył do okresu próbnego. Taniec nembutsu składający się z wielu gwałtownych, szybkich ruchów, wykonywanych w kostiumach, jest dość ciężką pracą, dlatego same ćwiczenia w charakterze „ducha”, choć to sprawa odrębna, są dla młodych ludzi biorących w tym udział zajęciem dostatecznie żmudnym. Zwłaszcza, gdy w życiu ludzi niecki zrodzą się jakieś trudności, w energicznych ruchach tańca nembutsu pojawia się coś przerażającego.

- Chciałabym choć raz taki taniec zobaczyć. - Żona wyraziła naiwną tęsknotę.

- Masz zamiar codziennie oglądać ćwiczenia futbolowe Taki i jego drużyny? Jeśli działanie Takashiego naprawdę wyrasta z sentymentów wspólnoty tej doliny, to będzie to nowy typ tańca nembutsu. Nawet jeśli nie opanują ich „duchy, to i tak oni sami dostatecznie się zahartują, a ponieważ rzeczywiście wyciskają z siebie ostatnie poty, daje to połowę efektu tańca nembutsu. A przynajmniej, zahartowani podczas gry w futbol, będą mogli tańczyć nembutsu bez utraty tchu, gdy nastanie lato. Mam nadzieję, że ćwiczenia futbolowe Takashiego będą służyć celom pokojowym, że nie są tego rodzaju ćwiczeniami, jakim poddawał młodzież brat pradziadka na placu ćwiczeń wojskowych na porębie.

W przeddzień ostatniego dnia roku spostrzegłem, że ćwiczenia Takashiego wywierają korzystny wpływ na życie codzienne w dolinie. Po południu przez okno solidnie zbudowanego spichrza napływa ciepłe powietrze, obejmuje mnie niby ciepła woda, topi zmrożoną masę głowy, pleców, boków, stopniowo utożsamiam się ze słownikiem, książką Penguina i ołówkiem, pozwalając, by moje drugie „ja” ulotniło się jak dym, a to, które pozostaje, nieprzerwanie pracowało nad i tłumaczeniem. Kontynuowałem pracę, niejasno zdając sobie sprawę, że jeśliby zawsze szła mi w ten sposób, nie odczuwałbym cierpienia i mógłbym wytrwać przy niej do samej śmierci ze starości, nie zrobiwszy niczego szczególnie ważnego. I nagle moje rozgrzane uszy, ospałe i nieczułe, przeszył głośny krzyk:

- Człowiek w rzece! Gdy zaczęliem na haczyk świadomości wodniste, rozmiękle ciało niby zdechłą żabę na wędkę, nie czując strachu zbiegłem po schodach na dół. Aż dziw, że się nie przewróciłem. W mroku u stóp schodów na myśl o tym, czego dokonałem patrząc tylko jednym okiem, owładnął mną spóźniony strach i zatrzymał mnie w miejscu. Jednocześnie pomyślałem, że przecież nie może nieść człowieka z prądem rzeka, która w środku zimy jest prawie cała skuta lodem. Ale tym razem nie miałem wątpliwości; tuż obok siebie usłyszałem krzyk dzieci Jin:

- Człowiek w rzece! - dobiegło mnie pobrzmiwające echo. Wyszedłem na podwórze przed dom i patrzyłem na szybko znikające sylwetki dzieci Jin, biegnące w dół brukowanej drogi z wrzaskiem niby psy ścigające dzikie zwierzę. Zręczne utrzymywanie równowagi przez dzieci biegnące tak, jakby leciały na skrzydłach po wąskiej kamienistej drodze na stromym zboczu, wyżłobionej deptaniem niby dno łódki, pobudza mnie wewnętrznie do biegu i wywołuje wspomnienie ludzi porwanych przez

rzekę. W okresie powodzi od końca lata do jesieni, zwłaszcza po bezmyślnym wycięciu lasu podczas wojny, niemal co roku w wezbranej wodzie pojawia się nieszczęsny człowiek niesiony w dół rzeki. Ten, kto pierwszy go zobaczył, wołał:

- Człowiek w rzece!

A ci, którzy pierwsi słyszeli to wołanie, powtarzali słowa i grupkami zbiegali drogą wzdłuż rzeki. Nie mieli jednak żadnych możliwości ratowania ofiary. Dorośli na próżno usiłowali dopędzić wartki nurt rzeki wylewającej się z brzegów, korzystali z dróżki odgałęziającej się od drogi brukowanej lub biegli szosą, mijali most, biegli nawet dalej, spotykali się w miejscu, gdzie drogi się łączyły, nie przerywając pościgu. Biegli i krzyczeli, aż w końcu nawet najsilniejsi padali ze zmęczenia i przejęcia, ale nie podejmowali żadnego konkretnego działania, aby ratować tonącego. Następnego dnia, gdy nieco opadł poziom wody w rzece, dorośli w kurtkach straży pożarnej, utraciwszy poprzednie podniecenie, poruszali się niechętnie i ospale tracąc tyle czasu, ile tylko mogli, na dziobanie bambusowymi drągami nawarstwionego miękkiego błota wśród gęstych krzaków i drzewek wierzby, szli w tę trudną i wątpliwą podróż, z której nie mogli powrócić dotąd, dopóki nie odkryli ciała topielca.

Już byłem pewny, że się przesłyszałem, ale krzyk ten obudził we mnie - mimo że praca na piętrze spichrza uczyniła ze mnie miękką, rozluźnioną masę mięsa - odruch taki, jak gdybym rzeczywiście był członkiem wspólnoty w dolinie. Myśl o tym podnieciła mnie. Chcąc nieco opóźnić tempo więdnienia odruchu, zdecydowałem się postępować tak, jakbym na pewno słyszał krzyk „człowiek w rzece!” i w okrzyk ten uwierzył. W każdym razie miałem dużo czasu.

Naśladując siebie samego z okresu, kiedy byłem chłopcem w wieku dzieci Jin, zacząłem biec kamienistą drogą starając się stawiać stopy tak, by ściśle przylegały do pochylego brzegu bruzdy przypominającej dno łódki i wymachując rękami dla utrzymania równowagi ciała. Nim dotarłem do placu przed urzędem wioski, pociemniało mi w oczach, z trudem łapałem oddech, straciłem władzę w obu kolanach. Cały czas podczas biegu rozbrzmiewało w uszach hałaśliwe drżenie ciała, nadmiernie otyłego i obwisłego bezsilnie. Mimo to skierowałem się w stronę mostu i jak maruder w długodystansowym biegu oddychałem łapczywie wyrzuciwszy do przodu podbródek; niepokojąc się wielkością serca uciskającego żebra, szedłem przyspieszonym krokiem. Odprowadzając wzrokiem mijające mnie dzieci i kobiety wciąż na nowo uświadamiałem sobie, iż w ciągu tych kilku lat ani razu nie biegłem. Wreszcie u podnóża mostu ujrzałem tłum ludzi w pstrokatych strojach. Dawniej tłum tej doliny był szary jak ławica sardynek i sprawiał wrażenie ciemniejszej jamy, ale wulgarne ubrania z supersamu zmieniły jego barwę. Ludzie patrzyli z napięciem przed siebie. Ich milczenie było tak gęste, że zdawało się stawiać opór i pokrywać wszystko siecią. Przydeptując uschłą trawę obok brukowanej drogi, tak samo jak robiły dzieci, zobaczyłem, że rozpoczęto jakąś operację na zburzonych dźwigarach mostu.

Ponieważ centralne filary mostu pękły pod naporem wody i upadły, ich górne części, które łączyły się z masywem mostu, sterczały w różne strony niby powykręcane palce. Każde z tych popękanych betonowych wiązań, nadziane co prawda na stalowe pręty, stanowiło ciężką bryłę poruszającą się z dużą swobodą. Gdyby nacisnąć którąkolwiek część tej masy betonowej, można by ją wprawić w złożony i niebezpieczny ruch obrotowy o druzgocącym uderzeniu. Na jednej z brył betonu leżało nieruchomo dziwnie milczące dziecko w czapce głęboko nasuniętej na oczy. Być może straciło już przytomność i dlatego leżało tak spokojnie. Wypadło pewnie przez szczelinę w deskach tymczasowego mostu i zatrzymało się w tym miejscu, ale ponieważ bryła betonu chwyciła

się nawet pod jego ciężarem, dziecko boi się i nie może zrobić najmniejszego ruchu, a czas płynie przerażająco.

To dziecko znajdujące się w beznadziejnej sytuacji próbują uratować młodzi mężczyźni. Z rusztowania podtrzymującego tymczasowy most, obok wspomnianego centralnego filaru, opuszczone są już dwie belki. Przywiązany w środku tych belek trzeci sznur ciągną chłopcy stojący boso w płytkiej wodzie rzeki, ciągną tak, aby bal nie dotknął centralnego filaru. Na belkach siedzą dwaj chłopcy i stopniowo zbliżają się do bryły betonu utrzymującej dziecko. Mówią coś do dziecka, tak jakby uspokajali domowe zwierzę, i jednocześnie podpełzają po belkach. Gdy chłopiec na przodzie znalazł się na wprost dziecka, złapał je mocno rękami za nogi, a równowagę utrzymywał objawszy belkę nogami. Jeszcze chwilka i chłopiec, tak jakby chwycił cykadę, zdejmując z bryły betonu dziecko nie stawiające oporu. Rozlega się krzyk. I w tym momencie blok betonu, na którym leżało dziecko, zaczyna się nagle kołysać, stopniowo nabierając rozpędu, zderza się z wystającym rogiem głównej masy zniszczonego mostu: w całej dolinie rozlega się ciężki i głuchy grzmot i wznosi się ponad otaczający las. Takashi, który leżał na brzuchu na tymczasowym moście na wprost bryły betonu i kierował chłopcami, nagle wstał i dał nowe instrukcje chłopcom, którzy trzymali linę, żeby podciągnęli trójkę siedzącą na belce do poziomu mostu tymczasowego. Grzmot wywołany bryłą betonu wtargnął do mojego wnętrza wywołując gwałtowne napięcie. Wiązało się to z głęboką, prawie przyprawiającą o mdłości ulgą, jaką przyniosło przeświadczenie, iż członek rodziny przezwyciężył największe niebezpieczeństwo, ale tę ulgę wchłonęło jeszcze bardziej intensywne uczucie rozpaczy, wynikające z bezwzględnej brutalności świata, na samą myśl o tym, co by było, gdyby tego niebezpieczeństwa nie przezwyciężył. Gdyby nie powiodła się operacja ratunkowa i ciało dziecka, rzucone na nierówną powierzchnię wraz z bryłą betonu, zostało zdruzgotane, to również Takashi, odpowiedzialny za tę masakrę, zostałby ściągnięty przez rozkołysaną bryłę betonu jak ciężarek na sznurku i roztrzaskałby sobie głowę. Nie, może nawet bardziej ohydna i okrutna kara zostałaby wymierzona mężczyźnie, który przybył z zewnątrz i zamordował nieletniego członka tej wspólnoty. Gdy myślę o tym i staram się uspokajać siebie mówiąc, że Takashiemu się powiodło, to jednak nie mogę stłumić smaku goryczy wzbierającego wraz z płynami żołądkowymi. Dlaczego Takashi z własnej woli narażał się na takie niebezpieczeństwo? - zastanawiając się nad tym z nieokreślonym gniewem odwróciłem się tyłem do grupy ludzi przepychającej się ku uratowanemu dziecku i ruszyłem w stronę doliny. Chłopcy z drużyny futbolowej do tego momentu utrzymywali porządek i nie dopuszczali nikogo z tłumu, dlatego operacja ratunkowa postępowała bez zakłóceń. Przypomniałem sobie zawsze mroczną, napiętą i jakby wyzywającą biedną twarz Takashiego z dzieciństwa, gdy tracił przytomność nawet na widok kropelki krwi sączącej się z opuszka palca, mimo że przecieź twierdził, iż nie boi się żadnego gwałtu, bólu fizycznego czy nawet śmierci. Czy Takashi sądził, że wymiotując ucieknie od tego brutalnego realnego świata, gdy będzie musiał patrzeć bez mrugnięcia powieką, jak ciało dziecka roztrzaskuje się pięćdziesiąt centymetrów pod nim, leżącym brzuchem na tymczasowym moście, a jego twarz obryzguje krew zmieszana z okruchami betonu i mięsa? Za mną rozległ się jakby świąteczny, podniecony śmiech i nowe okrzyki wojenne. Popędzany nimi szedłem przed siebie szybkim krokiem, ciężko dysząc ze wzburzenia zupełnie odmiennego niż podniecenie tamtych z tyłu.

- Człowiek w rzece!

Tym, kogo porwał teraz najgroźniejszy nurt fali powodziowej, był po prostu Takashi. Ale dzięki temu wypadkowi Takashi i jego drużyna futbolowa chyba zdobędą w dolinie

znaczące wpływy. Takashi zyska pewność siebie i niewątpliwie poczuje, że jego korzenie wrosły mocno w miejscową glebę. Poczucie realności, jakie w nim kiełkuje, stanie się stopniowo jasne również dla oczu żony, a to dla niej będzie znowu czymś, co odegra bezpośrednio rolę uświadamiającą w kwestii bezspornej, iż dla mnie nic nowego tutaj się nie zdarzy. Po raz pierwszy słowo „zazdrosny”, które powiedział brat mojej żonie, wypełniło się konkretną treścią. Przed samym odejściem stamtąd spostrzegłem Citroëna zaparkowanego w środku gromady ludzi. Gdybym rozepchnął podniecony tłum i zbliżył się tam, mógłbym przyłączyć się do żony i towarzyszących jej osób. Ale ja znów zignorowałem Citroëna i odwróciłem się tyłem do tłumu. Nie chciałem być razem z żoną świadkiem sukcesu Takashiego - mówiły mi o tym iskry tryskające z naładowanego nowym sensem słowa „zazdrość”.

Mężczyzna o nienaturalnie długich nogach jechał na rowerze naprawdę bardzo starego typu; jechał tak, jakby zaprawiał się w sztuce zwolnionego wyścigu, minął mnie wolno, następnie z dużą swobodą postawił jedną nogę na ziemi.

- Panie Mitsusaburó, pan Takashi jest dobrym przywódcą! - powiedział to głosem nie zdradzającym szczególnego podziwu.

W taki sposób wypowiadali się ludzie zajmujący pewną pozycję w tej dolinie. Bardzo przezorni, zawsze przywdziewający maski obiektywnego chłodu, starają się sprytnie wybadać uczucia rozmówcy. W okresie mojej nieobecności w wiosce mężczyzna ten był zastępcą wójta w urzędzie wiejskim. Teraz utył, jego cera wskazywała na dolegliwości nerek; z nieodgadnionym wyrazem twarzy oczekiwał mojej reakcji, siedząc okrakiem na tym samym co dawniej rowerze, należącym do urzędu wiejskiego.

- Zostałby chyba zlinczowany, gdyby mu się nie powiodło - powiedziałem z niechęcią, głosem tak samo chłodnym.

Mężczyzna pewnie uznał, że jestem uświadomiony i znam podstawową taktykę stosowaną w rozmowach dorosłych tej doliny. Wydał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk, nie pozbawiony jednak echa pogardy.

- Gdyby Takashi dotąd wychowywał się w dolinie, nigdy by nie zachował się równie lekkomyślnie i nie kręcił się specjalnie wokół tak niebezpiecznej pułapki. Bo tak naprawdę to on nie zna mieszkańców tej doliny.

- Nie, nie! - odpowiedział mężczyzna, a spoza jego dwuznacznego uśmiechu przebijało wrażenie bojaźni i nieufności. - Nie wszyscy ludzie doliny są aż tak źli.

- Dlaczego nie reperują zniszczonego mostu? - zapytałem, idąc obok pchającego rower mężczyzny.

- Ach, most - mężczyzna zaczął i zamilkł, nie mając zamiaru mówić dalej. Potem powiedział tonem przedrzeźniającym siebie samego, co też należało do zwyczaju codziennej rozmowy między przebiegłymi dorosłymi tej doliny: - Ponieważ na wiosnę zostaniemy połączeni z sąsiednim miasteczkiem, więc nie ma potrzeby, żebyśmy sami most reperowali!

- Co się stanie z urzędem wiejskim po połączeniu?

- Hm, zastępcy wójta już nie będą potrzebować! - Mężczyzna po raz pierwszy zareagował szczerze. - Nawet teraz urząd wiejski prawie nie działa. Spółdzielnia leśnicza już od dawna została zmieniona w związek pięciu wiosek i miasteczka, a ponieważ spółdzielnia rolna zbankrutowała, urząd wiejski jest prawie pusty! Wójt stracił chęć do pracy, siedzi w domu i od rana ogląda telewizję.

- Telewizję?

- Supersam postawił na górze w lesie antenę zbiorową i sprzedaje telewizory, prawo do korzystania z anteny kosztuje trzydzieści tysięcy jenów! Mimo to w samej niecce dziesięć domów założyło sobie telewizję! - powiedział zastępca.

Wydawało się, że chociaż wieś jako całość była u progu ruiny gospodarczej, znalazło się przynajmniej dziesięć rodzin, które nie uległy supersamowi, korzystając według własnego uznania z radości konsumenta, aczkolwiek te same rodziny (jeśli wierzyć pesymistycznym teoriom młodego kapłana) mogły równie dobrze zaciągnąć w supersamie długi na opłatę za korzystanie z anteny i zakup telewizorów.

- Nie płacą za oglądanie, gdyż mówią, że nie odbierają programu NHK przez antenę supersamu.

- To znaczy, że oglądają tylko programy komercyjne nadawane z miasta tego regionu?

- Nie, najlepiej odbiera się tu NHK, ot co! - z pewną satysfakcją objaśnił zastępca, nieco ubawiony.

- Czy teraz też wykonują tu tańce nembutsu?

- Nie, przez pięć ostatnich lat już ich nie organizujemy. W domu pana, Mitsusaburó, pozostał tylko stróż, a wytwórca mat uciekł stąd pewnej nocy. Kiedy budują nowe domy, urządzą je w stylu europejskim i nie używają już mat! Ot co! - zastępca ostrożnie podjął nowy temat.

- A dlaczego właściwie pochód zatrzymywał się i taniec nembutsu wykonywano na podwórzu przed naszym domem? Przecież mogli wybrać podwórze przed domem wójta lub właściciela lasów. Czy dlatego, że mój dom znajduje się w połowie drogi z lasu do doliny?

- Chodzi pewnie o to, że jest to dom rodu Nedokoro, czyli -jak sama nazwa wskazuje - Miejsce Korzeni. A więc jest to miejsce, gdzie duchy ludzi tej doliny mają swoje korzenie! -powiedział zastępca. - Ojciec pana wygłosił pogadankę w szkole podstawowej i wtedy powiedział, że na Okinawie, gdzie pracował przed wyjazdem do Mandzurii, jest słowo w języku Ryukyu brzmiące Nendokoruu o tym samym znaczeniu co Nedokoro. Wtedy podarował szkole dwadzieścia beczulek „czarnego cukru”!

- Moja matka gardziła teorią Nendokoruu głoszoną przez ojca i w ogóle nie chciała o tym słuchać. Mówiła, że przez ofiarowanie szkole czarnego cukru ojciec stał się pośmiewiskiem całej doliny. Czy bezpośrednim powodem kpin było to, że dom się walił, a gospodarz dawał prezenty?

- Nie, wcale nie! - powiedział zastępca, cofając złośliwą pułapkę, którą sam z miną niewiniątka zastawił. Teoria Nedokoro-Nendokoruu rozeszła się po dolinie jedynie jako wesoła historyjka kryjąca w sobie złośliwą truciznę. Ta anegdota była zwykle ukoronowaniem rozmów, podczas których dorośli tej wioski dla zabicia czasu opowiadali sobie o licznych nieporozumieniach życiowych mojego ojca, łatwo poddającego się nastrojom. Przez długie lata wyśmiewano go jako mężczyznę, który pragnął zawładnąć „źródłem korzeni” wszystkich dusz tej doliny za pomocą dwudziestu beczulek czarnego cukru. Gdybym pozwolił zwieść się pokusie zastępcy wójta i uznał teorię Nedokoro-Nendokoruu, on by znów ze swoimi przyjaciółmi stworzył nową anegdotę o tym, jak bardzo syn Nedokoro przejął krew swego ojca.

- Panie Mitsusaburó, pan sprzedał spichrz i ziemię, tak? Myślę, że zrobił pan dobry interes!

- Jeszcze oficjalnie nie sprzedałem. Jest tu rodzina Jin, więc ziemi chyba nie sprzedam.

- Nie musi pan ukrywać! Myślę, że na niezłych warunkach! - nalegał zastępca. - Bo już Takashi i kierownik supersamu byli w urzędzie wioski, by zarejestrować sprzedaż ziemi i budynków, więc znam prawie całą sprawę! Szedłem dalej spokojnie, łagodnie się

uśmiechając, tak aby utrzymać pod kontrolą świadomości wszystkie reakcje ciała. Nagle pod butami kamienista droga zmieniła się w wyboistą dróżkę, stawiającą nieznośny opór. Gdy przechodziliśmy, oczy wszystkich starców i kobiet wpatrywały się w nas uważnie z ciemności poza brudnymi oszklonymi drzwiami obryzganymi błotem, które przylgnęło do nich podczas deszczu już tak dawno; te oczy nabierają nagle ostrości spojrzeń obcych ludzi. Idący obok mnie zastępca wójta jest generalnym reprezentantem tego rodzaju obcych. Otaczający las pogrążał się w mroku, niebo ściemniło się i zapowiadało nadchodzący śnieg. Wszystko to odczuwam jako krajobraz zupełnie obcy, nie mający teraz ze mną żadnego związku. Usiłuję podtrzymać łagodny uśmiech ze spokojem, jaki widziałem w oczach naszego dziecka, które nie znalazło żadnego kanału porozumienia wiążącego je z realnym światem. Ja, który sam siebie zamknąłem, nie interesując się w ogóle tą doliną, nie chcę, by cokolwiek z tej doliny mną wstrząsnęło. Ja nie istnieję na tej brukowanej drodze dla nikogo w tej dolinie...

- Więc na razie - rzekł zastępca i wsiadł na rower. Rozpoznał w mojej postawie człowieka z obcych stron, skorzystał z mądrości swych przodków i postanowił uniknąć jakichkolwiek powiązań. Ale ta obcość, którą odkrył we mnie, nie płynie z rozterki starszego brata, którego dom i ziemię młodszy brat sprzedał obcym bez porozumienia. Takie zdarzenie byłoby największym z możliwych skandali w społeczności tej doliny, więc gdyby zastępca wy wachał choćby oznaki czegoś takiego, szybko by wskoczył w dziurę moich wątpliwości, jak kleszcz wchodzi w uszy psa myśliwskiego, i niewątpliwie nie miałby zamiaru stamtąd wyjść. Ale we mnie odkrył po prostu obcą twarz, absolutnie obojętną na całą egzystencję wioski, włącznie z nim samym. Dlatego zastępca wsiadł na rower niezadowolony i pełen obaw, czy czasem nie rozmawiał ze zjawą; odjechał naciskając na pedały z dużą siłą i kiwając swym długim ciałem. Zupełnie nieoczekiwanie zmieniłem się dla niego w coś tak całkowicie odległego i pozbawionego znaczenia, jak plotka z dalekiego miasta.

- Więc do widzenia, panie zastępcu - odpowiedziałem na pożegnanie tonem, którego spokój zabrzmiał przyjemnie w moich uszach, ale on nawet się nie odwrócił na głos zjawy i z głową zwieszoną melancholijnie oddalił się, pokonując opór wznoszącej się pod górę brukowanej drogi. A ja szedłem powoli, uśmiechając się do siebie, jak ktoś przezroczysty, kroczący nieznaną sobie drogą. Nieletnie dzieci, które nie zdołały dobiec do mostu, patrzyły teraz na mnie, ale ja już nie czułem przed nimi lęku, bo odkryłem w ich zabłoconych twarzach własną podobiznę z minionych czasów, i nawet przeszedłszy przed dawnym magazynem gorzelnii, zniszczonym przez supersam, nie byłem szczególnie przygnębiony. Dzisiaj supersam był opustoszały, znudzona dziewczyna przyglądała mi się zza kasy oczyma tępych i zamglonymi.

„Musisz zacząć nowe życie, Mitsu” - zaatakował mnie nagle Takashi. - „Może rzucisz wszystko to, co teraz robisz w Tokio i razem ze mną wyjedziesz na Shikoku? Mitsu, nie byłby to zły początek nowego życia.” - Kiedy to powiedział, po raz pierwszy od kilkunastu lat wieś w dolinie wróciła do mnie jako rzeczywistość. Powróciłem w dolinę, aby szukać swego „domu pod strzechą”. A w istocie dałem się nabrać na zaskakującą melancholię, która nagromadziła się jak kurz na skórze podczas jego włóczęgi po Ameryce. A co do mojego „nowego życia” w dolinie, to był to zwykły podstęp Takashiego, który chciał ubiec moją odmowę i dzięki temu sprzedać bez przeszkód spichrz i ziemię dla czegoś, co rozpałało w nim niejasne namiętności. Dla mnie dolina nie istniała od początku tej podróży. Zwłaszcza że nie zostawiłem w niej żadnych korzeni, dlatego ten dom i ziemia nie mają dla mnie prawie żadnej realnej wartości. Brat mógł przecież wydrzeć je ode mnie bez stosowania jakichkolwiek podstępów. Teraz

wspinałem się powoli i niepewnie brukowaną drogą, przypominającą środek łodzi w przekroju, którą jeszcze tak niedawno biegłem polegając na wspomnieniu dziecięcego poczucia równowagi. Czułem co prawda nieokreślony niepokój płynący z przeświadczenia, że nie ma ze mną związku cała ta dolina włącznie z tą brukowaną drogą; z drugiej strony po powrocie do doliny zostałem wyzwolony z poczucia winy za to, że utraciłem tożsamość z prawdziwym sobą, jakim byłem od dzieciństwa.

- Jesteś zupełnie jak mysz! - Przeciw całej dolinie oskarżającej mnie w ten sposób mogę teraz odpowiedzieć wrogo: jakimże to prawem zwracacie się tak impertynencko do człowieka dla was obcego, nie mającego z wami związku? W tej dolinie jestem tylko jednookim przechodniem, na swój wiek nazbyt otyłym, i nic z jej rzeczy i spraw nie może przywołać ani wspomnienia, ani zjawy jakiegokolwiek innego prawdziwego „ja”. Jednak mam prawo upierać się przy tożsamości przechodnia. Mysz też ma swoją myśl tożsamość. Jeśli jestem myszą, to nie ma potrzeby niepokoić mnie wołaniem: „Ty jesteś zupełnie jak mysz!” To małe domowe stworzenie skrzyżowane w ten sposób i wbiegające do nory bez oglądania się na boki - to ja we własnej osobie. Zaśmiałem się bezgłośnie.

Gdy wróciłem do domu, sprzedanego przez młodszego brata „cesarzowi” supersamu, do domu, który ani do mnie, ani do nikogo z mojej rodziny już nie należał, spakowałem podręczne przedmioty do walizki. Jeśli Takashi sprzedał nie tylko spichrz, lecz także ziemię, musiał za to otrzymać sumę wielokrotnie wyższą od tej, którą nam, mnie i żonie, podał wspominając o zaliczce. Jeszcze w dodatku z fałszywej zaliczki, którą mi wydzielił, ponad połowę wyłudził jako darowiznę na rzecz drużyny futbolowej. Wyobraziłem sobie, jak Takashi opowiada z naiwną dumą członkom swej drużyny o tym, że nie tylko mnie ograbił z domu i ziemi, ale też zmusił do ofiarowania im części tej fałszywej zaliczki. Przypuszczalnie mój datek był w efekcie przysłowiową kropką nad „i” w komedii, w której Takashi grający rolę chytrego złoczyńcy wyprowadził w pole dobrodusznego, ale niezbyt rozbudowanego człowieka, w którego roli występowałem. Ze spichrza przyniosłem książkę Penguina, słowniki, notatniki, papier, zapakowałem do walizki i czekałem na powrót brata i jego straży przybocznej, do której świeżo przyłączyła się moja żona. Wrócę do Tokio i będę chyba znowu budząc się każdego ranka odczuwał tępy i nieustępliwy ból we wszystkich częściach ciała. I twarz, i głos stopniowo ulegną zniszczeniu, być może usta rzeczywiście się wyostreją jak mysi pyszczek i zacznę mówić szeptem, piskliwym głosikiem. W ogrodzie za domem wykopię dół, tym razem tylko po to, bym wlaził tam o świcie. Tak jak obywatele Ameryki mają schrony na wypadek wojny atomowej, ja będę miał jedną jamę na medytację. I choć dzięki mojemu indywidualnemu schronowi uzyskam szansę spokojnego zbliżenia się ku śmierci, to ponieważ nie będę starał się zapewnić sobie bazy przeżycia śmierci innych ludzi, a więc ani sąsiedzi, ani dostawca mleka nie będą mieli powodu żywić do mnie nienawiści z powodu moich ekscentrycznych zwyczajów. Będzie to decyzja, która całkowicie odetnie ode mnie przyszłość mogącą mi przynieść odkrycie nowego życia w domu pod strzechą, ale z drugiej strony da mi okazję głębszego zrozumienia sensu wszystkich cząstek mojej przeszłości, a także czynów i słów zmarłego przyjaciela.

Kiedy Takashi i inni wrócili, spałem obok paleniska. Pozycja, w jakiej leżałem, musiała świadczyć o spokoju mojego umysłu, bo gdy się przebudziłem, Momoko mnie skrytykowała:

- Kiedy Taka i pozostali koledzy wykonywali tak ogromną robotę, pewien człowiek mający uznanie w społeczeństwie spał spokojnie w ciepłe niby stary kot!

- Czy stary kot to coś takiego jak mysz? W tym porównaniu jest sprzeczność - powiedziałem wstając.

- Taka i inni... - zmieszana Momoko, która w naiwnym zakłopotaniu zaczerwieniła się jak pomidor, próbuje wyzywająco podjąć ze mną dyskusję. Żona powstrzymała ją i powiedziała:

- Momo, Mitsu oglądał pracę Taki stojąc za grupą ludzi i dobrze wie, co się zdarzyło. A mimo to zamiast pogratulować drużynie futbolowej uciekł bez słowa. Na pewno bardzo mu się chciało spać!

Spostrzegłem, że Takashi ujrzał moją walizkę leżącą na wystającym w kuchni brzegu podwyższonej podłogi. Takashi wpatrując się w walizkę powiedział, próbując sondować:

- Widziałem, jak zastępca dopędził cię na rowerze. Widziałem też i to, że spośród widzów naszego ryzykownego przedsięwzięcia jedynie ty i ten zastępca wójta odeszliście nie zobaczywszy uratowanego dziecka.

- Zastępca chciał wypytać mnie o interes, jaki zrobiliśmy na spichrzu i ziemi. Taka, czy to było korzystne? - zapytałem odzyskując swobodę i pewność siebie z okresu dzieciństwa, kiedy wprawiałem go nieraz w zakłopotanie zadając złośliwe pytania.

Takashi zerwał się z miejsca niby dziki drapieżny ptak i zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem. Kiedy spojrzałem na niego obojętnie, brat tchórzliwie spuścił oczy, a gdy krew uderzyła mu do głowy tak jak przed chwilą Momoko i powlokła cieniem jego drobną twarz, potrząsnął głową niby protestujące dziecko i zapytał bojaźliwie:

- Więc wracasz do Tokio, Mitsu, tak?

- Aha, wracam. Chyba już spełniłem swoje zadanie, co?

- Ja zostaję, Mitsu - wtrąciła żona zdecydowanie. - Chciałabym pomóc Tace w zorganizowaniu tutaj wspólnego pobytu jego drużyny.

Jednakowo zaskoczeni, Taka i ja, spojrzeliśmy na żonę, ja z jednej, on z drugiej strony. Rzeczywiście, pakując walizkę nie pomyślałem o wyjeździe żony. Ale nie przewidywałem, że z tak aktywną determinacją będzie chciała zostać w dolinie z Takashim i jego ludźmi.

- W każdym razie, Mitsu, przez pewien czas nie będziesz mógł wyjechać z doliny. Od dziś pada śnieg - powiedział Takashi. I kiedy czubkiem butów używanych podczas treningu trącił walizkę, po raz pierwszy od chwili poznania jego podstępny gniew odpłynął z głowy w dół przez moje ciało, niby kropla rozpalonego do czerwoności żelaza. I od razu zniknął.

- Jeśli nawet pozostanę tutaj zamknięty z powodu śniegu, będę nocować w spichrzu, niezależny od was wszystkich. Dom proszę swobodnie wykorzystywać dla drużyny futbolowej - ustąpiłem dobrodusznie ze słabością człowieka, którego gniew minął.

- Niezależnemu będę dostarczać posiłek do spichrza, Mitsu.

- Myślę, że w spichrzu może być o świecie zimno - tylko Hoshio wyraził dla mnie współczucie. Słuchał naszej rozmowy z boku, pochmurny, jakby odnosił się ze sceptycyzmem do dzisiejszego sukcesu Takashiego.

- „Cesarz” mi powiedział, że przygotował importowane piece naftowe i wystawił w supersamie, ale oczywiście dotąd nie sprzedał ani jednego. Kupię ci taki jeden piecyk - powiedział Takashi, odzyskawszy siły. Następnie patrząc na mnie uśmiechnął się na moment wyzywająco i dodał:

- Mam pieniądze, Mitsu.

Od pewnego czasu słyszałem pracujących przed domem młodych ludzi. Chyba krępowali się wejść do kuchni obawiając się mnie jako obcego elementu, zajmującego

miejsce obok paleniska. W końcu rozległ się odgłos kucia młotem metalu na kowadle. Gdy wyszedłem na podwórze, trzymając w ręku walizkę z zamiarem przeniesienia jej do spichrza, chłopcy siedzący w kucki wokół kowadła tylko poruszyli leniwie głowami kierując wzrok na mnie; ich twarze pozostały sztywne i bez wyrazu, jakby się starali, żebym z nich nic nie wyczytał. Chłopcy mocno uderzali młotkiem w dłuto, które wbijali w metalowy przyrząd nazwany w tej okolicy „obdzieraczką”. Górną jej część, przypominającą nożyce, już rozłożyli, na ziemi leżały uchwyty, środkowe ostrza oraz kilka elementów przypominających haki strażackie o spiczastych końcach zgiętych prostopadle. Tymi przyrządami umocowanymi prostopadle chwytało i zdzierano korę z drzewa mitsumata, a operację tę nazywano „obdzieraniem mitsumata”. Przedmioty podobne do haków strażackich ułożone na ziemi, ich uchwyty, ostrza i spiczaste czubki w sposób ostentacyjny przypominały broń. Opanowało mnie uczucie instynktownej potrzeby samoobrony, ale nie wnikając głębiej w sens tego odczucia poszedłem w stronę spichrza. Teraz jestem człowiekiem obcym wobec wszystkich rzeczy i zjawisk, jakie mogą pojawić się w tej dolinie.

Zarówno w niecce stanowiącej środek doliny, jak i „na prowincji” rosło dużo mitsumata dobrej jakości. W dawnych czasach pocięte mitsumata poddawano działaniu pary, zdejmowano korę, suszono, wiązano, zbierano w jednym miejscu i przechowywano w specjalnym magazynie, należącym do naszej rodziny. Potem znów rozwiązywano, moczono w wodzie i „obdzieraczką” zdejmowano czarną korę, potem znów suszono, otrzymując w ten sposób biały półprodukt zwany „shirokawamaru”. Sortowanie, prasowanie i wiązanie w prostokątne paczki tego surowca służącego do wyrobu papieru, a następnie przekazywanie do Biura Drukarni Rządowej było od długich lat zajęciem rodziny Nedokoro. Obdzieranie czarnej kory było ważnym dodatkowym zajęciem chłopców w niecce. I na przykład wózek, z którym poszedłem po ciało zmarłego brata S., służył do rozwożenia do domów „czarnej kory” i zbierania „białej kory”. Tym rodzinom, które podejmowały się tej pracy, przydzielano narzędzia zwane „obdzieraczkami”, które na zamówienie robili kowale w dolinie. Na uchwytach wyrżnięte były dłutem znaki takie jak „hikaru”, „hiroshi”, „tsubame”, „shin”, czy „ran”, będące nazwami rozpoznawczymi poszczególnych domów. Liczba narzędzi do obdzierania kory była ściśle ustalona w celu ochrony interesów rodzin, od pokoleń zajmujących się dodatkowo tą pracą, a przynajmniej do pewnego czasu po wojnie posiadanie takiego narzędzia z wyrytym symbolem rodziny oznaczało w społeczności doliny przynależność do pewnej warstwy społecznej. Pamiętam chłopca, któremu odebrano narzędzie z wyrytym symbolem domu z powodu złych zbiorów „białej kory”, klęczącego w sieni przed moją matką. Matka tuż przed śmiercią przekazała spółdzielni wszystkie prawa dotyczące przygotowania mitsumata dla Biura Drukarni Rządowej. Chłopcy wynieśli spod podłogi domu te narzędzia, które leżały tam od czasu ich zarekwirowania. Większość mogła znaleźć wśród nich narzędzia ze znakami własnych ojców. Teraz nie można sobie wyobrazić innego zastosowania tych przedmiotów, podobnych do haków strażackich, jak tylko w charakterze broni, mają więc chłopcy po jednej sztuce broni z wyrytymi znakami rodowymi ich przodków. Takashi rozdzielił chłopcom po jednym takim haku, czyniąc z tego dowód osobisty członka drużyny futbolowej; kiedy będą wyrzucać ze swej nowej społeczności czarną owcę, mogą chyba posłużyć się tym samym sposobem, jaki stosował dawniej pradziadek czy ojciec, rekwirując narzędzie. Ale oni są obcy i ich praca nie ma związku ze mną. Nawet gdyby znalazło się takie narzędzie ze znakiem mitsu, nie przyjąłbym go.

Wyglądając przez wąskie okno spichrza dostrzegam las pogrążony w ciemności, a wysoko nad nim widać coś zupełnie | odmiennego, jakby bladobrzoskwiniową ścianę zorzy wieczornej i otaczające ją równie blade, szaroniebieskie odległe niebo - wydało się jaśniejsze od nieba wróżącego śnieg, które widziałem w ciągu dnia. Jednak oznaki nadchodzącego śniegu były w powietrzu bardzo wyraźne. Hoshio naprawia zepsutą od dawna latarkę wiszącą pod okapem, aby oświetlić miejsce przed domem, gdzie pracują chłopcy. Rozbrzmiewał jeszcze stuk uderzającego o żelazo młota, gdy las nagle poszarzał. Masyw lasu, nadal w kolorze wyblakłej ciemnej zieleni, zaczął się poruszać drobnymi drgnieniami. W górnych partiach zaczyna padać śnieg i stopniowo przybliża się ku dolinie. Odczuwam głębokie przygnębienie, które trudno by do czegokolwiek porównać. Teraz, kiedy czuję się wyzwolony od spraw zewnętrznych, zdaję sobie sprawę, że moje przygnębienie było czymś czysto osobistym. Gdyby miało się nadal pogłębiać, to nie można mieć wątpliwości, jaką operację rozpoczną moje palce, gdy o świcie znów usiądę w jamie trzymając w objęciach cuchnącego, gorącego psa. Znów ogarnia mnie wspomnienie owego drżenia i bólu, których nie mogłem pokonać tamtego ranka, nawet po powrocie do sypialni. Nowe życie, chata pod strzechą - nie czekały na mnie w tej dolinie. Znowu jestem samotny i opuszczony, bez odrobiny nadziei, przeżywam czas przygnębienia wyraźnie głębszego niż przed powrotem brata do kraju. Znam cały sens tego przeżycia.

8. Powiedzcie prawdę

Gdy Takashi i Hoshio wnieśli do spichrza piecyk naftowy w kształcie pudła, w kolorze nie mającym wiele wspólnego z barwą budzącą nastrój ciepła, zobaczyłem puder śniegu osypujący się z ich barków i pleców, suchy i twardy jak piasek. Podniecone śniegiem żona i Momoko spóźniły się z przygotowaniem jedzenia, więc kiedy zszedłem na dół do domu na kolację, śnieg pokrywał już podwórze przed domem. Ale była to jeszcze wątpła, niepewna warstewka. Sypiący bez przerwy śnieg i ciemności zamykały szczelnie pole widzenia, więc kiedy podniosłem twarz, w którą zacinął padający śnieg, miałem wrażenie, jakbym się unosił w łódce wśród morza padających płatków i trudno mi było utrzymać równowagę. Sypki, drobniutki śnieg bił mnie po oczach i wyciskał łzy. Wydaje mi się, że śnieg, który dawniej padał w dolinie, miał postać mokrych płatków, wielkich jak opuszka dużego palca. Przywoływałem różne wspomnienia związane ze śniegiem, ale pamięć o śniegu w tej dolinie nie była wyraźna, tonęła we wspomnieniach śniegu z rozmaitych miast, w których mieszkałem. W każdym razie ten naprawdę sypki śnieg, uderzający teraz o moją skórę, był dla mnie czymś odległym, podobnie jak ten, który padał na różne miasta obcych ludzi. Szedłem więc obojętnie, rozkopując warstwę zgromadzonego śniegu. W dzieciństwie zwykle chwytalem pospiesznie i łapczywie garść pierwszego śniegu padającego w dolinie i wkładałem do ust. Zdawało mi się, że ma smak wszystkich minerałów zawartych w atmosferze okrywającej dolinę, od wyżyn niebios po ziemię, po której stąпам. Takashi i jego kumple zostawili drzwi otwarte i przy słabym świetle lampy pod okapem patrzyli na śnieg tnący mrok nocy. Byli już niemal pijani śniegiem, ja natomiast pozostałem trzeźwy.

- Jak tam piecyk naftowy? Bardziej pasującego do spichrza nie można było dostać - powiedziała żona. Może ona też upiła się śniegiem, więc dzisiejszego wieczoru nie zaczęła jeszcze pić alkoholu.

- Nie zamierzam na stałe zamieszkać w spichrzu. Wyjadę nawet jutro, jeśli przestanie padać, dlatego nie mam czasu martwić się, czy piecyk pasuje do pokoju, czy nie.

- Taka, czy to jednak nie jest dziwne, żeby przywozić do tej doliny piece naftowe importowane aż ze Skandynawii? - Żona zwróciła się do młodszego brata, ponieważ ja w ogóle nie wykazałem zainteresowania.

- Sprowadzając drogie towary, których absolutnie nie mogą kupić ludzie doliny, „cesarz” supersamu rzuca wyzwanie całej wsi - powiedział Takashi.

Nagle zdałem sobie sprawę, że tego rodzaju teoria może służyć Takashiemu do podburzania chłopców z drużyny futbolowej, ale nie poszedłem głębiej tokiem tej myśli. Straciłem chęć do myślenia o związkach Takashiego z doliną. Jadłem w milczeniu, jakbym w ogóle nie istniał tu, obok tego paleniska. Straż przyboczna Takashiego chyba zaczęła w naturalny sposób pojmować, że zachodzi we mnie pewna przemiana jakościowa. Rozmowa rozwijała się bez zahamowań i skrępowania ponad moją głowę, jakby przeskakiwała nad depresją. Tylko Takashi wydawał się nieco zaniepokojony moim milczeniem, od czasu do czasu rzucał przynętę, którą mógłby mnie wciągnąć w strumień rozmowy, ale ja jej nie chwytalem. Nie dlatego, że miałem jakieś ukryte motywy, ale po prostu, szczerze mówiąc, nie zdołali mnie niczym zainteresować. W Citroenie, którym wieźliśmy prochy brata S., wypaczanie pamięci o moim bracie wzbudziło we mnie silny sprzeciw, tym bardziej że ja sam próbowałem gorączkowo znaleźć powiązanie całej konkretnej przeszłości, która tu się „wydarzyła”, ze współczesnością istniejącą w moim ciele, licząc, że w tej dolinie odnajdę początek nowego życia. Teraz straciłem całkowicie tę motywację i po raz pierwszy jasno zrozumiałem istotę zdarzeń. Takashi mówił tak, jakby rozmowa komponowała się w trójkąt, w którym ja stanowiłem jeden kąt, mając przeciw sobie linię powstałą między nim a moją żoną. Ale ja nie chcę być jakimkolwiek czynnikiem w jakichkolwiek trójstronnych stosunkach i, będąc całkowicie izolowany, stoję w obliczu przygnębienia obezwładniającego moje ruchy, jak w męczącym śnie.

- Powiedziałeś, Mitsu, że tego wieczoru, kiedy brat S. został zabity, ja stałem bez ruchu w mrocznej kuchni i jadłem słodycze. - Gdy milczałem nie zwracając uwagi na wyzwanie jego oczu, Takashi nieśmiało przeniósł spojrzenie i szukał wsparcia u mojej żony. Zrozumiałem, że Takashi pożałował swego podstępu w stosunku do mnie. Ale, prawdę mówiąc, treść doznań brata nie ma związku z tym, co ja przeżyłem. Jego postępek nie zranił mnie. Przeciwnie, to dzięki bratu zyskałem okazję zobaczenia rzeczy innych niż te, które znajdowały się we mnie. - Natchan, właśnie przypomniałem sobie wyraźnie, co się działo wewnątrz i na zewnątrz mnie, kiedy jako dziecko przeżywałem tę scenę. Stałem w kuchni i jadłem słodycze, ale nie było to tak, że jadłem je tak sobie, bawiąc się tym; po prostu brązowawa ślina ze stopionym cukrem wypływała z kącików ust, więc aby nie spływała po brodzie, poruszałem szybko językiem i jadłem powstrzymując płyn między wargami a dziąsłami. Mitsu też nieraz poprawia pamięć siłą wyobraźni. Mitsu powiedział, że płynęła mi ślina zmieszana z roztopionym cukrem, niby krople krwi, ale to nie było tak. Aby nie wypuszczać z ust śliny, wykorzystywałem całą znaną mi technikę jedzenia słodyczy. Wiesz, był to rodzaj magii. Wtedy zapadł już zmierzch, ale gdy patrzyłem z ciemnej kuchni w otwarte drzwi, ziemia na podwórzu jaśniała jeszcze większą bielą niż dzisiejszy śnieg. Właśnie Mitsu wrócił z ciałem brata S. na wózek. W pokoju obok matka odchodzi od zmysłów. I nie wiadomo w jakim momencie otworzy drzwi i zacznie wymyślać zjawom fernali na podwórzu. Widzisz, pokój ten to takie miejsce, z którego siedzący tam gospodarz wydaje rozmaite polecenia osobom stojącym na podwórzu. Chociaż byłem jeszcze dzieckiem, poczułem się

osaczony jak w ślepej uliczce, z której nie udałoby mi się uciec, nawet gdybym nie wiem jak szybko biegł. Otaczał mnie przerażający gwałt; w końcu i trup, i szaleństwo, to gwałt w postaci absolutnej. Dlatego tak zawzięcie ssalem cukier, gdyż miałem nadzieję, że moja świadomość ukryje się wewnątrz mnie, tak jak się zasklepia rana i znika w nabrzmiewającym ciele, a ja odwrócić się na zawsze plecami do otaczającej mnie brutalności. Więc wymyśliłem czary. Wierzyłem, że jeśli czary podziałają, to znaczy jeśli nie wypuszczę kropli śliny zmieszanej z roztopionym cukrem, będę mógł wreszcie uciec od straszliwej brutalności wokół mnie. To może brzmi naiwnie, ale kiedy myślę o brutalności, dziwię się zawsze, jak moi przodkowie mogli przeżyć zmagając się z otaczającym ich gwałtem i jeszcze potrafili przekazać życie mnie, jednemu z potomków. W końcu oni żyli w epoce straszliwego gwałtu. Trudno mi wprost wyobrazić sobie, jak wielkiej ilości przemocy musieli się przeciwstawić ludzie, od których się wywodzę, abym ja mógł teraz żyć.

- Mam nadzieję, Taka, że jakoś się oprzesz gwałtom i przekażesz dalej to swoje koło życia - powiedziała żona tonem współgrającym z uczuciem, które tkwiło u podstaw szczerego wyznania Takashiego, i z taką samą jak on szczerością.

- Kiedy dziś leżałem na brzuchu na prowizorycznym moście i wpatrywałem się w dziecko, które mogło w każdej chwili zostać zdruzgotane, atakowały mnie różne myśli o gwałcie i przypomniałem sobie całą tę sytuację, kiedy jadłem cukier. To nie był mój nowy sen - powiedział Takashi i w milczeniu jeszcze raz spojrzął na mnie pytająco.

Brnąc poprzez śnieg wróciłem do spichrza, kucnąłem jak mała i widząc jakiś ponury żart w tym, że piec naftowy ze Skandynawii zapalono po raz pierwszy w tej dolinie, wpatrywałem się w okrągłe okienko w czarnym cylindrze. W głębi poza nim wznosił się płomień barwy morza w pogodny dzień i drżał bez przerwy. Niespodzianie nadleciała mucha mierząc prosto w mój nos, zderzyła się z nosem i spadła na moje lewe kolano. Rozgrzane powietrze unoszące się od pieca ku sufitowi poruszyło muchę, która powinna była pozostawać do wiosny w ukryciu za główną belką z drzewa keyaki. Tłusta, spasiona mucha była tak duża, jakiej nigdy dawniej nie zobaczyłoby się w domach mieszkańców tej doliny. Podobnie wielkie muchy można było zobaczyć w stajni, ale ta nie należała do tego rodzaju much, miała wszystkie cechy szczególne much gromadzących się wśród ludzi, jedynie swoją wielkością różniła się od normalnych. Schwyciłem ją jednym zamachem dłoni, wykonanym z dziesięciocentymetrowym wyprzedzeniem. Nie mam zamiaru tym się chwalić, ale uważam się za mistrza w łapaniu much. Wypadek, w którym straciłem zdolność widzenia prawym okiem, zdarzył się w środku lata, więc kiedy leżałem wracając do zdrowia, zbierało się wokół mnie mnóstwo much i drażniło się ze mną. Wtedy mściłem się na nich, doskonalałem technikę chwytania i ćwicząc równocześnie wyczucie perspektywy oglądanej jednym tylko okiem.

Podziwiałem przez chwilę muchę, gdy tak wiła się między koniuszkami palców. Doszedłem do wniosku, że naprawdę jest podobna do chińskiego znaku „mucha”. Lekko ścisnąłem koniuszki palców i rozgniotłem ją, a palce zwilgotniały od płynu z jej ciała. Miałem wrażenie, że trudno będzie oczyścić zabrudzone palce. Zmysłowe odczucie obawy otoczyło mnie dokoła i wsączało się do wnętrza niby ciepło od pieca. Ale otarłem tylko palce o spodnie na kolanach. I siedzę tutaj skulony, bez ruchu, z odrętwiałym ciałem, jak gdyby zdechła mucha była czopem zamykającym ośrodek motoryczny moich funkcji nerwowych. Własną świadomość utożsamiałem z płomieniem drgającym w okrągłym okienku pieca. W związku z tym moje ciało znajdujące się po tej stronie okrągłego okienka jest niczym więcej, jak tylko pustą powłoką. Przyjemnie jest w

ten sposób spędzać czas, uciekając od odpowiedzialności za ciało. Zaszło mi w gardle, zaczyna swędzić i palić. Gdy myślałem o tym, że na górnej, płaskiej części pieca należałoby postawić czajnik z wodą, zdałem sobie sprawę, że nie tylko nie wrócę do Tokio jutro rano, ale że będę musiał spędzić wiele długich dni na piętrze tego spichrza. Bowiem uszy mi mówią, że śnieg nastał na dobre. Nawet głęboką nocą w dolinie otoczonej lasem, gdy uszy przywykną do reagowania na subtelniejsze szmery tej głębokiej ciszy, usłyszę jeszcze zadziwiająco gamę dźwięków. Ale teraz dolina pogrążona jest w absolutnej ciszy. W dolinie i całym obszarze otaczającego ją rozległego lasu nawarstwiający się śnieg wchłonął wszystkie dźwięki. Pustelnik Gii, który - jak mówią - nadal prowadzi samotne życie w głębi lasu, mimo że jest przyzwyczajony do codziennego milczenia lasu, odczuwa chyba jakiś niezwykle niepokój w tym doskonałym nieistnieniu dźwięków w otulonej śniegiem głębokiej nocy. Gdyby pustelnik Gii zamarzył na śmierć w lesie pod śniegiem, czy ludzie doliny znaleźliby kiedykolwiek jego ciało? O czym może myśleć pustelnik Gii leżąc w ciszy mroku pod gromadzącym się śniegiem, twarzą w twarz z taką oto aspołeczną śmiercią? Czy będzie milczał, czy też będzie bez przerwy mówił do siebie? Pustelnik Gii w głębi lasu może wykopać sobie jamę, głęboką i prostokątną, i taką, jaką ja miałem tylko przez jeden dzień w ogrodzie za własnym domem, i może się w niej skryje przed śniegiem. Własną jamę za domem wypełniłem czymś tak banalnym jak zbiornik na śmiecie. Dlaczego bardziej nie szanowałem tej jamy? Wyobraziłem sobie dwa doły obok siebie w głębi lasu; w starym - pustelnik Gii, w nowym - ja, obaj siedzimy obejmując kolana i mocząc tyłki, i spokojnie czekamy. Wydaje mi się, że słowa „czekamy” użyłbym kiedyś w pozytywnym sensie, ale teraz w mojej głowie pojawia się ono w sensie najbardziej negatywnym. I myślę jednocześnie, że właśnie teraz jestem w takim nastroju, iż zaakceptowałbym bez strachu i odrazy własną śmierć pod ziemią i żywirem, który wydrapywały moje własne palce na dnie jamy. Podczas zamieszania związanego z podróżą do rodzinnych stron systematycznie schodziłem coraz niżej „w dół”. A potem, gdy już rozpocząłem samotne życie tu na piętrze w spichrzu, mógłbym pomalować twarz cynobrem, wepchnąć ogórek do odbytnicy i powiesić się bez przeszkód z czyjejkolwiek strony. W dodatku miejsce to jest nawet odpowiednio wyposażone, są tu belki z drzewa keyaki, które przetrwały już sto lat. Ale wątek tych szalonych myśli obudził we mnie na nowo lęk i odrazę, nagle powstrzymałem ruch głowy zwróconej ku górze, by potwierdzić istnienie wielkiej belki z drzewa keyaki...

W środku nocy rozległy się na podwórzu dźwięki, przypominające stąpanie konia po mokrej ziemi. Słyszać było jedynie zlewający się głuchy odgłos stąpania, pogłos pojedynczych kroków wchłaniała powierzchnia ziemi. Wytarłem owal w kształcie starodawnego lustra w podłużnym zamglonym oknie (taka modernizacja części spichrza została przeprowadzona pod koniec wojny, kiedy przygotowywano się na przyjęcie przesiedleńców; założono wtedy światło i urządzenia sanitarne z jednej strony spichrza, ale w końcu przesiedleńcy nigdy tu nie weszli, trzymali się raczej z dala usłyszawszy pogłoski o szaleństwie mojej matki) i kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem nagiego Takashiego, biegającego w koło po zasypianym śniegiem podwórzu. Światło latarni spod okapu, wzmocnione odbiciem od śniegu na ziemi, na dachu i kilku rodzajach krzewów, zalewa białe podwórze blaskiem przypominającym niewyraźne światło zmierzchu. Śnieg pada bez ustanku. Kształty linii utworzonych przez płatki śniegu w ciągu sekundy wydają się nie ulegać zmianie przez cały czas lotu w przestrzeni nad doliną, i rodzi się dziwne przekonanie, że niemożliwe są inne ich ruchy. Realność jednej sekundy przedłużona jest w bezkres. I tak jak warstwa śniegu wchłonie dźwięki, kierunek

upływającego czasu również zostanie we-ssany i zagubiony wśród ustawicznie padających płatków. „Czas” wszechobecny. Biegający nago Takashi jest młodszym bratem pradziadka, jest też moim bratem. Wszystkie chwile stulecia gęsto nakładają się na ten właśnie moment w czasie. Nagi Takashi wstrzymuje bieg i przez chwilę chodzi, następnie klęka na śniegu i obiema dłońmi głaszcze jego powierzchnię. Widzę chude wystające pośladki i szczupłe, łagodnie zagięte plecy, przypominające grzbiet owada o niezliczonych stawach. Nagle Takashi wykrzyknął gwałtownie: „A! a!, a!”, i zaczął tarzać się po śniegu.

Oblepiony śniegiem nagi Takashi wstał, odszedł wolno w krąg światła latarni pod okapem; jego nieproporcjonalnie drugie ręce zwisały beznadziejnie, zupełnie jak u goryla. Ujrzałem prosto sterczący członek. Podobnie jak zgrubiałe mięśnie piersi atlety, sprawiał wrażenie stoicko kontrolowanej siły i osobliwego patosu. Takashi nie przysłonił stojącego członka, podobnie jak nie krył bicepsów. Gdy wchodził w otwarte drzwi, dziewczyna czekająca na niego w kuchni zrobiła krok do przodu i owinęła nagiego w rozpostarty ręcznik kąpielowy. Serce skurczyło mi się z bólu. Nie była to jednak moja żona, lecz Momoko. Bez wahania przyjęła w rozpostarty ręcznik Takashiego, który nie krył stojącego penisa, kiedy zbliżał się ku niej drżący z zimna. Jak dziewczyna młodsza siostra - pomyślałem. Milcząc weszli do środka, drzwi wejściowe zamknęły się za nimi, a na podwórzu oświetlonym latarnią pozostał zastygły w śniegu ruch, kryjący sto lat w jednej chwili. Miałem wrażenie, że przeniknąłem głębie wnętrza Takashiego do poziomu, jakiego nigdy przedtem nie sięgałem. Jeśli nawet nie było dla mnie jasne ich znaczenie, było w każdym razie potwierdzeniem ich istnienia. Ciekawe, czy do jutrzejszego ranka nowy śnieg zakryje ślady utworzone przez Takashiego? Nikt chyba - może tylko pies - nie ekspozuje sterczącego penisa tak otwarcie i patetycznie, bez specjalnego celu. Dzięki akumulacji doświadczeń w nieznanym mi świecie ciemności Takashi, niby samotny kundel, stał się szczery i bezpośredni. I jak pies nie może wyrazić słowami swojej melancholii, tak ciężki splątany węzeł w głowie Takashiego nie da się rozplatać za pomocą jakiegokolwiek języka zrozumiałego dla innych ludzi. Usnąłem, zastanawiając się konkretnie nad tym, jak czułbym się w rzeczywistości, gdyby weszła we mnie dusza psa. Nietrudno wyobrazić sobie w mroku celowo spreparowanego psa, któremu do wielkiego, rudego i tłustego cielska przyklejono moją głowę. Pies między tylne łapy podwija ogon podobny do długiego, grubego i okrągłego bata, zakrywa genitalia i patrzy na mnie pytająco, wynurzając się z mroku. Nie jest to pies tego rodzaju, który by w środku nocy na śniegu zachował się tak otwarcie. Warknąłem „won!”, chcąc odpędzić tego rudego psa, i znów usnąłem uważając, by nie przywołać go w ciemności po raz drugi.

Zbliżało się już południe, kiedy się obudziłem. Ostatni dzień roku. Z domu dobiega śmiech dużej grupy młodzieży. Zrobiło się bardzo zimno, śnieg wciąż pada, niebo jest ciemne, ale powierzchnia ziemi błyszczy łagodnym jasnym światłem. Obraz zabudowań w dolinie, widzianych z góry z dużej odległości, uległ znacznemu uproszczeniu z powodu śniegu, nie rzucał już wyzwania, powodującego odkopywanie rzeczy splątanych na dnie pamięci. Śnieg pomniejsza też groźną i mroczną realność otaczającego lasu. Wydaje się, że las się cofnął, a niecka, choć wypełniona padającym bez przerwy śniegiem, stała się bardziej rozległa. Mam wrażenie, że przebywam w nieznanym okolicach, w abstrakcyjnej scenerii, w której jest mi przyjemnie. Miejsce, w którym wczoraj nocą tarzał się brat, wygląda jak pomniejszony model stanowiska archeologicznego - nie zburzone śladami butów wklesłości i wypukłości dokładnie otulone są świeżym śniegiem. Patrząc na nie, przysłuchiwałem się chwilę śmiechom

dochodzącym z kuchni, rozbrzmiewającym jak w domu studenckim. Kiedy wszedłem do domu, chłopcy z drużyny futbolowej, otaczający palenisko koń, nagle zamilkli. Zmieszałem się czując, że jestem intruzem, który bezprawnie wtargnął w szczęśliwą gromadkę młodzieży otaczającej Takashiego. Moja żona i Momoko pracowały przy piecu kuchennym. Podszedłem do nich mając niepewną nadzieję, że znajdę wsparcie, i spostrzegłem, że obie były jeszcze pijane pierwszym śniegiem w dolinie.

- Kupiłam ci buty, Mitsu. Chodziłam rano na zakupy -powiedziała radośnie dziewczęco naiwna Momoko. - Do supersamu wieziono nowe towary, przewidując śnieg. Ale podobno furgonetka, która je wiozła, utknęła w śniegu za mostem. Tęskniący za domem biedny Mitsu chyba nie będzie mógł jednak wyjechać.

- Czy w spichrzu nie było zimno? Będziesz mógł tam mieszkać? - zapytała żona. Jej oczy były przekrwione z powodu śniegu, a przecież błyszczała w nich energia, jakiej nie było, kiedy czerwieniły się od alkoholu. Prawdopodobnie wczoraj wieczorem żona nie piła whisky, a mimo to spała chyba dobrze.

- Tak, w porządku - odpowiedziałem bez entuzjazmu stłumionym głosem. Czulem, że chłopcy obok paleniska, oczekujący z chłodną ciekawością mojej odpowiedzi, gardzili mną nie kryjąc zadowolenia. Byłem dla nich przypuszczalnie tępym niedołągą, jedynym człowiekiem w dolinie, który pozostał obojętny nawet w dniu pierwszego śniegu.

- Dałabyś może coś do zjedzenia? - odgrywałem rolę biednego, głodnego męża mając nadzieję, że wzrastająca pogarda skłoni chłopców do zignorowania intruza.

- Mitsu, czy wiesz, jak przygotować bażanty? Ojciec dziecka, które wczoraj było w niebezpieczeństwie, wczesnym rankiem z kolegami upolował je dla nas - zwrócił się do mnie bez skrępowania Takashi. Członkom drużyny futbolowej Takashi pokazywał swoje inne „ja”, uzbrojone w pewność siebie i autorytet, nie to, które niby pies tarzało się nagie w śniegu.

- Spróbuję, ale najpierw coś zjem. Młodzi porzucili dotychczasową tolerancję i jednocześnie wydali przesadnie pogardliwe westchnienie. Dawniej w dolinie żaden szanujący się mężczyzna nie wziąłby się do przygotowania potraw. Ten zwyczaj do dziś chyba jeszcze przetrwał. Młodzi znów byli świadkami chwili, w której ich przywódca z łatwością nabiera swego starszego brata-niezdare. Wszyscy bez wyjątku byli pijani śniegiem, weselili się, łaknęli pogodnej rozrywki. Mieszkańcy tej doliny zawsze w ten sposób witali pierwszy śnieg, upijali się nim i w takim podnieceniu przeżywali około dziesięciu dni. W tym okresie, niewrażliwi na chłód, kierowani wewnętrznym odurzeniem, nie mogli oprzeć się pokusie wmieszania się w białą powódź. Siły dodawała im gorączka wywołana otaczającą ich bielą. Ale po tych kilku dniach pojawia się kac również z powodu śniegu, przychodzi czas, gdy każdy chce jak najszybciej od śniegu uciec. Mieszkańcy tego regionu nie mają odporności ludzi z prawdziwej „krainy śniegu”. Wewnętrzne podniecenie wkrótce wyczerpuje się i stają się bezbronni wobec chłódów. Niektórzy chorują. Tak właśnie ludzie doliny witają pierwszy śnieg. Pragnę z całej duszy, żeby zamroczenie, jakie spowodował śnieg w głowie żony, trwało jak najkrócej. Usiadłem plecami do paleniska na brzegu podwyższonej podłogi wysuniętej w stronę kuchni, tak jak to robili kiedyś dzierżawcy przychodzący z życzeniami na zakończenie roku, i rozpocząłem spóźnione śniadanie.

- Bunt się udał, ponieważ nie tylko w tej wiosce, lecz także w całej okolicy chłopcy byli przekonani, że członkowie grup młodzieżowych są strasznie zdeprawowani, że są niebezpiecznymi młodymi potworami, które bez namysłu podpalają i rabują. Prawdopodobnie chłopcy bardziej bali się grupy własnych brutalnych młodych przywódców niż wrogów ukrytych za bramami zamkowymi w mieście. - Takashi podjął

temat, przerwany wskutek mojego przyjscia do kuchni. Widocznie wyjaśniał rolę, jaką odegrała grupa chłopców w buncie 1860 roku, odtwarzając obraz owego powstania i próbując przekazać pamięć o nim młodzieży doliny.

- Czy to opowiadanie Takashiego o buncie z 1860 roku pobudziło ich do takiej wesołości? - zapytałem cicho żonę podającą mi posiłek. Była to dla mnie sprawa podejrzana, ponieważ - przynajmniej jak ja to rozumiałem - rola grupy młodzieżowej w powstaniu 1860 roku kojarzy się tylko z okrutnym gwałtem i nie powinna być powodem gromkiego i wesołego śmiechu.

- Tak, bo Takashi tak ładnie opowiadał zabawne epizody, Mitsu. To jego zaleta, bo jest pełen życia i nie przemaslowuje całego buntu ponurymi barwami uprzedzeń, tak jak ty to robisz.

- Czy rzeczywiście potrafi z tego buntu wykopać aż tak zabawne epizody?

- To chyba nie mnie należałoby o to pytać - odpowiedziała żona, ale dała przynajmniej jeden przykład: - Kiedy Taka opowiedział, jak urzędnicy wiejscy i naczelnicy gmin z okolicznych wiosek i miasteczka zmuszeni zostali do klęczenia przy drodze, a chłopci przechodzili bijąc ich po głowach gołymi rękami, wszyscy bez wyjątku śmiali się ubawieni.

W okrucieństwie bicia po głowach naczelników gmin i urzędników jest posmak plugawego dowcipu, jaki mogą wymyślić wiejscy chuligani. Ale bici po głowach przez kilkadziesiąt tysięcy ludzi poumierali z roztrzaskanymi czaszkami.

- Czy Takashi nie opowiadał o umarłych starcach, leżących na brzuchach przed własnymi domami, umazanych kalem i oblanych moczem po przejściu tłumu? Mogłoby to wzbudzić jeszcze większy wybuch radosnego śmiechu u tych młodych atletów. - Nie miałem zamiaru krytykować Takashiego i jego nowych kolegów, nalegałem tylko z czystej ciekawości.

- No tak, Mitsu. Skoro ten świat - jak mówi Takashi - pełen jest przemocy, to czyż nie jest zdrowszą, bardziej ludzką reakcją śmianie się wtedy, gdy coś jest choć trochę śmieszne, niż zwieszanie przed tym głowy z ponurą twarzą? - powiedziała żona i odeszła w stronę pieca kuchennego.

- Przyznaję, że młodzi byli naprawdę brutalni - mówił Takashi - ale ta brutalność w pewnym sensie dawała swoiste poczucie bezpieczeństwa uczestnikom buntu, którzy przecież byli chłopami. Kiedy trzeba było zadawać rany i śmierć aktualnym wrogom, mogli całkowicie polegać na brutalności grupy młodzieży, nie brudząc własnych rąk. Ten system pozwalał chłopom uczestniczyć w buncie bez obawy przed dochodzeniami i oskarżeniem o podpalenia czy zabójstwa po powstaniu. Niepokój o to, że będą musieli brudzić własne ręce zabijając ludzi, w przypadku tego powstania został na samym początku wyeliminowany. Poza jednym wypadkiem bicia po głowach wszystkie inne brutalne i brudne czyny należały do obowiązków grupy młodych. A ci mieli wszelkie dane, aby zadanie to wykonać doskonale. Jeśli w czasie rozszerzania się buntu którakolwiek z wiosek położonych wzdłuż drogi do miasta odmawiała udziału w powstaniu, komando młodych podpalało pierwsze z brzegu domy, zabijając z zimną krwią wszystkich, którzy biegli gasić pożar. Ci, którzy przypadkowo uniknęli śmierci, przyłączali się do powstańców ze strachu. Na wespół szaleni, zdeprawowani członkowie grupy młodych byli synami chłopów, mimo to posługiwali się gwałtem nawet w stosunku do spokojnych rolników. Toteż chłopci byli przerażeni. W rezultacie wszyscy bez wyjątku, od doliny po miasteczko, przystąpili do powstania. Z chwilą przyłączenia do rejonu powstańczego nowej wioski, zbierano miejscowych łobuzów i tworzone z nich nowe oddziały młodzieżowe. Nie miały one żadnego regulaminu. Składały tylko

przysięgę na wierność oddziałowi młodych z tutejszej doliny jako pierwotnej grupie i zobowiązywały się do używania przemocy. W związku z tym, powstaniem kierował sztab generalny składający się z oddziału młodzieży z doliny i podległej mu organizacji złożonej z grup młodocianych w poszczególnych wioskach. Oddział młodzieżowy z doliny z chwilą opanowania nowej wioski zwoływał miejscowych chuliganów i zmuszał ich do składania zeznań na temat niesprawiedliwych bogatych rodzin, które potem atakowano. Tak się dogodnie składało, że niezaspokojonym młodym łobuzom większość domów bogaczy wydawała się gniazdem niesprawiedliwości. Pogłoski o zbliżaniu się powstańców do granic wsi dochodziły wcześniej, więc niejednokrotnie naczelnicy gmin przekazywali na przechowanie do miejscowej świątyni pieniądze, wartościowe przedmioty, dokumenty i księgi. A młodzież z danej wioski donosiła o tym przywódcom powstania. Po raz pierwszy poczuła się wyzwolona od nacisków konserwatywnych dorosłych, kierujących się tylko zdrowym rozsądkiem, bo dla tej młodzieży nic nie znaczyli ani wielcy właściciele ziemscy, ani uczciwi poważni chłopci cieszący się autorytetem od wielu pokoleń, ani świątynie, wobec których czuli lęk, bo z nimi wiązały się sprawy narodzin i śmierci. W końcu atakowano świątynie i wszystkie przyjęte na przechowanie przedmioty palono na podwórzu. I ta do wczoraj biedna w najwyższym stopniu młodzież, której dotąd nie traktowano po ludzku, teraz miała władzę i tworzyła nowe grupy przywódców w wioskach. Dlaczego taką właśnie młodzież dobierano do tych grup? Najprościej można to wytłumaczyć tym, że przede wszystkim byli to ludzie nie mający właściwie żadnej pozycji społecznej w wiosce, spychani zazwyczaj na margines jej normalnego życia. W odróżnieniu od starszych ludzi, związanych ze społecznością wioski i odnoszących się zazwyczaj podejrzliwie do obcych, ci młodzi mogli nawiązać jakiegokolwiek związki jedynie z przybyszami z zewnątrz. A skoro już raz przystąpili do działania, ich wrodzone instynkty, a także świeżo odnaleziona wolność pchnęły ich do czynów uniemożliwiających im powrót do społeczności wiejskiej po zakończeniu powstania. Włącznie z podpalaniem i morderstwami! Byli więc niejako profesjonalnie zainteresowani, aby powstanie trwało bez końca. Czuli się bezpieczniejsi w sojuszu z obcymi, ale trzeba przyznać, że oddział z naszej doliny rzeczywiście bardzo dobrze się nimi opiekował. Na przykład pod koniec powstania uwięziono kilku chłopców, którzy nie wycofali się razem ze wszystkimi i pozostali z zamiarem gwałcenia córek miejscowych kupców. Młodych łobuzów nie aresztowała jednak straż zamkowa. Kiedy tłum doszedł już do głównej bramy zamkowej, rozpoczęto pertraktacje, a ponieważ nie udało się zaatakować zamku, więc straż zachowała postawę biernego wyczekiwania do czasu wycofania się buntowników z miasta. Masy zaczęły już opuszczać miasto, ale pewna liczba młodzieniaszków pozostała i włączyła się po ulicach, jakby nie mogąc się z nimi rozstać. Pewnie pierwszy raz w życiu spacerowali po miasteczku, rozpalając w sobie pożądania płciowe nie mające ujścia. Nie wiadomo dlaczego ubierali się w zrabowane damskie koszule. (W tym momencie słuchacze Takashiego podnieśli zaczerwienione twarze i roześmiali się wstydliwie.) I wtedy wpadli na pomysł napadu na domy nieprzychylne powstańcom i zgwałcenia córek właścicieli. Wtargnęli najpierw do sprzedawcy bawełny. Jednak pewien strażnik prywatnego domu spostrzegłszy, że powstańcy zaczęli wycofywać się z miasta, zdecydował się na śmiałe posunięcie i aresztowanie tych, którzy chodzili w damskich strojach. Ponieważ był on dowódcą lokalnej straży prywatnej, zmobilizował podległych sobie pracowników i naprawdę aresztował młodzieńców. Kiedy jednemu z zatrzymanych udało się uciec i powiadomić o tym oddział z doliny, powstańcy otrzymali rozkaz ponownego wtargnięcia do miasta. Narażając się na bardzo duże

niebezpieczeństwo oddział młodzieżowy z doliny zawrócił, aby ratować bandę niedoszłych gwałcicieli. Jeńcy natychmiast zostali zwolnieni. Sklep kupca bawełny, będącego powodem całego zajścia, został zrównany z ziemią, strażnicy ukarani, a dom ich dowódcy imieniem Aokichi, czyli Błady Szczęściarz - spalony. A w tym miejscu wystawiono tabliczkę z napisem:

Chciał się zasłużyć występując przeciwko nam, uwiązano go na sznurku i dom spalono, a twarz jego blada jako jego imię.

Takashi roześmiał się, młodzież zawtórowała mu. Skończyłem jeść, a kiedy wkładałem brudne naczynia do zlewu, żona ze sztywno-obronną miną powiedziała:

„AM - Jeśli sprzeciwiasz się temu, co robi Taka, lepiej przedyskutuj to z nim i z chłopcami.

- Nie, nie mam zamiaru wtrącać się do działalności propagandowej Takashiego - odpowiedziałem. - Mam tylko zamiar przygotować bażanty. Gdzie one są?

- Taka powiesił je na dużych drewnianych kołkach za domem. Sześć sztuk pięknych bażantów, tłustych jak prosiaki - odpowiedziała zamiast żony Momoko. Obydwie szatkowały ogromną ilość jarzyn do bambusowego koszyka, przygotowując bogaty w witaminy obiad dla aktywnych członków drużyny futbolowej.

- Początkowo oddział młodzieżowy z doliny budził lęk u trzeźwo myślących chłopów, ale w miarę rozwoju wydarzeń zaczął cieszyć się szacunkiem. Możliwe, że respekt był powierzchowny, wywołany przemocą. W każdym razie członkowie oddziału stali się bohaterami ludowymi nie tylko w dolinie, ale w całej prowincji. Więc przez pewien okres po powstaniu, dopóki jeszcze byli na wolności, ci ludzie, żyjący dawniej na marginesie społeczności wiejskiej, zachowywali się jak arystokraci. W istocie przez jakiś czas zajmowali taką pozycję, że mogli w każdej chwili znów uzbroić chłopów i wyprowadzić z doliny, mieli bowiem w innych miejscowościach punkty strategiczne utrzymywane przez przywódców wywodzących się z kręgów młodzieży zdeprawowanej. Gdy powstanie upadło, oddział młodzieżowy w dolinie przyjął przysięgę od uczestników powstania z innych wiosek, że na wypadek prześladowań ze strony władz feudała rozpoczną natychmiast nowe powstanie i najpierw spalą wioski niezdecydowane. Tak więc władze okręgu chcąc nie chcąc opóźniały pościg za przywódcami buntu. W tym szczęśliwym okresie członkowie oddziału nie tylko jedli i pili to, co zrabowali, uwodzili też na potęgę dziewczęta i mężatki we wsi. Możliwe, że było to odwrotnie, że to dziewczęta i mężatki ich uwodziły! - Chłopcy wybuchnęli śmiechem słysząc ten kiepski żart. - W końcu organizacja młodzieżowa składała się z byłych chuliganów. Wieś, po której chodzili uzbrojeni, dzierżący władzę, przeżywała swego rodzaju epokę anarchii. Ci, którzy nie mieli powodzenia u dziewcząt czy mężatek, posługiwali się przede wszystkim gwałtem. Wielu walczących z nimi zginęło od miecza. Chłopi, którzy powrócili do codziennego życia pokojowego, znów znaleźli się pod nową tyranią bezprawia.

W chwili przybycia policji śledczej młodzi przywódcy nie mieli już kontaktu z mieszkańcami wioski. W końcu zamknęli się w spichrzu, by stawić opór, ale mieszkańcy doliny ich zdradzili, nie przyszli im z pomocą, choć to obiecywali...

Szmer niezadowolenia rozległ się w kółku obok paleniska. Wyczuwało się, że chłopcy z podejrzaną naiwnością identyfikują się z młodymi powstańcami z 1860 roku. Takashiemu udał się podstęp; w roli przywódców powstania przedstawił grupę młodzieżową, a nie młodszego brata pradziadka. Stojąc pod piecem kuchennym ogrzałem się dostatecznie, a potem wyszedłem na sedawę i odnalazłem sześć bażantów wiszących w poziomym szeregu na długich kołkach wbitych w deskę w ścianie, gdzie

dawniej wieszano zające czy bażanty lub inne dzikie ptactwo. Tutaj zawsze było najchłodniej. W lecie wylegiwały się tu zwykle koty. Takashi próbował we wszystkich szczegółach codziennego życia przywrócić obyczaje z dawnych czasów, kiedy to mężczyźni działali razem, w poczuciu grupowej wspólnoty. Nawet sposób powieszenia bażantów za głowę na sznurku z ryżowej słomy był obsesyjnie podobny do tego, jaki stosował dziadek i ojciec. Wypatroszone ptaki zostały nawet dokładnie wypchane wodorostami. Takashi był za młody, żeby wszystko zrozumieć w okresie, gdy ród Nedokoro jeszcze prowadził tego rodzaju regularne życie, dlatego teraz musi poświęcić wiele wysiłku i zapału osobliwego badacza, żeby przywrócić ustalone formy życia domu i spróbować je ponownie przeżyć jako pewną całość.

Położyłem na śniegu sześć tłustych bażantów i zacząłem je oskubywać z piór ułożonych we wzory z mocnej czerni i czerwonego brązu. Większość piór porywał wiatr i rozsypywał razem z płatkami śniegu, pozostawiając u moich stóp jedynie cięższe pióra z ogona. Ptasie mięso pod piórami jest zimne i twarde, ale w dotyku sprawia wrażenie elastycznej jędrności. W przypominającym bawełnę puszkę między piórami siedzi cała masa malutkich przezroczystych weszek, jeszcze chyba żywych. Oddychając ostrożnie przez nos z obawy przed wchłonięciem do płuc puszkę i weszek, skubię pióra drętwiącymi palcami. Nagle pęka cienka i krucha skóra koloru masła i koniuszki palców dotykają czegoś nieprzyjemnego. W rozszerzającej się szparze pękniętej skóry w mgnieniu oka ukazuje się rana w ciemnobrązowym mięsie, pojawiają się ziarenka krwi i wbity głęboko ołowiany śrut. Z całkowicie obnażonego korpusu wyrrywam pozostałe pióra ogonowe i kręcąc z dużym wysiłkiem szyję ptaka chcę urwać mu głowę. Czuję, że za chwilę odpadnie, ale coś powstrzymuje mnie przed tym ostatnim niewielkim wysiłkiem. Gdy wypuściłem głowę z ręki, skręcona szyja, niby silna sprężyna, cofnęła się z rozmachem do poprzedniego położenia, a dziób uderzył mnie w dłoń. Po raz pierwszy odkryłem, że głowa bażanta jest niezależną jednostką i skoncentrowałem się na tym, jakie emocje budzi we mnie to odkrycie. Ciche glosy rozmów i nagły głośny śmiech wtapiają się w warstwy śniegu na zboczu wzgórza ograniczającego sedawę i sad morwowy, pozostaje tylko szelest świeżego gęstego śniegu objającego się o moje uszy niby skrzypiące drobne kawałki lodu; dlatego mogło mi się wydać, że to szeleszczą ocierające się o siebie padające płatki śniegu.

Głowę bażanta gęsto pokrywały krótkie brązowe pióra o czerwonym ognistym połysku. Wokół oczu na czerwonym tle, przypominającym koguci grzebień, rozsypane są czarne ziarenka, przywodzące na myśl miąższ truskawki. Oczy są suche i białe - nie, to nie oczy, po prostu kępki drobniutkich białych piór. Prawdziwe oczy znajdują się tuż nad nimi, zamknięte powiekami, podobnymi do czarnych niteczek. Zrywam powiekę czubkiem paznokcia, wtedy coś przypominającego owoc winogrona rozciętego brzytwą wznosi się ku górze, jakby miało zaraz wypłynąć. W pierwszej chwili pulsuje we mnie obrzydzenie, ale w miarę jak przyglądam się oku bażanta - stopniowo zamiera. Przecież to tylko oko martwego ptaka. Ale z białymi „fałszywymi oczami” nie tak łatwo się rozprawić. Jeszcze gdy wyskubywałem ostatnie pióra z prawie nagiego już korpusu ptaka, jeszcze zanim dotarło do mojej świadomości istnienie głowy bażanta, czułem na sobie ich spojrzenie. Dlatego żał mi było czasu na szukanie noża, chwyciłem więc głowę wraz z „fałszywym” okiem i próbowałem ukręcić szyję. Moje prawe oko, na które prawie nie widzę, jest bliskie fałszywemu oku bażanta, właśnie dlatego, że nie widzi. Gdybym tak jak mój przyjaciel miał pomalować głowę cynobrem, rozebrać się do naga, wbić sobie ogórek w odbytnicę i powiesić się, to dla uzyskania większego efektu

niż wywierało śmiertelne przebranie przyjaciela musiałbym wcześniej na górnej powiece namalować fałszywe oko, zielone i gorejące.

Położyłem na śniegu sześć obnażonych bażantów, obróciłem głowę tak, jak to czynią zwykle jednoocy, gdy pojawi się blisko pies albo kot, i poszedłem do kuchni po drzewo na ognisko.

- Ci, którzy zdradzali kolegów, byli oczywiście wykluczani z oddziału młodzieżowego - mówił Takashi. - Jeśli ktoś próbował uciekać do miasteczka zamkowego, zostawał od razu aresztowany, a pozostając w dolinie izolowany od swych kolegów, pozbawiony ich oparcia, narażał się na okrutną zemstę ze strony chłopów, których gnębił jeszcze do wczoraj z pozycji władzy. Więc jego jedynym pragnieniem była ryzykowna ucieczka przez las do Kóchi...

- Mitsu, czy bażanty mają dość mięsa? - zapytał mnie brat przerywając swój wykład w chwili, gdy prosiłem żonę o zapałki, wyciągnąwszy spod podłogi wiązkę starej słomy. Pewnie opowiadał o zdarzeniach, co do których sam nie miał dużej pewności. Ja w każdym razie nie miałem dostatecznej wiedzy, aby mówić o czynach i życiu młodzieży po powstaniu 1860 roku z takimi szczegółami.

- Ach, mięsa mnóstwo, znakomite bażanty. To znaczy, że las nie jest jeszcze zdewastowany.

Wydeptałem butami wgłębienie w śniegu, wepchnąłem tam wiązkę słomy zwiniętą w koło i podpaliłem. Natychmiast zapaliły się drobniutkie piórka trzymające się skóry bażantów i zaczęły wydzielać duszącą woń. Prawie jednocześnie pojawiły się na ciałach bażantów ciemnobrązowe nitki topniejącej materii zwierzęcej, skóra zmatowiała w dymie, a miejscami ukazały się na powierzchni żółte ziarna tłuszczu. To bezpośrednio przypomniało mi strzępy słów zmarłego przyjaciela o fotografii podpalonego Murzyna: „Wygląda jak prymitywna drewniana lalka, ciało spalone i spuchnięte, więc szczegóły nie są wyraźne.” Ktoś stał za mną i patrzył z równą jak ja intensywnością na to samo, na co ja patrzyłem. Gdy się odwróciłem, spostrzegłem, że był to Takashi o twarzy poczerwieniałej od ciepła i elokwencji do tego stopnia, iż wydawało mi się, że padające płatki śniegu muszą topić się przy pierwszym z nią kontakcie; wierzyłem, że widok osmalonego puchu bażantów obudził w moim bracie takie same jak u mnie wspomnienia.

- Gdy mój zmarły przyjaciel w Nowym Jorku spotkał się z tobą, otrzymał od ciebie broszurę na temat ruchu w obronie praw obywatelskich. Mówił, że było w niej zdjęcie spalonego Murzyna.

- Tak. To rzeczywiście straszne zdjęcie; tego rodzaju zdjęcie, które naprawdę mówi o istocie przemocy. - Mówił też, że go przestraszyłeś niespodziewanym pytaniem: „Czy mam powiedzieć ci prawdę?” Martwił się, ponieważ odniósł wrażenie, że miałeś na myśli jakąś inną prawdę niż to, o czym rzeczywiście mówiłeś, męczyła cię ona, ale nie mogłeś jej wyznać. Co to właściwie było? W końcu tej wątpliwości nie rozwiązał, ale może przynajmniej umierał z pytaniem nie pozbawionym sensu?

Takashi przyglądał się wciąż bażantom, zwięziwszy smętnie oczy, jakby raziło go nie światło odbijające się od śniegu i padające na jego stopniowo blednące policzki, lecz coś, co wydobywało się z wnętrza. Następnie zapytał - a jego głos wydał mi się taki sam jak ten, którym wypowiedział te same słowa w Nowym Jorku do mojego przyjaciela:

- Mam powiedzieć ci całą prawdę? To przecież słowa, które napisał młody poeta, często wtedy je przytaczałem. Miałem na myśli absolutną prawdę, której wypowiedzenie nie pozostawia człowiekowi innego wyboru, jak tylko dać się zabić, popełnić samobójstwo, oszaleć czy stać się potworem, jest to prawda tego rodzaju, że raz

wypowiedziana przypomina włożoną za pazuchę odłamkową bombę z nieodwracalnie uruchomionym zapalnikiem. Jak sądzisz, Mitsu, czy zwykły człowiek może mieć tyle odwagi, by powiedzieć innym taką właśnie prawdę?

- Mogę sobie wyobrazić kogoś, kto w sytuacji bez wyjścia zdecyduje się powiedzieć całą prawdę. Przy tym odnajdzie drogę pozwalającą mu dalej żyć - ani go nikt nie zabije, ani on nie popełni samobójstwa, ani nie oszaleje i nie zamieni się w potwora. - Sprzeciwiłem się wyczuwając intencje, kryjące się za niespodziewaną wylewnością Takashiego.

- Nie, to tak trudne, jak zbrodnia doskonała - Takashi odrzucił jednym kopnięciem myśl, która w tej chwili przyszła mi do głowy, w sposób tak zdecydowany, jak człowiek, który długo myślał nad tym tematem. - Gdyby kogoś, kto powiedział prawdę, nie spotkało żadne z tych przeznaczeń i gdyby znalazł sposób, by dalej żyć, to by oznaczało, że wypowiedziana przez niego prawda nie przypomina bomby z zapalonym lontem, a więc nie jest prawdą, o jaką mi chodzi.

- Chcesz mi wobec tego powiedzieć, że człowiek, który wypowie tę twoją całą prawdę, zupełnie nie ma już wyjścia? - zapytałem skonsternowany. Ale zaraz wystąpiłem z propozycją kompromisu. - A jak jest z pisarzami? Przecież wśród pisarzy są też tacy, którzy żyją nadal, choć powiedzieli całą prawdę w swoich powieściach.

- Pisarze? Na pewno niektórzy z nich mówią rzeczywiście rzeczy bliskie prawdzie, nie są zabijani, nie wariują i mogą żyć dalej. Oni w ramach fikcji oszukują ludzi. Ale już sam ten fakt, że przez nałożenie ram fikcji na rzeczywistość mogą powiedzieć rzeczy najniebezpieczniejsze i nawet bezwstydne z całkowitym dla siebie bezpieczeństwem, świadczy o tym, że dzieło pisarza jest w istocie czymś mało znaczącym. Opowiadając nawet najszczerzą prawdę pisarz ma świadomość tego, że jest człowiekiem, który może powiedzieć, co chce, w formie fikcji, jest więc uodporniony od początku na wszystkie trucizny, jakie sam wydziela opowiadając. To się udziela czytelnikom, którzy - na fikcję patrzą z pogardą jak na coś, co nigdy nie sięga bezpośrednio najgłębszych pokładów duszy. Jeśli się nad tym zastanowić, to okaże się, że prawda, jaką ja sobie wyobrażam, nie istnieje w słowie pisanym i drukowanym. W słowach w najlepszym razie wyczytać możesz ruchy skoku w nieprzejrzanym mroku „całej prawdy”.

Śnieg zebrał się na leżących rzędem bażantach, opalonych z piórek, mięsistych i ciężkich. Podnosiłem po dwa naraz i uderzając jednym o drugiego, otrząsałem ze śniegu. Wydawały głuchy odgłos pobrzmiwający brzydkim echem w moim żołądku.

- Przyjaciel podejrzewał, iż w dniu, w którym oświadczyłeś, że „powiesz prawdę”, kiedy zaskoczył cię podchodząc od tyłu, oglądałeś właśnie zdjęcie spalonego ciała. I chyba miał rację? Siedziałeś przy kontuarze w drugistorze i wyobrażałeś sobie, że ty też będziesz takim zwęglonym trupem, gdy już powiesz swoją prawdę.

- Tak, wydaje mi się, że on jakby mnie trochę zrozumiał. W każdym razie sądzę, że ja rozumiem znaczenie sposobu popełnienia samobójstwa przez tego człowieka - powiedział szczerze Takashi i znów ożyły uczucia obudzone jego słowami ubolewania z powodu śmierci przyjaciela, które powiedział do mnie na lotnisku. - To śmieszne, Mitsu, że mogę być tak pewien czegoś, co dotyczy twojego przyjaciela, ale po tym, gdy usłyszałem tę historię od Natchan, wciąż myślałem nad jej znaczeniem. Ten człowiek na pewno najpierw krzyknął „powiem wam całą prawdę!”, a potem pomalował głowę cynobrem, rozebrał się do naga (żona i Takashi nie wiedzieli o tym, że ponadto wetknął sobie ogórek do odbytnicy) i powiesił się. Czuję, że nawet jeśli tych słów nie wypowiedział na głos, to w samym akcie skoku z całkowitą świadomością tego, że w chwilę później jego własne ciało, nieodwracalnie martwe, będzie wisiało tu nagie, z

głową pomalowaną na czerwono, widoczne dla wszystkich, zawarty był desperacki krzyk: „Powiem wam całą prawdę!” Mam rację, Mitsu? Czy nie uważasz, że trzeba strasznej odwagi po to, żeby podjąć taką decyzję i własnym nagim i martwym ciałem, z głową pomalowaną cynobrem, wyrazić po raz ostatni siebie dla tych, którzy pozostają przy życiu? On umarł wypowiedziawszy tym czynem całą prawdę. Nie wiem, jaką on prawdę wypowiedział, absolutnie pewne jest tylko to, że powiedział prawdę. Kiedy usłyszałem o tym od Natchan, coś w mojej duszy dało znak: „OK, usłyszałem twoją prawdę wypowiedzianą krzykiem.” Zrozumiałem, co Takashi chciał powiedzieć.

- Myślę, że przyjaciel nie stracił płacąc za pigułki dla ciebie.

- Jeśli kiedykolwiek przyjdzie na mnie czas powiedzenia prawdy, to chciałbym, żebyś ty jej wysłuchał. Jest to tego rodzaju prawda, która będzie miała pełną siłę dopiero wtedy, kiedy wypowiem ją przed tobą, Mitsu. - Takashi mówił w naiwnym podnieceniu dziecka, które wie, że robi coś niebezpiecznego.

- Czy to dlatego, że jestem twoim bratem?

- Tak.

- To znaczy, że twoja prawda dotyczy naszej młodszej siostry? - zapytałem z podejrzeniem zapierającym dech w piersi.

W mgnieniu oka Takashi zdrętwiał i wpatrywał się we mnie z nieukrywaną brutalnością w oczach. Przestraszyłem się, że za chwilę mnie uderzy. Ale on po prostu skoncentrował na mnie uwagę chcąc dokładnie zrozumieć, co mogło się kryć za moimi słowami. Po chwili rozluźnił się nagle i odwrócił wzrok od mojej twarzy.

Milcząc patrzyliśmy na świeży śnieg, który znów zgromadził się na ciałach bażantów. Chłód przenikał mnie do szpiku kości. Brat, podobnie jak przedtem jego groteskowo wyglądający i nieodpowiednio ubrany towarzysz, zbladł i zaczął drżeć nieznacznie. Chcę jak najszybciej wejść do kuchni, ale czuję, że muszę zakończyć ugodowo naszą rozmowę. Takashi wyprzedzając mnie uratował nas obu od zakłopotania, podczas gdy ja jeszcze szukałem bezskutecznie bezpiecznych słów.

- Mitsu, namówiłem cię do powrotu w dolinę nie tylko dlatego, żeby móc posłużyć się tobą i powiedzieć tym facetom z urzędu wiejskiego podczas sprzedaży spichrza i ziemi, że przyjechałem załatwić formalności na prośbę starszego brata, który jest tutaj w naszym starym domu. Chciałem cię mieć za świadka, gdy będę mówił prawdę. Mam nadzieję, że ten moment nadejdzie, kiedy będziemy razem.

- Spichrz i ziemia teraz już nie są ważne- powiedziałem. -Ale myślę, że w końcu tej strasznej prawdy nie powiesz nikomu, jeśli rzeczywiście taką prawdę ukrywasz. Podobnie i ja chyba nie odkryję tutaj nowego życia ani domu pod strzechą.

Zmarznięci do szpiku kości wreszcie wycofaliśmy się do domu, ramię przy ramieniu. Chłopcy siedzący obok pieca właśnie dostali od Momoko porcję gulaszu na obiad. Dla Takashiego i jego kompanii, przebywających od dziś pod jednym dachem, był to pierwszy posiłek przypominający dawny zwyczaj wspólnego mieszkania chłopców doliny podczas witania Nowego Roku. Pracowity Hoshio siedział w kącie z dala od wesołej gromadki nowych kolegów i starannie, jedną po drugiej, czyścił oliwą piłki futbolowe. Przekazałem żonie białe mięso sześciu bażantów, włożyłem nowe buty z cholewami i skierowałem się do spichrza rozkopując po drodze śnieg.

9. Wolność wyrzutka

Wbrew mojej skrytej nadziei, mimo upływu czasu, śnieg wciąż padał drobny jak puder, zamiast zmienić się w śnieżynki przypominające płatki kwiatów, więc nie mogłem się do niego przyzwyczaić. Nie wychodziłem na dwór, zamknąłem się w spichrzu i skoncentrowałem na tłumaczeniu. Ponieważ posiłki mi przynoszono, do domu wchodziłem tylko wtedy, gdy potrzebowałem wody do napełnienia kociołka stojącego na piecyku. Za każdym razem znajdowałem Takashiego i jego kompanów w stanie dziecięcej świeżości, nie przejawiających najmniejszych oznak zmęczenia czy kaca wskutek upojenia śniegiem. Ślady topnienia wciąż przykrywa nowy śnieg, odnawiając pierwsze wrażenie, nie ma szansy, by fanatykom mieszkającym w naszym domu szybko minęło odurzenie śniegiem. Tymczasem odkryłem sposób uzyskiwania wody ze śniegu, więc moje codzienne życie tym bardziej zdecydowanie zostało odcięte od domu. Będąc zupełnie sam, pogrążyłem się w spokojnym zobojętnieniu człowieka, którego nikt nie obserwuje, do tego stopnia, że zacząłem sobie uświadamiać, iż podczas tych trzech dni zamknięcia w obcym mi śniegu, mój wyraz twarzy staje się coraz bardziej tępy, a ruchy coraz powolniejsze.

Jednak w pierwszy dzień Nowego Roku moje pustelnicze życie od wczesnego ranka zakłóciła aż dwukrotnie Jin i jej rodzina. Najpierw o świcie zbudził mnie ze snu najstarszy syn i powiedział, że czas iść po „pierwszą wodę”, jestem bowiem głową rodu Nedokoro. Chłopiec był poważny jak starzec łatwo ulegający wpływowi tego rodzaju miejscowych zwyczajów; wyciągnął w moją stronę plan czerpania „pierwszej wody”, trudny do odczytania, narysowany twardym ołówkiem na odwrotnej stronie składanej ulotki reklamowej. W słabym świetle pod schodami, przykuty spojrzeniem małych, głęboko osadzonych oczu, starałem się wbić sobie do głowy szkic trasy, którą wypracowała Jin, drogi prowadzącej do tegorocznej „pierwszej wody”, ale okazało się to niemożliwe. Zrezygnowałem więc, wróciłem na piętro, włożyłem płaszcz i otuliłem się nim szczelnie. A biedny chłopiec, któremu pewnie kazano towarzyszyć mi w wyprawie po „pierwszą wodę”, czekając na mnie w milczeniu, drżał jak zmokły pies. Wstąpiwszy do domu zobaczyłem Takashiego i moją żonę śpiących blisko siebie obok paleniska koń, w którym kilka węgli żarzyło się jeszcze czerwonym ogniem. Za plecami Takashiego spał Hoshio, Momoko zaś leżała pod wspólnym kocem z żoną, jednak ręka Takashiego pod kocem wyraźnie dotykała boku żony, co sprawiało wrażenie, jakby oboje spali tu sami. Kiedy tak stałem przy wejściu do kuchni, nieco skrępowany, nie mogąc oderwać oczu od tego widoku, zręczny chłopiec Jin wy dostał spod pieca kuchennego głębokie wiadro, które miało spełnić tę świętą, choć krótkotrwałą rolę. Potem ruszyliśmy obaj w ciemność wypełnioną padającym śniegiem. Śnieg powiedział mi, że skóra na twarzy nabrzmiała i płonie, ale mimo to czułem się tak spokojny, jakbym zapadł w stan inercji. Z melancholią przypominałem sobie fatalną świadomość niemożności aktu płciowego, narastającą jak rak między mną a żoną. Z pewnością - mówiłem sobie - w końcu byłoby najlepiej, gdybyśmy wykorzystali jakąkolwiek okazję ucieczki z tego grząskiego bagna niemocy, powłócząc ciężko nogami jak wyczerpani wojownicy. Mimo wszystko, nie dopuszczałem nawet możliwości stosunku płciowego między Takashim i moją żoną; po prostu mój umysł, opanowany jedynie koniecznością przedzierania się przez śnieżną ciemność, nawiedzały chwilami tajemnicze wyobrażenia, w których ogromna magnetyczna siła, tak stoicko tłumiona w stojącym penisie oblepionego śniegiem nagiego Takashiego, przenosiła się w jakiś sposób na moją śpiącą żonę poprzez palce oparte na jej boku. Na drodze prowadzącej od szosy w dół ku brzegowi rzeki śnieg był jeszcze miękki. Jednak chłopiec szedł pewny siebie, jakby wiosłując w sięgającym mu do

kolan śniegu, musiał więc uważnie przyglądać się, gdy jego matka przekładała kartki kalendarza i tabelę kierunków i opracowywała trasę prowadzącą do „pierwszej wody”. Kiedy w polu widzenia ukazała się rzeka, zamarłem w bezruchu, wstrząśnięty widokiem czarnej wody uwięzionej w śniegu. Odłamki rojeń unoszących się w mojej głowie, jeszcze nie do końca rozbudzonej, w tym momencie nagle zmrożone, spadły wszystkie na ziemię. Wydało mi się, że ta czarna woda wywoła we mnie coś strasznego i obrzydliwego, więc broniąc się przed nią wypowiedziałem zaklęcie: „Jestem obcy, nie mam żadnego związku z tą doliną.” Nawet jeśli mi się uda zaprzeczyć wszystkim jej znaczeniom, to jednak ta czarna rzeka uwięziona w śniegu pozostanie najgroźniejszym widokiem, jaki ujrzałem po powrocie w niecce doliny. Chłopiec chwilę czekał na mnie, gdy bezradnie stałem w miejscu w obawie - jak to zinterpretował - że zapadnę się w głębszy śnieg, wreszcie wyrwał mi z ręki kubek i zgięty w pół poszedł na brzeg, zjeżdżając po ośnieżonym zboczu. Po krótkim i ściszym, jakby wstydlwym plusku, wlokący się z trudem chłopiec wspinał się pod górę z wiadrem wody oraz puszką po sproszkowanym mleku, nie wiadomo kiedy znalezionej, którą również ze złości napełnił wodą z rzeki.

- Przecież mogłeś „pierwszą wodę” dostać ode mnie! -zawołałem, ale chłopiec od razu przykrył dłońmi swoją puszkę, jakby chciał ją uchronić przed moim atakiem.

Wtedy pojąłem, jaka uparta myśl nabrała kształtu w jego głowie. Mianowicie moja „pierwsza woda”, której nie zaczerpnąłem własnymi rękami, jest z tego powodu fałszywa, natomiast jego „pierwsza woda” w puszcze, nabrana przez niego osobiście, jest prawdziwa. Dawniej rodzina Jin zawsze dzieliła „pierwszą wodę” z rodziną Nedokoro i dlatego jeśli bym dziś zszedł sam na brzeg rzeki i nabrał wody, syn Jin również zadowoliliby się chyba częścią naszej prawdziwej „pierwszej wody”. Ale skoro utknąłem w tym punkcie i swoją „pierwszą wodę” zdegradowałem do rangi fałszywej, chłopiec Jin wpadł na pomysł, by nabrać do znalezionej puszeki własnej wody, i teraz niesie ją do swej otyłej matki. Jeśli syn tej nieuleczalnie chorej na otyłość kobiety może stać się tak upartym mistykiem, to u podstaw tego całego procesu musi tkwić coś bardzo realnego. Teraz, kiedy już byłem całkowicie rozbudzony, stopniowo zacząłem odczuwać głupotę i bezsens tego przyjscia nad brzeg rzeki tak wczesnym rankiem, straciłem więc humor i poszedłem brukowaną drogą z powrotem. Przyszło mi na myśl, że czerpanie „pierwszej wody” byłoby czynnością odpowiednią dla Takashiego. Starając się, by dziś po raz drugi nie oglądać śpiących, przed domem wiadro z wodą przekazałem chłopcu, poleciłem, żeby zaniósł je do kuchni i wrócił do spichrza, zmarznięty i obolały. Moją drzemkę zrujnowały sny, w koszmarze sennym krzyczałem próbując wyrwać się z uścisku dwóch potężnych łap o olbrzymiej sile, które wychyły z czarnej wody rzeki.

Przed południem znów przyszedł chłopiec, aby mnie powiadomić, że jego matka z całą wychudłą rodziną chce złożyć życzenia noworoczne. Gdy schodziłem po schodach na dół, ujrzałem Jin siedzącą na podwyższonej podłodze sieni, zwróconą w stronę wciąż padającego śniegu, jeszcze grubszą niż kiedykolwiek przedtem, niby kula, która wtoczyła się tu nie wiadomo skąd. Zszedłem do samej sieni i aby oszczędzić Jin wysiłku obracania się, stanąłem przed nią razem z jej rodziną. Na twarzy Jin podobnej do miednicy drżała napięta skóra bez żadnej zmarszczki, oświetlona równomiernie światłem odbitym od śniegu, rozpraszającym się na wszystkie strony i nie dającym cienia; emanowała z niej osobiwa młodzięczość. Przyglądająca mi się Jin dyszała ciężko, dlatego nie mogła wypowiedzieć nawet słowa. Zaledwie kilka metrów spaceru z jej domu doprowadziło ją do stanu konającego delfina. Dopóki Jin milczała, jej rodzina również nie odzywała się, więc zszedłszy na dół jakoś bez powodu wzburzony, stałem

teraz w dziwnym nastroju zakłopotania. Poza Jin, owiniętą w rodzaj bezkształtnego worka, bez przodu i tyłu, bez góry i dołu, pozostali członkowie jej rodziny ubrani byli w zasadzie noworocznie, ja natomiast miałem na sobie sztruksową koszulę, której nie zdejmowałem nawet na noc, oraz sweter, byłem przy tym nie ogolony. Zacząłem się więc martwić, czy Jin nie uzna, że zlekceważyłem trud, który sobie zadała, żeby przyjść do mnie z życzeniami. Ale Jin po dłuższej chwili uspokoiła oddech, odchrząknęła bezsilnie i zaczęła mówić zachrypniętym głosem, wyraźnie demonstrując dobrą wolę:

- Panie Mitsusaburó, wszystkiego najlepszego w Nowym Roku!

- Ja też wam życzę wszystkiego najlepszego.

- Cóż najlepszego może zdarzyć się tak nędznej jak ja osobie! - powiedziała Jin, sztywniejac nagle. -. Gdyby na przykład trzeba było uciekać, ja bym nie mogła, pożarłyby mnie psy albo umarłabym z głodu!

- Nie przypominaj tu tej starej opowieści, to przecież historia o ucieczce całej wioski, starsza jeszcze od buntu chłopskiego w 1860 roku, prawda?

- Nie, nie, ja sama widziałam uciekających! Przegraliśmy wojnę i gdy armia okupacyjna przyjechała dżipami, w dolinie zostali tylko niedołęzni starcy, a wszyscy zdrowi uciekli z wioski do lasu. To przecież była ucieczka - powiedziała Jin z uporem i głupawą pewnością siebie.

- Jin, nic takiego się nie zdarzyło. Gdy nadjechał pierwszy dżip, byłem w dolinie. Od żołnierza amerykańskiego dostałem konserwę ze szparagami; ani ja, ani nikt z dorosłych nie wiedział, czy to się nadaje do jedzenia, w końcu więc zostawiłem puszkę w pokoju nauczycielskim w szkole podstawowej.

- Nie, wszyscy jednak uciekli! - upierała się Jin z zimną krwią.

- Panie Mitsusaburó, Jin ma coś nie w porządku w głowie -wtrącił jej małomówny mąż. Usłyszawszy to, dzieci poruszyły się pełne gorzkiego niepokoju, widocznego nawet dla osoby postronnej.

Nie mogłem powstrzymać się od wspomnienia o tym, że w moim śnie o ataku na spichrz Jin występowała jako ktoś, dla kogo nie ma nadziei ucieczki. Oczy ukryte jak pępek w napęczniałym mięsie zwężyła teraz jeszcze bardziej patrząc na oślepiający śnieg; jej malutkie zęby wciśnięte w dziąsła, sterczące brudne uszy, jakby pokryte rybią łuską, głowa podobna do księżyca w pełni z przyprawionymi uchwytyami sprawiają wrażenie pełni zdrowia, co kłóci się z brakiem proporcji jej ciała. Pokaz szaleństwa to zapewne nowa taktyka, której celem jest przeciwstawienie się sprzedaniu oficyny. Niestety, to nie przede mną winna wykazywać się swą przebiegłością, lecz przed Takashim, który zresztą już sprzedał całą ziemię i budynki rodziny Nedokoro, włącznie z mieszkaniem Jin. Jeśli coś rzeczywiście kwalifikowało Takashiego na jawnego złoczyńcę, to przede wszystkim ta cecha jego wrażliwości, umożliwiająca mu z taką łatwością zdradzanie żalonych planów kobiety w średnim wieku, tak osobliwie otyłej i uwięzionej w tej przeklętej dolinie.

- Wieś Ókubo wciąż podupada! Ludzie są coraz gorsi! -powiedziała Jin. - Wczorajszego wieczoru, mimo że to wigilia Nowego Roku, do domów mających telewizory zwałił się tłum zupełnie obcych ludzi z wioski i z „prowincji” i przeszkadzał w przygotowaniach noworocznych! To przecież oburzające!

- Czy wy również chodziliście na telewizję? - zapytałem chłopców.

- Aha, chodziliśmy oglądać turniej piosenkarski między „czerwonymi” i „białymi”. Jeśli w jakimś domu pozamykano okiennice i oglądano telewizję, ludzie się gniewali i zrywali okiennice! - odpowiedział drugi syn z dumą. - Większość dzieci krążyła z

miejsca na miejsce i nie chciała wracać do domów, dopóki wszyscy nie pochowali telewizorów do komórek!

Potem, gdy wróciłem do swego gniazda na piętrze, Jin z rodziną z trudem brnęła po śniegu, kierując się w stronę głównego budynku. Niewątpliwie poszła złożyć życzenia noworoczne Takashiemu i pozostałym. W moich oczach, gdy spoglądałem w dół przez okno, ciało Jin wyglądało jak chwiejący się bałwan z łysiną na czubku okrągłej głowy. Później widziałem przez okno, jak w drodze do domu podtrzymywało ją kilku chłopców. Nasz „złoczyńca”, rozgrzebując śnieg, podskakiwał dokoła podtrzymujących kobietę, gwałtownie pokrzykiwał kierując całą operacją, aż jej dzieci, jak gdyby nie mogąc wytrzymać tej sytuacji, wybuchnęły niewinnym śmiechem.

Rankiem czwartego stycznia po raz pierwszy po dłuższej przerwie zszedłem do doliny, by zamówić międzymiastową. Mimo że śnieg padał nieustannie od kilku dni, wąską drogą prowadzącą do placu przed urzędem wiejskim szło się zupełnie wygodnie. Pod cienką warstwą świeżego śniegu znajdowała się bowiem twarda, udeptana już podstawa we wgłębieniu w kształcie dna łódki. Przez tych kilkadziesiąt godzin Nowego Roku, gdy wszyscy mężczyźni doliny byli nieprzytomnie pijani, chłopcy z drużyny futbolowej wydeptali śnieg biegając pod górę i z powrotem w czasie intensywnego treningu. Przechodząc przed supersamem ujrzałem niepokojący widok, który wzbudził we mnie mieszane uczucia. Supersam był zamknięty, ukryty za żaluzjami jak czołg zamaskowany kolorem żółtym i zielonoszarym, ale kilka gospodyń, które przybyły z „prowincji”, stało już pod okapem bez ruchu; każda z nich, jakby zgodnie z wcześniejszą umową, przyprowadziła z sobą jedno dziecko. Miały w ręku puste koszyki na zakupy, więc czekały pewnie na otwarcie sklepu. Niektóre małe dzieci już się chyba zmęczyły; widząc je przykucnięte na śniegu zrozumiałem, że chłopki musiały cierpliwie czekać przed drzwiami wiele godzin. Supersam musi być zamknięty od Nowego Roku. I rzeczywiście, żaluzje zaciągnięte, nie widać też oznak obecności pracowników. Dlaczego mimo to kobiety z „prowincji” czekają z pustymi koszykami?

Przechodzę obok nich snując różne przypuszczenia. Wszystkie stare sklepy w dolinie podupadły w wyniku konkurencji supersamu; pod ich ciężko zwisającymi okapami w mrocznych wnętrzach kryli się właściciele, wyglądając od czasu do czasu na świat zewnętrzny. Natomiast na pokrytej śniegiem drodze nie było nawet śladu człowieka, nie mogę więc nikogo zatrzymać i zapytać o znaczenie tego osobliwego zgromadzenia kobiet z „prowincji”. A nawet jeśliby ktoś wyszedł na ulicę, to pewnie po to tylko, żeby oddać moc w momencie, w którym zbliżałbym się do niego, aby porozmawiać. Czy którykolwiek z pracowników poczty będzie ze mną rozmawiać podczas oczekiwania na połączenie z miastem? Podobnie jak w domach zrujnowanych sklepikarzy, nad okapem poczty nazbierało się dużo śniegu, którego nikt nawet nie próbował uprzątnąć. Przystąpiwszy przez zaspę przed jedynymi otwartymi drzwiami frontowymi, wszedłem w mroczne wnętrza poczty. W okienkach nie widać było w ogóle pracowników. Zauważyłem jednak pewne oznaki obecności ukrytych gdzieś w głębi urzędników, więc przedstawiłem swoje życzenie mówiąc, że chcę rozmawiać z miastem.

- Śnieg przerwał przewody, nie można uzyskać połączenia poza wioską - gniewny głos starca doszedł do mnie, o dziwo, z bliska, gdzieś z kącika w dole.

- A kiedy będzie można? - zapytałem, gdy ten głos pobudził część moich wspomnień z przeszłości.

- Młody człowiek naprawiający telefony jest teraz u Nedokoro, wzywaliśmy go, ale nie przyszedł! - powiedział starzec tonem jeszcze wyraźniej wzburzoną, rozgniewanym. Przypomniałem sobie, był to ten sam słabowity naczelnik poczty, który od mojego

dzieciństwa wciąż tak samo się gniewał. Wszedłem, nie zobaczywszy, w jakiej pozycji ukrywał się tak nisko. Idąc w stronę supersamu ujrzałem stojących przodem do siebie dwu mężczyzn zajętych jakąś dziwną ceremonią wyciągania na przemian rąk w stronę głowy partnera. Zbliżałem się do nich z pochyloną głową kryjąc twarz przed zacinającym od przodu śniegiem i nie zwracałem szczególnej uwagi na ruchy mężczyzn. Myślałem głównie o kobietach z „prowincji” stojących na próżno przed zamkniętymi drzwiami. Kiedy podszedłem bliżej, spostrzegłem, że kobiety nie tylko stały tak jak przedtem, ale że w ciągu krótkiego czasu przybyło ich co najmniej dziesięć. Stały nadal czekając cierpliwie, a dzieci, które przedtem kręciły się lub siedziały skulone na śniegu, teraz drżały ze strachu, bliskie płaczu, trzymając się płaszczy matek. Przeczuwając coś niedobrego zatrzymałem się i wtedy zobaczyłem tuż przed sobą tych mężczyzn naskakujących z furją na siebie. Nie miałem innego wyjścia, musiałem stać w miejscu - czułem ogarniające mnie przerażenie z powodu niewielkiej odległości dzielącej ich ode mnie - i przyglądać się walce prowadzonej w milczeniu, jakby według znanego rytuału.

Ci mężczyźni, poważni mieszkańcy doliny, w zaawansowanym średnim wieku, w marynarkach, ale bez krawatów, a więc w najczęściej spotykanym tutaj stroju świątecznym, obaj byli ciężko pijani. Ich twarze miały barwę czerwonomiedzianą, rozpalone gorączką usta wyrzucały gwałtownie powietrze przypominające parę na tle śniegu. Może obawiając się uwięzienia nóg, zapadających się w głąb jeszcze nie stwardniałego śniegu, czy może raczej wskutek jakiejś niezachwianej siły woli, w ogóle nie poruszali dolnymi częściami ciała. I na przemian zadawali sobie zaciśniętymi pięściami cios po ciosie w uszy, brodę, szyję. Starli się ze sobą w jakimś durnym milczeniu, z wytrwałością doskonale wytresowanych walczących psów. Twarz mężczyzny o nieco drobniejszej budowie zaczyna wyraźnie tracić pijacki kolorek i wydaje mi się, że zaczyna on maleć w oczach. Mam wrażenie, że kolejny cios wycisnie ze zbielejącej, wyschniętej i napiętej skóry twarzy krzyk rozpaczy niby pot. W tym momencie z dużą szybkością mężczyzna wyjął coś z tylnej kieszeni spodni i ściskając to w dłoni, zadał cios w usta przeciwnika. Rozległ się trzask jak przy otwieraniu nożem muszli ostrzygi i w moją stronę nadleciał jakiś mały kamyczek zmoczony w czerwonej pianie. Uderzony chwyciwszy obiema rękami dolną część twarzy, jeszcze czerwonomiedzianej od przepicia, pochylił się do przodu i zaczął uciekać, a mężczyzna, który zadał cios, szybko ruszył za nim w pościg. Tuż przy uchu usłyszałem słaby jęk uderzonego i ciężki oddech ścigającego, odwróciłem się i odprowadziłem wzrokiem oddalających się mężczyzn. Następnie pochyliłem się i zacząłem szukać tego, co przed chwilą tutaj upadło. Na powierzchni białego śniegu, poruszonego, ale wciąż czystego, ujrzałem czerwoną dziurkę wielkości moreli, a na jej dnie rzecz podobną do żółtobrazowego pąka na drzewie. Pod spodem tej małej grudki trzymało się coś o czystej różowej barwie. Wyciągnąłem rękę i podniosłem grudkę, ale odrzuciłem ją natychmiast, bo nagle poczułem niemal dławiaczą wewnętrzną odrazę. Był to wyłamany ząb z kawałkiem dziąsła. Nadal siedziałem w kucki, bezsilnie rozglądałem się dokoła, podobny do rzygającego psa, samotny i bezradny. Kobiety wciąż stały przed drzwiami supersamu i wpatrywały się bez wyrazu w przestrzeń. Małe dzieci, które jeszcze nie oprzytomniały ze strachu, trzymały się nadal za poły tandetnych płaszczy swoich matek, lecz teraz lękliwie spoglądały ukradkiem na mnie, jak gdybym tym razem był dla nich nową groźbą. Ludzie z otaczających domów, którzy niewątpliwie oglądali wszystko z mroku spoza brudnych szyb okiennych, nadal siedzieli w ukryciu, nawet nie próbując wyjść na zewnątrz. Uciekłem stamtąd na brukowaną drogę z tym samym uczuciem bezradnego

pośpiechu, jak podczas ucieczki w koszmarze sennym, często zbacając z drogi i zapadając się w niepewny, nieudeptany śnieg.

Byłem tak poruszony, że po raz pierwszy od czasu, jak zamknąłem się w spichrzu, odczuwałem potrzebę opowiedzenia Takashiemu o najnowszym swoim przeżyciu. Wywołałem Takashiego z domu. Mieszkający wspólnie z nim chłopcy energicznie pracowali w kuchni, więc zawahałem się i nie wszedłem do środka.

- Mitsu, od Nowego Roku było w dolinie wiele takich bijatyk - odpowiedział Takashi wcale nie zarażając się moim wzburzeniem, choć w zasadzie wysłuchał mnie uważnie. - Zwłaszcza ostatnio wszyscy dorośli w tej wiosce są bardzo drażliwi. Poza tym w czasie przerwy świątecznej nie mają nic do roboty poza pić sake, a krewcy młodzi ludzie, którzy w poprzednich latach ochoczo brali się za bary i wszczynali bijatyki będące dla starszych rodzajem katharsis, teraz mieszkają tutaj razem ze mną i pilnie trenują. Starsi faceci, którzy z natury rzeczy winni wszystko lepiej rozumieć, zaczęli walczyć sami ze sobą. Przedtem zwykle przyglądali się lub godzili walczących, teraz zaczęli wyładowywać tłumioną dotąd brutalność, chwycili się między sobą za bary. Ale, jak widzisz, nikt ich nawet nie próbuje powstrzymać. W odróżnieniu od kłótni młodych, bijatyki dorosłych są bardziej kłopotliwe, ponieważ trudno komukolwiek obcemu ingerować bez narażenia się na niebezpieczeństwo. Dlatego ich walki toczą się bez zakłóceń i trwają w nieskończoność.

- W każdym razie dawniej nie widziałem wśród mieszkańców tej doliny walk, w których wypadły zęby wraz z dziąsłami - powtórzyłem nie przekonany analizą Takashiego, sprowadzającą wszystko w ramy codziennego, normalnego życia. - Okładają się wzajemnie z całej siły pięściami, w milczeniu. Taka, nawet dla pijanych to nie jest normalne.

- Kiedyś w Bostonie zwiedzałem dom, w którym urodził się prezydent. Cały nasz zespół grający Nasz jest wstyd został tam zaprowadzony. Kiedy w powrotnej drodze jechaliśmy mikrobusem przez dzielnicę slumsów, zobaczyliśmy kłótnię dwu młodych Murzynów. Jeden z nich nagle podniósł cegłę, wymachiwał nią i groził drugiemu. Był słabszy od tamtego, węższy w ramionach, mniej muskularny. Przeciwnik utrzymywał swobodnie dystans i szydził. W krótkim czasie trwania naszego przejazdu ostrożny dotąd mężczyzna podszedł zbyt blisko. Nagle dostał cegłą cios w głowę i upadł na ziemię. Głowa dosłownie pękła na pół i ukazało się jej wnętrze. Mimo to ludzie z sąsiedztwa siedzieli na balkonach swoich domów, na chwiejących się krzeselkach czy w wyplatanych fotelach o szerokich oparciach, i spokojnie się temu przyglądali. W dolinie natomiast przemoc kończy się na uszkodzeniu dziąsła, nikt nikogo nie zabija. Możliwe, że Japończycy mają pewne wyczucie w biciu, albo też brakuje im siły fizycznej. Jednak z punktu widzenia psychologicznego należy przyznać, że dolina jest chyba w czymś podobna do tamtej dzielnicy slumsów.

- Może masz rację. O ile pamiętam, w dolinie nigdy przedtem, a zwłaszcza z samego rana, nikt nie stosował przemocy tak otwarcie. Dawniej nie trzeba było aż takiej bójki, żeby dzieci biegly natychmiast na posterunek wezwać policję. A dziś rano nikt nic nie zrobił, wszyscy po prostu przyglądali się z głębi domów.

- Policjanta nie ma. Późną nocą w dniu, w którym zaczął padać śnieg, został telefonicznie wezwany do miasta i dotąd nie wrócił. Z powodu śniegu ani autobus nie jeździ, ani telefon nie działa, bo linia została zerwana przez złamane pod ciężarem śniegu drzewo, więc nikt w dolinie nie wie, jak policjant spędza Nowy Rok.

W jego sposobie mówienia wykryłem chęć sprowokowania moich podejrzeń, ale od razu zdławiłem pokusę prowadzenia dalszych wykopalisk w tym pokładzie. Bo gorąco

pragnąłem odizolować się od czynów Takashiego i jego drużyny. Poddawanie się wciąganiu w zagadkę dozowaną drobnymi porcjami i uleganie jego zamysłom wydało mi się zarówno niebezpieczne, jak i nudne. Poza tym już zrezygnowałem z zamiaru krytykowania Takashiego, niezależnie od tego, co będzie robił.

- Supersam jest chyba zamknięty na przerwę noworoczną? A jednak przed zamkniętymi żaluzjami zebrały się kobiety z „prowincji”. W jakim celu? Czy sądzisz, że przez tydzień świąteczny nie mogą się wyżywić bez pomocy supersamu? I co dziwniejsze, stały tak spokojnie przed zamkniętymi drzwiami - zmieniłem temat.

- Już się zebrały? - Zadając to pytanie Takashi znów jakby próbował rozbudzić moje podejrzenia. - Mitsu, dziś po południu organizujemy drobną imprezę w supersamie. Może też poszedłbyś popatrzeć?

- Nie, nie mam ochoty tam iść - odmówiłem wprawiając w ruch cały mechanizm czujności.

- Nawet nie pytając, co to za impreza, z góry decydujesz, że nie chcesz pójść i obejrzeć; no, no, prawdziwy pustelnik ze spichrza! - Takashi potraktował mnie bardzo lekko.

- Tak. Zupełnie nie mam ochoty specjalnie chodzić i oglądać tego, co się dzieje w dolinie.

- Nie masz więc zdecydowanie chęci oglądania tego wszystkiego, co dotyczy tej doliny. I oczywiście tym bardziej nie masz ochoty brania w tym udziału. Mitsu, również dobrze mogłoby cię tu w ogóle nie być.

- Przebywam przecież tutaj wbrew swojej woli, tylko z powodu śniegu. Niezależnie od tego, jak osobliwe zdarzenia będą zachodzić w tej dolinie, pragnę tylko jednego, żeby stąd wyjechać i już nigdy nie wspominać tej niecki w lesie.

Takashi uśmiechnął się niewyraźnie, jakby ze mnie pokpiwał, w milczeniu potrząsnął kilka razy głową i już nic nie mówiąc wycofał się do kuchni. Miałem wrażenie, że zależy mu bym nie widział tego, co chłopcy robią w kuchni; wróciłem na piętro w spichrzu nic pragnąc mieszania się w ich sprawy.

Momoko, która przyniosła mi obiad, namawiała, bym popatrzył przez okno na nową flagę powiewającą na supersamie. Momoko była czarująca z tym dziecinny napięciem, z jakim zastawiała na mnie pułapkę, nie miałem więc serca jej odmówić. Na budynku dawnego magazynu, dziś supersamu, powiewały dwa wesołe trójkątne proporce, jeden żółty, drugi czerwony. Oglądane przez sypiący na dolinę śnieg przypominający stary, podrapany film. Gdy odwróciłem się, ujrzałem Momoko patrzącą na mnie oczyma pełnymi nieukrywanej nadziei. Oczywiście, nie rozumiem, co znaczą te dwie flagi.

- Dlaczego te flagi tak ciebie cieszą, Momo?

- Dlaczego? - Odpowiadając pytaniem na pytanie, Momoko zadrżała, rozdarta między zakazem a pragnieniem powiedzenia wszystkiego do końca. - Czy ci smutno, Mitsu, kiedy patrzysz na te flagi?

- Gdy wrócę do Tokio, przyślę ci kilka rodzajów flag znacznie przyjemniejszych, Momo - pokpiwając z najmłodszego członka straży przybocznej brata zacząłem jeść obiad.

- Jeśli poszedłbyś na dół o czwartej, to byś dopiero zobaczył, co tam się rozpoczyna, nawet ty, Mitsu, człowiek cieszący się uznaniem w społeczeństwie! O czwartej, pamiętaj. A chyba chciałbyś wiedzieć, co się zaczyna? Jednak, Mitsu, ja nie mogę zdradzić drużyny futbolowej!

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu na widok Momoko, przypominającej terrorystkę z ubiegłej epoki w tej indiańskiej skórzanej sukni, którą w śnieżny dzień nosiła na gołym ciele równie dumnie jak wtedy pierwszego dnia na lotnisku. Tylko że teraz suknia była

już nie tylko pognieciona, ale tak postrzępiona, że wyglądało spod niej śniade ciało Momoko.

- Momo, ja wcale nie chcę wiedzieć, co się zaczyna. Nie będziesz musiała nikogo zdradzać.

- Ludzie uznani w społeczeństwie są naprawdę nudni! - powiedziała Momoko z żalem i gniewem i odeszła do swoich kumpli, których nie zdradziła.

O czwartej po południu rozległy się z dna doliny powtarzające się okrzyki tłumu; stopniowo wznosiły się krętymi schodkami dźwięku. Był to krzyk, w którym kryło się zarówno napięcie, jak i radosne podniecenie, lechtające najbardziej wstydliwą, głęboko skrywaną część psychiki, jakby przekrwioną fałdę błony śluzowej. Słuchając tego krzyku zupełnie bez powodu poczułem się tak, jakbym się obnażył w ekshibicjonistycznym, obscenicznym akcie i zmieszany powiedziałem do siebie na głos: „Co to w ogóle znaczy? Co to jest?” I od razu coś niepojętego z kąta spichrza próbuje mi odpowiedzieć. Znów czuję zmieszanie, wołam „nie!, nie!” i potrząsam głową. Okrzyki przybierały na sile w rytmie bicia pulsu. W końcu ucichły, ale wciąż utrzymywał się ożywiony gwar, niby brzęczenie niezliczonej masy pszczoł, falujący w samym dole, tylko od czasu do czasu podnosiły się brutalne gardłowe głosy, które nie dały się pogrzebać w szumie, współzawodniczące z ostrym piskiem dzieci lub ich okrzykami radości. Dopóki okrzyki wznosiły się i zanikały w rytmicznych kadencjach, mogłem jeszcze jakoś pracować nad tłumaczeniem, ale gdy zaczęły mi przeszkadzać ostre, rwące się głosy o niejasnym znaczeniu, nie potrafiłem się już skoncentrować. W końcu wstałem, podeszedłem do okna i przyjmując chłód promieniujący od zimnej szyby na płonące policzki i oczy, ujrzałem przez okno przestrzeń doliny, do której wstępował powoli zmrok wieczorny. Teraz pada tylko drobny śnieżek. Ciemniejąca mleczna mgła zaczyna, jak się wydaje, wypełniać dolinę otoczoną czarnym cieniem lasu, niebo zaś, zasnuwane śniegowymi chmurami, wygląda jak ogromna ciemnobrązowa dłoń przykrywająca kotlinę. Gdy wyteżyłem zbolące oko w poszukiwaniu flag, ujrzałem je we mgle, zwiędłe bezsilnie jak ptaki ze złożonymi skrzydłami czy jak kawałki porcelany w wyblakłych i smętnych kolorach leżące w mętnej wodzie. Zupełnie nie mogę pojąć, co się dzieje w supersamie, tylko wspomnienie kobiet stojących nieruchomo w milczeniu przed zamkniętymi żaluzjami i dwu mężczyzn w średnim wieku bijących się bez słowa tkwi na dnie mojej duszy, strwożonej okrzykami z doliny, i wcale nie odchodzi. W końcu udręczywszy głowę niespokojną bezsilnością wróciłem do stołu. Wprawdzie udało mi się nie złamać narzuconego sobie zakazu schodzenia na dół, nie potrafiłem jednak powstrzymać się od myślenia o tym, że w dolinie na pewno zaczęło się coś wyjątkowego, z czym Takashi i jego drużyna futbolowa bez wątpienia mają coś wspólnego. Nie mogłem wrócić do tłumaczenia, z gulaszu, który jadłem na obiad, wziąłem kość ogonową i starannie szkicowałem jej zarys na papierze używanym do pisania na brudno tekstu przekładu. W kości ogonowej o barwie ostrygi są najrozmaitsze wzniesienia i dołki biegnące w skomplikowanych kierunkach, są też maleńkie otworki niby gniazdko robaków, zaś po obu stronach Stawu wiszą jakieś galaretowate cząstki podobne do okrągłych pokrywek, których rolę w utrzymaniu siły w ogonie, gdy jeszcze był żywy i się ruszał, trudno mi teraz odgadnąć. Długo robiłem ten bezsensowny szkic, następnie odłożyłem ołówek, chwyciłem zębami tę galaretowatą resztkę podobną do pokrywki i spróbowałem odświeżyć pamięć o jej smaku. Pozostał jednak tylko smak koncentratu zupy, użytego podczas gotowania, i zimnego tłuszczu. Poczucie bezsilności sięgnęło bezdennej głębi, tkwiłem więc pogrążony całkowicie w odmętach ponurego, lepkiego nastroju. I nie miałem nic, co mogłoby mnie wesprzeć, bym mógł się z tego wyratować. O piątej za

oknem zapanowała zupełna ciemność, ale wciąż jeszcze od czasu do czasu rozlegała się stłumiona wrzawa, z którą mieszały się okrzyki wzburzenia. Narastały stopniowo pokrzykiwania pijanych mężczyzn. Z brzękiem uderzających o siebie ciężkich metalowych przedmiotów wrócili do oficyny synowie Jin, opowiadając sobie o czymś szybko i drżąc z podniecenia. Zawsze kiedy przechodzili obok spichrza, lękliwie ściszały głosy, aby mi nie przeszkadzać, jednak teraz nie przejmują się wcale samotnikiem na piętrze. Sprawiają wrażenie, jakby oni również brali udział na równi z dorosłymi w działaniach mających istotne znaczenie dla wspólnoty doliny. Wreszcie i na podwórzu na chwilę się ożywiło, gdyż Takashi i jego współlokatorzy wrócili do domu. Zapadła już noc, ale z doliny dochodziły na górę krzyki jakby walczących jednocześnie kilku grup pijanych mężczyzn. To znów nagle wybuchał piskliwy i wulgarny śmiech, rozbrzmiewał długo, potem zamierał.

Kolację przyniosła mi żona Miała na głowie turban z materiału drukowanego w takie same neurotyczne pstrokate wzory, jakie widziałem w tłumie kobiet zebranych pod mostem. Chciała prawdopodobnie naśladować wdzięk młodych niewrażliwych dziewcząt doliny. Jej szerokie kształtne czoło, podkreślone przez turban, sprawiało raczej wrażenie melancholijnej dojrzałości. Żona nie zaczęła jeszcze pić swojej wieczornej whisky.

- Czy nie za bardzo się odmłodziłaś? Czy energia drużyny futbolowej przywraca ci młodość? - zapytałem podle, jak zazdrosny mąż, aż chciałem się ugryźć w język z odrazy do siebie. Żona bez słowa spojrzała spokojnie na moją twarz zaczerwienioną ze wstydu i żalu. Następnie z obsesyjnie wprost niewzruszonym spokojem - tak zachowywała się w chwilach trzeźwości od czasu, gdy zaczęła pić - przystąpiła od razu do sprawy, o której ja wahałem się mówić, choć tak mnie niepokoiła.

- Mitsu, ten materiał dostałam w supersamie. Widziałeś flagi nad tym sklepem? To był sygnał, że „cesarz” daje stałym klientom bezpłatnie po jednej sztuce towaru. Straszne rzeczy się działy o czwartej w chwili otwarcia. W spichrzu też chyba było słyhać krzyki? Najpierw kobiety z „prowincji”, potem kobiety z doliny, potem dzieci i mężczyźni wtargnęli do wewnątrz, zrobił się więc wielki tłok, omal nie zemdlałam, tak walczyłam, żeby zdobyć ten jeden turban!

- To wielkie poświęcenie z twojej strony! A co znaczy „bezpłatnie po jednej sztuce”? Chyba to nie oznacza, że można bez ograniczenia wynosić ze sklepu po jednej sztuce każdego rodzaju towaru?

- Taka stał przed sklepem i fotografował wszystkich wychodzących z wojenną zdobyczą. Wyglądało na to, że kobiety brały ubrania i żywność. Mężczyźni natomiast po zapadnięciu zmroku zaczęli wynosić przedmioty większych rozmiarów. Byli to chyba ci mężczyźni, którzy wzięli najpierw butelki alkoholu, popili się i pod osłoną ciemności poszli brać więcej. Początkowo przedmioty przeznaczone do rozdania leżały w oddzielnym miejscu, nie na półkach z towarami na sprzedaż. Ale po wtargnięciu kobiet, zwłaszcza z „prowincji”, ten porządek został zburzony.

Już miałem się ukryć za gorzkim uśmiechem zmieszania bezsilnego obserwatora, któremu szok wywołany demonstracją siły odbiera chęć dyskusji na temat jej istoty i kierunku, gdy nieoczekiwanie musiałem ulec i cofnąć się ku realnemu podejrzeniu, obudzonemu myślą o bardzo nieprzyjemnym posmaku. Fala zwykłego zaskoczenia odpłynęła z mojej głowy, a jej miejsce zajęło przecucie niebezpieczeństwa i niepotrzebnych komplikacji.

- Ale w supersamie chyba nie było alkoholu? - Podobno ci, którzy weszli do sklepu jeszcze przed zakłóceniem porządku, widzieli butelki stojące w rzędach na półkach z

przedmiotami do rozdania. Bo naprawdę na tych półkach stało pełno sake, whisky i innych trunków.

- Czy to Taka zrobił? - wymówiłem imię młodszego brata z niejasnym uczuciem mdłości, połączonym z pragnieniem odrzucenia ohydneho realnego świata i powrotu w dzieciństwo.

- No tak, Mitsu. Taka kupił zapasy u sprzedawców sake i kazał zawieźć do supersamu. Ale ten pomysł rozdawania bezpłatnie klientom po jednej sztuce towaru naprawdę pochodzi od „cesarza” supersamów, który podobno we wszystkich swoich sklepach robi to co roku czwartego stycznia. Po prostu jeśli ktoś pokaże kasjerce pokwitowania zakupów z drugiej połowy minionego roku, to może otrzymać coś taniego z ubrań lub artykułów spożywczych. Taka uzupełnił to specjalnym pomysłem, do prezentów dołączył po prostu butelki alkoholu, poza tym opóźnił otwarcie sklepu dając powód do powstania dużego tłoku, a po otwarciu sklepu i wtargnięciu klientów zwolnił sprzedawców z pełnienia obowiązków, dając w ten sposób całkowitą swobodę klientom. Patrząc na zamieszanie, które wywołał, pomyślałam, że Taka naprawdę ma talent organizacyjny typowego podżegacza, sprawiającego innym kłopoty.

- Ale w jaki sposób Taka zdołał wyrzucić presję na pracowników? Może zamieszanie powstało jednak w sposób naturalny, a Taka po prostu wykorzystał sytuację?

- Mitsu, „cesarz” supersamów postanowił zatrudnić młodych z tej doliny na miejsce sprzedawczyń i strażników magazynów, którzy pojechali na święta noworoczne do rodzin. Aby wyrównać sobie stratę kilku tysięcy zdechłych kur, chciał zatrudnić za darmo dawnych pracowników fermy kurzej. Plan Taki i jego kumpli zrodził się dopiero wtedy, gdy „cesarz” wystąpił z tym pomysłem. W każdym razie to chyba nie takie złe, że kobiety mają teraz okazję odzyskać część tego, co supersam od nich wyciągnął?

- Ale chyba tu się nie uspokoi i sprawa nie zakończy na tym? Tym bardziej, że pijani mężczyźni wynieśli nawet cenniejsze przedmioty. Czy nie jest to po prostu grabież na wielką skalę, w którą zamieszani są mieszkańcy zarówno doliny, jak i „prowincji”? - zapytałem czując, jak wir gorzkiej melancholii dociera swym podmuchem do samego środka mojego ciała.

- Oczywiście, Taka wcale nie myśli, że na tym się skończy. Cały dzisiejszy dzień kierownik supersamu jest więziony przez członków drużyny futbolowej. To raczej dopiero od jutra powinna się rozpocząć zasadnicza działalność Taki. Zresztą pragnę tego szczerze członkowie drużyny.

- Dlaczego dali się tak łatwo podburzyć Takashiemu? - zapytałem bez sensu, z odcieniem żalu i niezadowolenia.

- Mitsu, od chwili niepowodzenia w hodowli kur wszyscy młodzi w tej dolinie czują się jak w pułapce - odpowiedziała żona, powoli uwalniając podniecenie trzymane dotąd na wodzy jej tylko znanymi sposobami. - Oni o tym nie mówią, ale z pewnością tłumią w sobie poczucie krzywdy. A jeśli chodzi o ich perspektywy, to musisz wiedzieć, że nawet dla najpracowitszych, uczciwych młodych ludzi są one bardzo ciemne! Ci chłopcy wcale się nie cieszą kopiąc piłkę, oni kopią ją z rozpacz, ponieważ absolutnie nie mają nic innego do roboty.

Tęczęwki rozgrzanych wilgotnych oczu żony błyszczą, jakby emanowały pożądaniami, nie są jednak przekrwione, jak to zwykle zdarzało się w takich chwilach. Zdałem sobie sprawę z tego, że od czasu, gdy wycofałem się i skryłem w spichrzu, żona bez uciekania się do pomocy alkoholu przewyciężyła zakorzeniony w niej nieokreślony lęk, atakujący ją przed snem. W rezultacie przestała być niewolnicą bezsenności i depresji i postawiła bez wątplenia stopy na zboczu prowadzącym ją w górę ku

wyzdrowieniu. Podobnie jak młoda straż przyboczna Takashiego, żona również postępowała zgodnie z zaleceniem: „Nie pij. Przez życie trzeba przejść trzeźwo.” I bez mojej pomocy, bez pomocy męża, przechodzi ponad trudną do przebycia przepaścią. Tęskniłem teraz do tej żony, która upiła się oczekując Takashiego na lotnisku i zdecydowanie odrzuciła chęć reedukacji.

- Mitsu, jeśli masz zamiar ingerować w działalność Taki, musisz uważać zbliżając się do niego, żeby nie schwytali cię członkowie drużyny piłkarskiej - żona trafnie wytropiła moje pasywne pragnienie odzyskania braterskich więzi i natychmiast zareagowała twardym spojrzeniem. Jej młodzieńczość i stanowczość w tej chwili przypomniały mi żonę z okresu przed nieszczęśliwym porodem. - Wracając z supersamu widziałam kapłana. Wyglądało na to, że zamierzał iść do ciebie na naradę w sprawie dzisiejszego wydarzenia. Szybko jednak uciekł do domu, gdy chłopcy przestraszyli go tą swoją straszną bronią. Czy w dalszym ciągu możesz polegać na swej sile fizycznej?

Jak się wyciąga mięso ze skorupy małży, tak żona wydobywała na światło dzienne i raniła moje poczucie własnej godności, które ścisnąłem do jak najmniejszych rozmiarów i wepchnąłem w niewidoczne miejsce. Gniew dodał mi sił.

- Wszystko, co zdarzy się w tej dolinie, nie będzie miało związku ze mną. To nie dlatego, że czuję do Takashiego niechęć czy uczucia wprost przeciwne, po prostu utraciłem absolutnie ochotę krytykowania czynów Takashiego i jego drużyny. Niezależnie od tego, co tutaj dojrzeje, wyjadę stąd, gdy tylko zostanie przywrócona komunikacja, mam zresztą zamiar o wszystkim tutejszym zapomnieć - powiedziałem utwierdzając siebie w tym, że takie są rzeczywiście moje odczucia. Nawet jeśli jutro znowu doleczą od doliny krzyki nasycone podłym požądaniem, dziwnie burzące moje uczucia, zamierzam kontynuować tłumaczenie, będące dla mnie wewnętrzną rozmową z przyjacielem, który popełnił samobójstwo. Szukając odpowiednich słów przy tłumaczeniu, zwykle zastanawiam się, jakiego słowa w danym wypadku użyłby przyjaciel, i wtedy przez chwilę czuję się, jakbym obcował ze zmarłym. W takiej chwili mój przyjaciel, który głowę pomalował cynobrem i powiesił się, znajduje się fizycznie znacznie bliżej mnie niż ktokolwiek z żyjących.

- Mitsu, ja zostanę z Taką. Czyny jego pociągnęły mnie może dlatego, że od urodzenia nigdy jeszcze nie występowałam przeciw prawu. Nawet i to, że pozostawiłam własne dziecko, przekształcające się teraz w zwierzątko, było postępowaniem zgodnym z prawem państwowym - powiedziała żona.

- Masz rację, ja też tak żyłem. Prawdę mówiąc, nie mam ochoty ani kwalifikacji do krytykowania czegokolwiek, co robią inni ludzie. Tylko czasami o tym zapominam.

Odwróciliśmy od siebie oczy i milczeliśmy w zakłopotaniu. Następnie żona nieśmiało zbliżając twarz do moich kolan powiedziała:

- To zdechła mucha się tu przykleiła, prawda, Mitsu? Dlaczego jej nie zdejmiesz? - pytała głosem łagodnym i kobiecym, nasyconym przesadną czułością człowieka wstydzającego się samego siebie.

W nastroju bezgranicznej uległości zdrapałem z kolana malutką czarną plamkę koniuszkiem paznokcia zabrudzonego atramentem. W końcu jesteśmy małżeństwem, będziemy musieli jeszcze długo żyć wspólnie w ten sposób - pomyślałem. Ciężyła na nas obojgu myśl o tym, że znajdujemy się w sytuacji wyjątkowo niedobrej, a poza tym, że w tej niedobrej sytuacji nasze serca są zbyt ze sobą splecione, żeby móc się rozwieść.

- Mitsu, pamiętasz, Schopenhauer powiedział, że zabijając muchę rozgniatasz po prostu zjawisko muchy, ale mucha jako taka nie ginie. Wychnięta, naprawdę robi wrażenie rzeczy samej w sobie. - Przyglądając się uważnie malutkiej czarnej grudce

powiedziała szeptem te pierwsze słowa, które wskazywały na złagodzenie napięcia i nie kryły w sobie zaczepnego ostrza.

Późną nocą, gdy leżałem w półśnie, usłyszałem - jakby złudzenie słuchowe - głośny krzyk młodej dziewczyny, który mógł być wyrazem strachu lub też szalonego gniewu. Staralem się potem usnąć uważając, że udało mi się wtopić jednocześnie we wspomnienia dnia i w świat snów. Ale po następnym krzyku wspomnienia i sny się cofnęły, i wtedy zarysował się wyraziście niby na ekranie kinowym zarys obrazu Momoko krzyczącej z szeroko otwartymi ustami. Od strony domu dochodzą głosy wielu osób, niezwykle poruszonych. Wstaję więc i nie zapalając świateł podchodzę ukradkiem do okna, rysującego się w słabym świetle; spoglądam w dół na dom.

Śnieg przestał padać, światło latarni pod okapem jasno oświetla zaspy. Takashi w koszuli i w spodenkach treningowych stoi z chłopcem w krótkim kąpielowym płaszczu, nie zasłaniającym ani piersi, ani nóg. Pod okapem stoją w szeregu członkowie drużyny futbolowej, trzymają się zgodnie za ręce -wszyscy w jednakowych kurtkach. Tylko chłopiec stojący przed Takashim nie ma na sobie kurtki i wygląda, jak gdyby został właśnie wyrzucony z tej grupy młodzieży. Pochylny do przodu Takashi, którego długie ręce zwisają bezwładnie, wydaje się słuchać uważnie tego, co mówi stojący przed nim chłopiec. Ale w rzeczywistości nawet nie próbuje zrozumieć wyjaśnień słabszego. Od czasu do czasu podrywa się i niespodzianie uderza chłopca w bok głowy. Wydało mi się, że coś wyjątkowo brutalnego tkwiło w jego ciele i wydzielalo niebezpieczne błyski. Chłopiec nie przeciwstawiał się, pozwalał się bić Takashiemu, znacznie od niego niższemu i węższemu w barach, cofał się bezsilnie i w końcu, mając nogi uwięzione w śniegu, upadł na plecy. Mimo to Takashi skoczył na niego i bił dalej. Silne uczucie fizycznego lęku, wywołanego bezpośrednim widokiem brutalności brata, wezbrało we mnie i sięgnęło do żołądka. Ze smętnym smakiem żółci na języku zwiesiłem głowę, wycofałem się w mrok i wróciłem pod koc. Ten brat, który bił bez przerwy po głowie chłopca młodszego od siebie i nie stawiającego oporu, przekroczył już granice amatorszczyzny, jego spazmatyczne okrucieństwo i mściwa wytrwałość były oznakami brutalności zawodowego przestępcy. Kiedy zacząłem z lękiem o tym myśleć, aura brutalnego przestępcy, jaką wykryłem w Takashim, powiększała się, jaśniała coraz bardziej złowieszczym blaskiem, i niby groźna aureola oświetlała całą dolinę, a w jej świetle zdarzenia w supersamie ujawniły swoje oblicze. Od tego blasku ohydnej przemocy mogę uciec tylko ukrywając się w swój prywatny, mały, zamknięty sen. Lecz sen wcale nie wgrzyza się w moją głowę, podobną teraz do głębokiego garnka, w którym temperatura wyniosła całą pianę na powierzchnię. Potem, gdy już wszelkie wysiłki okazały się daremne, otworzyłem oczy na dzień ciemności i popatrzyłem w białe mleczne okno. Wątle światło zgęstniało i znów wbrew oczekiwaniu ściemniało i wypłowiło, aż stało się po prostu przykrywką ponad ciemnością tła. Światło i mrok z zawrotną szybkością następują po sobie na zmianę. Zacząłem podejrzewać, że może stało się coś niedobrego z moim jedynym okiem, zmęczonym po kilku dniach ostrego światła odbitego od śniegu. Niepokój o to, że oslepiłem, wytworzył w przemęczonej i przegrzanej głowie chwilową pustkę i spełnił zadanie środka uspokajającego napięcie. Niespodzianie dzięki fizycznemu niepokojowi samotności udało mi się wypchnąć poza świadomość truciznę przyniesioną przez brutalność mojego brata. Intensywnie wpatruję się w światło i mrok w oknie i pogrążam się w zwykłym i prostym niepokoju. Wreszcie, gdy jaśniejący blask przeszedł przez podłużne okienko, zrozumiałem, że nie jest to złudzenie osłabionego wzroku, lecz że po prostu za oknem wzeszedł księżyc. Wstałem jeszcze raz i popatrzyłem na ośnieżony las, oświetlony blaskiem księżycy. Powierzchnia

lasu rozpadała się na dwie części - jedna unosiła się wyraźnie w jasności śniegu, druga, również z powodu śniegu, wyróżniała się czerniejącą depresją, wypełnioną - zdawało się - gromadą niezliczonych mokrych zwierząt. Gdy księżyc nagle skrywał się za szybko przepływającymi chmurami, stado zwierząt przybierało brązowy odcień i wycofywało się w ciemność. Następnie, w momencie gdy spiczasty kraniec lasu rozjaśniał się w blasku księżyca, ponownie ukazywała się powoli gromada zwierząt o mokrawym połysku, ze zwieszonymi głowami.

W świetle księżyca nawet latarnia pod okapem na podwórzu z trudem rzucała żółtawy krąg światła. Z tego też powodu początkowo nie zauważyłem, co oświetlała, lecz nagle w stratowanym do szczytu śniegu dostrzegłem pobitego chłopca, skulonego i obejmującego się za kolana obiema rękami. Wokół niego leżał jego zwinięty koc, kurtka i naczynia kuchenne. Drużyna wyrzuciła go na dobre ze swego grona. Chłopiec wcisnął głowę w ramiona zapadnięte jak siodełko i w ogóle się nie ruszał, niby przestraszona stonoga. Moje podniecenie wywołane widokiem lasu w świetle księżyca szybko minęło. Schowałem się z głową w ciepłe ciemności pod kocem, lecz mimo oddechu ogrzewającego piersi i kolana nie mogłem opanować* drżenia i szczękania zębami z powodu zimna. W końcu usłyszałem odgłos oddalających się kroków. Kierowały się one ku drodze prowadzącej pod górę do lasu, zamiast ku szosie prowadzącej w dół. Słyszałem ciche, ale niewątpliwe skrzypienie śniegu i wiedziałem, że nie były to odgłosy stąpania psa wspinającego się pod górę do lasu w pogoni za zającem ukrywającym się w śniegu.

Następnego dnia rano żona, która przyniosła śniadanie, kiedy jeszcze spałem, opowiedziała mi o wydarzeniach wczorajszej nocy, dając wyraz odrazy wobec otwarcie przejawionego gwałtu. Ten chłopiec złamał regulamin zespołu piłki nożnej, wypił butelkę taniego alkoholu wyniesionego potajemnie z supersamu, wywołał Momoko do pokoiku w głębi domu i próbował ją uwieść. Momoko, która w środku nocy bez oporu poszła na zaproszenie pijanego chłopca, miała na sobie szlafroczek z supersamu podobny do tych, jakie nosiły kurtyzany w Księdze tysiąca i jednej nocy. Młodzieniec odrzucił wahania i od razu zaczął się zalecać do tej przybyłej z miasta, wyzywającej dziewczyny. Kiedy Momoko gwałtownie się oparła i podniosła dzikie krzyki, chłopiec był tak zaskoczony, że nawet kiedy go Takashi bił, jeszcze nie mógł się wyzwolić z niepojętego zdumienia. Zaszokowana Momoko dostała napadu hysterii, poszła spać przyciskając twarz i ciało do ściany w pokoju w głębi mieszkania i jeszcze się od rana nie pokazała. Dziewczyna wyrzuciła szlafrok, który był powodem tak strasznego nieporozumienia, włożyła na siebie wszystko, co miała, i tak uzbrojona leżała z zapartym tchem. W drodze do spichrza żona widziała na stratowanym śniegu broń należącą przedtem do wydalonego chłopca - był na niej wryty znak „Mitsu”.

- Sądząc po odgłosach kroków myślę, że chłopiec obszedł spichrz i poszedł pod górę do lasu. Gdzie on mógł pójść?

- A może chce dojść przez las do Kóchi? Tak jak w czasie buntu chłopskiego 1860 roku młodzi, których wykluczano z oddziałów za zdradę, uciekali do lasu - w nieco fantastycznej interpretacji żony wyczułem, iż współczuje ona raczej chłopcu niż Momoko.

- Chyba wiesz, jak gęsty jest las i jak tam trudno iść. Próba przejścia przez las w śniegu w środku nocy jest równa samobójstwu. Zbyt duży wpływ wywarło na ciebie opowiadanie Takashiego o buncie - próbowałem zgasić jej romantyczne wyobrażenia. - Jeśli nawet został wyrzucony z drużyny, to chyba nie znaczy, że stracił szansę mieszkania w tej dolinie. Takashi nie ma jeszcze takiej władzy. Wczorajszej nocy na

przykład, gdy bił biednego chłopca za przesadną interpretację nieświadomej kokieterii Momoko, mógł spotkać się ze sprzeciwem całej grupy chłopców i dostać od nich takie lanie, że ledwie uszedłby z życiem.

- Mitsu, pamiętasz, co ci na lotnisku powiedział zapłakany Hoshio? Ty już Taki nie rozumiesz i chyba dobrze go nie znasz - z twardą pewnością siebie odrzuciła moje przypuszczenie. - Ten naiwny chłopczyk, z którym razem mieszkałeś, później przeżył odmianę czasu, której nie możesz ani pojąć, ani nawet sobie wyobrazić.

- Nawet jeśli ten chłopiec z powodu wyrzucenia go z grupy kierowanej przez Takę znalazł się w tak powikłanym stanie emocjonalnym i uznał, że trudno mu będzie wytrzymać w tej dolinie, to przecież i tak od 1860 roku minęło już ponad sto lat. Dziś każdy uciekinier szedłby szosą w stronę morza. Dlaczego on musiał zaszywać się w las?

- Ten chłopiec dobrze wie, że zamieszanie, jakie zaplanowali potajemnie i wywołali w supersamie, jest już jednym przestępstwem. Gdyby poszedł mostem na ośnieżoną drogę prowadzącą do sąsiedniej wioski, zostałby schwytany przez oczekującą tam policję, mógłby też wpaść w mściwe ręce gangu, którym podobno się posługuje „cesarz”. W każdym razie mógł to sobie tak wyobrażać. Podejrzewam, że tak jak nie znasz prawdziwej duszy Taki, nie znasz również zbyt dobrze psychiki młodzieżowej grupy.

- Oczywiście, wcale nie uważam, że mogę dostatecznie rozumieć młodzież tej doliny tylko dlatego, że tutaj się urodziłem i że do dziś utrzymały się więzy łączące mnie z tą wioską. Raczej jest odwrotnie - powiedziałem wycofując się lekko. - Po prostu starałem się wypowiedzieć obiektywnie pogląd podyktowany zdrowym rozsądkiem. Jeśli zespół drużyny futbolowej podburzany przez Takę da się opanować zbiorowemu szaleństwu, to, oczywiście, moje rozsądne obserwacje nie znajdą tu zastosowania.

- Mitsu, nie wolno tak sprawy upraszczać nazywając coś szaleństwem tylko dlatego, że chodzi tu o sprawy obcych. Ty również, kiedy twój przyjaciel popełnił samobójstwo, nie upraszczałeś zdarzenia tak prymitywnie - żona wcale nie rezygnuje, nadal jest w ataku.

- Wobec tego powiedz Tace, żeby wysłał grupę do lasu na poszukiwania - powiedziałem kapitulując.

Poszedłem na sedawę umyć się, omijając od tyłu wejście do domu, ale w drodze powrotnej spotkałem wybiegających na podwórze wzburzonych chłopców. Na podwórzu stał mężczyzna drobnej budowy w staroświeckiej kurtce drwała, który przyciągnął sanie zrobione na poczekaniu z wiązki bambusów, jeszcze z liśćmi, a na saniach leżał chłopiec owinięty jak larwa po szyję łachmanem z pozszywanych rozmaitych szmat; z domu wyszedł właśnie Takashi. Młodzi wybiegli energicznie z kuchni, jak gdyby mieli zaatakować przybysza, więc mężczyzna pochylił się w bok i spojrzął za siebie, a następnie odwrócił się, jakby chciał uciekać, ale Takashi go zatrzymał. Mrużąc oczy od oślepiającego porannego światła, odbitego od podeptanego śniegu, dostrzegłem wychudły nędzny profil i prawie zamknięte oczy, które od razu zespoliły się ze wspomnieniem Gii sprzed kilkunastu lat. Głowę miał małą, przypominającą głowy preparowane przez Indian, a uszy tak karłowate, że nie większe od pierwszego stawu dużego palca, dlatego wydało mi się, że dokoła nich była nienaturalna pustka. Czapka w kształcie płytkiego pudełka na jego małej głowie przywodzi na myśl starodawnego pocztylionia. Między wypłowiałą od słońca czapką a żółtawą brodą mieści się wąska twarz sparaliżowana niepokojem, pokryta całkowicie brudem i czymś przypominającym popielatą wełnę. Takashi, utrzymując w karności stojących za nim chłopców, mówi do Gii cichym i przyjaznym głosem, jakby uspokajał przestraszoną kozę. Starzec, nadal pochylony do tyłu, z na wpół zamkniętymi oczyma,

odpowiada Takashiemu, szybko poruszając brązowymi wyschniętymi wargami, niby dwoma palcami usiłującymi coś schwytać. Następnie pustelnik Gii potrząsa głową jakby żałując z głębi serca, że zszedł z lasu i przyciągnął te sanie, i wstydząc się wszystkiego w tym bogatym świecie. Na rozkaz Takashiego zdejmują z san chłopca owiniętego w szmaty i niosą do domu. Za tą rozweseloną grupą, przypominającą niosących na ramionach ołtarzyk podczas festynu religijnego, Takashi wprowadza do sieni również pustelnika Gii opierającego się słabo. Zostałem na podwórzu i patrzyłem na wiązkę bambusów oblepionych zlodowaciałym śniegiem. Świeżo wycięte bambusy obwiązane wielokrotnie chropowatym grubym sznurem wyglądają, jakby zostały ukarane za jakieś przestępstwo.

- Mitsu, Natchan daje pustelnikowi Gii jeść. - Gdy odwróciłem się, za mną stał Takashi z twarzą zaróżowioną i świeżo opaloną; jego brązowe oczy kani wypełnione ostrym światłem wyglądały jak pijane i wydało mi się, że za moimi plecami rozciąga się morze w pełni lata, podczas gdy ja rozmawiam z Takashim. - Pustelnik Gii zszedł jak zwykle nocą do doliny. Wracając o świcie zobaczył chłopca idącego w głąb lasu. Widząc że się zatacza, Gii szedł jego śladem, dopóki chłopiec się nie zatrzymał; w ten sposób Gii po prostu go uratował. Czy uwierzysz, Mitsu, że ten chłopiec zamierzał przejść przez las zasypany śniegiem i dostać się do Kóchi? On się po prostu utożsamiał z jednym z chłopców z powstania 1860 roku!

- Natsumi doszła do tego samego wniosku, zanim jeszcze pustelnik Gii go tu przywiózł - powiedziałem i umilkłem.

Kiedy chłopak brnął z trudem przez głęboki śnieg w ciemnym lesie, poganiany przez wstyd i rozczarowanie wyrzutka, chyba wyobraził sobie, że jest synem chłopca z kokiem włosów na głowie z okresu buntu 1860 roku. Prostuduszny naiwny chłopiec, wzburzony stopniowo wzbierającym gniewem, otoczony ciemnością lasu w środku nocy, szedł czepiając się śniegu - czy można go było jakoś przekonać, że od 1860 roku upłynęło sto lat? Jeśliby wczorajszej nocy ten chłopiec upadł w drodze i zamarł na śmierć, oznaczałoby to, że umarł śmiercią absolutnie taką samą jak wypędzeni mężczyźni w 1860 roku. Wszystkie odpryski czasu istniejące współcześnie na tych zalesionych wyżynach spłynęłyby lawiną na głowę chłopca znajdującego się na progu śmierci i opanowałyby go całkowicie.

- Skoro u tego chłopca pojawiły się pierwsze oznaki, na pewno tendencja identyfikacji z młodzieżą roku 1860 obejmie całą drużynę. A ja mam zamiar rozszerzyć ją na wszystkich mieszkańców doliny. Chcę tu zapoczątkować nowe powstanie, odtworzyć powstanie naszych przodków sprzed stu lat nawet bardziej realistycznie niż w tańcu nembutsu. Mitsu, to nie jest niemożliwe!

- Taka, o co tu w ogóle chodzi, w jakim celu chcesz to zrobić?

- W jakim celu? - Takashi roześmiał się. - Mitsu, kiedy twój przyjaciel się powiesił, czy zastanawiałeś się nad tym, w jakim celu on umarł? Albo czy zastanawiasz się kiedykolwiek, w jakim celu w dalszym ciągu żyjesz? Nawet jeśli dojdzie do nowej wersji buntu w tej dolinie, może nie da to żadnych korzyści. Ale przynajmniej będę mógł doświadczyć z największą intensywnością tego, co przeżył młodszy brat pradziadka. A tego właśnie gorąco pragnąłem od dawna.

Gdy wróciłem do spichrza, usłyszałem odgłos kropli wody, które w ciepłe promieni słońca zaczęły spływać z dachu po grubych warstwach śniegu tworząc z czterech stron spichrza zasłonki podobne do bambusowych. I wyobraziłem sobie, że mógłbym odciąć się za pomocą tych kropli wody i obronić się przed tym wszystkim, co zdarzy się w

dolinie, tak jak bronił siebie i swojego majątku pradziadek za pomocą strzelby przywiezionej z cywilizowanego świata zza lasu.

10. Bunt wyobraźni

Muzyka procesji nembutsu, dużych i małych bębnow oraz gongów rozlega się bez przerwy od przedpołudnia. Przesuwa się powoli z miejsca na miejsce i tak trwa uporczywie. Dan-dan-dan! Dan-dan-dan! Dan-dan-dan! Dan-dan-dan! Ten jednorodny rytm utrzymuje się już cztery godziny. Przez okno w spichrzu odprowadziłem wzrokiem pustelnika Gii wspinającego się szosą do lasu. Zamiast łachmanów miał na saniach nowy koc, który dała mu żona, głowę przechylił na bok, jakby zatopił się w medytacji, ale szedł pod górę wytrwale stromą ośnieżoną drogą, pewnie stawiając stopy. W chwilę potem rozpoczęła się muzyka tańca nembutsu. A kiedy na obiad żona przyniosła mi ugniecione kule ryżu i zamkniętą jeszcze puszkę łososia wraz z kluczykiem, zapytałem głosem szorstkim z powodu niechęci do rozbrzmiewającej bez przerwy muzyki, od której nie miałem ucieczki; głos mój zabrzmiał tak brutalnie i obco, że słuchałem go ze zdumieniem.

- To nie sezon na muzykę nembutsu, czy to też pomysł waszego wodza Taki? Czy tą muzyką chce mieszkańcom doliny przypomnieć o powstaniu 1860 roku? Jednak to podły pomysł, wielce kłopotliwy dla otoczenia. Przecież tylko Takashi, ty i jego podwładni potraciliście głowy. Czy naprawdę sądzisz, że ci staroświeccy i obojętni ludzie, mający wysoce rozwinięte poczucie normalności, zaczną się podniecać bębnami czy gongami?

- Ciebie jednak poruszyła, mimo że starasz się zachować obojętność wobec wszystkiego w tej dolinie - chłodno odparła mój atak. - Puszka łososia jest zdobyczą wojenną z grabieży supersamu, jaka od dziś rano na dobre się zaczęła, więc jeśli nie chcesz zbrudzić sobie rąk, niezależnie od tego jak drobna to sprawa, to lepiej nie jedz. Poszukam i przyniosę ci coś innego.

Otworzyłem tę puszkę po prostu dlatego, aby zlekceważyć wyzwanie żony, a nie żeby przyznać się do współudziału w czynach Takashiego. Bo prawdę mówiąc łososia nie lubię. Wczorajsza grabież supersamu nie była zdarzeniem zamierzonym przez zwykłych mieszkańców doliny. Według opowieści mojej żony Takashi i jego kompania zajęci byli tego ranka rozprzestrzenianiem poglądu, że skoro grabież w supersamie i tak jest bezprawiem, to nie ma powodu jej przerywać, kiedy już raz została rozpoczęta.

- Czy nikt się nie sprzeciwia tym podżeganiom Takashiego? Czy nikt do rana nie przemyślał sprawy i nie ruszyło go sumienie, czy nikt nie zwrócił tego, co wziął bezprawnie wczoraj?

- Przed supersamem odbył się wiec mieszkańców wioski, ale nikt nie wspominał o tym. Dziewczęta z rachuby ujawniły szczegóły zysków, jakie supersam przyniósł dotąd swemu właścicielowi, poza tym niektóre sprzedawczynie zaświadczyły, że towary są liche, więc czy w tej sytuacji przyszłoby komuś ochota, żeby specjalnie chodzić i zwracać wzięte rzeczy? Nawet jeśli znaleźli się jacyś dziwacy pragnący tego skrycie, nie było tam atmosfery sprzyjającej takim niezależnym krokom.

- Jest to po prostu oszukiwanie dzieci - powiedziałem ze złością, żując głośno łososia, który był suchy, pełen ości i innych odpadków. - Ale wkrótce przyjdzie odwet.

- W każdym razie gniew przeciw supersamowi jeszcze płonie. Mitsu, kilka kobiet opowiadało z płaczem, że pod zarzutem kradzieży poddawane były rewizji.

- Co za tępi ludzie! - powiedziałem i poczułem, że nie mogę przełknąć tego kradzionego lososia.

- Mitsu, powinieneś jednak zejść w dolinę i zobaczyć, co się tam dzieje - powiedziała niedbale żona schodząc po schodach. Wyplułem na dłoń zmieszane ze śliną mięso lososia i ziarnka ryżu.

Muzyka tańca nembutsu nigdy chyba się nie skończy, drażni mnie, dręczy strasznie, odbiera mi siły duchowe. Moje uszy ciągle mi przypominają, czy chcę tego czy nie, że coś złego dzieje się w dolinie. Gdzieś w ich głębi „powstanie” jest już rzeczywistością. Odrazą, jaką budzi we mnie muzyka tańca nembutsu, zostaje teraz splamiona trudną do wywabienia trucizną ciekawości, zupełnie jak uszkodzona wątroba, której nie można wyleczyć. Lecz ja zakazałem sobie opuszczania spichrza, dopóki nie znajdę normalnego powodu, nie mającego bezpośredniego związku z niezwykłymi wydarzeniami, którym patronuje Takashi. Do tego czasu nie wolno mi zejść w dolinę ani posłać tam mego szpiega. Tę monotonną muzykę, wyrażającą tylko emocjonalne ubóstwo, Takashi po prostu wykombinował po to, aby dać mi znak i pochwalić się przede mną, że jego działalność nie ustaje. Jeślibym teraz wystąpił z jakimkolwiek działaniem przeciwko temu, co się dzieje w dolinie, byłaby to tym nędzniejsza kapitulacja przed jego brudną psychologiczną taktyką. Wytrwam przy swoim. W końcu na dodatek rozległ się klakson samochodowy. To pewnie Takashi jeździ po dolinie Citroenem, którego koła omotał łańcuchami, i naiwnie popisuje się przed dziećmi. Albo też, jeśli mieszkańcy doliny rzeczywiście zmienili się w tłum buntowników, Takashi jako przywódca dokonuje z Citroena przeglądu sił.

Zauważyłem, że piec grzeje mniej skutecznie. Kończy się widocznie nafta w zbiorniku. Zapasową już zużyłem. Trzeba będzie kogoś posłać po naftę do supersamu albo pójść samemu, innego sposobu nie ma. W końcu zostałem wyzwolony z bolesnego obowiązku wytrwałości, budzącej we mnie wstręt. Począwszy od przedpołudnia, już ponad cztery godziny dręczyła mnie i ośmieszała muzyka nembutsu.

W domu zastałem śpiącą po ataku hysterii Momoko i opiekującą się nią żonę, ale od nich nie mogłem oczekiwać pomocy. Chłopiec z odmrożeniami został odwieziony do szpitala, a wszyscy członkowie zespołu futbolowego razem z Takashim i Hoshio są teraz organizatorami tej całej wesołej awantury w dolinie. Tylko synowie Jin mogliby załatwić moje sprawy. Zawołałem na nich sprzed domu, choć wcale nie sądziłem, że mimo pokusy siedzą zamknięci razem z otyłą matką w mrocznym i zimnym pokoju. Chciałem tylko potwierdzić, że konieczność mojego zejścia do doliny wypływa z warunków zewnętrznych. Nie było odpowiedzi. Gdy miałem już odejść spod zamkniętych drzwi zadowolony, usłyszałem wołanie Jin, ożywione, prawie radosne. Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka, błędząc oczami nie przyzwyczajonymi do ciemności jak niespokojny ptak w nadziei, że znajdę raczej męża Jin niż ją samą.

- O, Jin, myślałem, że gdyby twoi synowie byli w domu, mogliby pójść do doliny i coś mi załatwić - powiedziałem przepraszająco. - Skończyła mi się nafta do pieca.

- Synowie od rana są w dolinie, panie Mitsusaburó! - odpowiedziała Jin z niepodobną do niej uprzejmością, gdy powoli zaczęło się wyłaniać z mroku istnienie jej wielkiego ciała, niby okręt ukazujący się z mgły na morzu. Jej oczy skierowały swą moc prosto na mnie, niby dwa gorące, błyszczące magnesy, wystające z opuchniętej okrągłej twarzy; po jej głosie poznałem, że wznosiła się samotnie w górze, na fotelu bez nóg w kształcie odwróconego siodła. - Młodzi ludzie pod dowództwem Takashiego przyszli tutaj i zabrali mojego męża na dół.

- Przyszli koledzy Takashiego z wezwaniem? Kaneki jest człowiekiem spokojnym, dlaczego wciągają w to nawet jego? - wyraziłem niezadowolenie wraz z odrobiną współczucia i okazało się, że moja rezerwa była uzasadniona. Jin nie oczekiwała ode mnie współczucia z powodu męża.

- Młodzi chodzili po wszystkich domach we wsi i wzywali do udziału! Mitsusaburósan, obowiązkowo wezwano nawet tych, którzy nie brali rzeczy z supersamu, w rezultacie wszyscy poszli na dół. - Gdy to powiedziała, zapłonęły jej wąskie oczy jeszcze bardziej ściśnięte w fałdach mięsa; próbowała uśmiechnąć się wywołując łagodne fale na napiętej skórze, pokrywającej grube warstwy tłuszczu. Jin ostatnio uwolniła się od przykrej zadyszki, która ją do niedawna dręczyła, i znów stała się mistrzynią opowiastek plotkarskich, w których celowała od dawna dzięki wyjątkowo wyostrzonej ciekawości. - Dzieci wcześniej poszły na dół, a ponieważ mąż pozostał w domu, podeszło do drzwi dwu młodych ludzi i kazało mu iść do supersamu. Kiedy synowie wrócili odpocząć, opowiadali, że chodzą dwójki i wzywały do supersamu wszystkich tych, którzy nie chodzili po towar, nawet wpływowych i bogatych. Zarówno synowie wójta, jak i żona naczelnika poczty poszli podobno do supersamu po rzeczy. Córka kierownika szkoły z płaczem musiała wziąć pudło niepotrzebnego jej proszku do prania! - mówi Jin i nagle mocniej zaciska usta, jakby nabrała w nie wody, pociąga hałaśliwie nosem. Następnie na skórze twarzy podobnej do księżyca w pełni pojawiły się czerwone plamy i dzięki temu domyśliłem się, że Jin po prostu się śmiała. - Więc teraz jest równość, Mitsusaburo-san. Wszyscy mieszkańcy wioski są równi, jednakowo najedli się wstydu, to bardzo dobrze!

- Czy nikt nie współczuje „cesarzowi” supersamów? - Poczulem niejasne niebezpieczeństwo w pułapce słowa „wstyd”, którą nastawiła chorobliwie otyła kobieta w średnim wieku, i kiedy właściwie ją ominąłem, zapytałem o sprawę daleką od nastroju wojowniczej opowieści plotkarskiej Jin.

- Współczuje tamtemu Koreańczykowi? - odparła od razu gniewnie. Do wczoraj Jin, jak większość mieszkańców doliny, którzy opowiadają o nieszczęściach sprowadzonych w dolinę przez supersam, nawet nie wspomniałaby o tym, że właścicielem supersamu jest Koreańczyk. Teraz natomiast mówi o tym wprost, akcentując słowo „Koreańczyk”. Dla wszystkich mieszkańców doliny grabież supersamu wydaje się oznaczać jednoczesną zmianę stosunku sił między nimi a „cesarzem” supersamów, nawet Jin głosi bez zajknięcia, że człowiekiem, który podporządkował sobie ekonomicznie całą dolinę, jest Koreańczyk.

- Mieszkańcy tej doliny mieli same kłopoty od przybycia Koreańczyków! Gdy wojna się skończyła, Koreańczycy wydarli i ziemię, i pieniądze od mieszkańców doliny i umocnili swą pozycję! Co ma z tym wspólnego współczucie, kiedy chodzi tylko o odebranie z powrotem małej części tego wszystkiego?

- Jin, ale przecież oni nie przyszli tu z własnej woli. To niewolnicy, których siłą wprowadzono na roboty z ojczyzny. I o ile mi wiadomo, nie ma na to dowodów, że z własnej woli aktywnie starali się sprawiać kłopoty mieszkańcom tej doliny. Podobnie z ziemią, na której znajdowała się osada koreańska; nikt przecież z tego powodu nie poniósł bezpośredniej straty, prawda? Dlaczego przekręcasz nawet fakty, które musisz znać?

- Brat S. został zabity przez Koreańczyków! - odpowiedziała podejrzliwie, szybko odzyskując czujność.

- Jin, to była zemsta za zabicie Koreańczyka przez kolegów brata S. Dobrze o tym wiesz, prawda?

- Przecież każdy o tym mówi, że od przybycia Koreańczyków nic dobrego tu się nie dzieje! Powinni ich wszystkich pozabijać! - powiedziała Jin z niezwykłą dla niej siłą, jakby chciała utwierdzić się w swych irracjonalnych poglądach. Jej oczy pociemniały od przepelniającej ją nienawiści.

- Ale, Jin, Koreańczycy nigdy z własnej woli nie robili szkody ludziom mieszkającym w tej niecce. Za powojenny bałagan odpowiedzialne są obie strony. Jin, dlaczego mówisz takie rzeczy znając fakty? - potępiłem ją, ale Jin zwiesiła swą wielką smętną głowę, jakby spuszczała ciężki bagaż, i zlekceważyła moje słowa. Dostała napadu zadyszki, od mojej strony jej falujący kark wyglądał jak szyja morsa. Westchnąłem ogarnięty irytującym gniewem, którego nie udało mi się odpędzić.

- Rozpoczynając to głupie zamieszanie powinni wiedzieć o tym, że w końcu mieszkańcy tej doliny zapłacą za to bolesną cenę, Jin. „Cesarza” nie zniszczy ograbienie jednego z wielu jego sklepów, a większość mieszkańców tej doliny z powodu „łupów wojennych” będzie odtąd dręczyło godne politowania poczucie winy. Czy oni nie wiedzą, co robią, nawet dorośli, którzy powinni być mądrzejsi, a dają się podżegać Takashiemu, który powrócił tu z obcych stron?

- Wszyscy ludzie tej doliny, wszyscy jednakowo najedzą się wstydu! - powtórzyła Jin tak, jakby dotyczyło to tylko innych. Uporczywie patrzyła w dół, co utwierdzało mnie w przekonaniu, że słowo „wstyd” miało dla niej szczególne znaczenie.

Moje oko, które przyzwyczało się do ciemności i mogło wejrzeć w zakamarki mroku, spostrzegło, że w zasięgu rąk siedzącej w fotelu Jin leżał stos różnego rodzaju okrągłych tanich konserw. Tkwiły tak niewzruszone i posłuszne, niby żołnierze pomocniczej armii, w których pokładała nadzieję Jin walcząca z nieuleczalnym głodem. Był to jej prywatny „wstyd”, gromada małych „wstydów” stojących w uporządkowanych szeregach, ukazujących swoje prawdziwe formy tak otwarcie, że raziły nawet obcych. Gdy wpatrywałem się bez słowa w szeregi puszek, Jin zmanifestowała wyzywającą szczerość, wzięła puszkę wystającą spomiędzy ogromnych fałd na kolanach, na wpół otwartą, której wieczko przypominało półkoliste ucho, i zaczęła jeść jej trudną do rozpoznania zawartość. Pamiętałem o tym, że białko zwierzęce źle wpływa na wątrobę Jin, ale nie mogłem tego powiedzieć, więc zaproponowałem jej po prostu:

- Może przynieść ci wody?

- Nie jem bez umiaru aż tyle, żeby mieć pragnienie! - odparła. Ale następnie powiedziała tak bezpośrednio i szczerze, jak w okresie, kiedy to ja i Jin podtrzymywaliśmy cały ród Nedokoro: - Mitsusaburó-san, dzięki buntowi Takashiego po raz pierwszy otrzymałam tyle jedzenia, że nie mogę zjeść wszystkiego! Nawet takich głupich konserw mam więcej niż mogę zjeść! Gdybym je wszystkie zjadła, mogłabym obejść się bez innych rzeczy. I wtedy wróciłabym do swej dawnej szczupłej sylwetki, a potem mogłabym już tylko umrzeć!

- Nic podobnego, Jin - pocieszałem ją w nastroju życzliwości po raz pierwszy od powrotu do doliny.

- Nie, nawet tak nędzna osoba jak ja zna się na tych sprawach! Nawet w szpitalu Czerwonego Krzyża powiedziano mi, że jem tak dużo nie dlatego, że ciało tego żąda, lecz dlatego, że to mój duch jest nienasycony! Gdybym tylko poczuła, że już nie chcę jeść, od tego samego dnia zaczęłabym chudnąć i wróciłabym do swego poprzedniego stanu, i wtedy nic by mi nie pozostało, tylko umrzeć!

Ku mojemu zdziwieniu ogarnął mnie dziecienny smutek. Po śmierci matki tylko dzięki pomocy Jin mogłem przetrzymać wszystkie próby okresu dzieciństwa w dolinie. Potrząsnąłem głową bez słowa i wyszedłem na dwór w zasypany śniegu, zamykając za sobą

drzwi zostawiłem „najgrubszą kobietę Japonii” w spokojnej ciemności wraz z jej szczęściem i „wstydem”, otoczoną masą żywności, która może zatruć fatalnie jej wątrobę.

Udeptany śnieg na brukowanej drodze rozmiękł, zszarzał i zrobił się śliski. Ostrożnie schodziłem w dół. W sprawę grabieży supersamu nie mam zamiaru się mieszać, będę się starał, żeby nie dać się wciągnąć w działania Takashiego. Jeśli w supersamie panuje już całkowita anarchia, nie będę mógł nawet zwyczajnie kupić nafty. Więc jeśli jeszcze pozostały kanistry z naftą, które uniknęły rabunku, przekażę pokaźną sumę Tace lub jego kolegom i poproszę, żeby mi je przynieśli -taki był mój plan. Nie mam zamiaru uczestniczyć we „wstydzie” sprawiedliwie rozdzielanym między mieszkańców doliny, o którym mówiła Jin. Przy tym podżegacze tego niewielkiego buntu jedynie do mnie nie zwracali się ze słowami nakazu pójścia do supersamu, co znaczy, że od początku byłem kimś obcym i wobec tego nie muszę dzielić ich „wstydu”.

I Gdy doszedłem do placu przed urzędem wioski, nie wiadomo skąd pojawił się przede mną najstarszy syn Jin i zaczął iść jak pies za swym panem na spacerze. Szybko wyczytał z mojej twarzy, że rozmowa ze mną nie jest wskazana, swoje wewnętrzne podniecenie wyraził tylko sprężystym i zdecydowanym sposobem stawiania nóg. Dotąd ciągle zamknięte drzwi domów po obu stronach brukowanej drogi teraz stoją otworem, a ludzie zebrani pod okapami na wydeptanym śniegu coś mówią do siebie podniesionymi głosami, rozmawiają otwarcie, wspaniałomyślnie. Wszyscy mieszkańcy doliny są podnieceni, uradowani. Ludzie, którzy zeszli tu z „prowincji”, utworzyli grupki po kilka rodzin, stojąc na drodze; włączali się do rozmów lub przechodzili z miejsca na miejsce. Wszyscy mieli naręcza rzeczy zabranych z supersamu, ale jeszcze nic nie wskazywało, że zamierzali wracać do swych domów, nie śpieszyli się, wciąż tkwili w dolinie. Gdy matki z „prowincji” prosiły o udostępnienie ubikacji swym dzieciom, które chciały opróżnić kiszki, miejscowe gospodynie chętnie się na to godziły. Nawet w czasie świąt religijnych nigdy nie widziałem scen wymiany grzeczności tak swobodnej i wspaniałomyślnej między doliną a „prowincją”. Już w czasie mego dzieciństwa zniknął z tej wioski nastrój żywołowych zabaw świątecznych. Dzieci ślizgały się po udeptanym śniegu na brukowanej drodze i naśladowały muzykę tańca nembutsu, która wciąż rozbrzmiewała. Chłopiec Jin chwilami włączał się w zabawę dzieci, cieszył się razem z nimi, potem szybko wracał i stawał przy moim boku. Wielu spośród stojących i rozmawiających dorosłych pozdrawiało mnie przyjaźnie i z uśmiechem. Od mojego powrotu po raz pierwszy w ten sposób usunęli bariery. Jednak ja nie mogę tak szybko dostosować się do ich nieoczekiwanej przyjaznej postawy. Przechodzę szybkim krokiem kiwając głową, pochylając ją dwuznacznie, ale dorośli, którzy nagle tak absolutnie zdolali się wyzwolić, sprawiają wrażenie jak gdyby cały czas na nic nie zwracali uwagi, niby pijani. Moje zdumienie stopniowo zapuszcza korzenie coraz głębiej, zagęszcza grube liście, gęstnieje. Wysoki mężczyzna, który z braku nauczycieli w okresie wojny prowadził lekcje historii jako zastępca nauczyciela, a po wojnie pracował jako sekretarz w kooperatywie rolniczej, teraz potrząsając otwartą księgą rachunkową wyjaśniał coś zebrany wokół ludziom. Ponieważ blisko niego stali milczący członkowie zespołu futbolowe go, wyciągnąłem z tego wniosek, że został mianowany specjalnym doradcą grupy wspierającej nowy „bunt” i zapewne wyjaśnia publicznie stan finansowy supersamu. Kiedy mnie spostrzegł, uśmiechnął się wykrzywiając twarz scenicznym gniewem, a zarazem naturalną pewnością siebie, przerwał pouczanie gromady słuchaczy i powiedział do mnie głośno:

- Panie Mitsusaburó, wykryłem fałszowanie księgi rachunkowej tego sklepu. Wystarczy pokazać to w urzędzie podatkowym, a „cesarz” zostanie od razu zdetronizowany i pójdzie z płaczem! Słuchacze, zamiast przejawiać niezadowolenie z powodu tego nagłego zakłócenia, zaczęli patrzeć na mnie, wesołymi gestami wyrażać protesty i drwić z supersamu, który unikał płacenia podatków. Było wśród nich wielu starców. Gdy to sobie uświadomiłem, zdałem sobie też sprawę, że również w grupach, które mijałem po drodze, był nienormalnie duży procent starych ludzi. Do wczoraj ci starzy ludzie pędzili bez ruchu swoje dni w mroku za brudnymi szybami mieszkań. A dziś znów się wyzwolili i odrodzili jako regularni członkowie wspólnoty doliny.

Chłopak Jin krzyknął nagle piskliwym głosem, zwrócił na siebie moją uwagę i nadal nie przestawał wrzeszczeć podniecony swoim odkryciem:

- Och! To kierownik sklepu!

Patrzyłem, jak korpulentny mężczyzna w skórzanej kurtce, z łysiną na głowie osadzonej na krótkiej szyi, choć nie miał jeszcze czterdziestu lat, mijał nas i oddalał się biegnąc niepewnym chwiejnym krokiem. Wiosłując rękami w powietrzu, niby lądowa foka, biegnie ile sił w nogach, obrzucany przez dzieci wyzwiskami. Widocznie został teraz zwolniony z aresztu. Ale ponieważ most jest na pewno ściśle strzeżony przez członków zespołu piłkarskiego, więc kierownik otrzymał jedynie prawo pobiegania po dolinie, i w praktyce jest nadal zamknięty. Widok szybko biegnącego szosą pod ulewą obraźliwych słów wydał mi się śmieszny i osobliwy. Czy on wierzy w to, że jest jakiś sposób unormowania sytuacji w tej osamotnionej dolinie, w której nie ma ani jednego sojusznika? Gdy jedno dziecko wpadło na pomysł rzucania w niego śnieżkami, nagle zabawa ta upowszechniła się pośród wszystkich dzieci. Śnieżka trafiła w kostkę biegnącego i powaliła go z łatwością. Borykając się ze śniegiem, z trudem stanął na nogi i nie otrzepując śniegu nawet z głowy zaczął groźnie krzyczeć na rozszalałe dzieci, niby zagonione zwierzę domowe. Rozbawione dzieci śmiały się z niego i wciąż obrzucały śnieżkami. W wyschniętych ustach ożył surowy smak realnego strachu z dnia, w którym pękło mi oko podczas ataku nieznanymi dziećmi, i poczułem, że znalazłem wskazówkę tłumaczącą wątpliwości, jakie miałem przez wiele lat, gdy zadawałem sobie pytanie: dlaczego rzucono we mnie kamieniem? Rozgniewany biedny mężczyzna, broniąc się obu rękami przed atakującymi go śnieżkami, krzyczał głosem słabnącym, ale wytrwale.

- Co on krzyczy? - zapytałem syna Jin, który na początku przyłączył się do atakujących śnieżkami, a teraz wrócił do mnie ciągle jeszcze bardzo podniecony.

- On mówi, że kiedy śnieg stopnieje, „cesarz” natychmiast sprowadzi tu gangsterów i sprawi nam lanie. A przecież my jesteśmy uzbrojeni! - Chłopiec powiedział to z dumą, zajrzał do pustego już papierowego pudełka po ciastkach, wyrzucił je, potem wyjął z wypchanej kieszeni nowe i włożył garść ciastek do ust.

- Sądzisz, że zwyciężycie gangsterów? Nie wiesz, że są to zawodowcy w dziedzinie przemocy?

- Taka nas nauczy, jak walczyć! On walczył z prawicą, więc wie, jak wygląda prawdziwa walka! Mitsusaburó-san, czy pan walczył? - Chłopiec połknął z trudem wszystko, co miał w ustach, i przeciwstawił mi się z zupełnie niezrozumiałą surowością.

- Dlaczego wypuścili kierownika na wolność?

- Dlaczego? - Chłopiec zaczął wymijająco, a następnie dał mi najśluszniejszą z możliwych odpowiedzi na moje dość nijakie pytanie: - Ponieważ on opowiada głupstwa, więc ludzie tej doliny przestali się w ogóle z nim liczyć, podobnie jak z „cesarzem” supersamów. On też jest Koreańczykiem!

Poczułem wstręt z powodu tej nieuzasadnionej wrogości do Koreańczyków ze strony chłopca urodzonego po wojnie. Gdybym jednak starał się bronić kierownika supersamu, chłopiec na pewno zwołałby małych łobuzów, którzy zmusiliby mnie do biegu na chwiejących się nogach w równie bezcelowej ucieczce.

- Już nie musisz iść ze mną, baw się z kolegami - powiedziałem tylko tyle.

- Otrzymałem rozkaz od Taki, aby pana przyprowadzić -

powiedział chłopiec ze szczerym zmieszaniem na twarzy. A ponieważ odrzuciłem go zdecydowanie jako przewodnika, chłopiec zatrzymał się i wepchnął do ust kolejną garść ciastek, by osłodzić rozczarowanie. Dziś po raz pierwszy, odkąd Jin opanował niezwykle apetyt, jej syn ma więcej pożywienia niż potrzebował jego skurczony żołądek. Dziwne poczucie obowiązku wobec żołądka, połączone z niepokojem, którego on sam nie rozumiał, sprawiły, że chłopiec będzie jadł dotąd, aż wszystko wyrzyga.

Zdeptany śnieg wokół supersamu stopniał, więc brukowana droga była w fatalnym stanie. Jest to zapowiedź tego, co nastąpi, gdy cały śnieg stopnieje i dolina wypełni się błotem. Przed supersamem stoją w grupach ludzie. Niektórzy wynieśli z supersamu odbiorniki telewizyjne, teraz rozpakowują je, wyjmują też inne urządzenia elektryczne, a pozostali przyglądają się tym manipulacjom.

Na ekranach kilku telewizorów widoczne są dwa różne programy. Małe dzieci siedzą w kucki i z najwyższym skupieniem patrzą na ekrany. Niektóre usiłują oglądać naraz dwa programy, więc pół siedząc, pół stojąc zajmują miejsca, z których widać oba telewizory, za ich plecami stoją dorośli, mniej skoncentrowani na telewizji i jakoś dziwnie wzburzeni, jak gdyby coś nie trafiało im do przekonania. Wiadomości o codziennym życiu dalekich miast przychodzące do doliny w czasie, gdy panuje w niej ten osobliwy stan wyjątkowy, wywierają na patrzących dziwny wpływ. Ukazany w zbliżeniu na ekranie obraz śpiewaczki o wystającym dużym podbródku i sztucznym uśmiechu tylko podkreśla i odświeża wrażenie osobliwości tego, co zaszło i nadal trwa w dolinie.

Rozpakowane urządzenia elektryczne stoją na mokrej ziemi; podchodzą do nich dwaj mężczyźni w średnim wieku z dłutem i młotkiem. To miejscowy kowal i blacharz. Zostali pewnie powołani do specjalnych zadań przez grupę młodzieżową. Ich pracy przyglądają się głównie kobiety. Najwyraźniej z tego rodzaju operacją mają dziś do czynienia po raz pierwszy. Mimo że są doświadczeni w swoich zawodach, nową pracę wykonują niepewnie i wolno. Mają przeprowadzić drobną operację niszczenia, polegającą na zdjęciu numeru produktu i plakietki firmowej producenta z różnych urządzeń. Dłuto, którym jeden z nich usiłuje zestrugać plakietkę z podstawy piecyka elektrycznego, zostawia głębokie rysy na obudowie pomalowanej jasnym cynobrem, wtedy fala westchnień niesie się od strony kobiet siedzących wokół rzemieślnika, który aż kuli się z zakłopotania. Zajmuje się czymś niegodnym i dalekim od zakresu jego umiejętności, na których tak polegał, jakby były częścią jego ciała. Ta dziecinna operacja niszczenia ma po prostu zatrzeć dowody, iż są to rzeczy pochodzące z grabieży supersamu, przygotowując je na czas, gdy w końcu po stopnieniu śniegu powróci z miasta porządek „cesarza” supersamów.

Odchodząc od grup ludzi i kierując się ku wejściu do supersamu spostrzegłem, że chłopcy z zespołu futbolowego pilnie śledzą moje ruchy. Są co prawda rozproszeni wśród grup przed telewizorami i wokół mężczyzn zajętych operacją niszczenia, ale ukryci pośród innych wyglądają jak czerniejące plamy wyróżniające się zdecydowanie na tle wesołego tłumu, twarze mają ponure i zacięte, a oczy błyszczące. Z trudem ignorując ich spojrzenia pogarszające mój nastrój pchnąłem drzwi wejściowe. Jednak

drzwi nie ustąpiły. Patrząc przez szybę na absolutny bałagan panujący wewnątrz pociągałem za klamkę, to znów popychałem drzwi z narastającym onieśmieleniem.

- Grabież dzisiaj już zakończona.. Jutro rozpocznie się nowa porcja rabowania!

Odwrociłem się na głos syna Jin i ujrzałem go, stojącego wraz z kolegami tuż za mną. Uśmiechał się wstydliwie, a usta miał wypchane ciastkami. Obawiając się, że może ode mnie oberwać po głowie, cofnął się o krok do tyłu, a jego koledzy zrobili to samo.

- Nie przyszedłem rabować, przyszedłem kupić nafty.

- Na dziś grabież się skończyła! Jutro rozpocznie się jutrzejsza porcja grabieży! - krzyknęli chórem koledzy syna Jin, tak samo podnieceni i śmiejący się ze mnie. Dzieci szybko przystosowały się do nowego życia w warunkach „buntu”, jakby były buntownikami od urodzenia.

Licząc na wsparcie członków drużyny futbolowej, przyglądających mi się bez wyrazu, zawołałem ponad głowami niebezpiecznej gromady dzieci:

- Chcę się widzieć z Taką, zaprowadźcie mnie do niego. Chłopcy z drużyny futbolowej z zakłopotaniem pochyliłi głowy, jak drewniane młoty, i milczeli - ich brzydkie kanciaste twarze biedaków zdrętwiały i zobojętniały. Ogarnęła mnie histeryczna irytacja.

- Taka rozkazał, abym pana Mitsusaburó do niego zaprowadził! - powiedział jakby pojednawczo syn Jin odzyskując pewność siebie i nie czekając nawet na moją reakcję ruszył przodem boczną drogą prowadzącą na zaplecze sklepu. Dopędziłem go z trudem, brnąc w głębokim śniegu pokrywającym dróżkę. Sople lodu, czatujące na mnie, uderzały mnie mocno w głowę obok niewidzącego oka, pękały i spadały na ziemię.

Za magazynem sake przebudowanym na supersam znajdowało się kwadratowe podwórze, gdzie dawniej suszono wielkie beczki służące do warzenia sake. Postawiono tu barak na biuro, w którym teraz mieściła się główna kwatery buntowników. U wejścia stał na straży młody mężczyzna. Syn Jin doprowadziwszy mnie tutaj usiadł na czystym śniegu w kącie podwórza i przyjął pozycję wyczekującą. Pod czujnym okiem chłopców otworzyłem bez słowa drzwi i wszedłem do pokoju przepelnionego gorącym powietrzem i zwierzęcą wonią młodych ciał.

- Hej, Mitsu. Myślałem, że nie przyjdiesz. W okresie demonstracji przeciw Traktatowi Bezpieczeństwa nie przyszedłeś nawet popatrzeć - powiedział do mnie wesoło Takashi owinięty po szyję białym płótnem, bo akurat strzyżono mu włosy.

- Czy to niezbyt przesadne porównanie? - powiedziałem chłodno.

Osobliwie utrzymując równowagę na drewnianym stołeczku obok brzuchatego piecyka, Takashi pochylił się na bok, podczas gdy zupełnie dziecinnie wyglądający fryzjer z doliny poruszał nożyczkami w najwyższym skupieniu. Fryzjer wyglądał tak, jakby przybył tu służyć swoimi umiejętnościami, pełen entuzjastycznej czci dla przywódcy buntu. Stojąca przy boku Takashiego młoda dziewczyna o krótkiej cylindrycznej szyi, na pierwszy rzut oka wyglądająca na osobę niezrównoważoną emocjonalnie, przytulała do niego swoje korpulentne ciało i spadające z nożyc włosy zbierała na rozłożoną gazetę. W głębi pokoju Hoshio z trzema członkami zespołu futbolowego drukował coś na powielaczu. Przypuszczalnie ideologiczne i rzeczowe uzasadnienie ataku na supersam. Takashi zignorował sarkazm moich słów, ale jego koledzy przerwali pracę i czekali na reakcję. Takashi chyba pouczał młodych i niedoświadczonych uczestników buntu, opowiadając własne wspomnienia z przeżyć czerwcowych 1960 roku i przerzucając w ten sposób sztuczny pomost pomiędzy tamtym a tym małym „buntem”.

W sztuce Nasz jest wstyd grałeś rolę działacza studenckiego żalującego swych poprzednich czynów. Czy teraz zająłeś pozycję przeciwną do tej roli? Z trudem

opanowałem chęć zapytania o to brata, który w gorącym powietrzu, przy piecu, po ostrzyżeniu wyglądał na młodego prostego chłopca.

- Nie przyszedłem tutaj przyglądać się działalności twojej drużyny futbolowej, przyszedłem kupić nafty do pieca. Czy po rabunku nie pozostał choć jeden kanister nafty?

- Co jest z naftą? - zapytał Takashi kolegów.

- Pójdę do magazynu i zobaczę - szybko zareagował Hoshio i przekazał stojącemu obok chłopcu wałek powielacza, który dotąd sam obracał. Wychodząc z pokoju wręczył po świeżo wydrukowanej ulotce mnie i Takashiemu. Niewątpliwie, jest on uzdolnionym członkiem grupy buntowników, wspierającym swoimi umiejętnościami przywódcę Takashiego. Spojrzałem na tekst.

Dlaczego cesarz supersamów zmuszony jest cierpieć w milczeniu?

Ponieważ w przeciwnym razie -

byłaby to zła reklama dla pozostałych sklepów jego sieci! naraziłby się urzędowi podatkowemu! już nigdy nie mógłby zajmować się handlem w tej dolinie! Czy złoczyńca taki jak cesarz supersamów może popełnić samobójstwo?

- Przede wszystkim, Mitsu, trzeba doprowadzić do tego, by tutaj wszyscy bez wyjątku myśleli zgodnie o podstawowych sprawach. My mamy jeszcze mocniejsze i subtelniejsze atuty. Na przykład ta dziewczyna, pulchna i pełna seksu, była łączniczką u „cesarza” supersamów, a dziś współpracuje z nami. W atakach na „cesarza” jest bezwzględna i nieustraszona, bo spodziewała się, że i tak zostanie wylana, i chce szybko wyjechać do miasta. - Takashi powiedział nie kryjąc tego, że pragnie uprzedzić moją krytykę tekstu ulotki.

Dziewczyna, polechtana miłymi jej słowami, zarumieniła się jak brzoskwinia i omal nie zaczęła wyc z szczęścia. Jest to niewątpliwie dziewczyna z rodzaju tych, jakie spotkać można w każdej wiosce, które już od dwunastego-trzynastego roku życia przyciągają pożądliwe spojrzenia wszystkich chłopców z okolicy.

- Podobno zatrzymałeś kapłana, kiedy wczoraj wybierał się do mnie na rozmowę, prawda? - powiedziałem odwracając wzrok od dziewczyny, która otwarcie kokietowała już nie tylko Takashiego, lecz nieokreśloną zbiorowość.

- Ja tego nie zrobiłem, Mitsu. Ale to chyba zrozumieli, że członkowie zespołu futbolowego na wszelki wypadek w ciągu wczorajszego dnia śledzili ruchy inteligentów i innych wpływowych ludzi w dolinie, prawda? Oni rzeczywiście mają siłę oddziaływania, której nie można ignorować. Załóżmy na przykład, że w momencie kiedy mieszkańcy wioski zamierzali ponownie wtargnąć do supersamu pod wodzą pijanego wyrobnika, któraś z ważnych osobistości wioski kazałaby zatrzymać się tym z tyłu. Wtedy prawdopodobnie grabież zakończyłaby się na tym pierwszym, niemal przypadkowym incydencie. Ale dziś już ponad połowa doliny ubrudziła ręce. Jeśliby klasa uprzywilejowana tej wioski pozostała w eleganckiej izolacji, wzbudziłaby raczej niechęć wszystkich. Więc zmieniliśmy taktykę i teraz nikt już ich nie pilnuje. Przeciwnie, nasi koledzy biorą udział w ich zebraniach, wypowiadają swoje poglądy, słuchają ich rad, i to wszystko. Mitsu, pamiętasz tego nędznie ubranego bohatera, który był główną postacią grupy hodującej kury? To właśnie on szuka sposobu, by wioska mogła przejść supersam. Jego pomysł polega na tym, by wyrzucić „cesarza” i oddać supersam pod zbiorowy zarząd mieszkańców wioski. Czy nie jest to plan atrakcyjny? On ma oryginalne perspektywiczne spojrzenie na te sprawy. A to pozwala mi skoncentrować się na działaniach brutalnych.

Młodzi wybuchnęli śmiechem oficjalnie uznanych współników przestępstwa. Robią takie wrażenie, jakby sposób mówienia Takashiego sprawiał im przyjemność.

- Ale od drugiej tury grabieży musieliśmy objąć nadzór nad dystrybucją zapasów supersamu, toteż moje zadanie również stało się dosyć ciężkie. Muszę doprowadzić do tego, by nie było zbyt dużych różnic w łupach wojennych między „prowincją” a pozostałymi. Jest to grabież o ustalonym porządku. - Takashi roześmiał się. - Do czasu nowej dystrybucji w dniu jutrzejszym supersam i magazyn będą surowo strzeżone przez naszą drużynę futbolową. Dziś moi chłopcy pozostaną tu na noc. I co ty na to? Co sądzisz o naszej „nadzorowanej grabieży?”

- Jin powiedziała, że to jest twój bunt, Taka. Jeśli chcesz podtrzymać żywe zainteresowanie tym twoim buntem, nie możesz chyba pozwolić na wyczerpanie źródła jego energii zbyt szybko. Na pewno nadzór jest potrzebny. - Słuchając rozwlekłej wypowiedzi podnieconego Takashiego szczerze odkryłem przed nim to, co czuję, ale to go wcale nie speszyło, przeciwnie, z zaciekawieniem popatrzył na mnie wyzywającym wzrokiem i powiedział:

- Podoba mi się to określenie „bunt Takashiego”, ale oczywiście, Mitsu, jest to tylko kredyt zaufania. Rozgrzanie tak wielu naraz ludzi od doliny „po „prowincję”, dorosłych i dzieci, nie zależy tylko od pożądania materialnego czy poczucia braku. Słyszałeś chyba dzisiaj cały dzień bębny i gongi grające do tańca nembutsu? To właśnie podtrzymuje podniecenie, jest emocjonalnym źródłem energii buntu! Grabież supersamu to, prawdę mówiąc, zwykle „wiele hałasu o nic”, i o tym wiedzą wszyscy, którzy biorą w tym udział. Przy tym przez samo uczestnictwo odczuwają podniecenie wywołane identyfikacją i przeżyciem buntu sprzed wieku, z roku 1860, bo to jest po prostu bunt wyobraźni. Dla takich ludzi jak ty, Mitsu, którzy nie pragną rozbudzenia swej wyobraźni, to, co dziś dzieje się w dolinie, nie jest chyba niczym zasługującym na miano buntu?

- Masz rację.

- Rozumiem - powiedziawszy to Takashi nagle przywołał znowu ów zamknięty i ponury wyraz twarzy, zacisnął wargi, zamilkł i przeglądał się posępnie w małym kwadratowym lusterku postawionym ukośnie przed nim na krześle, jakby nudziło go nawet to, że kazał się ostrzyć w tym biurze, znajdującym się teraz pod jego kontrolą.

- Mitsu, znalazłem kanister nafty, syn Jin z kolegami przyniesie go do spichrza - powiedział za moimi plecami Hoshio, który czekał na przerwę w mojej rozmowie z Takashim.

- Dziękuję, Hoshi - odpowiedziałem odwracając głowę. -Ponieważ nie jestem człowiekiem tej doliny, więc supersam nie czerpał ze mnie nadmiernych zysków. Dlatego zapłacę, Hoshi. Jeśli nie ma kto przyjąć pieniędzy, proszę je położyć tam, gdzie stał kanister z naftą.

Hoshio zawahał się zakłopotany i gdy na wszelki wypadek chciał wziąć podawany przeze mnie banknot, nagle ze zdumiewającą szybkością podskoczyli dwaj jego koledzy, wyciągnęli równocześnie ręce zabrudzone czarnym tuszem powielaczowym i brutalnie odepchnęli Hoshiego. Hoshio upadł do tyłu na plecy i uderzył się mocno o podłogę. Zawstydzilem się swojej długiej białej ręki trzymającej nadal banknot. Hoshio zerwał się z furią na nogi, zasyczał przez zaciśnięte zęby jak wąż, spojrzął na Takashiego, jakby chciał od niego zgody na kontratak, ale bóstwo opiekuńcze, jakby nawet nie usłyszało głośnego upadku, nie poruszyło się - ze zmarszczonymi brwiami nadal przyglądało się swojemu odbiciu w lustrze.

- To wykroczenie przeciw regulaminowi, Hoshi - zamiast Takashiego zuchwale zwróciła uwagę piskliwym głosem stojąca obok dziewczyna. Hoshio zrezygnował więc z działania, nawet się nie poruszył, tylko zaczął płakać.

Wyszedłem z biura z bólem uciskającym piersi. W dalszym ciągu rozbrzmiewała muzyka tańca nembutsu, a ponieważ przyspieszała bicie serca, więc szedłem z zatkanymi uszami. Przed supersamem czekał na mnie młody kapłan. Musiałem opuścić obie ręce i odsłonić uszy.

- Zaszedłem do spichrza, ale dzieci Kanekiego powiedziały, że jesteście tutaj - mówił kapłan z werwą. Od razu zrozumiałem, że ożywia go podniecenie o odmiennym charakterze niż to, które utrudniało mi oddychanie. - Gdy przeszukiwałem archiwum w świątyni, odkryłem pisma powierzone nam przez rodzinę Nedokoro.

Wziąłem od niego brązową papierową kopertę dużego formatu. Koperta była tandetna, przypominająca czasy niedostatku wojennego, brudna i postarzała. Przypuszczalnie zaraz po wojnie matka powierzyła ją świątyni. Jednak kapłan nie zawartością koperty był podniecony.

- Mitchan, to bardzo interesujące, to interesujące - powtarzał z zapalem ściszym głosem. - To sprawa wyjątkowo interesująca!

Ponieważ wcale nie oczekiwałem takiej reakcji kapłana, patrzyłem na niego pełen wątpliwości. Zmieszany milczałem przeżuając jego słowa.

- Pomówimy o tym po drodze, ponieważ różni ludzie zajmują się podsłuchiowaniem - powiedziawszy to ruszył przede mną szybkim zdecydowanym krokiem, zupełnie nie pasującym do jego zwykłej nieśmiałości i skrępowania. Pośpieszyłem za nim przyciskając przez płaszcz rękę do serca. - Mitchan, jeśli wieść o tym się rozniesie, to kto wie, czy chłopcy w całym kraju nie zaczną atakować supersamów! Gdyby do tego doszło, wypaczenia japońskiego systemu gospodarczego od razu wyszłyby na jaw. Zaszłyby duże zmiany! Często mówi się o tym, że gospodarka Japonii za dziesięć lat na pewno znajdzie się w ślepych zaułku, ale laikom trudno chyba dostrzec, gdzie rozpoczyna się rozkład, prawda? Aż tu nagle niezadowoleni chłopcy zaatakowali supersam! Jeśli kilkadziesiąt tysięcy supersamów zostanie kolejno zaatakowanych, to niewątpliwie rzuci pewne światło na słabości gospodarki japońskiej i wpłynie chyba na jej rozkład? To jest naprawdę bardzo ciekawe, Mitchan!

- Jednak atak na supersam nie wywołał reakcji łańcuchowej w całym kraju. W ciągu kilku dni zamieszanie się uspokoi i mieszkańcy doliny znów będą ciągnąć swoje puste losy -poruszony nieoczekiwanym uniesieniem kapłana, należącego do kręgu dobrodusznych inteligentów doliny, sprzeciwiłem mu się ogarnięty głębokim smutkiem.

- Nie mam zamiaru wtrącać się do obecnych zamieszek, dobrze wiem, że Taka nie jest człowiekiem, którego działania mogą mieć wpływ na tego rodzaju tryby historii. Pragnę jedynie, by po tym zamieszanym Taka nie został zbyt żałośnie odizolowany od wszystkich. Myślę jednak, że nie ma dla Taki drogi wyjścia. A ponieważ tym razem rozdziela „wstyd” między wszystkich ludzi doliny, nie będzie mógł chyba zachowywać się jak kapryśne dziecko, uważając, że jest działaczem studenckim żałującym swoich poprzednich czynów, prawda? Zastanawiam się ciągle, co jest motorem jego działania, ale nie mogę dojść do żadnych konkretnych wniosków. Pewien jestem tylko tego, że jest w nim jakieś wewnętrzne pęknięcie. Nie wtrącałbym się do jego działań, ale po prostu nie mogę zrozumieć, jakie przyczyny spowodowały ten wewnętrzny rozłam. W każdym razie wydaje mi się, że ma to związek ze śmiercią naszej siostry, która, jak wiesz, była niedorozwinięta i popełniła samobójstwo, w okresie kiedy mieszkała z Takashim.

Byłem zupełnie wyczerpany, jak gdybym cały dzień brał udział w tym „buncie”; czując, że ogarnia mnie bezgraniczny smutek, zamilkłem. Chociaż młody kapłan w milczeniu przyjął moje słowa, było zupełnie oczywiste, że jego spokojna, absolutnie uczciwa twarz ukrywa się pod ochronną warstwą przekory, upozowanej na dobroduszość. W każdym razie jest to mężczyzna wystarczająco twardy, by przetrzymać wszystkie plotki w dolinie po ucieczce żony. Milczał ze współczucia dla mojej sytuacji, a nie dlatego, że podzielał moje poglądy. Zrozumiałem, że podczas gdy ja interesowałem się losem indywidualnym mojego brata, kapłan myślał jedynie o losie zbiorowym młodzieży całej doliny. Szliśmy w milczeniu ramię w ramię, jak ludzie głęboko się rozumiejący, mijając mężczyzn i kobiety, starszków i dzieci, tłoczących się na brukowanej drodze i uśmiechających się do nas przyjaźnie. Gdy doszliśmy do placu przed urzędem wioski, kapłan zamiast pożegnania powiedział:

- Młodzież tej doliny dotąd zwykle zabierała się do projektów krótkowzrocznych i bzdurnych, zawsze dawała się wplątać w kłopoty, a potem poddawała się. Tym razem przynajmniej próbuje przezwyciężyć trudności własnymi siłami, czy może raczej dobrowolnie stwarza sytuację, której nie może sama opanować, a mimo to wszystko przyjmuje na siebie, dlatego to jest ciekawe, to naprawdę ciekawa sprawa! Gdyby młodszy brat twojego pradziadka, Mitchan, żył jeszcze dzisiaj, to myślę, że działałby tak jak Taka-chan!

Kiedy ze spuszczoną głową, przyspieszonym oddechem i niepokojem o serce wchodziłem pod górę brukowaną drogą, teraz jeszcze bardziej niebezpieczną, bo rozmiękły śnieg znów zamarzał, czerwono-czarny zmrok wokół mnie zaczął szybko gęstnieć. Właśnie wracał w dolinę cień, który zniknął, odkąd zaczął padać śnieg. Wiatr rozproszył i tak już cienką warstwę chmur, pokazało się niebo z zorzą zachodu. Drżąc z zimna wszedłem w pokryte jeszcze grubą warstwą śniegu zarośla, wyglądające jak gdyby zostały przyciśnięte do ziemi przez powracające cienie. Skóra, spocona od ciepła bijącego od piecyka w biurze supersamu, teraz kapitulowała przed chłodem. Mogłem zgadnąć, jaką ekspresję rzeźbił wypełniający przestrzeń czerwono-czarny cień na mojej twarzy zjeżonej zarostem. Roztarłem policzki obu rękami, ale nie mogłem usunąć odrętwienia. Idąc powoli, mechanicznie niby wciąż się spóźniający pociąg na północy, czułem ogarniające mnie znużenie tak ogromne, że zdawało mi się, iż nigdy nie dojdę do spichrza. Gdy uniosłem głowę, spichrz ukazał się przede mną jak gruda czerwonej smoły na tle ciemnego ośnieżonego zbocza.

Przed wejściem do domu stała gromadka ciemnoskórych kobiet. Zrzuciły z siebie pstrokate stroje, które wypłynęły z supersamu i zalały dolinę, i jakby się umówiły, by powrócić do poprzedniego zwyczaju tej niecki, wszystkie bez wyjątku włożyły na siebie spokojne granatowe stroje codzienne, które z wyjątkiem twarzy nie pozostawiały odkrytego kawałka skóry. Gdy wszedłem na podwórze przed domem, wszystkie naraz się odwróciły, niby stado kaczek, i skierowały w moją stronę brązowawe ciemne twarze bez wyrazu; po chwili znów przeniosły spojrzenia na moją żonę stojącą w sieni i zaczęły jedna przez drugą lamentować. Były to gospodynie z „prowincji”; błagały, by Takashi wyrzucił negatyw filmu, jaki zrobił w pierwszy dzień plądrowania supersamu. Gdy po powrocie do domu opowiedziały mężom i teściom o tym, że Takashi robił zdjęcia, od razu zdecydowano, że trzeba je zniszczyć. Jest to chyba pierwsza grupa żałujących udziału w „buncie”. Zachodzące słońce, które dotąd jaśniało czerwienią, nagle zbladło.

- Taka o wszystkim decyduje. Ja nie mogę skłonić go do zmiany planów. Nie mam tyle siły, by wywrzeć wpływ na poglądy Taki. On sam decyduje o tym, co robi. - Żona powtarzała cierpliwie głosem monotonnym, jakby znudzonym.

Muzyka tańca nembutsu, tryskająca od dna doliny i rozplywająca się niby woda podskórna, nagle zamarła, a ostre poczucie pustki wraz z mgłą koloru cegły pogrzebało całą dolinę okoloną lasem.

- Ach, ach, co my mamy zrobić? - Pełen otwartej rozpaczony głos młodej chłopki, zmartwionej do głębi serca, zamyka na chwilę usta żonie, która jednak nie próbuje szukać innych słów pocieszenia, tylko mówi:

- Ja postępuję tak, jak zdecyduje Taka, o wszystkim decyduje Taka. Taka sam decyduje o tym, co robi.

11. Potęga much.

Muchy powstrzymują ruch naszej duszy, zjadają nasze ciała i tak zwyciężają w walce.
Pascal

Następnego dnia przed południem „bunt” trwał nadal, ale nie było słyhać muzyki tańca nembutsu; cała dolina otuliła się martwą ciszą. Momoko, która przyniosła mi śniadanie, przezwyciężyła już objawy długotrwałej hysterii po przeżyciu usiłowania gwałtu i, ku mojemu zdumieniu, osiągnęła pewien rodzaj dojrzałości. Twarz pobladła i stonowaną kobiecym spokojem pochyliła w dół i nie patrzyła mi prosto w oczy, gdy mówiła z wahaniem cichym, jakby nieco ochryplym głosem. Dziś rano straż przyboczna Taki odkryła, że kierownik supersamu zmylił czujność straży przy moście i uciekł z doliny. Z zamiarem porozumienia się z „cesarzem” i jego gangiem przeszedł przez wzbierającą, niebezpieczną z powodu topnienia śniegu rzekę, i nie zwracając uwagi na zmoczone ubranie, pobiegł w dół szosą prowadzącą nad morze. Tego samego ranka ojciec chłopca uratowanego od niechybnej śmierci na zniszczonym moście przyniósł Takashiemu w tajemnicy strzelbę myśliwską i kilka rodzajów naboji.

- Takashi pożyczył tę broń po to, by się bronić na wypadek, gdyby go zaatakował gang „cesarza” supersamów. Jednak z bronią staje się to wszystko jeszcze groźniejsze - mówiła Momoko głosem ponurym, zabarwionym mrocznym lękiem kogoś, kto nie czerpie już zadowolenia z przemocy.

Milczałem, nie chcąc Momoko jeszcze bardziej przestraszyć, ale inaczej interpretowałem rolę pożyczonej Takashiemu strzelby. Według mnie nie jest to broń, której Takashi użyje w walce prowadzonej wspólnie ze strażą przyboczną i mieszkańcami doliny przeciw „cesarzowi” supersamów i jego gangowi. Jest to raczej broń przeznaczona na ten moment, kiedy znajdzie się całkowicie opuszczony przez kolegów i będzie musiał bronić się sam we wrogiej dolinie. To prawda, że Takashi zdobył sobie przynajmniej jednego oddanego sojusznika, który pożyczył mu ową cenną strzelbę. Takashi, kiedy otrzymał wiadomość, że ani jeden chłop z „prowincji” nie zszedł na dół, by znów brać udział w grabieży supersamu, założył łańcuchy na koła Citroena i sam wyruszył za wielki gaj bambusowy prowadzić kampanię propagandową.

Momoko przekazała mi wiele tego rodzaju informacji, potem nagle, jak posłuszna młodsza siostra, zupełnie zmieniona i nie przypominająca dawnej Momoko, zapytała, czy uważam, że są jeszcze na świecie jacyś przyzwoici ludzie. Gdy wahalem się, zaskoczony jej nieoczekiwanym pytaniem, Momoko mówiła dalej:

- Pędziliśmy samochodem na Shikoku, nastala noc, a potem przyszedł ranek, wóz pędził gdzieś nad jakimś morzem, wtedy Taka zapytał nas, czy w ogóle jeszcze zostało coś dobrego w człowieku. I sam odpowiedział: tak jest, zostało. Bo są jeszcze tacy, którzy wyjeżdżają na równiny odległej Afryki, chwytają słonie, przewożą przez morza i potem

hodują je w zoo. Taka w dzieciństwie myślał o tym, aby w przyszłości hodować słonie, jeśli będzie dość bogaty. Chciał dobudować klatkę do spichrza i trzymać w niej słonia; wyciąłby wtedy wszystkie wysokie drzewa w dole za murem, więc dzieci bawiące się gdziekolwiek w tej dolinie mogłyby oglądać słonia zawsze, kiedy patrzyłyby w tę stronę.

Momoko nie oczekiwała chyba odpowiedzi na swoje pytanie od człowieka „cieszącego się uznaniem społecznym”, chciała po prostu opowiedzieć o tym, co mówił Taka. Od chwili niespodzianego, bezpośredniego zetknięcia się z gwałtem Momoko skurczyła się, zamknęła w sobie i z rozrzewnieniem wspominała czułość serca, jaką dawniej widziała w Takashim, kierującym dziś „buntem”. Przypuszczalnie Momoko jest pierwszym członkiem straży przybocznej, który opadł od „buntu”.

Gdy zostałem sam, pomyślałem znów o słoniu. W Hirosimie, podczas ataku atomowego, najwcześniej uciekło z miasta stado krów, ale co poczną słonie w zoo, kiedy jeszcze większa wojna nuklearna będzie niszczyć miasta cywilizowanych krajów, czy będą mogły uciec? Poza tym czy ludzie budują takie schrony przeciwoatomowe, które mogłyby pomieścić tak ogromne zwierzęta? Przypuszczalnie w takiej wojnie nuklearnej wszystkie słonie w zoo ulegną zagładzie. Jeśli pozostanie jakaś szansa na odbudowę miast, czy będzie można oglądać zgromadzonych na skałach ludzi o ciałach zdeformowanych promieniowaniem jądrowym, odprowadzających swoich reprezentantów udających się na afrykańskie sawanny chwytając słonie? Dopiero wtedy miałyby sens zastanawianie się, czy zostało jeszcze coś dobrego w człowieku. Od nadejścia pory śniegu nie czytałem gazet. Gdyby w tym czasie wybuchła wojna jądrowa na świecie, nie wiedziałbym o tym - pomyślałem, ale strach i bezsilność, którą przyniosła mi ta myśl, nie nabrały większej intensywności od moich dotychczasowych samotnych rozważań.

Koperta, którą znalazł i dał mi kapłan, zawierała aż pięć listów młodszego brata pradziadka i broszurkę pt. Początek i koniec powstania chłopskiego we wsi Ókubo, podpisaną przez dziadka. Nie chodzi tu o powstanie z 1860 roku. Jest w niej mowa o jeszcze jednym buncie chłopskim w tym okręgu, sprowokowanym przez edykt 1871 roku obalający klany i ustanawiający prefektury.

We wszystkich listach brak adresów i podpisów. Brat pradziadka zapewne pragnął zachować w tajemnicy miejsce swego nowego życia i przybrane przez siebie nazwisko.

List najstarszy, z datą 1863 roku, sugerował - jak przypuszczał kapłan - że po ucieczce przez las do Kóchi byłemu przywódcy buntu pomógł w zorganizowaniu wyjazdu do Nowego Świata agent, który przybył z lasu. Autor listu już w drugim roku po ucieczce nie tylko spotkał się ze swym nieuchwytnym bohaterem, Johnem Manjiró, ale otrzymał zgodę na uczestnictwo w jego kolejnym przedsięwzięciu. Jeśli mężczyzna z lasu mógł mieć taki wpływ na Johna Manjiró, by polecić mu swego protegowanego, to nie możemy chyba mieć wątpliwości, że był on tajnym agentem związanym z klanem Tosa. List donosił o tym, że młody mężczyzna w 1862 roku wsiadł na statek wielorybiczny Johna Manjiró jako zwykły marynarz i wyruszył w drogę z Shinagawy. Statek na początku następnego roku przybył na Chichijima w Archipelagu Ogasawara i stąd skierował się prosto na łowiska, złowił dwa małe wieloryby i z braku świeżej wody wrócił na wyspy Ogasawara. Tutaj młodszy brat pradziadka zrezygnował z pracy na statku wielorybicznym, głównie z powodu choroby morskiej, a także męczących go konfliktów z marynarzami obcokrajowcami. Ale przynajmniej ten chłopak, który wychował się w dolinie w środku głębokiego lasu, mógł zobaczyć dwa żywe wieloryby, nieważne, że były małe.

Drugi list nosił datę 1867. Poczucie wielkiej swobody w stylu tego listu wskazuje, że w ciągu kilku lat życia w mieście chłopiec poznał smak młodzieńczego humoru, jakiego nie wyzwolił w sobie w okresie pracy na statku wielorybniczym. W liście tym przytoczył dowcipny artykuł z gazety w Jokohamie, pierwszej, jaką w swym życiu przeczytał, i przysłał go specjalnie dla starszego brata mieszkającego w dolinie w głębi gór Shikoku.

Mam tu coś, co może cię zabawić. Będzie to historia z gazety, zakazującej zresztą samowolnego cytowania, ale myślę, że zakaz nie dotyczy listu. Oto pewien człowiek z Pensylwanii (nazwa geograficzna) w Stanach Zjednoczonych prawdopodobnie zwariował i w końcu odebrał sobie życie z powodów, które poznajemy z jego pożegnalnego listu: „Ożeniłem się z wdową, która miała córkę. Mój ojciec zakochał się w córce, którą ja sprowadziłem do domu, i co gorsza ożenił się z nią. I tak mój ojciec został moim zięciem, a córka, którą miałem pod swoją opieką, stała się moją macochą, bo została żoną mojego ojca. Z drugiej strony wdowa, którą ja poślubiłem, urodziła mi syna, który stał się bratem mojego ojca. Z tego też powodu został moim stryjem. Dzięki temu był bratem mojej macochy. A znowu żona mojego ojca, a mianowicie córka mojej żony, czyli moja pasierbica, urodziła dziecko. To dziecko stało się moim bratem, a jednocześnie wnukiem, bo było dzieckiem córki mojej żony. A więc wdowa, którą poślubiłem, została moją prababką. A to dlatego, że była matką mojej macochy. Tak więc jestem mężem swojej żony. Jestem też wnukiem swojej żony. Dla siebie jestem i dziadkiem, i wnukiem jednocześnie.”

W tej samej gazecie jest też ogłoszenie: „Chcemy uczyć młodych japońskich dżentelmenów pragnących poznać język angielski.” A dalej: „Wszelkiej pomocy i rady udzielamy osobom zamierzającym wyjechać do Ameryki na studia, w celach handlowych, podróżniczych i turystycznych.”

Między tym listem a następnym jest dwadzieścia lat przerwy. W Jokohamie młodszy brat pradziadka, dzięki radosnemu uniesieniu płynącemu z wyzwolenia się ze wszystkiego, co wiązało go z życiem w odległej dolinie, pasjonował się takimi dowcipnymi artykułami, a w duchu żywił pragnienie wyjazdu do Ameryki. Może nawet przez te dwadzieścia lat odwiedził Amerykę. W każdym razie zdrada pozwoliła mu wyjść z buntu cało i choć w dolinie pozostawił wielu okrutnie straconych, sobie zapewnił nowe wolne życie.

List z wiosny 1889 roku, pisany po tak długiej przerwie, świadczy o dojrzałej mądrości mężczyzny w sile wieku. Był umiarkowanie krytyczną odpowiedzią na list pradziadka, który wyrażał swą radość na wiadomość o ogłoszeniu konstytucji. Jak można - pyta młodszy brat raczej melancholijnie - upajać się samą nazwą „konstytucja”, nie znając nawet jej treści? Następnie cytuje fragment z pism samuraja z prefektury Kóchi, człowieka, który mógł być przyjacielem wspomnianego wcześniej agenta z za lasu: „Są dwa rodzaje tzw. praw obywatelskich. Angielskie i francuskie można by nazwać prawami uzyskanymi przez wysiłek ludzi z dołu. Są też takie prawa obywatelskie, które można nazwać «podarowanymi» z łaski władzy zwierzchniej. Są to prawa łaskawie zesłane z góry na dół. A ponieważ «uzyskane» prawa obywatelskie są zdobyte przez doły, ich zakres może być ustalony zgodnie z naszą wolą. Prawa «podarowane», w związku z tym, że są nadane odgórnie, nie zależą od nas samych. Tak więc czy mogą mieć rację ci, którzy zyskawszy prawa «podarowane», liczą na to, że mogą je bezpośrednio zmienić w «uzyskane»?”

Brat pradziadka przewidywał, że konstytucja, która miała być ogłoszona, nie będzie niczym więcej jak przekazem praw „podarowanych” o ubogiej treści; ubolewał nad tym i bardzo pragnął, aby podjęła działalność zorganizowana grupa mająca na celu zdobycie

bardziej postępowych praw obywatelskich. List świadczy o tym, iż młodszy brat pradziadka był mężczyzną patrzącym na system polityczny po Restauracji Meiji jak człowiek zaangażowany w obronę praw obywatelskich ludu. W związku z tym legenda głosząca, że młodszy brat pradziadka został wysokim urzędnikiem w rządzie Restauracji, była całkowitym odwróceniem prawdy.

Ostatnie dwa listy pisane były zaledwie pięć lat później, ale sprawiają wrażenie, iż jego „zaangażowanie” gwałtownie zanikło. Młodszy brat był ciągle inteligentem zorientowanym w zdarzeniach epoki - pod tym względem nic się tu nie zmieniło w stosunku do listu z 1889 roku, ale stracił już ochotę wypowiadania się na temat narodu i państwa. Z listu wylaniał się przede wszystkim cień starego samotnego człowieka, który poważnie niepokoi się o sprawy bliskich krewnych w dalekich stronach. Wspomniane w liście imię Ikichiró jest tym samym, którego użył dziadek pisząc broszurę Początek i koniec buntu... Młodszy brat pradziadka darzył głęboką miłością jedyne bratanka, ale należy wątpić, czy mieli kiedykolwiek okazję się spotkać. Młodszy brat pradziadka w swoich listach stara się gorliwie pomóc w uzyskaniu zwolnienia go z wojska, a następnie martwi się szczerze o bezpieczeństwo kuzyna, który musi brać udział w wojnie. Pokazuje to jasno, że brutalny przywódca powstania 1860 roku ukrywał także łagodną troskliwość.

Dziękuję za Twój list. Rozumiem z Twojego listu, że myślicie o tym, by wystąpić - niezależnie od tego, czy zostanie wzięty, czy nie - o przesunięciu terminu powołania Ikichiró do wojska, ale przecież ustaliliśmy, że w wypadku gdyby nie został wzięty, nie byłoby potrzeby składania prośby o przesunięcie. Możliwe, że nasze listy się rozminęły, miałem jednak słówko od Twojej żony, że nie zostanie powołany, więc zamiast szkicować podanie, zdecydowałem nie czynić na razie nic. Ponieważ sytuacja tak się przedstawia, że nie zachodzi potrzeba, by ktokolwiek składał podanie o odroczenie, więc spodziewam się otrzymać od Was odpowiedź, że zrozumieliście mnie i zgadzacie się ze mną.

Pozdrawiam.

Przepraszam, że długo nie pisałem. Z Twojego listu wnoszę, że nic się specjalnie u Was nie zmieniło, ale nie znając szczegółów, chciałbym dokładniej się dowiedzieć, jak żyjecie obecnie.

Czy w dalszym ciągu nie ma wiadomości od Ikichiró od czasu jego wyjazdu do Chin? Atak na Weihaiwei wciąż chyba trwa, więc wyobrażam sobie, że w tej chwili stoi on w obliczu śmierci, dlatego bardzo się martwię i chciałbym jak najszybciej dowiedzieć się, co się z nim dzieje, więc bardzo gorąco proszę o przysłanie mi słów kilku, gdy tylko przyjdzie list od niego.

To już wszystkie listy. Przypuszczalnie młodszy brat pradziadka umarł nie otrzymawszy wiadomości od bratanka przebywającego na wojnie w dalekim Weihaiwei. Nie pozostało nic, co by świadczyło o tym, że żył jeszcze później.

Zbliżało się południe i znów rozległa się muzyka tańca nembutsu. Wczoraj rozlegała się z kilku miejsc, dzisiaj cały czas dochodzi tylko z placu przed supersamem, nie wywołując odpowiedzi świadczącej o poparciu mieszkańców doliny. Tylko Takashi i członkowie jego drużyny futbolowej bębnią do rytmu. Ciekawe, na jak długo wystarczy im energii do wykonywania tej monotonnej melodii bez poparcia ze strony mieszkańców wioski. Mam też wrażenie, że tym razem, kiedy granie się skończy, będzie to oznaczało początek reakcji przeciw „buntowi”.

Hoshio, który przyniósł mi obiad, wyglądał tak nędznie, jakby miał gorączkę, przy tym jego oczy wpatrywały się, niemal kleiły się do mnie, jakby czegoś ode mnie

oczekiwały. Przytłaczający wstyd z powodu odpadnięcia od „buntu” Takashiego napęczniał w głowie chłopca do tego stopnia, że -zdawało się - wytryśnie przez oczy. Ale czego on musi się tak wstydzić przed Takashim - zastanawiałem się. To, że Takashi porzucił w biurze supersamu Hoshio przewróconego za „wykroczenie” przeciw przepisom, oznaczało wówczas rezygnację Takashiego z jakiegokolwiek prawa do karania Hoshio za jego upadek. Hoshio w końcu brał udział w „buncie” z własnej nieprzymuszonej woli i mimo że nie miał najmniejszego związku z tą doliną, pełnił pożyteczną rolę pomocnika technicznego. Właściwie z „buntem” wiązała go tylko uprzejmość Takashiego. Myśląc tak zapytałem z naiwnym współczuciem:

- Hoshi, czy nie wygląda na to, że „bunt” Taki już się uspokoił?

Ale Hoshio milczał, tylko jego spojrzenie mówiło, że nie zgadza się ze mną. Dawał do zrozumienia, że nawet po odpadnięciu od buntowników nie pragnie z tak postronnym jak ja obserwatorem krytykować Takashiego i jego drużyny futbolowej.

- Elektrycznych urządzeń nie ma tyle, by starczyło dla wszystkich, więc kiedy trzeba podjąć decyzję, komu co przydzielić, nikt nie ma tyle odwagi, aby wziąć ten obowiązek na siebie - Hoshio przeprowadził tylko obiektywną analizę sytuacji.

- W każdym razie Taka to rozpoczął i on sam musi to przewyciężyć - ja też starałem się mówić w duchu obiektywnym, co raczej podrażniło chłopca. Uczucie wstydu, które przebłyskiwało od pewnego czasu niewyraźnie, nagle osiągnęło poziom wybuchu i wypłynęło na twarz rumieńcem, jak w napadzie gniewu. Gdy w końcu Hoshio po raz pierwszy podniósł wzrok w moją stronę i wpatrywał się prosto we mnie, jego oczy były silnym blaskiem, jakby to, co dotąd ukrywały, miało zostać gwałtownie ujawnione. Ale Hoshio jak dziecko przełknął ślinę i powiedział tylko tyle:

- Mitsu, od dzisiejszego wieczoru ja też chciałbym zamieszkać w spichrzu. Będę spać na dole, nie boję się zimna.

- Dlaczego? Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytałem z niejasnym lękiem.

Na wiejskiej twarzy Hoshio pojawił się wręcz nieprzyzwoity rumieniec; chłopiec wydał spękane wargi, wypuścił energicznie powietrze, następnie blednąc nagle powiedział:

- Nie chcę tam spać, ponieważ Taka robi to z Natchan.

Przypatrywałem się, jak opalona odbitym od śniegu słońcem twarz wysycha i pokrywa się jakby białym pudrem. Dotąd dziwne zawstydzenie Hoshio tłumaczyłem sobie jego zerwaniem z „buntem” Takashiego, ale w rzeczywistości on wstydził się mojego wstydu, wstydu obserwatora. Patrząc na rzeczywisty kształt wstydu mężczyzny, którego żona śpi z innym, chłopiec czuje się tak bardzo zawstydzony, jakby to chodziło o niego. Kiedy dotarło to do mojej świadomości, piłka wstydu odbiła się w moją stronę. I pokryła moje oczy gorącą wilgocią.

- Wobec tego, Hoshi, przynieś tu za dnia swój koc i inne rzeczy. Na dole jest zimno, śpij więc na piętrze ze mną.

Brutalny żar i promieniowanie skargi z oczu Hoshio osłabły, została tylko podejrzliwa czujność. Patrzył na mnie badawczym wzrokiem wahając się między dziecinną wątpliwością, że może nie zrozumiałem jego słów, i tchórzliwą obawą, że nagle wpadnę w gniew i skoczę na niego z pięściami. Następnie, nadal śledząc ruchy mojego ciała, wybelkotał głupio, głosem stępionym z odrazy i poczucia bezsilności:

- Mówiłem Tace: „przestań robić takie rzeczy, nie wolno tego robić”, a on mimo to robił... - Gdy to mówił, na skórze policzków pobladłej i pobrużdżonej pojawiła się łza, niby rozpryskujące się kropelki śliny.

- Hoshi, powiedz konkretnie, co widziałeś, jeśli nie jest to tylko twoje wyobrażenie czy pragnienie, żeby tak się stało! -rozkazałem. Wiedziałem, że jeśli nie opowie szczegółowo, nie będzie to miało dla mnie realnego znaczenia i nie będę mógł zareagować jak należy. Krew uderzyła mi do głowy i pulsowała dotkliwie, ale świadomość unosiła się na jej powierzchni nie mogąc znaleźć właściwego sposobu reakcji, nie mogąc zdecydować się nawet na zazdrość.

Hoshi odchrząknął słabiutko chcąc nadać głosowi większej wagi, następnie zaczął mówić, mocno akcentując zakończenie każdej frazy, aby wywrzeć na mnie wrażenie; mówił płaczliwym głosem, choć nie płakał.

- Mówiłem ciągle, żeby przestał, bo jeśli nie przestanie, to go uderzę, a kiedy odsunąłem przepierzenie i wskoczyłem z bronią w rękę do pokoju, w którym spali, Taka miał na sobie tylko treningową koszulę, ujrzałem jego goły tyłek, wtedy spojrzał na mnie i powiedział: „Sądziłem, że jesteś jedynym członkiem zespołu, który nie umie posługiwać się bronią.” Stałem w miejscu nie mogąc już zaatakować, tylko krzyczałem bez przerwy: „Przestań, nie rób tego, nie wolno tego robić.” Ale Taka zrobił to nie zwracając w ogóle na mnie uwagi!

Słowa Hoshio, zamiast wywołać we mnie konkretny obraz stosunków seksualnych między Takashim a Natsumi, nadały jedynie w płytkiej warstwie surowej pamięci nowy sens słowu „cudzołożnik”, które Takashi wypowiedział w tym spichrzu, a wątle echo tego słowa zdawało się bez przerwy pobrzmiwać za czarnymi mocnymi belkami z drzewa keyaki. Z tych dwojga cudzołożników - myślałem - moja żona wcześniej już wyrwała z siebie z korzeniami wszystkie pąki miłości zmysłowej, więc nawet jeśli poruszyło ją chwilowe pożądanie, nie mogłaby go wypielęgnować i przesadzić na seksualną glebę, w której rozwijałoby się naturalnie. Kiedyś staliśmy przy sobie ramię w ramię chcąc przenieść donicę z liściastą rośliną z kąta małej cieplarni, naszło nas jednocześnie pożądanie, niby chwilowa gorączka krwi, a przecież od poczęcia dziecka, a zwłaszcza od jego narodzin, prawie nie mieliśmy ze sobą stosunków seksualnych. Żona brutalnie chwyciła mój penis, który zeszytywniał pokonując opór materiału spodni, ściągnęła brwi na znak cierpienia i odrazy, i dziwnie szurając stopami schowała się w sypialni. Później leżąc blada na łóżku, po zażyciu aspiryny, zaczęła mnie przepraszać.

- W tej samej chwili, w której dotknęłam cię ręką, wydało mi się, że znowu jestem w ciąży i noszę w sobie wielki płód. Zaczęłam odczuwać, że moja rozdęta, napięta macica kurczy się z powodu podniecenia seksualnego, że zapiera mi dech w piersi ze strachu o to, że poronię coś wielkiego. Oczywiście, ty tego nie rozumiesz.

Słuchając tego, co mówiła, czułem w podbrzuszu błakające się wspomnienie bólu, jaki chwilę wcześniej, jakby pod uciskiem prasy, zrodził się w ukrytych korzeniach stojącego penisa, bólu przechodzącego spod jąder do kości ogonowej.

- Czy Taka ją zgwałcił? Czy żona krzyczała z bólu i ty poszedłeś ją ratować? - chcąc mieć pewność, zapytałem w przypiływie strachu i nowego gniewu przyprawiającego o zawrót głowy.

Hoshio nieoczekiwanie rozluźnił twarz skrzywioną dotąd płaczem bez łez, przeżuwał jakiś czas moje słowa, następnie ze zdziwieniem szybko zaprzeczył.

- Nie, nie! Taka jej nie gwałcił! Kiedy najpierw zajrzałem za przepierzenie, myślałem, że była zbyt zmęczona, aby się opierać, gdy Taka dotyka jej piersi i miejsca między udami, ale kiedy już odsunąłem przepierzenie, Natchan czekała, żeby zaczął to robić. Widziałem jej gołe nogi po obu stronach tyłka Taki, stojące prostopadle, posłusznie! Kiedy powiedziałem, że tym razem zawiadomię Mitsu, jeśli będą to robić, Natchan

odpowiedziała, że mogę mówić, i w ogóle się nie poruszyła. W końcu, nawet gdy Taka zaczął, jej stopy nadal pozostały nieruchome i nie widać było, żeby cierpiała z bólu!

Stopniowo cudzołożnicy stawali się coraz bardziej realni. Ta ich realność budziła we mnie perwersyjne pożądanie.

- Gdy zacząłem zasuwać przepierzenie, ponieważ nie miałem ochoty patrzeć na to, co robili, Taka odwrócił głowę, spojrzął na mnie i powiedział, żebym zaraz jutro doniósł Mitsu o wszystkim, co widziałem. Mówił to zbyt głośno, bałem się naprawdę, że zbudzi się Momoko śpiąca po zażyciu środków nasennych, bo odkąd dostała hysterii, cierpi na bezsenność.

Hoshio przebudził się w nocy i spostrzegł, że Taka, który spał obok niego, wyszedł spod koca, a jego głos dochodził od strony Natsuko śpiącej za parawanem razem z Momoko.

„Wydawało mi się, jakby mnie rozrywano na części. To samo przeżyłem kiedyś podczas podróży po Ameryce.” Ale co mówił Takashi dalej, zaspane uszy Hoshio nie mogły dokładnie zrozumieć. Najpierw słyszał tylko oderwane słowa, które miały wyraźne znaczenie, ale nie rozumiał toku opowiadania. Następnie słuch stopniowo się wyostrzył i zaczął chwycić wszystkie słowa bez opuszczeń. Jakieś dziwne napięcie, które przyszło zamiast snu, zmuszało go do słuchania.

„...przyjazd... pod nadzorem... nie z powodu pożądanego, raczej przeciwnie... dzielnica murzyńska... kierowca taksówki ostrzegł i chciał mnie odwieść od zamiaru... ale ja czułem się, jakby mnie rozrywano. Muszę nadać sens każdej z obu sił rozrywających mnie na dwoje i przyjrzeć się im. Doszedłem do wniosku, że jestem rozdierany między pragnieniem usprawiedliwienia siebie jako człowieka przemocy i ukarania siebie za to. Czy jest w tym coś dziwnego, że chcę żyć nadal, skoro już wiem, jaki jestem? Ale jednocześnie im większe miałem pragnienie, tym większą czułem potrzebę zniszczenia tej strasznej strony swego charakteru, więc rozdarcie moje było tym bardziej dramatyczne. Wmieszałem się w przemoc w okresie walki przeciw Traktatowi Bezpieczeństwa jako działacz studencki, a kiedy okazało się, że związałem się z przemocą po stronie słabych, którzy z konieczności wystąpili przeciw niesprawiedliwemu gwałtowi, wybrałem ich przeciwników i stanąłem po stronie gwałtu niesprawiedliwego pod każdym względem. Uczyniłem to dlatego, że chciałem żyć akceptując siebie takiego, jakim jestem, i dlatego, że pragnąłem usprawiedliwić siebie jako człowieka gwałtu...”

„Dlaczego mówisz «takiego, jakim jestem»? Dlaczego mówisz «siebie jako człowieka gwałtu»?” - zapytała ze smutkiem w głosie milcząca cały czas żona.

- Czy żona nie była pijana? - spróbowałem zapytać, przerywając opowiadanie Hoshio, ale chłopiec od razu rozdeptał moje wątpliwości i wątle nadzieje, które podtrzymywały natarczywość mojego żalnego głosu.

- Natchan już w ogóle nie pije - odpowiedział. „To wiąże się z przeżyciem, o którym nie mogę powiedzieć nikomu, jeśli chcę dalej żyć - powiedział Takashi przerywając milczenie, które zaparło dech w piersi podsłuchującego. - Nie pytaj o to, wystarczy, byś uwierzyła w to, że jestem po prostu rozdarty.”

„No tak, gdybym wiedziała, jak bardzo jesteś rozdarty, nie potrzebowałabym pytać, jak doszło do tego rozdarcia.”

„Tak, w każdym razie żyłem dotąd rozdarty, co do tego nie ma wątpliwości. Gdy przez pewien czas żyję życiem spokojnym, specjalnie burzę je chcąc potwierdzić fakt rozdarcia. To tak jak z podniecią narkomana, która musi być coraz silniejsza. Moja również musiała być coraz gwałtowniejsza z każdym rokiem.”

„W noc twego przyjazdu do Ameryki poszedłeś do dzielnicy murzyńskiej, ponieważ potrzebowałeś silnego wstrząsu, tak? Jakiego wstrząsu oczekiwales?”

„Nie przewidywałem jasno tego, co się wydarzy. Miałem tylko wyraźne przeczucie, że jeśli tam pójde, to na pewno przeżyję wstrząs. W rezultacie spałem z Murzynką, starą i otyłą jak Jin, i tym zakończyłem tę specjalną noc. Ale nie myśl, że to seks przede wszystkim skierował mnie do dzielnicy murzyńskiej. Nawet jeśli to był rodzaj pożądania, to na pewno nie seks, lecz coś znacznie głębszego. Kierowca taksówki nie tylko próbował mnie powstrzymać mówiąc, że niebezpiecznie jest wysiadać nocą w takim miejscu, powiedział nawet, że jeśli chcę spać z czarną prostytutką, to może mnie zawieźć w bezpieczne miejsce, a ja mimo to odmówiłem. Po ostrej wymianie zdań wysiadłem przed jakąś knajpą. Bar w niej był jakoś wyjątkowo długi, ciągnął się bez końca i ginął w mroku, wszyscy siedzący przy nim w uroczystym milczeniu pijani mężczyźni byli czarni. Gdy usiadłem na stołku za wysokim dla Japończyka, spostrzegłem lustro za barem i zrozumiałem, że około pięćdziesięciu Murzynów odbijających się w tym lustrze wpatruje się we mnie wrogo. Poczulem wtedy ostre pragnienie wypicia dużej szklanki wódki i zdałem sobie sprawę po raz pierwszy, że głowę moją przepelnia pragnienie ukarania siebie samego. Ilekroć wypiję mocny trunk i upiję się, mam ochotę walczyć ze wszystkimi. Gdyby jakiś przybysz z Dalekiego Wschodu wtargnął do knajpy w dzielnicy murzyńskiej specjalnie po to, żeby wywołać bijatykę, zginąłby na pewno pobity na śmierć. Więc kiedy barman-olbrzym podszedł do mnie, zamówiłem tylko piwo imbirowe. Wraz z pragnieniem ukarania siebie czulem strach przyprawiający mnie o zawrót głowy. Jednak ciągle boję się śmierci, a najbardziej boję się takiej śmierci, która następuje w wyniku gwałtu. To cecha mego charakteru, której nie mogę przewyciężyć od dnia, w którym brat S. został pobity i zamordowany...”

- Kiedy usłyszałem, że Taka również czasem się boi, najpierw zacząłem w niego wątpić. - Hoshio powiedział to z wyrzutem i głębokim żalem, nie pasującym do jego wieku. - Więc najpierw zajrzałem przez szparę w przepierzeniu. Mogłem zobaczyć ich w świetle lampki palącej się całą noc, ponieważ Momoko bała się spać w ciemności. Taka mówiąc to wszystko trzymał ręce na piersi i między udami Natchan. Wydaje mi się, że Natchan była wtedy jeszcze zmęczona i nie miała nawet siły odrzucić ręki Taki, i chyba dlatego pozwalała mu ją tam trzymać.

„Siorbałem powoli swoje piwo - mówił Takashi - potem wyszedłem na dwór i zacząłem iść ciemną ulicą. Lampy uliczne paliły się z rzadka. W środku nocy mnóstwo czarnych zażywało przyjemności chłodu na schodach przeciwpożarowych i mrocznych gankach wielkich staroświeckich domów; przechodząc słyszałem, co o mnie mówili. Od czasu do czasu mogłem wyraźnie rozróżnić słowa: I hate Chinese, Charley¹⁴! Mimo woli przyspieszając kroku wyobraziłem sobie biegnących za mną Murzynów oblanych potem, zadających potężne ciosy w głowę, ja padam na brudny chodnik po to, żeby umrzeć, więc pocąc się ze strachu wchodzę w jeszcze ciemniejszą i niebezpieczniejszą boczną uliczkę. Strasznie cuchnąca Murzynka, z którą potem spałem, powiedziała, że tak śmierdzącego Japończyka jeszcze nie spotkała. Wchodziłem nawet na podwórza domów mieszkalnych. Tutaj wyobraziłem sobie, że mnie rozstrzelują, na czole poczułem ogień. Podczas tego forsownego marszu w mojej jakby niedokrwionej głowie, w przeciwieństwie do zewnętrznego żaru, tkwiła żartobliwa pouczająca historyjka z życia, którą na statku płynącym przez Pacyfik opowiedziała posłanka kierująca naszym zespołem, niepokojąca się o to, jak będziemy się zachowywać w Ameryce. Myślę, że

¹⁴ I hate Chinese, Charley (ang.) - nienawidzę Chińczyków, Charley

pisano o tym w japońskich gazetach; oto pracownik banku w Tokio, delegowany do Ameryki, po miesiącu pobytu w USA zginął wypadając przez okno z jedenastego piętra hotelu w Nowym Jorku. Śpiąca w sąsiednim pokoju osiemdziesięcioletnia Amerykanka obudziła się w środku nocy, zobaczyła na wąskim parapecie za oknem nagiego Japończyka na czworakach wytrwale drapiącego paznokciami w szybę. Usłyszawszy krzyk staruszki ten nagi Japończyk spadł z jedenastego piętra na chodnik i - to już cała historia. Dlaczego był nagi i dlaczego drapał w szybę okienną, nikt tego nie wie, bo on nawet nie był pijany - powiedziała posłanka do parlamentu. A ja pomyślałem, że był to czyn, którym ukarał siebie człowiek panicznie lękający się śmierci. Idąc szybkim krokiem przez dzielnicę murzyńską w nocy, byłem podobny do człowieka pełzającego po wąskim parapecie jedenastego piętra w stronę okna pokoju staruszki. Ale w moim wypadku nie zjawiał się nikt obcy, kto obudziłby mnie krzykiem i spowodował śmiertelny upadek. W końcu przypadkowo wyszedłem na nieco jaśniejszą szeroką ulicę i zobaczyłem taksówkę jadącą w moją stronę. Podbiegłem naprzeciw wymachując rękami tak, jak to czyni zwykle rozbitek ujrząwszy statek. Gdy zacznie się coś obsuwać, nie ma już wtedy sposobu na zatrzymanie. Trzydzieści minut później skryłem się bezpiecznie w pokoju prostytutki, opowiadałem jej po angielsku swą najbardziej wstydliwą tajemnicę i prosiłem, aby przynajmniej udawała, że zadaje mi karę, na jaką zasłużyłem. Zachowaj się tak, jakbyś była olbrzymim Murzynem gwałcącym drobną orientálną dziewczynkę - bezwstydnie prosiłem, a ona odpowiedziała, że zrobi to, co zechcę, jeśli tylko dam jej pieniądze."

- Hoshi, jeśli czujesz się winny za to, że nie powstrzymałeś Takashiego, to popełniasz błąd, - próbowałem zahamować pełną skargi opowieść Hoshio. - Kiedy wołałeś do Taki: „Przestań, przestań, przestań to robić”, wtedy było już za późno. Jeśli nawet widziałeś ich stosunek, to był to już ich drugi raz po krótkim odpoczynku. Pierwszy stosunek zakończył się, kiedy jeszcze spałeś. W przeciwnym razie Taka nie odkryłby przed żoną tego, co przed chwilą opowiedziałeś. Nie jest to opowieść odpowiednia na kuszącą pieśń miłosną.

- Czy nie gniewasz się, Mitsu? - zapytał, jakby czuł, że jego własna wrażliwość moralna nie pozwala mu zaakceptować mojej postawy.

- Na to jest za późno - powiedziałem. - Absolutnie za późno, żeby krzyczeć: „Przestańcie, przestańcie, przestańcie to robić, nie wolno tego robić!”

Hoshio wpatrywał się we mnie z tak skondensowaną odrazą w oczach, że zdawało się, iż tryska z nich silna trucizna.

Następnie chłopiec zrezygnował z troski i zainteresowania rogaczem, któremu skradziono żonę, a kiedy zamknął się w ciasnocie swej samotności, objął rękami kolana, przycisnął do nich brudną głowę i skarżył się żałośnie, jakby naśladował głos jęczących wczoraj gospodyń z „prowincji”.

- Przegrałem. Co ja mam teraz zrobić? Za oszczędności kupiłem Citroena, już nie mogę wrócić do pracy do warsztatu samochodowego, co ja mam robić? Przegrałem.

Usłyszałem muzykę tańca nembutsu, niepewne szczekanie uciekających psów i krzyki ludzi w różnym wieku wspinających się pod górę i zbliżających się do spichrza. Już w czasie rozmowy z Hoshio dochodziło to do moich uszu niby złudzenie słuchowe, ale teraz słyszę wyraźnie, jak zbliżają się do spichrza. Ta muzyka i tumult miały teraz zupełnie inny nastrój od przedpołudniowego wrażenia upadającego buntu. Aby oderwać się od skarg chłopca, który czuł się porzucony przez wszystkich żywych na tym świecie, wstałem i spojrzałem przez okno na podwórze.

Po chwili na czele pochodu ukazują się dwa „duchy”, grupa muzykantów, psy, następnie napływają lawiną widzowie, znacznie liczniejsi niż kiedykolwiek w moim dzieciństwie, i wypełniają podwórze po brzegi. W środku na niewielkiej przestrzeni „duchy” rozpoczynają powolny taniec w koło. Muzykanci, członkowie drużyny futbolowej grający na dużym bębnie, bębenkach i gongach, pochylili się odpierając plecami napór widzów i grają całkowicie pochłonięci muzyką. Dwa rude psy szczekają, zajadle krążąc po wewnętrznym kole, podskakują do „duchów” i uderzane po głowach odskakują. Wydaje się, że „duchy” traktują drażnienie i doprowadzanie psów do wściekłości jako część przedstawienia. Za każdym razem, kiedy pies dostawał po głowie, widzowie wznosili okrzyki zadowolenia.

„Duchy” tym razem miały na sobie kostiumy, jakich nigdy nie widziałem podczas rozmaitych letnich tańców nembutsu. Mężczyzna miał kapelusz filcowy ze sztywnym rondem, smoking i czarną kamizelkę, pozostawiającą obnażoną pierś. Był to odświętny strój mojego dziadka, jaki widziałem przedtem w komórce razem z koszulami w kolorze kałamarnicy. Zastanawiałem się, dlaczego ten „duch” nie włożył koszuli do kompletu? Czy miała nieodpowiednie rozmiary? Czy też materiał zbutwiał, czy może zrezygnowano z koszuli dostosowując się do zwyczajów wykonawcy, młodego mężczyzny o groteskowym wyglądzie, szczyłającego się tym, że ubiera się tak lekko? Kapelusz miał wiele rozcięć zrobionych po to, by pasował do obwodu szerokiej jak hełm głowy. W rozcięciu z tyłu, rozchylającym się w równoramienny trójkąt, pokazuje się biała skóra karku, ozdobionego splątanymi czarnymi włosami. „Duch” idzie powoli, wytwornie, pochyłony do przodu, powtarza ukłony pełne godności w stronę otaczających go widzów. Od czasu do czasu na ułamek sekundy wyjmuje brudny kawałek suszonej ryby schowanej w kieszeni smokinga i drażni psy. Psy biegają jak wściekle, orząc ostrymi pazurami udeptany szerniały śnieg, i ujadają zaciekle.

W roli idącego za nim jeszcze jednego „ducha” wystąpiła drobna zmysłowa dziewczyna, którą widziałem wczoraj w biurze supersamu; miała na sobie bielutki kostium koreański.. Dwie wstążki zwisające od podwyższonego stanu i powiewające na wietrze oraz długa spódnica wypełniona i rozdmuchana przez lekki wiatr budzą inne moje wspomnienie o białym jedwabiu. Ten jedwabny strój koreański wyglądał na zupełnie nowy; ciekaw jestem, z jakiego schowka został wyjęty i użyty jako kostium do tańca nembutsu? Przypuszczalnie w dniu, w którym zginął brat S., chłopcy doliny, którzy zaatakowali osadę Koreańczyków, nie tylko zrabowali bimber i cukier, ale także odświętne stroje dziewcząt koreańskich i ukrywali je przez ponad dwadzieścia lat. Podejrzywałem, że podczas pierwszego ataku oprócz zabójstwa popełnili oni coś jeszcze straszniejszego, za co śmierć brata S. nie mogła być wystarczającą zapłatą, i on o tym musiał wiedzieć. Dlatego kiedy już zdecydował się zostać barankiem ofiarnym podczas drugiego ataku, rozmyślał z tak rozpaczliwą melancholią w pokoiku pod schodami spichrza. Dług mieszkańców doliny za zabitego Koreańczyka został spłacony przez ofiarowanie martwego ciała brata S., ale można było przypuszczać, że coś jeszcze pozostało, że jeszcze inna zbrodnia mogła kryć się za faktem odstąpienia ziemi osadzie koreańskiej przez wioskę w dolinie. Aż nieprzyzwoicie podniecona dziewczyna z doliny, zaróżowiona i kusząca, uśmiechała się promiennie w uniesieniu gwiazdy skupiającej na sobie uwagę wszystkich, szła z wdziękiem unosząc ku błękitnemu niebu drobną twarzyczkę z przymrużonymi od blasku oczyma, przybrana w białą odświętną szatę, którą latem 1945 roku jej bracia zdarli z dziewczyny w osadzie koreańskiej, najprawdopodobniej popełniwszy w stosunku do niej czyn nikczemny.

Widzowie również chyba poddali się nastrojowi zadowolenia, roześmiani wznosili okrzyki, czasem niewinne, czasem okrutne. W pochodzie brały udział również kobiety z „prowincji”, które wczoraj o zmierzchu powróciły do swoich dawniejszych codziennych strojów i wyrażały niemą skargę sylwetkami zanurzonymi od stóp do głów w mrocznej melancholii, a dzisiaj, również w chłopskich ubraniach w ciemnogrnatowe paski, śmiały się głośno, dwakroć weselsze od pozostałych uczestników. „Duchy” cesarza supersamu i jego żony w stroju koreańskim wniosły jeszcze raz świeże podniecenie do życia mieszkańców tej doliny i „prowincji”.

Próbowałem odnaleźć Takashiego, ale falowanie tłumu wraz z ruchami „duchów” • psów w kole było tak duże, że skupienie na nich wzroku sprawiało ból. Odwróciwszy od tłumu zmęczone oko, spostrzegłem żonę stojącą na progu domu i wspinającą się na palcach, aby ponad tłumem zajrzeć do środka koła. Prawą ręką oparta o framugę drzwi, lewą trzymała ukośnie nad oczyma zasłaniając się od słońca i patrzyła na taniec nembutsu. Ponieważ cień padający od ręki zasłania jej czoło, oczy i nos, nie widzę dokładnie wyrazu jej twarzy. Ale mimo to dostatecznie jasno ukazuje się przede mną naprawdę kobieca, odprężona i tak spokojna jak fałdy jedwabnego kostiumu „ducha” koreańskiej dziewczyny. Daleko odbiega to od obrazu zmęczonej, poirytowanej i nieszczęśliwej żony, jakiego się spodziewałem, co prawda bez specjalnie konkretnych podstaw. Zdałem sobie sprawę, że dzięki Takashiemu żona odrodziła się z poczucia niemocy seksualnej, tego raka gnieźdzącego się w samym sercu naszego małżeństwa. Po raz pierwszy od naszego ślubu widzę i pojmuję żonę jako istnienie naprawdę niezależne. Ręka zasłaniająca przed słońcem lekko się poruszyła i górna część jej twarzy o spokojnych, bardziej miękkich rysach pojawiła się w promieniach słońca. Odruchowo cofnąłem się od okna do tyłu, jakby w obawie, że patrząc na nią zamienię się w kamień. Natomiast Hoshio, którego mocniej pociągnęło zaciekawienie gwarem na zewnątrz spichrza niż własne niepokoje porzuconego chłopca, szybko wyszedł spoza moich pleców i przylgnął do okna, przy którym przed chwilą stałem. Położyłem się na plecach na podłodze i patrzyłem na czarne belki z drzewa keyaki. Teraz chłopiec całe swe zainteresowanie skierował na taniec nembutsu w nowym stylu, a ponieważ stał plecami do mnie, po raz pierwszy od poznania cudzołóstwa żony poczułem się wolny od spojrzeń innych ludzi; niejasno uświadomiłem sobie ciepłość własnego ciała w wysokości 36,7°, oddychałem spokojnie, posyłając krew z serca i zbierając ją z powrotem siedemdziesiąt razy na minutę.

Mam wrażenie, że w samym środku głowy krew o temperaturze nieco przekraczającej ciepłość ciała krąży w kółko tworząc mały falujący wir. Pojawiają się dwa nie związane ze sobą obrazy, więc kieruję oko świadomości w głąb, gdzie ciemność w głowie zostaje nieco rozjaśniona iskrami tych obrazów, zamykam swoje drugie realne oko skierowane na rzeczywistość. Jeden z obrazów ukazuje świt, kiedy ojciec wyrusza w podróż na całe życie do Chin, widzi matkę stojącą na progu i dyrygującą ludźmi, którzy mają zanieść jego walizki do miasteczka nad morzem, następnie rozgniewany uderza ją i powala na ziemię. Zabrudzoną krwią z nosa i omdlałą zostawia za sobą i wyrusza w drogę, a babka poucza nas, dzieci, że kiedy kobieta stoi na progu, głowie rodziny przydarzy się coś złego. Matka do końca nie chciała uznać tego ludowego wierzenia, po prostu znienawidziła ojca, który odjechał manifestując przemoc, gardziła też babką, która starała się usprawiedliwić zachowanie syna. Ale kiedy na końcu tej podróży ojciec poniósł śmierć, nie mogłem stłumić w sobie tajemnego lęku przed matką. A może matka głębiej niż babka wierzyła w tabu „kobiety stojącej na progu” i może specjalnie stanęła

na progu wtedy o świcie? Może ojciec o tym wiedział, i dlatego zachował się tak brutalnie, a babka i inni nie próbowali go powstrzymać?

Drugi niewyraźny obraz stanowiły moje daremne poszukiwania kształtu i koloru nagiego ciała żony. Próbowałem wyobrazić sobie coś pięknego i erotycznego, ale jedyne wyraźne wizje - obydwie zresztą budzące głęboką, instynktowną odrazę - to były podeszwy jej stóp, które urealniły się dzięki zeznaniu naocznego świadka cudzołóstwa, i odbył, gdzie pęknięcia będące rezultatem naszej przekornej ochoty na anormalny stosunek pozostawiły zgrubienia. Ponadto niezaprzeczalną realnością staje się zazdrość, przypieka w tchawicy, jakbym wdychał trujący gaz. Ten drażniący dym atakuje również moje oko świadomości, zaś cząstki nagiego ciała żony wtapiają się i rozplývają w czerwonej mgle. Nagle atakuje mnie zdumiewające odczucie, że ja nigdy naprawdę nie posiadałem żony...

- Mitsu! - zawołał z dołu Takashi głosem beczelnie energicznym i pewnym siebie.

Otworzyłem oczy i najpierw zobaczyłem ruszające się i jakby kurczące plecy Hoshio, który dotąd stał przylepiony do okna. Muzyka tańca nembutsu, szczekanie psów i wesoły gwar tłumu odchodzą już w stronę doliny.

- Mitsu! - Takashi powtórzył wołanie głosem promiennym i jeszcze bardziej pewnym siebie.

Zignorowałem Hoshio, który chciał mnie zatrzymać, zszedłem do połowy schodów i usiadłem. Takashi zaś stał w drzwiach plecami do światła, jakby otoczony aureolą koloru tęczy, natomiast zwrócone do mnie jego twarz i ciało, a zwłaszcza wyciągnięte ręce pozostawały w głębokim cieniu. Żeby stanąć teraz jak równy z równym przed Takashim, ja też powinienem przyjąć podobną taktykę polegającą na ukryciu własnej twarzy w mroku.

- Mitsu, słyszałeś od Hoshio o tym, co zrobiłem? - zapytała czarna postać, rozpalając wokół siebie pianę niezliczonej ilości rozdrobnionych promieni słońca, jakby refleksów załamujących się w falującej wodzie. Sylwetka Takashiego przypominała salamandrę, unoszącą się nad powierzchnię wody.

- Słyszałem! - odpowiedziałem spokojnie, chcąc pokazać, jak mało mnie wzrusza fakt cudzołóstwa, którym próbuje głośno się chwalić przed mężem kochanki z równą żarliwością, z jaką kiedyś jako dziecko błagał mnie, abym obejrzał scenę, w której on pozwala głupiej małej stonodze zaatakować swój palec.

- Nie zrobiłem tego po prostu z pożądania. Zrobiłem chcąc odkryć sens czegoś bardzo dla mnie ważnego.

W milczeniu potrząsnąłem głową, dając wyraźnie do zrozumienia, że wątpię w to, co mówi. Moja złośliwa strzała z łatwością trafiła w serce Takashiego, który niby pies ujadający na „duchy” wahał się między uniesieniem a napięciem niepokoju.

- Naprawdę, to nie z pożądania - powtórzył Takashi wyzywająco - raczej w ogóle nie czułem pożądania. Mitsu, dla rozniecienia własnego pożądania musiałem sam robić różne rzeczy.

Przez chwilę czułem, jak twarz mi zapłonęła i poczerwieniała w przypływie gniewu i ochoty do śmiechu. Tak wyzwoliłem się z uczucia zazdrości. „Musiałem sam robić różne rzeczy”? Zadrzałem z gniewu, zacisnąłem jednocześnie zęby, aby się nie roześmiać. To on robił z uporem różne rzeczy i przy tym „sam ze sobą”? Cóż to za wstrętny dzieciuch, bo przecież kto jak kto, ale właśnie moja żona, jako człowiek dojrzały pod względem płciowym, jeżeli rzeczywiście wyzwoliła się z poczucia niemocy seksualnej, osiągnęła to naprawdę sama. Jak desperacko musiał walczyć ze sobą Takashi przy swoim pierwszym cudzołożnym stosunku, żeby w końcu doprowadzić do wytrysku; na pewno nie tylko

przed bratową, lecz także przede mną czuł wstyd jak gorącą grudę w gardle i lękał się, iż może zemdleć, jeśli próba skończy się niepowodzeniem. Czyż cała ta historia nie jest smętnym wspomnieniem wieku dojrzewania?

- Mitsu, ja mam zamiar ożenić się z Natchan. Nie wtrącaj się więc w nasze sprawy! - powiedział Takashi i z irytacją poruszył głową ukrytą w cieniu.

- I w pożyciu małżeńskim też masz zamiar sam robić różne rzeczy? - zakpiłem z Takashiego.

- To zależy ode mnie! - krzyknął Takashi, chcąc gniewnym głosem zatuszować poniżenie.

- Na pewno to zależy od ciebie i Natsuko. Ale o tym można mówić zakładając, że jakoś przeżyjesz upadek „buntu” i będziesz mógł bezpiecznie opuścić dolinę.

- Widzisz, nasz bunt znów nabrał mocy. Chyba widziałeś, Mitsu, entuzjazm ludu z doliny i z „prowincji” otaczającego „duchy”? Przeprowadziliśmy transfuzję krwi. Właśnie przetoczyliśmy do „buntu” świeżą krew wyobraźni i przywróciliśmy mu siły! - powiedział Takashi odzyskując podniecenie, jakie zdradzał jego głos, gdy zawołał mnie po raz pierwszy. - Ludzie z doliny i z „prowincji” obawiali się, że nasz autorytet może nie sprostać przemocy gangu „cesarza” supersamów, ale w miarę narastania drwin z „duchów” odzyskiwali siłę emocjonalną pozwalającą im gardzić „cesarzem”! Odzyskali śmiałość myślenia o tak zwanym „cesarzu” supersamów jako o Koreańczyku, który był przedtem robotnikiem leśnym, a później udało mu się zebrać trochę pieniędzy! Wtedy wyzwolili w sobie pogardę znęcających się nad słabszymi i perfidną chytrość, i zabrali ze sklepu wszystkie przyrządy elektryczne bez wyjątku. Kiedy raz już uznali, że wróg jest słabeuszem, którego można rozdeptać, robią przerażająco podłe rzeczy. Decydującym czynnikiem jest dla nich to, że „cesarz” supersamów jest po prostu Koreańczykiem. Zawsze zdawali sobie sprawę z nędzy własnego życia. Czuli się dotąd najbiedniejszym szczerpem w tym lesie, żyjącym w ciągłym strachu. Jednak przypomnieli sobie słodkie poczucie wyższości w stosunku do Koreańczyków przed i w czasie wojny. Przewróciło im się w głowie, gdy odkryli na nowo, że był lud -chodzi tu o Koreańczyków - w jeszcze gorszym położeniu, i zaczęli uważać się za mocarzy. To są muchy, które muszą po prostu zorganizować się w tłum, żeby móc przeciwstawić się „cesarzowi” przez dłuższy okres! To są naprawdę małe paskudne muchy, ale w ogromnej masie nabierają własnej, specyficznej mocy.

- Ale czy myślisz, że te twoje muchy z doliny i „prowincji” nigdy nie spostrzegą, że nimi gardzisz? Siła uderzenia much wyrwie się spod twojej kontroli i skieruje przeciw tobie. I wtedy dopiero wypełnią się wszystkie etapy twojego „buntu”, nie sądzisz, że mam rację?

- To jest błędna perspektywa pesymisty, który patrzy na dolinę z wyżyn spichrza, Mitsu - oświadczył Takashi, który stopniowo odzyskiwał swobodę. - Bo w ciągu tych trzech dni zmienia się świadomość „buntu” ze zwyczajnej, muszej, w świadomość nieco lepszą: grupy wybranych much. Te wybrane muchy to właściciele lasów w górach. Oni zwykle wierzyli, że nawet jeśli życie w dolinie znajdzie się w ślepych zaułku, a wszyscy mieszkańcy niecki uciekną lub wymrą, im wystarczy po prostu czekać, aż drzewa będą dostatecznie duże, żeby rozpocząć wyrąb; lecz dopiero w tym „buncie” zobaczyli, jak groźne może być rozpaczliwe działanie much. Jest to dla nich jak gdyby praktyczna lekcja historii chłopskiego buntu z 1860 roku. Co więcej, kiedy konkretnie - choć faktycznie ta konkretność była fałszem - w każdym razie kiedy zrozumieli, że duch „cesarza” supersamów jest zwykłym godnym pożałowania Koreańczykiem, nagle wszyscy stali się patriotami. W rzeczy samej przejawili taką samą reakcję psychologiczną

jak ich niewiele warci dziadowie, którzy za kapitał uzyskany z wyřębu lasu weszli do rady prefekturalnej i nie mając w rzeczywistości żadnego programu politycznego, grali rolę zatwardziałyłch lokalnych patriotów. Po prostu zaczynają myśleć o tym, by władzę ekonomiczną doliny przerzucić w ręce Japończyków. A wróg, z którym o to należy walczyć, to tylko głupi „cesarz” supersamów maszerujący w staroświeckim smokingu, nie tylko nie mający rękawiczek i krawata, lecz nawet koszuli. Więć pomysł, aby złożyć się i wykupić supersam, łącznie ze stratami poniesionymi wskutek grabieży, a następnie dopuścić zbankrutowanych właścicieli sklepików w dolinie do spółdzielczego zarządzania, zmienia się w realny plan. O jego realizację wyjątkowo skutecznie zabiega młody kapłan. Mitsu, ten kapłan nie jest zwykłym filozofem, on przejawia entuzjazm rewolucjonisty, który stara się zrealizować to, o czym dotąd marzył. A poza tym on jest jedynym osobnikiem w tej niecce pozbawionym całkowicie egoizmu. To on jest naszym najpewniejszym sojusznikiem!

- Na pewno, on jest bezinteresownym sojusznikiem mieszkańców tej doliny; ale, Taka, takie było zadanie kapłanów tej świątyni od pokoleń. Lecz nie myśl, że on jest takim sojusznikiem ludu doliny jak ty, który przecież lekceważysz ten lud.

- To mnie nie obchodzi. Jestem przywódcą „buntu”, który odnosi sukcesy. Jestem zdolnym „złoczyńcą”, podobnie jak nasz najstarszy brat na wojnie. - Takashi roześmiał się. - Nie potrzebuję prawdziwych sojuszników. Wystarczą mi tacy, którzy wyglądają na współpracowników.

- No więc dobrze, Taka, skoro tak uważasz.' Wracaj na swoje pole bitwy. Nie jestem w nastroju, żeby śmiać się z tego razem z tobą - powiedziałem i wstałem.

- A co jest z Hoshim? Postaraj się go pocieszyć. Patrzył, jak się kochaliśmy, a potem wymiotował tłumiąc odgłosy. To jeszcze dziecko! - powiedział Takashi i wybiegł.

Wtedy nagle przyszło mi na myśl, a myśl ta stała się przeświadczeniem, że projekty Takashiego mogą skończyć się powodzeniem. Nawet jeśli „bunt” jako taki poniesie fiasko, to przynajmniej Takashi umiejętnie przebiję się przez chaos i upadek, ucieknie z tej niecki z Natsumi, która wyrwie się z równie niebezpiecznego błota, i kto wie, czy nie rozpoczną nowego, absolutnie spokojnego życia małżeńskiego. Przy tym ten ich spokój będzie spokojem codziennego życia byłego brutala, kryjącego w sobie dumne wspomnienia przezwyćiężonych wielkich doświadczeń przestępcy. I wtedy uda się może młodszemu bratu zasypać ostatecznie rów między zrodzonym przez coś niepojętego dążeniem do ukarania siebie a świadomością człowieka wielbiącego przemoc, i rozpocząć na dobre normalne, spokojne życie. Zwłaszcza list młodszego brata pradziadka, który dopiero dziś przeczytałem, dał mi tę wiarę. On też będąc przywódcą powstania, które tak beznadziejnie zostało zdruzgotane, uciekł sam jeden i mógł chyba przeżyć ostatnie lata w spokoju. Gdy wróciłem na piętro, chłopiec, odrzucony, a nawet wyśmiany przez swoje bóstwo opiekuńcze, stał nadal beznadziejnie przyklejony do szyby okiennej; nawet się nie odwrócił wypowiadając słowa skargi.

- Cały śnieg na podwórzu stopniał i zamienił się w błoto, zdeptany przez tę masę ludzi. Nie lubię błota. Kiedy zabrudzi samochód, nic z tym nie można zrobić, więc nie znoszę błota!

Gdy do późnej nocy leżeliśmy obok siebie pod kocem i spędziliśmy bezsenne godziny, kuląc i obejmując swe zziębnięte ciała, walcząc z chłodem pory topnienia śniegu, nagle na piętro weszła moja żona. Nie mając najmniejszej wątpliwości, że nie śpimy, lecz tylko leżymy w ciemności, powiedziała bezsilnym, nieprzyjemnie ochryplym głosem:

- Chodźcie do domu. Taka chciał zgwałcić miejscową dziewczynę i zabił ją. Członkowie drużyny futbolowej opuścili go i wrócili do domów. Jutro wszyscy mężczyźni z doliny przyjdą go schwytać.

Hoshi i ja podnieśliśmy głowy i usiedliśmy w ciemności. Wyprostowani i milczący siedzieliśmy chwilę słuchając bicia naszych serc i oddechu żony, która zaczęła cicho łkać.

- Wobec tego chodźmy - w końcu musiałem to powiedzieć, ale moje ciało, niby ciężki skórzany wór wypełniony wodą, ścigała w dół nieodparta senność, niby słodcy miód, zupełne przeciwieństwo bezsenności trwającej jeszcze przed chwilą. Gdybym tylko mógł zamknąć oczy, pochylić się do tyłu i skulić się jak embrion, gdybym mógł zanegować cały świat rzeczywisty, i gdyby tak cały świat rzeczywisty przestał naprawdę istnieć, nie istniałby i młodszy brat-przestępca, nie istniałaby też jego zbrodnia. Potrząsnąłem głową i zdecydowałem się:

- Wobec tego chodźmy, lepiej chodźmy - powtórzyłem i powoli podniosłem się na nogi.

12. Umrzeć w rozczarowaniu.

Czy teraz potraficie zrozumieć sens tych słów? One wcale nie znaczą po prostu: umrzeć. Czy nie należałoby powiedzieć, że znaczą umieranie we wstydzie, odrazie, lęku i żalu z tego powodu, że w ogóle się urodziliśmy?

J.P. Sartre

Szliśmy przez podwórze w milczeniu, żona, chłopiec i ja, ostrożnie stąpając po na wpół zamarzniętym błocie, w którym niepewnie zapadały się obcasy. Wpatrywałem się w mroczną, głuchą i zanurzoną w depresji dolinę, sprawiającą wrażenie bezdennej jamy. Wiał od niej mokry i zimny wiatr. Drzwi domu stały otworem. Zatrzymaliśmy się we troje, jak gdyby odepchnięci przez światelko sączące się z wnętrza, a po chwili razem przekroczyliśmy próg. Takashi, siedzący ze zwieszoną głową obok paleniska, trzymał złamaną w pół strzelbę myśliwską i zrećnie czyścił ją jedną ręką, jakby nawykł do tej czynności od lat. W mroku kuchni stał przed nim bez ruchu mały mężczyzna. Kiedy weszliśmy, nieznacznie się poruszył, ale nie mógł nawet odwrócić głowy w naszą stronę, ponieważ był tak sztywny z napięcia, że - zdawało się - zaraz upadnie. Był to pustelnik Gii.

Takashi z wyraźną niechęcią przerwał pracę i spojrzał na nas. Jego szerniała twarz była dziwnie wykrzywiona i jakby trochę skurczona. Włosy znad prawego ucha sięgały prawie ust - były czarne i czymś zlepione. Poruszając się jak we śnie Takashi wolno rozłożył dłonie i wyciągnął ręce w moją stronę. Mały i serdeczny palec lewej ręki zakrywał szeroki pasek bandaża, a całe ręce pokrywały ciemne plamy. Nie wytarł ich nawet przystępując do czyszczenia broni. Plamy na rękach i lepki płyn na włosach to była ludzka krew. Takashi potrząsnął wyciągniętymi rękami i patrzył oczyma smutnej małpy prosto na mnie; kiedy cofnąłem się instynktownie, zaczął cicho się śmiać przez zaciśnięte usta, jak gdyby puszczał bańki. Jego brzydota znów mrozi mi krew w żyłach. Nagle żona, która pierwsza podeszła do pieca, uderzyła Takashiego w usta sparaliżowane w grymasie uśmiechu. Następnie uklękła, a spod koszuli wysunęła się pierś niby nie uszkodzona część zepsutej maszyny. Pięść, którą uderzyła Takashiego, wytarła dokładnie o koszulę nocną na brzuchu, i dopiero kiedy na rękę nie było już

krwi, schowała pierś. Takashi nagle przestał się śmiać, spojrzał pytająco na mnie, natomiast na moją żonę, która go uderzyła, w ogóle nie zwrócił uwagi. Jego górną wargę zabrudziła krew płynąca z nosa. Takashi skurczył wargi, głośno wciągnął przez nos powietrze wraz z krwią. Na pewno połknął własną krew i doprowadził ją aż do żołądka. Twarz szybko ściemniała, przypominała teraz głowę drozda. Przekonanie, że brat spał z moją żoną, wróciło do mnie z nową siłą. Natsumi przeniosła wzrok z Takashiego na pustelnika Gii, który obawiając się, żeby go nie uderzyła, uciekł niezdarnie w ciemność za piecem.

- Chciałem zgwałcić tę dziewczynę z seksem, którą ty też spotkałeś, lecz ta bezczelna stawiała mi opór, kopała w brzuch, chciała wydrapać oczy. Więc krew mnie zalała, kolanami przycisnąłem ją do Skały Wieloryba, jedną ręką przytrzymałem jej obie ręce, drugą natomiast chwyciłem kamień i biłem po głowie. Otworzyła usta tak szeroko jak mogła i krzyczała: „Nie!, nie!”, kręciła głową, że wcale mnie nie chce, więc uderzyłem ją w głowę wiele razy, nie przestałem jej bić dotąd, dopóki nie roztrzaskałem czaszki. - Takashi, jakby badając, czy dostatecznie dobrze to sobie wyobrażam, jeszcze raz wyciągnął przed siebie obie ręce zabrudzone krwią i mówił głosem słabym, przytłumionym, jakby dochodzącym z daleka. W głosie tym pobrzmiwała nuta wyzwalającego ekshibicjonizmu, jak gdyby Takashi pragnął pokazać światu miejsca najbrudniejsze i pysznić się swoją hańbą. Jego słowa bez intonacji, właściwie do nikogo nie kierowane, przypominały ten rodzaj monotonnego gadulstwa, które nigdy się nie kończy. Szczerze mówiąc budziły we mnie odrazę.

- Kiedy biłem dziewczynę, za Skałą Wieloryba ukrywał się pustelnik Gii i wszystko widział. On jest świadkiem. Gii widzi nawet w ciemności!

Takashi wołał teraz ufnie świadka swej zbrodni kierując słowa „Gii, Gii” w stronę mroku obok pieca, tak jakby zwracał się do słabego, a jednak drogiego mu człowieka, który może go obronić; ale Gii nawet nie drgnął, nie próbował odpowiadać, co więcej, nie starał się wyjść z ciemności i zbliżyć się.

- Dlaczego chciałeś ją zgwałcić, byłeś pijany? - zapytałem tylko po to, aby powstrzymać potok słów działający mi na nerwy. Nie interesuje mnie to zupełnie, jak doszło do tego, że wpadł na pomysł, żeby zgwałcić tę dziewczynę o brzoskwiniowej twarzyczce, dziewczynę, na której tak dobrze leżał strój koreański.

- Nie byłem pijany, przecież żyję zgodnie z zasadą, że przez życie w realnym świecie trzeba iść na trzeźwo. Nie, Mitsu, byłem trzeźwy, ale nie mogłem się powstrzymać. Musiałem ją zgwałcić - odparł Takashi wyzwalając szarpiący się, rozszalały uśmiezek uwięziony dotąd pod napiętą skórą.

- Podobno nie czuleś pożądania, kiedy spałeś z Natsumi -wystrzeliłem pocisk z moździerza złości kierując go w stronę brata i żony, siedzącej znów przy nim na klęczkach i wpatrującej się w niego w osłupieniu.

Wraz z pogłębiającą się odrazą odkryłem u Takashiego zmieszanie godne politowania, ale żona nadal tkwiła w osłupieniu, nie zmieniła wyrazu twarzy przypominającej białą maskę, nie odwracała też wzroku od Takashiego. Jego twarz natomiast, umazana martwą krwią, ciemna i nabrzmiała krwią pulsującą pod skórą, chce krzyczeć „Nie!, nie!” Zdemaskowany, boleśnie upokorzony, zdjęty paniką, kiedy go obnażyłem przed moją żoną, wydał się zbyt słaby i niedoświadczony jak na brutalnego przestępcę. Przypuszczalnie Takashi siedzi tu nie obmywszy nawet krwi ofiary nie tylko po to, aby pokazać mi te ślady, ale również chyba po to, aby zapewnić sobie trwałość miana przestępcy. Wyteża swą podłą brutalną odwagę, aby zatrzeć zmieszanie wypisane otwarcie krwią na twarzy i zastąpić ją krwią brutalnego podniecenia. Przyjrzał mi się

chyttrze i powiedział znacząco takim tonem, jakby w jego wnętrznościach tliły się jeszcze węgle pożądania:

- To była dziwka z seksem. Przy tym młoda! Była to jeszcze dziewczynka, ale jak podniecająca!

Ponizona Natsumi cofnęła się. Już nie patrzyła na Takashiego ani na kogokolwiek innego; w jej zamkniętych niewidzących oczach odkryłem rozczarowanie człowieka samotnego i opuszczonego, a także błysk gniewu. W tym momencie na pewno przestała być kochanką Takashiego, to rzecz oczywista. Ale to nie znaczy, że powróciła do mnie. W opowieściach o cudzołóstwie mąż zawsze surowo karał kochankę żony. Ale ja tak naprawdę nie ukarałem Takashiego, tylko przekonałem się z odrazą, że jest on nadal dzieckiem, które nie zmieniło się od czasu zdarzenia ze stonogą. Ta odraza przywróciła swobodę obserwacji. Po raz pierwszy od chwili, gdy usłyszałem o groźnej pułapce, w którą wpadł nagle Takashi, zostałem wyzwolony z za ciasnego ubioru zakłopotania i napięcia. Zrobiłem krok i zająłem miejsce, które przed chwilą zwołała żona, dając znak Hoshio, by poszedł za mną. Z szybkością zaprzeczającą jego ospałem wyglądowi Takashi przyciągnął broń do siebie, odsunął się od nas i stał teraz utrzymując dystans wystarczający do prowadzenia polemiki.

- Taka, mówisz, że chciałeś zgwałcić tę dziewczynę, a ponieważ stawiała opór, więc w końcu zatłukłeś ją kamieniem, ale to chyba nie jest prawda - rozpocząłem krytykę jego oświadczenia.

- Zapytaj więc pustelnika Gii, każ mu powiedzieć, co widział! - odparł gwałtownie.

- On jest po prostu wariatem, mówi tylko to, co mu wcześniej kazałeś powiedzieć. Nie popełniłeś zbrodni, Taka.

- Skąd ta pewność, Mitsu? Spójrz na krew, która zbrudziła moje ciało. Idź i zobacz zwłoki, które zanieśli byli członkowie drużyny futbolowej do jej domu! Jej głowa jest jak ciasto, rozbita kamieniem. Mitsu, dlaczego drwisz ze mnie, mówiąc z tak dużym przekonaniem coś, co nie ma żadnych podstaw?

- Nie wątpię, że dziewczyna nie żyje, i może nawet jej biedna głowa jest zdruzgotana. Ale chyba nie popełniłeś tej zbrodni świadomie. Nie mógłbyś czegoś takiego zrobić. Nawet w dzieciństwie, kiedy chciałeś, żeby stonoga ugryzła cię w palec, wybierałeś stonogę nieszkodliwą, pamiętasz? Jesteś przecież takim tchórzem! Na pewno dziewczyna zginęła przypadkiem.

- Jutro rano, kiedy muchy tej doliny oszaleją z gniewu i przyjdą mnie pojmać, pustelnik Gii na pewno jeszcze raz opowie, co się zdarzyło. Zamiast snuć przypuszczenia, lepiej go wysłuchaj - Takashi wciąż zaprzeczał. - On ci dokładnie opowie o tym, jak biłem kamieniem tę głupią, niedorozwiniętą dziwkę, kpiącą ze mnie i opierającą się jak wściekła kotka. To cię przekona, jak niebezpiecznie jest kpić z przywódcy buntu w czasie jego trwania.

- Czy myślisz, że ludzie doliny uwierzą w świadectwo tego wariata, którego szaleństwo znają od kilkadziesiąt lat? -Zrobiło mi się po raz pierwszy żal Takashiego, pragnącego zostać zabójcą i trzymającego się tak uparcie tej dziecinnej fikcji.

Na dźwięk swego imienia pustelnik Gii wysunął zza pieca górną część ciała i skierował w naszą stronę swoje karłowate uszy, wyglądające niby kępka brązowych i szarych włosów. Stał jak przed sędziami, którzy mieli zdecydować o jego losie osądzając, czy wariackie życie samotnika daje dostateczną motywację jego zbrodni. Jednak chyba nie pojmował nic z tego, co mówiliśmy, jak gdyby nasza rozmowa prowadzona była w niezrozumiałym egzotycznym języku, mimo że w milczeniu przysłuchiwał się uważnie. Następnie pustelnik Gii głośno westchnął jakby w głębokim zamyśleniu.

- Gii, uspokój się! Twoja praca zacznie się dopiero jutro. Do tego czasu ukryj się w komórce i śpij! - zawołał Takashi dodając starcowi otuchy.

Pustelnik Gii szybko zniknął w mroku stąpając bezszelestnie, jak jakieś nocne zwierzę. Zrozumiałem, że Takashi nie chce, żeby Gii słuchał mojej krytyki wyznań zabójcy. Moje przypuszczenie, że najpierw zdarzył się śmiertelny wypadek, a następnie Takashi posłużył się martwym ciałem dla jakichś własnych celów, zmienia się w pewność. Pozostaje tylko nadal wątpliwość, dlaczego Takashi ogłaszając się zabójcą posługuje się świadectwem wariata. Może postanowił rozpocząć wojnę przeciw wszystkim ludziom doliny? Mógłbym udowodnić, że to jest po prostu wypadek, nawet jeśli Takashi ma z nim pewien związek, ale jednocześnie wiem, że to od niego zależy przyjęcie mojej pomocy i odrzucenie planu współdziałania z Gii.

- Dlaczego zaprowadziłeś tę dziewczynę na Skałę Wieloryba? - zadałem pytanie jak obrońca nie liczący się z życzeniami swego klienta. Tak zwana Skała Wieloryba ma rzeczywiście kształt tego wielkiego ssaka i wyrasta w miejscu, gdzie brukowana droga przechodząca przez dolinę obniża się stromo w stronę mostu. Skała zamyka widok na most zwężając drogę jak gardziel. Ostatnie pięćdziesiąt metrów drogi prowadzącej do mostu jest nie tylko strome, ale też kręte, dlatego jest to miejsce najczęstszych wypadków w dolinie, a więc raczej mało odpowiednie do nocnych spotkań kochanków zimą.

- Chciałem ją zgwałcić na siedzeniu w citroenie i szukałem miejsca do zaparkowania. Jeśli zaparkujesz samochód pod tą skałą, to nikt - może tylko pustelnik Gii - nie pójdzie tam podglądać. Tego miejsca, zasłoniętego przez skałę, nie widzi nawet członek drużyny futbolowej pełniący nocną straż przed mostem - powiedział Takashi z tą samą upartą ostrożnością.

- Ponieważ powiedziałeś, że przycisnąłeś ją do skały i biłeś kamieniem, to znaczy, że dziewczyna opierając się uciekła z samochodu, a ty ją schwytałeś?

- Tak.

- Jeśli ta dziewczyna naprawdę się opierała, to nie sądzę, żeby robiła to w milczeniu. A poza tym nie uciekła chyba bez słowa? Ponieważ była członkiem grupy kierowniczej, musiała wiedzieć, że u stóp mostu stoi na straży jej kolega, więc chyba krzyczała i wzywała pomocy? A potem, gdy ją już schwytałeś i zanim zabiłeś, krzyczała przecież - jak sam mówiłeś - „nie, nie”, więc dlaczego strażnik oddalony zaledwie o pięćdziesiąt metrów nie przybiegł i nie powstrzymał cię od popełnienia zbrodni?

- Po zabiciu dziewczyny spostrzegłem, że podglądał mnie pustelnik Gii, strażnik przybiegł dopiero wtedy, gdy zacząłem z nim rozmawiać. Dostał szoku na widok zbrodni i pobiegł wezwać pomoc, by zabrać ciało dziewczyny. Wziąłem pustelnika Gii spod skały, wsadziłem do samochodu i odjechałem.

- Tylko opowiadanie strażnika, który pierwszy przybiegł na miejsce zbrodni, może być obiektywnym i jasnym świadectwem tego, co tam się wydarzyło. Widocznie nie było zbyt ciemno, skoro mogłeś od razu schwytać dziewczynę, więc również chłopiec musiał widzieć chociażby jedno czy dwa uderzenia, zanim zatłukłeś ją na śmierć tym kamieniem. Mimo że popełnienie tej zbrodni nie zajęło ci chyba dużo czasu, to jednak byłoby bardzo dziwne, gdyby strażnik nie przybiegł na miejsce, zanim zadałeś ostatni cios. Musiał słyszeć wtedy przynajmniej jęki, jeśli nie słyszał rozpaczliwego krzyku dobiegającego z samochodu.

- A może kiedy przybiegł, ja znów siedziałem za kierownicą i już zawracałem samochód, aby uciec z miejsca zbrodni? Więc może zezna, że kiedy mnie ujrzał pierwszy raz, byłem w samochodzie - po chwilowym zastanowieniu sprostował Takashi.

- Jestem przekonany, że takie złoży zeznanie - przyciskałem go, poruszony tą nową i niewątpliwą wskazówką. - Więc brukowaną drogą, na której już zaczął topnieć śnieg, wybrałeś się z dziewczyną na przejażdżkę citroenem. I coś się wydarzyło między wami, dziewczyna wyskoczyła z samochodu, uderzyła się o Skałę Wieloryba i rozbiła sobie głowę. Zabrudziłeś się jej krwią dlatego, że chciałeś podnieść dziewczynę, która zginęła w wypadku. Albo też ubrudziłeś się specjalnie. Poza tym samochód prowadziłeś z szybkością wystarczającą, aby dziewczyna wyskakując rozbiła sobie głowę, jechałeś w ograniczonej widoczności zwężając się drogą, która kończyła się pięćdziesiąt metrów dalej. W tych warunkach nie mogłeś mieć czasu nawet na flirt, nie mówiąc o gwałcie, w rzeczywistości musiałeś uważnie trzymać kierownicę. Ale coś się zdarzyło, dziewczyna wyskoczyła z samochodu i rozbiła głowę o skałę, prawda? Przypuszczam, że nagle zahamowałeś i chciałeś wrócić na miejsce, w którym dziewczyna wyskoczyła i dlatego siedziałeś w samochodzie w tym momencie, kiedy nadszedł strażnik. A on przybiegł usłyszawszy bardzo blisko pisk hamulców. Myślę, że do tej chwili nie wysiadłeś w ogóle z samochodu, prawda? Dopiero kiedy strażnik pobiegł wezwać kolegów na pomoc, po raz pierwszy odkryłeś dziewczynę z rozbitą głową. Pustelnik Gii chyba nic nie widział. Na pewno znalazłeś go w drodze do domu i po prostu zapoznałeś go ze szczegółami fikcyjnej zbrodni, prawda?

Takashi milczał ze spuszczonej oczami i jakby przeżuwał moje słowa. I znów ostrożnie zamknął się w skorupie swej samotności, więc nie mogę z jego zachowania wyczytać, czy moje przypuszczenie rozbiło dostatecznie strukturę wykoncypowanej zbrodni, którą tak się chełpi.

- Taka! - Milczący dotąd Hoshio gwałtownie zadrżał nie tyle z zimna, co z innego powodu i zawołał dziecinnym piskliwym głosem: - Ona zawsze chciała to robić z tobą, przecież nawet w ciągu dnia kusila cię i prowadziła w ciemne miejsca domu, no nie? Mogłeś obejść się bez gwałtu, wystarczyło po prostu zdjąć jej majtki. Na pewno przywalała się do ciebie w samochodzie, więc chciałeś ją przestraszyć zwiększając szybkość. Przecież opowiadałeś, że bawiłeś się w ten sposób w Ameryce! Wtedy ona straciła głowę ze strachu i wyskoczyła na zakręcie przy skale, myśląc, że nie uda ci się zahamować.

- Jeśli tak, to nie byłoby to zabójstwo, prawda? - przyjąłem wsparcie specja od samochodów. - Byłby to albo nieszczęśliwy wypadek, albo śmierć spowodowana nieuwagą. Nawet jeśli była to nieuwaga kierowcy, to winna również była nieszczęsna dziewczyna, nie tylko ty, Taka.

Takashi nadal milczał ładując naboje śrutowe do strzelby. Obawiając się przypadkowego wystrzału, skoncentrował na tym całą swą uwagę, w jego pochylonej w dół i ukrytej w cieniu twarzy, w całym drobnym ciele zdrętwiałym z napięcia dostrzegalem jednak przepełniającą go brutalną siłę, wykluczającą absolutnie możliwość zrozumienia go przez innych. Wywołał we mnie dziwne złudzenie, że to nasze dziecko, leżące z otwartymi brązowymi oczami bez wyrazu i tak po prostu istniejące w ciszy, wyrosło w ten sposób w warunkach całkowitego braku komunikacji ze światem zewnętrznym i teraz, tutaj, krwią rozmazaną na całym ciele wyraża zbrodnię, którą przed chwilą popełniło. I nagle poczułem, jak rozpada się mój spokój, którego gwarancję stanowiło wahanie i brak wiary, przejawiane przez Takashiego podczas moich popisów elokwencji. Chociaż czuję, że mógłbym uzasadnić nierealność zbrodni, którą Takashi - jak sam utrzymuje - popełnił, to jednak jego uparte milczenie w czasie, gdy tak siedział z twarzą w cieniu, trzymając strzelbę jak dziecko nową zabawkę, wzbudza we mnie nabrzmiewający groteskowy lęk o to, że przede mną znajduje się przestępca.

- Czy wierzysz w to, że Taka popełnił tę zbrodnię? -Poirytowany milczeniem brata zwróciłem się do tak samo milczącej żony. Jednak żona siedziała nadal zamyślona, nie reagując na moje pytanie. Następnie wciąż z opuszczoną głową powiedziała głosem suchym, jakby wezbrane w niej uczucie nagle wyszło:

- Ponieważ Taka sam mówi, że to on zabił, nie mam innego wyjścia, jak mu wierzyć. Tym bardziej że Taka nie jest człowiekiem, który nie mógłby popełnić zbrodni.

Żona wydała mi się nieznanym i nieprzystępnym człowiekiem, który nie wysłuchał żadnej z moich mów obrończych. Z niesłyszczącymi uszami, oczami spuszczone w dół, poddawała się aurze zbrodniczości otaczającej Takashiego. A kiedy Takashi uniósł naiwnie zdziwione, prawie dziecinne oczy i spojrzał na żonę, pod skórą jego twarzy przebiegło coś niby przelotny cień chmury. I, znów starannie sprawdzając broń, powiedział:

- Oczywiście, że ją zabiłem uderzając wiele razy kamieniem w głowę. Dlaczego, Mitsu, w to nie wierzysz?

- Nie chodzi mi tu o „dlaczego” ani „w jakim celu”. Nie chodzi też o to, czy wierzę, czy nie. Mówię tylko o tym, że można zakładać, że nie popełniłeś tej zbrodni.

- Ach, rozumiem. Postawa naukowa. - Powiedziawszy to Takashi ostrożnie położył naładowaną broń na kolanach i brudną prawą ręką zaczął rozwijać szeroki pasek, którym były owinięte mały i serdeczny palec równie brudnej lewej ręki. - Mitsu, nie mam nic przeciw naukowemu podejściu.

Spod paska materiału ukazał się zwój gazy przesyconej dużą ilością krwi. Wydało mi się, że bez końca będzie trwało to rozwijanie, tak dokładnie palce były owinięte. Wreszcie ukazały się dwie pomarańczowe łodygi, osobliwie skurczone, i wtedy ze złączonych okrągłych końców nagle trysnęła obficie krew. Gdy Takashi pokazał mi ranę, pozwalając by kapąła z niej krew na kolana, nagle prawą ręką ścisnął mocno oba palce u nasady i wpychając je między kolana pochylił się do przodu; zaczął wić się i krzyczeć z bólu.

- Oo, gównno! Boli, boli! - jęczał Takashi. Następnie z wysiłkiem wstał, wyprostował się i zaczął zawijać brudną gazę i płótno wokół palców, co nie wpływało oczywiście na zmniejszenie cierpienia; żona i ja mogliśmy się tylko przyglądać temu z przerażeniem. Hoshio, jak stary pies, popęzł niepewnie na czworakach do sieni, wyciągnął szyję i zaczął głośno wymiotować.

- Gównno! Boli! Boli! - Takashi, wyzwoliwszy się z najgorszego bólu, spojrzał na mnie spod na wpół zamkniętych powiek i wyjaśnił z niepotrzebnym naciskiem: - Kiedy lewą ręką przycisnąłem jej twarz i uderzałem w głowę kawałkiem kamienia, który trzymałem w prawej ręce, dziewczyna najpierw krzyczała „nie, nie, nie”, potem nagle chwyciła zębami moją rękę i usłyszałem chrupnięcie. Szybko cofnąłem rękę, ale jej zęby wpiły się mocno w pierwszy staw małego i drugi serdecznego palca i nie puszczały. Nie mając wyjścia, uderzyłem kamieniem w dolną szczękę chcąc otworzyć jej usta. Ale strasznie ostre zęby wpiły się w oba palce i pozostały zamknięte. Później kawałkiem patyka rozwarłem jej usta i spróbowałem wydostać uwięzione palce, ale bezskutecznie, tak więc jej martwe ciało o rozbitej głowie nadal trzyma w ustach dwa kawałki moich palców.

Mimo, że posmak prawdy był wąty, słowa Takashiego, poparte realnością bólu, zmanifestowały szokującą siłę przekonywania, przekraczającą moją logikę. Dostrzegłem realność „zbrodniarza” w Takashim i równie realne istnienie „zbrodni”. Ciało Takashiego wzbudziło we mnie, podobnie jak w Hoshio, lęk i odrazę przyprawiającą o mdłości. Nie o to chodzi, że zacząłem wierzyć, iż Takashi bił dziewczynę kamieniem w głowę. Nadal myślałem, że dziewczyna, przerażona szaleńcżą

szybkością samochodu przejeżdżającego wąski i ciemny zakręt, wyskoczyła sama i uderzyła głową o krawędź skały. Ale jego zbrodnia rozpoczęła się od następnej chwili, kiedy poddając się maniakalnemu pragnieniu uczynienia z siebie choćby fikcyjnego zbrodniarza, dopuścił do popełnienia czegoś groteskowego, czegoś tak potwornego, że trudno w to uwierzyć. Kiedy otworzył patykiem usta zmarłej dziewczyny o roztrzaskanej głowie, na pewno wepchnął między jej zęby dwa palce swej lewej ręki i zacisnął szczęki. Wydało mi się, że słyszę ten chrzęst. Następnie wziął do prawej ręki kawałek kamienia i uderzał w jej szczękę dotąd, aż zęby przecięły jego palce. Wraz z uderzaniem w podbródek zmarłej z rozbitej głowy, z ust i z jego własnych palców tryskały obficie krew i mózg, które Takashi rozmasał po całym swoim ciele.

- Taka, jesteś szalonym mordercą - powiedziałem zachrypniętym głosem, ale zbrakło mi siły, by powiedzieć jakiegokolwiek jeszcze słowo.

- Chyba mnie po raz pierwszy zrozumiałeś, Mitsu - Takashi powiedział to z bezwstydną prowokacyjną obojętnością.

- Przestańcie, przestańcie! Dlaczego nie próbujecie go ratować? To przecież wypadek! - zawołał z rozpaczą Hoshio, jeszcze na czworakach.

- Natchan, daj Hoshio dwa razy tyle środka nasennego, ile dostała Momoko. Hoshi, idź spać. Jesteś taką trochę lepszą żabą. Gdy tylko zwąchasz coś, czego nie możesz strawić, to nie tylko twoje ciało, lecz także dusza wywraca natychmiast swój żołądek i wymiotuje wydalając wszystko bez reszty! - Takashi po raz pierwszy po dłuższej przerwie nadał swemu głosowi miły, familiarny ton, jakim posługiwał się przedtem zwracając się do swego młodego strażnika.

- Nie wezmę, nie chcę spać - Hoshio sprzeciwił się rozdrażniony. Ale Takashi to zignorował; nie uznając sprzeciwu przyglądał się bez słowa, gdy żona podawała szklanke wody i pigułki, dopóki Hoshio tego nie wypił po krótkiej chwili niezdecydowanego, słabego oporu. Usłyszeliśmy cichy, dobrze każdemu znany, odgłos przepływającej przez gardło wody.

- Zaraz zacznie działać. Hoshi jest dzikusem, bo prawie nigdy dotąd nie połykał środków chemicznych. Posiedź przy nim, Natchan, dopóki nie zaśnie.

- Taka, ja nie chcę spać. Wydaje mi się, że kiedy usnę, to już nigdy się nie obudzę. - Głosem wyraźnie zastraszonego Hoshio wyraził ostatni wątpliwy protest, poddając się działaniu leku.

- Nie, idź spać, jutro rano zbudzisz się ze zdrowym apetytem - powiedział Takashi chłopcu odpychając go obojętnie, następnie zwrócił się do mnie: - Mitsu, myślę, że ci faceci z doliny przyjdą mnie schwytać i zlinczować. Jeśli mam się obronić strzelbą myśliwską, to powinienem raczej zamknąć się w spichrzu tak samo jak pradziadek. Dzisiaj śpij więc tutaj.

- Ciebie nie zlinczują, Taka. Mając tę jedną strzelbę nie będziesz przecież walczył ze wszystkimi mieszkańcami wioski. To zwykła fantazja, Taka - powiedziała żona z niepokojem, który zaprzeczał znaczeniu słów.

- Ja znam tę dolinę lepiej od ciebie, Natchan. Oni już czują wstręt do buntu i samych siebie, i przypiszą mi całe zło powstania. Są nawet chyba i tacy, którzy myślą, że odkupią swoje grzechy, kiedy mnie zabiją. Rzeczywiście mają rację, wiele spraw by się uprościło, gdybym został barankiem ofiarnym, podobnie jak to było z bratem S.

- Lincz jest niemożliwy! - zaczęła nerwowo i porywczo żona kierując na mnie, jako na przedmiot najbliższy oczom, spojrzenie bezsilne, wyrażające beznadziejną potrzebę alkoholu. - Mitsu, chyba nie mogą go zlinczować, prawda?

- W każdym razie Taka jako organizator buntu wyobraźni chce do końca zdobić się iskrami tej wyobraźni. A o tym, czy zlinczują go, czy nie, zdecyduje to, jak mocno mieszkańcy doliny będą podtrzymywać ten bunt wyobraźni. Tego jeszcze nie mogę przewidzieć - powiedziałem żonie i spojrzałem, jak odwracała ode mnie wzrok zawiedziona.

- Masz rację - powiedział Takashi, jakby równie zawiedziony, chwytając strzelbę i pudełka z nabojami zdrową ręką niby orlimi szponami i podnosząc się powoli. Zauważyłem, że był tak wyczerpany, iż - zdawało się - pod ciężarem strzelby upadnie i straci przytomność.

- Daj mi broń. zaniosę ci.

Takashi rzucił na mnie srogie spojrzenie i odmówił z otwartą wrogością, jakbym zamierzał zwieść go i odebrać tę jedyną broń. Krótkotrwałe podejrzenie o to, czy Takashi przypadkiem nie zwariował, ukłuło mnie tak boleśnie, że poczułem fizyczny ból. Ale prawie jednocześnie w jego spojrzeniu znów pojawił się wyraz tępoty i wyczerpania.

- Chodź ze mną do spichrza, Mitsu, i zostań przy mnie, dopóki nie usnę - poprosił otwarcie.

Gdy już wychodziliśmy z kuchni na podwórze, żona nagle zawołała, jakby na pożegnanie z Takashim:

- Taka, dlaczego siebie nie ratujesz? Wszystko wygląda tak, jakbyś specjalnie czekał na to, żeby cię zlinczowali albo skazali na śmierć.

Takashi nie odpowiedział; jego blada i brudna, pokryta gęsią skórą twarz pozostała nadal zamknięta i ponura. Zachowywał się tak, jakby w najmniejszym stopniu nie interesował się już moją żoną. Bez specjalnego powodu poczułem, że oboje, zarówno żona, jak i ja, byliśmy parą psów, które przegrały w śmiertelnej walce. Gdy odwróciłem się i spojrzałem na nią, nawet się nie poruszyła i nie uniosła zwieszanej głowy. Chłopiec stojący obok niej, niby zwierzę sparaliżowane zatrutą strzałą, zeszywniał w nienaturalnej pozycji półprzysiadu. Wskutek sugestii Takashiego poddał się już całkowicie działaniu środka nasennego. A ja, mając nadzieję, że żona zachowała gdzieś przynajmniej kroplę whisky, która pomogłaby jej stawić czoła tej chłodnej najdłuższej nocy, siedłem drżący za drżącym i zataczającym się bratem w wątlym świetle latarni wiszącej pod okapem. Od strony komórki dobiegły odgłosy obecności pustelnika Gii, podobne do psiej czkawki. Od pogrążonej w mroku oficyny, zajmowanej przez Jin, nie dochodziły żadne dźwięki. Najgrubsza kobieta w Japonii pozbyła się poczucia niezaspokojonego głodu i po raz pierwszy od sześciu czy siedmiu lat spała teraz snem spokojnym. Zmarznięte i stwardniałe błoto na podwórzu już nie ustępowało pod obcasami.

Takashi w marynarce i spodniach powalanych krwią wsunął się pod mój koc, zwinął się niby schwyty do worka wąż i zdjął buty. Następnie znowu przysunął do boku strzelbę, spojrzał na mnie mrużąc od światła oczy - obserwowałem go stojąc i czekając, aż się ułoży w pościeli - i powiedział, żebym zgasił lampę. Ta prośba odpowiadała również moim nastrojom. Gdy tak leżał patrząc w górę, jego szerniała i brudna twarz o zapadniętych policzkach starego człowieka była brzydsza i bardziej niespokojna niż w jakichkolwiek innych kłopotliwych sytuacjach, jakie pamiętałem. Przy tym jego ciało, nieznacznie wybrzuszone koc i kołdrę, było naprawdę chude i budziło najwyższe współczucie. Czekając, aż rozpadnie się obraz leżącego na plecach Takashiego, uczepony mojej siatkówki, owinąłem wokół bioder koc Hoshio i usiadłem na dnie nowego mroku, obejmując kolana. Przez chwilę zachowaliśmy milczenie.

- Wiesz, Mitsu, twoja żona czasem trafia w sedno -powiedział Takashi tonem kompromisowym. - Rzeczywiście, ja nie chcę się ratować. Spodziewam się, że zostanę zlinczowany lub skazany na śmierć.

- Wiem, Taka, że nie masz odwagi popełnić brutalnej zbrodni z własnej inicjatywy, ale kiedy nadarza się okazja na tyle wieloznaczna, że wypadek może być wzięty za zbrodnię, rzucasz się na chybił trafił, jakbyś tylko na to czekał, by dojść na samo dno: do linczu lub kary śmierci. Tak to rozumiem.

Takashi milczał głęboko oddychając, jakby zachęcał mnie do wypowiedzenia dodatkowych słów. Ale ja nie miałem już więcej słów, które mógłbym skierować do swego młodszego brata. Było mi bardzo zimno i czułem się bezgranicznie przygnębiony.

- Czy masz zamiar im przeszkodzić?

- Oczywiście. Ale nie wiem, czy uda mi się przeciwdziałać twojemu zamiarowi samozniszczenia, skoro zaszedłeś już tak daleko.

- Mitsu, chciałbym ci o czymś opowiedzieć. Chcę ci wyznać prawdę. - Takashi powiedział to jakoś wstydliwie i bezradnie, jakby sam był roztargniony i wątpił w to, czy słowa dostatecznie przekazują mi zamierzony głęboki sens. Lecz słowa trafiły we mnie bardzo mocno i odbiły się echem.

- Nie chcę słuchać, nie próbuj nawet mówić. - Od razu sprzeciwiłem się, czując, że chcę uciec od wspomnienia rozmowy z Takashim na temat „całej prawdy”.

- Mitsu, jednak powiem - Takashi upierał się nieprzyjemnie natarczywym głosem, pogłębiającym moją chęć ucieczki. Znów doznałem wstrząsu widząc jego nikczemną kapitulację.

- Wysłuchaj mnie, Mitsu, a wtedy pomożesz mi przynajmniej na tyle, że zechcesz stanąć z boku i patrzeć, jak mnie linczują.

Musiałem więc zrezygnować z dalszych prób zamknięcia ust Takashiemu. Takashi westchnął teraz ze zmęczenia i rozpacz, jakby to, co zamierzał mi powiedzieć, właśnie w tej chwili opowiedział i teraz głęboko tego żałował chcąc cofnąć swoje słowa, ale nie mógł już tego uczynić. W końcu przewyciężył wewnętrzny opór i zaczął mówić, sprawiając na mnie wrażenie, że opór ten przewycięża przy każdym wypowiedzanym słowie.

- Mitsu, dotąd mówiłem, że sam nie rozumiem, dlaczego nasza siostra popełniła samobójstwo, a rodzina stryja podobnie jak ja utrzymywała, że przyczyna tego samobójstwa jest nieznana. Mogłem więc ukryć prawdziwą przyczynę jej samobójstwa. Co prawda, można raczej powiedzieć, że nikt poważnie nie starał się tego dowiedzieć. Dlatego cały czas milczałem. Tylko raz w Ameryce opowiedziałem to zupełnie przypadkowej osobie, czarnej prostytutce, ale mówiłem po angielsku, którego dobrze nie znałem. Dla mnie mówienie po angielsku jest czymś podobnym do noszenia maski na twarzy, a więc znaczy to tyle, jakbym nic nikomu nie powiedział. Była to fałszywa spowiedź, która nie pozostawiła we mnie rany. Dzięki temu jedyną karą, jaka mnie spotkała, była lekka choroba weneryczna. Językiem wspólnym dla mnie, siostry i dla ciebie nigdy jeszcze o tym nie mówiłem; nie muszę tego podkreślać, że tobie o tym nie opowiadałem. Ale kiedy wyczuwałem w twoich słowach jakieś aluzje dotyczące siostry, nie potrafiłem zachować spokoju, obawiając się, że mogłeś niejasno podejrzewać, iż zdarzyło się wtedy coś niezwykłego. Na przykład w dniu, w którym oprowałeś bażanty, spytałeś, czy „prawda” ma coś wspólnego z siostrą. Pomyślałem wtedy, że wiesz wszystko i po prostu kpisz sobie ze mnie, dlatego z gniewu i wstydu miałem ochotę cię zabić. Ale od razu pomyślałem, że to jest niemożliwe, żebyś o tym wiedział, i tylko dzięki temu mogłem się opanować. Tego ranka, kiedy siostra popełniła

samobójstwo, zanim zawiadomiłem o tym stryja, przeszukałem całą oficynę, w której mieszkaliśmy razem z nią i sprawdziłem, czy nie napisała czegoś, co byłoby powodem do podejrzeń. Następnie zacząłem się śmiać i płakać, szarpany poczuciem winy i ulgi dzięki wyzwoleniu się ze strachu przytłaczającego moją pierś od poprzedniego dnia. Do domu stryjostwa poszedłem dopiero wtedy, gdy zacząłem dostatecznie panować nad sobą i wiedziałem, że nie dostanę już nowego ataku śmiechu; zawiadomiłem o samobójstwie siostry. Tego wczesnego ranka znalazłem siostrę siedzącą w toalecie, martwą po zażyciu dużej dawki chemikaliów używanych w rolnictwie. Upewniwszy się, że nie zostawiła żadnego testamentu, doznałem głębokiej ulgi, bo wciąż się obawiałem, że siostra będąc niespełna rozumu zdradzi komuś naszą tajemnicę. Uspokoilem się, miałem bowiem wrażenie, że jej śmierć tę tajemnicę wymazała całkowicie, jakby nigdy w rzeczywistości nie istniała. Ale rzeczywistość nie była dla mnie tak łaskawa. Przeciwnie, tajemnica dzięki samobójstwu siostry wrosła w najgłębsze ośrodki mojego ciała i duszy, zaczęła zatruwać wszystko, codzienne życie i perspektywy na przyszłość. Byłem wtedy jeszcze w drugiej klasie licealnej, więc od tamtej chwili przez cały czas dręczyła mnie pamięć o tym zdarzeniu - powiedział Takashi i zaczął płakać tak ponuro i żałośnie, że zacząłem przeczuwać, iż wspomnienie tego głosu będzie mnie dręczyło do końca moich dni, a trwanie w utajeniu tak mrocznego „czasu” sprawi, że trudno mi będzie żyć z tym długo.

- Chociaż siostra była niedorozwinięta, zasłużyła jednak na miano człowieka szczególnego. Najbardziej lubiła czyste dźwięki, czuła się szczęśliwa, gdy słuchała muzyki. Słyszając huk silników samolotowych czy warkot ruszającego samochodu skarżyła się na taki ból, jakby ogień palił się wewnątrz jej uszu. Myślę, że naprawdę ją bolało. Zdarza się chyba czasem, że pękają szyby od samego drgania powietrza? Podobnie było z uszami siostry - na pewno czuła ból, jakby coś delikatnego pękało w jej uszach. W każdym razie we wsi stryja nikt poza nią tak muzyki nie rozumiał i nikt tak jak ona jej nie potrzebował. Siostra nie była brzydka, utrzymywała też siebie w czystości. Była nadzwyczajną czyścioszką. Ta skłonność do czystości wraz z upodobaniem do muzyki należały do cech szczególnych jej choroby. Pośród chłopców w wiosce stryja byli tacy, którzy przychodzili popatrzeć, jak siostra słucha muzyki. Gdy tylko rozbrzmiewała muzyka, siostra zamieniała się w istotę nie mającą niczego poza uszami. Wszystko inne nie dochodziło w ogóle do jej świadomości. Podglądający byli bezpieczni. Ale kiedy łapałem na gorącym uczynku takich chłopaków, rzucałem się na nich i walczyłem jak szaleniec. Dla mnie siostra była jedyną istotą rodzaju żeńskiego. I musiałem jej gronie. Naprawdę, w ogóle nie utrzymywałem kontaktów z dziewczętami w wiosce stryja, i nawet gdy poszedłem do liceum w sąsiedniej wsi, nigdy nie rozmawiałem z koleżankami z klasy. O sobie i siostrze wymyśliłem rodzaj opowieści, w której występowała para arystokratów samotnie wędrujących po obcym kraju, czuliśmy więc ogromną dumę z tego powodu, że mamy rodzinę pochodzącą od pradziadka i jego młodszego brata. Jeśli patrzysz na to ze współczuciem, to możesz uznać, że zrobiłem to po to, aby otrząsnąć się z kompleksu przebywania z siostrą na łasce rodziny stryja. Wpajałem więc siostrze, że jesteśmy dwojgiem ludzi wybranych, że nie możemy i nie powinniśmy interesować się innymi ludźmi, tylko sobą. Niektórzy dorośli, widząc nasze zachowanie, mówili, że to rodzeństwo śpi ze sobą. Mściłem się obrzucając kamieniami ich domy. Ale nie mieli racji, dopiero plotka podsunęła mi tę myśl. Byłem siedemnastoletnim licealistą o umyśle niezbyt dojrzałym, pełnym fantastycznych pomysłów, samotnikiem podatnym na tego rodzaju sugestie. Pewnego wieczoru na początku lata upiłem się. Był to dzień zakończenia siewu ryżu w rodzinie stryja, w jego domu zebrali się wszyscy sąsiedzi, którzy pomagali, i pili sake. Ja, niby samotny

arystokrata, nie pomagałem im w pracach polowych, ale więcej chłopcy pociągali mnie ze sobą i tak napiłem się trochę po raz pierwszy w życiu, potem zupełnie się upiłem. Zobaczył to mój stryj, skrzyczał mnie, więc wróciłem do oficyny. Na początku siostrę bawiło moje zamroczenie i śmiała się ze mnie. Ale kiedy w domu stryja rozpoczęły się śpiewy i muzyka pijanych chłopów, nagle się przeraziła. Zakryła uszy, skurczyła się jak słuchotka, mimo to nie mogła znieść wrzawy i jęczała jak niemowlę. A tamci, jak już raz się upili i zaczęli śpiewać swoje rozpustne wulgarne piosenki, śpiewali je prawie do rana; rozwścieczyli mnie strasznie, czułem nienawiść do wszystkich ludzi. Aby uspokoić siostrę, wziąłem ją w ramiona i nagle poczułem dziwne podniecenie. Wtedy to doszło do zbliżenia seksualnego między nami.

Milczeliśmy wstydząc się strasznie tego, że jesteśmy braćmi, wstrzymaliśmy oddechy leżąc bez ruchu w ciemności, próbując ukryć się przed czymś niewymownie wielkim, strasznym i groźnym, co może nadejść i zdemaskować nas. Poczulem, że chciałbym krzyknąć „nie!, nie!”, jak krzyczała ta dziewczyna - jeśli wierzyć słowom Takashiego - biedna umierająca dziewczyna, gdy bił ją kamieniem w głowę. Czułem się jak w czasie złego przebudzenia, kiedy wydawało mi się, że ciało i kości rozsypują się na części i nie mogę z tego ciała przeszywanego tępym bólem wycisnąć nawet zwykłego krzyku.

- Nie byłoby żadnym tłumaczeniem twierdzenie, że byłem pijany, kiedy pierwszy raz miałem z nią stosunek. Bo następnego dnia na trzeźwo powtórzyłem to samo - ciągnął dalej Takashi powoli, cichym, prawie zamierającym głosem. -Najpierw siostra nie lubiła tego, a poza tym bała się. Nie wiedziała wcale o tym, że przecież mogłaby mi odmówić. Czułem, że z trudem opanowuje ból, ale ja straciłem głowę z pożądania i strachu i już w ogóle nie potrafiłem spojrzeć na to z jej strony. Żeby siostra przestała się bać stosunku seksualnego, z komory w domu stryja przyniosłem obrazki erotyczne i wyjaśniłem jej, że tak robią wszystkie małżeństwa. Kiedy w ciągu dnia przebywałem w szkole, najbardziej się bałem, żeby samotnie pozostająca w domu siostra nie zdradziła tej tajemnicy domownikom stryja. Więc powiedziałem jej, że jeśli obcy dowiedzą się o tym, co robimy będąc rodzeństwem, spotka nas straszna kara; wyszukałem w słowniku rysunku średniowiecznego palenia na stosie i pokazałem siostrze. I powiedziałem jej, że jeśli będziemy uważać, aby inni się o tym nie dowiedzieli, będziemy mogli żyć zawsze razem. A ponieważ pragnęliśmy tego z całego serca - powiedziałem jej - więc wszystko będzie dobrze, jeśli uda nam się to robić tak, żeby inni się nie dowiedzieli. I rzeczywiście tak myślałem. Wierzyłem, że jeśli tylko zdecydujemy się żyć razem, zjednoczeni przeciw społeczeństwu, to będziemy swobodni i będziemy mogli robić to, czego sami pragniemy. Do tego czasu siostra obawiała się chyba, że będzie musiała żyć samotnie, kiedy ja się ożenię i odejdę od niej. Przypomniałem jej jeszcze raz, że matka przed śmiercią powiedziała, żeby zawsze trzymała się mnie. Wierzyła niejasno, że jeśli oddali się ode mnie, nie będzie mogła poradzić sobie w życiu. Odwracając się plecami do wszystkich ludzi, zjednoczeni przeciw społeczeństwu, będziemy mogli żyć zawsze razem. Gdy przekonywałem ją o tym słowami, które mogła zrozumieć, siostra naprawdę się cieszyła. Tymczasem w stosunkach seksualnych, którym dotąd poddawała się niechętnie, zaczęła przejawiać inicjatywę. Przez pewien okres żyliśmy w nastroju szczęśliwych kochanków, pędząc dni prawie absolutnie doskonale. W każdym razie później nigdy już nie byłem tak szczęśliwy. Odkąd siostra się zdecydowała, była bardzo dzielna i nigdy nie traciła ducha. Z dumą mówiła, że odtąd aż do śmierci będziemy razem żyli tylko we dwoje. I wtedy... zaszła w ciążę. Zauważyła to ciotka. Gdy zwróciła mi na to uwagę, omal nie oszalałem ze strachu. Wierzyłem, że jeśli by wyszły na jaw moje stosunki płciowe z siostrą, to umarłbym ze wstydu. Ale ponieważ ciotka w ogóle mnie nie podejrzewała, w

końcu popełniłem niewybaczalnie podłą zdradę. Byłem potwornym intrygantem bez szczypty odwagi, niewartym tak uczciwej siostry. Rozkazałem jej, żeby powiedziała, że zgwałcił ją ktoś ze wsi, czyjego nazwiska nie zna. Postąpiła tak, jak jej powiedziałem. Następnie stryj zawiózł ją do miasta prowincjonalnego, kazał jej zrobić skrobankę i operację sterylizacyjną. Siostra wróciła całkowicie rozbita nie tylko wskutek przeżyć związanych z operacją, lecz także z powodu nieustannego lęku wywołanego warkotem silników samochodowych w mieście. dzielnie jednak trzymała się moich poleceń i nie powiedziała ani słowa o nas. Podczas pobytu w hoteliku w mieście prowincjonalnym stryj zdaje się dręczył ją, osobę, która nigdy przedtem nie skłamała, każąc jej przypomnieć sobie wygląd chłopca, który ją zgwałcił.

Powiedziawszy to Takashi znów się rozplakał. Nie mógł się zupełnie uspokoić i, ciągle cicho szlochając, opowiadał najbrutalniejsze doświadczenie swego życia. Słuchałem go zupełnie biernie, leżąc jak godna pożałowania zasuszonego ryba, skurczony i złamany z zimna i bólu głowy.

- To zdarzyło się tej nocy. Zbyt przerażona, żeby się opanować, oczekiwała ratunku jedynie ode mnie. To chyba naturalne, prawda? Ponieważ stosunek stał się już dla nas zwyczajem, siostra zapragnęła w nim szukać pociechy. Ale nawet ja, mający wówczas niezbyt dokładną wiedzę o sprawach seksualnych, rozumiałem, że po tego rodzaju operacji nie wolno mieć stosunku. Opanował mnie strach przed samym jej narządem płciowym, zranionym wewnątrz, i zacząłem odczuwać fizjologiczną odrazę. Czyż nie było to równie naturalne? Ale ten mój zdrowy rozsądek nie trafiał do przekonania siostry. Gdy po raz pierwszy odrzuciłem jej pragnienie, stała się nagle bardzo uparta. Kładła się obok mnie i mimo sprzeciwu próbowała dotknąć penisa. Wtedy ją uderzyłem... Nikt w życiu dotąd jej nie uderzył... Nigdy nie widziałem człowieka tak zaskoczonego, tak bezradnego i smutnego... Po chwili siostra powiedziała: „Taka, to kłamstwo, co mi mówiłeś, to było złe, nawet jeśli nie mówiliśmy o tym innym.” I następnego ranka siostra popełniła samobójstwo... „Taka, to kłamstwo, co mi mówiłeś, to było złe, nawet jeśli nie mówiliśmy o tym innym.” Tak powiedziała...

Nawet najlżejszy odgłos nie dochodził z doliny. Zresztą każdy dźwięk i tak zostałby wchłonięty przez ciągle jeszcze nie naruszony śnieg w lesie. Nawet ten śnieg, który stopniał i zaczął odpływać, znowu stwardniał na mrozie. A mimo to między czarnymi wysokimi ścianami otaczającego lasu wydaje się przebiegać ostry głos, o częstotliwości zbyt wysokiej, by mogło go uchwycić ludzkie ucho. Sprawia wrażenie krzyku dziwnie wielkiego potwora, którego zwinięte ciało wypełnia próżnię ponad niecką. Pewnej zimy w dzieciństwie, rankiem po nocy, którą wypełniał ten głos tak intensywnie odczuwany, choć nigdy nie słyszany, znalazłem na dnie czystego strumyka płynącego przez dolinę ślad jakiegoś ogromnego węża i zadrzałem na myśl, że mogły to być właśnie ślady potwora, którego krzyki słyszałem przez całą noc. Teraz też czuję wszechogarniającą obecność tego krzyku, którego uszy nie słyszą. Moje oko, które nawykło już do mroku, w słabym świetle padającym od szyby okiennej wykrywa wokół niejasne czarne kształty. Całe wnętrze spichrza przepelniały jakieś sylwetki, przypominające pięćset karłowatych posągów uczniów Buddy, którzy osiągnęli nirwanę. Nie mogę oprzeć się złudzeniu, iż szepczą oni między sobą: „Myśmy słyszeli. Myśmy słyszeli.”

Nagle napadł mnie kaszel trudny do opanowania. I wydało mi się, że wszystkie błony, od gardła po tchawicę i płuca, pokryły się czerwoną wysypką. Mam gorączkę. Dlatego czuję, jakby całe ciało i wszystkie kości rozpadały się na części i sprawiały przy tym ostry ból. Kiedy wreszcie udało mi się opanować kaszel, Takashi również zdradzał

objawy wyzwolenia się ze skrajnego osłabienia, które głęboko przeniknęło jego duszę, i wtedy powiedział do mnie tonem bezbronnym i pełnym współczucia dla siebie:

- Mitsu, jeśli tylko nie będziesz się wtrącał, to na pewno skażę mnie na śmierć, nawet jeśli przeżyję jutrzejszy lincz. W każdym razie kiedy umrę, zlinczowany lub stracony, i tak oddam ci swoje oko, zrób więc operację wykorzystując moją siatkówkę. W ten sposób przynajmniej moje oko będzie żyło po mojej śmierci i oglądało rozmaite rzeczy. Da mi to pewną pociechę, chociaż spełnię tu tylko rolę zwykłej soczewki. Zrób to, Mitsu.

Nagły płomień sprzeciwu, trudny do przewyciężenia siłą woli, zapłonął we mnie od głowy po czubki palców u stóp, jakby przeszła mnie błyskawica. Krzyk lasu i małe czarne zjawy wypełniające spichrz zniknęły od razu.

- Nie, absolutnie nie wezmę twojego oka - powiedziałem z mocą, głosem drżącym z gniewu.

- Dlaczego? Dlaczego nie? Dlaczego nie weźmiesz mojego oka? - wykrzyknął Takashi żalonym głosem, w którym miejsce bezbronnej litości nad sobą zajęła przybierająca na sile podejrzliwość. - Mitsu, czy to dlatego, że jesteś na mnie wściekły za siostrę? Ale ty ją znałeś jako małe dziecko, prawda? Kiedy mieszkałem z siostrą cały czas w obcym domu, ty mogłeś żyć w dolinie korzystając z pomocy Jin, a za pieniądze zostawione przez rodziców pójść do liceum i na uniwersytet w Tokio, no nie? Gdybyś nie zagarnął tych pieniędzy dla siebie, moglibyśmy mieszkać razem w dolinie. Mitsu, ty nie masz prawa potępiać mnie za siostrę. Nie po to ci powiedziałem prawdę o siostrze, żebyś mnie sądził!

- Nie o tym mówię! - krzyknąłem łamiąc atak Takashiego, który przejawiał teraz nowe wojownicze podniecenie. - Nie chcę twego oka, bo nie jestem emocjonalnie do tego przygotowany, a poza tym, rozpatrując to bardziej praktycznie: ty nie umrzesz jutro zlinczowany ani w przyszłości nie zostaniesz przez sąd skazany na śmierć. Ty tylko chcesz wymierzyć sobie karę, doprowadzając do tak brutalnej śmierci, by obmyć się z poczucia winy za kazirodztwo i spowodowaną w rezultacie śmierć niewinnej osoby, przy tym bardzo pragniesz stać się jednym z „duchów” tej doliny i utrwalić się w pamięci jako człowiek gwałtu. Jeśliby ta fantazja się urzeczywistniła, to na pewno mógłbyś znów połączyć swą rozdartą osobowość i umrzeć zjednoczony. I zostałbyś może uznany za odrodzoną po stu latach postać ubóstwianego przez ciebie młodszego brata naszego pradziadka. Ale, Taka, ty wciąż kokietujesz, stawiając siebie w niebezpiecznej sytuacji, należysz jednak do tych ludzi, którzy na ostatni moment mają przygotowaną drogę wyjścia. Dzięki samobójstwu siostry, za co nie zostałeś ani ukarany, ani zawstydzony, mogłeś przeżyć ten czas z twarzą niewiniątka, a nonszalancja stała się twoim zwyczajem. Nie mam wątpliwości, że tym razem również przeżyjesz dzięki jakiemuś podłemu wybiegowi. A potem, gdy tak brzydko ujdiesz z życiem, będziesz usprawiedliwiał się przed cieniem zmarłej siostry mówiąc, że umyślnie postawiłeś się w sytuacji, z której jedynym wyjściem miał być lincz lub egzekucja, ale chcąc nie chcąc wyszedłeś z tego cało dzięki wścibstwu obcych - to jest twój sposób postępowania. To samo dotyczy twojego doświadczenia przemocy w Ameryce; w istocie nie byłeś w to absolutnie zaangażowany. Spodziewałeś się po prostu znaleźć pretekst, by dalej żyć spokojnie, zwolniony od bolesnych wspomnień. Wszystko, co zrobiłeś, to złapanie niegroźnej choroby wenerycznej, które posłużyło ci jako wytłumaczenie niepodjęmowania dalszego ryzyka podczas pobytu w Stanach. Nawet w przypadku tego brudnego wyznania, które właśnie uczyniłeś przede mną, gdybym zapewnił cię, że to też nie była absolutna prawda i że jedna wzmianka o tym nie byłaby równorzędna z koniecznością zabicia się, popełnienia przez ciebie samobójstwa czy popadnięcia w

szaleństwo i przekształcenia się w potwora - czyż nie czułbyś się natychmiast uratowany? Choć może było to nieświadome, ale opowiadając miałeś chyba nadzieję, że zaakceptuję ciebie takiego, jakim jesteś, wraz z wszystkimi doświadczeniami przeszłości i w ten sposób za jednym zamachem wyzwolę cię ze stanu rozdarcia? Czy masz na przykład odwagę wyznać to wszystko o śmierci siostry jeszcze raz jutro rano przed ludźmi doliny? Byłaby to najniebezpieczniejsza odwaga, ale nie sądzę, żeby mogło się to zdarzyć. Nawet jeśli nie uznajesz tego świadomie, to jednak zakładasz, że jakoś tam wyjdiesz cało z jutrzejszej rozprawy. A kiedy rozpocznie się proces, będziesz wołał ze szczerością, która może zwieść nawet samego ciebie, żeby skazali cię na śmierć. Lecz faktycznie zyskasz tylko na czasie siedząc bezpiecznie w izolatce aż dochodzenie potwierdzi, że chodzi tu po prostu o okaleczenie ciała ofiary zmarłej wcześniej w wypadku. Nie kłam mówiąc, że dasz mi swoje oko, jakbyś wierzył w swoją bliską śmierć. Wiesz, że rzeczywiście jestem człowiekiem potrzebującym oka choćby nawet od trupa: nie kpij z kaleki!

Takashi w mroku podniósł się z wyraźną trudnością, postawił strzelbę na kolanach i kładąc palec na spuście, odwrócił twarz w moją stronę. Myślałem, że mnie zastrzeli, ale nie poruszyłem się, czułem zbyt wielką pogardę dla umiejętności pozostawiania sobie drogi ucieczki z każdej przepaści, w którą pozwolił się wciągnąć, by miał zrobić na mnie wrażenie ten nagły przeskok w zagrażającą przemoc. Byłem daleki od strachu, mimo że widziałem chwiejącą się od wzburzonego oddechu broń i małą czarną głowę brata.

- Mitsu, dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz? Dlaczego czułeś do mnie zawsze taką odrazę? - zapytał Takashi głosem płaczącym z powodu bezsilnego żalu, usiłując niecierpliwie dostrzec w ciemności wyraz mojej twarzy. - Nienawidziłeś mnie przecież nawet przedtem, nim dowiedziałeś się, co zrobiłem siostrze i twojej żonie?

- Nienawidziłem? Ale przecież tu nie o to chodzi, co ja czuję, Taka. Przedstawiam ci po prostu obiektywną opinię, że nawet osoba, która - tak jak ty - lubi żyć w pogoni za dramatycznymi cieniami, nie może podtrzymywać w sobie bez końca tak niebezpiecznego napięcia, jeśli, powiedzmy, nie zwariowała. Weź na przykład naszego najstarszego brata; być może był na wojnie człowiekiem brutalnym, ale gdyby wrócił do domu żywy, to na pewno odrzuciłby od razu przeszłość i z największą łatwością powróciłby do spokojnej rutyny codziennego życia. W przeciwnym razie po każdej wielkiej wojnie cały świat zalałaby powódź brutalnych przestępców. A brat pradziadka, który jest dla ciebie największym oparciem, był przywódcą buntu odpowiedzialnym za rzeź, który w końcu zostawił kolegów ich tragicznemu losowi i tylko sam jeden ratował się ucieczką przez las. Czy wierzysz w to, że potem znowu rzucił się w niebezpieczne wiry i żył brutalnie tylko po to, by usprawiedliwić swój obraz człowieka przemocy? Wcale nie. Czytałem list, który napisał, i wiem, że nie był potem człowiekiem kierującym się przemocą, a co więcej, w duchu nawet nie podtrzymywał aspiracji przywódcy buntu. Nie mówię, że ukarał siebie w ten sposób. On po prostu zapomniał o swoich doświadczeniach z okresu buntu i spędził ostatnie lata życia jak przeciętny obywatel. Próbował różnego rodzaju podstępnych sztuczek chcąc pomóc ukochanemu kuzynowi w uzyskaniu zwolnienia z wojska, ale w końcu nie powiodło mu się. Wydaje się, że były przywódca powstania umarł spokojnie w łóżku myśląc ze smutkiem o swym kuzynie, który zaginął bez wieści, odkąd został skierowany do walki pod Weihaiwei. W rzeczywistości umarł jak baranek i absolutnie nie kwalifikuje się na żadnego „ducha”. Taka, ty też jutro rano nie zostaniesz zlinczowany, zejdiesz do doliny, żeby opatrzyć zranione palce, tam cię aresztują i albo otrzymasz wyrok z zawieszeniem, albo odsiedzisz trzy lata i staniesz się całkowicie spokojnym, normalnie żyjącym członkiem

społeczeństwa. Żadna fantazja nie biorąca tego pod uwagę w końcu nie ma sensu. Ty też nie wierzysz dostatecznie mocno w to, co mówisz. Taka, nie jesteś już w tym wieku, by rozgrzewać krew tego rodzaju heroicznymi fantazjami. Już nie jesteś dzieckiem.

Wstałem samotny w mroku i wyczuwając stopami schody, powoli zszedłem na dół. Za sobą usłyszałem znów ponury głos Takashiego i pomyślałem, że tym razem może mnie zastrzelić, ale nie czułem strachu przed grożącą mi przemocą dostatecznie konkretnie, uświadomiłem sobie tylko nieprzyjemną gorączkę wewnątrz siebie i ból wszystkich części ciała.

- Mitsu, dlaczego tak mnie nienawidzisz? Dlaczego żywisz do mnie tyle odrazy? Czyż nie zostaliśmy sami, tylko dwaj żyjący bracia z rodu Nedokoro?

W domu żona nadal piła whisky, zapatrzona nieprzytomnie przed siebie oczyma całkowicie przekrwionymi, podobna do kobiety pożerającej ludzi z koreańskiej baśni. Za rozsuniętym przepierzeniem Hoshio leżał obok Momoko; spał na brzuchu jak pies, który padł z wyczerpania. Usiadłem w polu widzenia mojej żony, wziąłem whisky spomiędzy jej kolan i wypilem łyk wprost z butelki; mimo że znów dostałem napadu kaszlu, ona nadal unosiła się na wzburzonym morzu swego zamroczenia alkoholowego, nie dostrzegając związku między sobą a moją obecnością.

Zobaczyłem, że z czarnych przekrwionych oczu żony popłynęły łzy i potoczyły się po wyschłej skórze policzków. Po pewnym czasie rozległ się strzał w spichrzu - odbijające się echo przeleciało ponad lasem pogrążonym w ciemności. Kiedy biegłem boso przez podwórze, rozległ się drugi strzał. Omal nie zderzył się ze mną pustelnik Gii, który wybiegł z komórki z panicznym pośpiechem - przestraszyliśmy się siebie wzajemnie. Od stóp schodów zawołałem w stronę piętra, gdzie teraz paliło się światło.

- To ja, Mitsu. Sprawdzam siłę i obszar rażenia poszczególnych odmian naboju przygotowując się do jutrzejszej walki ze stworzonym przez moją wyobraźnię motłochem - doszedł do mnie spokojny głos Takashiego, ponownie uzbrojonego psychicznie.

Wracając do domu, powiedziałem dzieciom Jin, stojącym bez słowa i bez ruchu na podwórzu, że nic się nie stało. Żona, równie obojętna na strzały, jak i na moje nagłe odejście, nie odrywała wzroku od szklanki, w której czerniła się whisky z wodą; jej odchylona do tyłu twarz wyglądała jak z brązu. Hoshio i Momoko poruszyli się niespokojnie i znów usnęli. Po trzydziestu minutach rozległ się nowy huk wystrzału. Dziesięć minut czekałem na czwarty strzał. Następnie włożyłem buty z cholewami na brudne nogi i skierowałem się w stronę spichrza. Na moje wołanie z dołu schodów Takashi nie odpowiedział.

Ruszyłem biegiem po schodach uderzając głową wiele razy to tu, to tam. W głębi na wprost leżał mężczyzna opierając się lekko o ścianę. Skóra na jego głowie i gołych piersiach była popękana i pokrwawiona, jakby składała się z ziaren owocu granatu - mężczyzna wyglądał jak wielki jasnoczerwony posąg gipsowy normalnego wzrostu, ubrany tylko w spodnie. Machinalnie ruszyłem z miejsca chcąc się do niego zbliżyć; jęknąłem, gdy strzelba myśliwska uwiązana do wielkiej belki z drzewa keyaki uderzyła mnie mocno powyżej ucha. Żyłka z nici jedwabnika łączyła spust strzelby ze zwisającym nad matą palcem czerwonej lalki gipsowej. Na ścianie, na wysokości, skąd mężczyzna musiał patrzeć prosto w otwór lufy, zakreślony był czerwonym ołówkiem zarys głowy i ramion ludzkich, a na głowie wyraźnie wyrysowanych było tylko dwoje wielkich oczu. Podeszedłem jeszcze krok do przodu i wyczuwając pod stopami śrut i kleistą krew, zobaczyłem, że zarysowane ołówkiem kółka były wypełnione gęsto śrutem, więc

wydawało się, że patrzyło na mnie z orbit dwoje ołowianych oczu. Na ścianie obok rysunku tyłowy widać było napis wykonany tym samym czerwonym ołówkiem:

Powiedziałem prawdę Zmarły mężczyzna wydał głęboki jęk. Klękając we krwi dotknąłem postrzępionej i okrwawionej twarzy Takashiego i przekonałem się, że na pewno już nie żył. Opanowało mnie wrażenie fałszywej pamięci, bo wydało mi się, że z takimi zmarłymi w tym spichrzu spotkałem się już wielokrotnie.

13. Proces rewizyjny

Zerwał się wiatr, mokry i ciężki, całą noc krążył po dolinie pośród lasu, bez ustanku wdzierał się i tworzył wiry w piwnicy, w której leżałem skulony. Kiedy się zbudziłem z krótkiego i niespokojnego snu, poczułem, że gardło mam opuchnięte, ściśnięte i zbolące, ale odurzenie alkoholowe minęło, mój mózg, rozgorączkowany i nabrzmiały przed snem, skurczył się teraz do normalnych rozmiarów, a pozostawioną przez to szczelinę wypełniało ponure przygnębienie; w głowie czułem jasność tak intensywną, że aż bolesną. Dzięki funkcjonującemu nawet w czasie snu instynktowi samoobrony, moje ramiona i piersi przykryte były kocem; teraz więc, przytrzymując koc jedną ręką, drugą wyciągnąłem w ciemność poza kolana, odszukałem butelkę po whisky i pociągnąłem łyk wody. Wydało mi się, że woda napelniła chłodem płuca i ciężko zboląłą wątrobę. W moim śnie Takashi stał we mgle pięć metrów przede mną i znów wyglądał jak pokruszona gipsowa kukła, której górna część ciała przypomina dojrzały pęknięty owoc granatu. Jego oczodoły usiane były niezliczoną ilością połyskujących ziarenek śrutu, co sprawiało wrażenie potwora o żelaznych oczach. Stał w jednym kącie trójkąta równoramiennego, którego wierzchołek stanowiłem ja, a w drugim kącie stał przygarbiony mężczyzna o bladej ziemistej cerze i milcząc patrzył na nas. Widocznymi z pozycji moich oczu, gdy siedziałem skulony w kucki trzymając głowę niżej kolan, obaj wyglądali jakby stali na podwyższeniu sceny. Siedziałem w środku pierwszego rzędu w teatrze, którego sufit był nieproporcjonalnie wysoki w stosunku do wielkości widowni, na scenie natomiast stały oba duchy. Wysoko ponad ich głowami, jakby z odbitej w lustrze w głębi sceny galerii, widziałem tłum starców w czarnych ubraniach i nasuniętych na uszy kapeluszach, którzy wyglądali jak grzyby rosnące obok siebie w jakimś ciemnym wilgotnym miejscu. Jeden z nich był kiedyś niewątpliwie moim przyjacielem, który powiesił się pomalowawszy głowę na czerwono, drugi natomiast niemowłkiem nie przejawiającym więcej reakcji niż roślina.

- Nasz proces rewizyjny jest twoim procesem! - krzyknął z triumfującą nienawiścią Takashi ze sceny, otwierając szeroko ciemnoczerwoną jamę ustną, która była po prostu dziurą o odstrzelonych wargach. Gdy starcy z galerii, wyglądający na członków sądu przysięgłych, zorganizowanego raczej przez samego Takashiego, zdjęli kapelusze i znacząco i groźnie pomachali w stronę belki z drzewa keyaki znajdującej się tuż ponad nami, przebudziłem się wyczerpany i zrozpaczony.

Podobnie jak jesienią ubiegłego roku, gdy spędziłem pewien czas o świcie, obejmując kolana, w jamie przeznaczony na zbiornik na śmiecie za domem, tak i teraz trzymałem kolana w objęciach siedząc bez ruchu w kamiennej piwnicy, którą odkrył i wydobył z zapomnienia „cesarz”, wykonując wstępne pomiary przed rozebraniem spichrza. Przed pomieszczeniem, w którym teraz siedziałem, znajdował się jeszcze jeden pokój z ubikacją i studnią. Byłoby więc możliwe, aby ktoś żył tutaj w dobrowolnym odosobnieniu, ale teraz studnia była już zasypana i nie zdradzała obecności wody,

ubikacja również z jednej strony się zawaliła i uległa zablokowaniu. Z dwu kwadratowych otworów wydzielala się woń wielu milionów zarodników pleśni. Wśród nich mogą się znajdować grzybki penicyliny. Zjadłem kanapkę z wędliną, popiłem whisky i spałem na siedząco. Gdybym przewrócił się na bok w czasie snu, zraniłbym się w głowę uderzając o podtrzymujące podłogę spichrza drewniane słupy, tak liczne tutaj jak drzewa w lesie. Ich kanty pozostały nadal ostre i twarde.

Jest jeszcze środek nocy. Dziś wczesnym rankiem, gdy przyszła wiadomość, że „cesarz” supersamów przybędzie w dolinę po raz pierwszy po „buncie”, zerwał się wiatr i szalał w lesie i dolinie; ten pierwszy południowy wiatr ogłaszający koniec zimy wiał do późnych godzin nocnych. Gdy patrzyłem przez szczeliny w podłodze nad głową i starałem się dostrzec przestrzeń za wyjętą od strony doliny parterową ścianą spichrza, okazało się, że pole widzenia blokował mi czarny las. Rano nie było chmur na niebie, ale gęsta zasłona żółtawego pyłu od strony lądu utrzymywała się wysoko i osłabiała jasność promieni słonecznych. Nawet kiedy wiatr się wzmógł, niebo pozostało zaciemnione, i tak zapadła noc. We wzbierających podmuchach wiatru las huczał jak rozszalałe morze i wydawało mi się, że dudniła również ziemia w lesie. Od czasu do czasu można było odróżnić specyficzne izolowane odgłosy z rozmaitych kierunków, wydobywające się niby piana na powierzchnię. W pasie środkowym między lasem a doliną rośnie kilka wysokich drzew, które wiążą się ze wspomnieniem z dzieciństwa: one też jęczą na wietrze wydając indywidualne odgłosy podobne do ludzkiego krzyku. Wiedziony odgłosem natrafiłem na wspomnienie związane z grupą tych olbrzymich drzew. Nie jest ono tak skomplikowane i głębokie jak wspomnienie o starcach doliny, z którymi w dzieciństwie rozmawiałem najwyżej raz albo dwa razy, ale z niewiadomych powodów zdarzenia tego nie zapomniałem; drzewa-olbrzymy ożywają w pamięci łącznie z indywidualnym „obliczem”. Pewnego dnia stary pracownik ze sklepu sprzedającego sos sojowy, człowiek należący do innej warstwy społecznej niż ja, z którym dotychczas nigdy nie rozmawiałem, zaskoczył mnie na ścieżce prowadzącej na brzeg rzeki obok magazynu, w którym warzył się ten sos; rozgniewany szarpałem się na próżno, gdy wykrczał mi ręce i długo i uparcie starał się wbić w moje uszy potok słów obleśnych, obraźliwych, naigrawając się z szaleństwa mojej matki. I równie wyraźnie jak pamiętam twarz tego starca, podobną do głowy rudego psa, widzę jeszcze teraz stare drzewo kasztanowe, które rosło na zboczu góry za domem.

Kiedy słuchałem jego szumu, to drzewo krzyczące i uginające się pod naporem wiatru nadpłynęło ze wszystkimi szczegółami, całe i żywe, na ekran reprodukujący pamięć.

Rankiem, kiedy jeszcze nie wiał tak silny wiatr, leżałem w półmroku, obok paleniska, słuchałem głośnego szumu drzew zastanawiając się, czy przed opuszczeniem doliny pójść i je zobaczyć. Gdy zdałem sobie sprawę z tego, że później już chyba nigdy ich nie ujrzę, zrozumiałem jednocześnie, jak bardzo wątpliwa jest zdolność widzenia mojego oka, co z kolei przywiodło wyjątkowo jasną i wyraźną świadomość śmierci czekającej na mnie pewnego dnia. Jednak myśli miałem zajęte głównie dwoma listami proponującymi pracę: jeden od mojego byłego profesora z uniwersytetu w Tokio, a drugi z biura ekspedycji udającej się do Afryki, by chwycić zwierzęta dla publicznego zoo, które miało być założone na prowincji. Profesor oferował mi prowadzenie wykładów z literatury angielskiej na dwu prywatnych uniwersytetach, które to stanowiska przygotował początkowo dla mnie i mojego zmarłego przyjaciela. Propozycja zatrudnienia była obietnicą ustabilizowanej przyszłości. List z biura ekspedycji afrykańskiej od uczonego w wieku brata S., który zrezygnował z posady docenta w pracowni zoologii na rzecz zorganizowania ogrodu zoologicznego, był niecierpliwym wezwaniem niosącym zapach

niebezpieczeństwa. Był to ten sam człowiek, który w rubryce recenzji wielkiej gazety chwalił mój przekład książki poświęconej opisowi polowań na zwierzęta. Spotkałem go kilka razy - był on tego rodzaju człowiekiem, który jako świeżo upieczony kapitan wsiadłby na statek od początku skazany na zatonięcie, opuszczony już nawet przez szcury. Teraz chciał, żebym się przyłączył do ekspedycji afrykańskiej jako odpowiedzialny tłumacz. Pierwszy list był chyba dla mnie ostatnią szansą powrotu do zawodu, ponieważ po śmierci przyjaciela rzuciłem posadę wykładowcy, nawet nie poinformowawszy o tym uniwersytetu, na którym zresztą skończyłem studia i od którego otrzymałem tę posadę. Poza tym skoro Takashi sprzedał dom i ziemię i nie zostawił mi pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży, nie ma wątpliwości, że wcześniej czy później muszę wybrać sobie zawód, a posada wykładowcy wydaje mi się najodpowiedniejsza; mimo to wciąż się waham. Żona, która z telegramu ponaglącego dowiedziała się o obu propozycjach, zaczęła mówić o nowych możliwościach pracy, mimo że dotąd w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy.

- Jeśli interesuje cię praca w Afryce, to możesz jechać, Mitsu. - Gdy usłyszałem, że mówi o tym tak bezpośrednio, od razu przeczulem ogrom nieprzyjemnych ciężarów, jakie niesie ze sobą tego rodzaju nowa praca.

- Z pewnością funkcja „odpowiedzialnego tłumacza” oznacza nie tylko tłumaczenie tekstów, lecz także wydawanie poleceń tubylcom, bagażowym czy robotnikom obozowym. Będę musiał w swoim żalonym swahili wykrzykiwać „idź!, idź!” i temu podobne - powiedziałem tonem głęboko zrezygnowanym, a poza tym wyobrażałem już sobie coś znacznie bardziej ponurego. Oto widzę, jak spływam krwią z powodu uderzenia skronią, kośćmi policzkowymi, a nawet niewidzącym okiem o drzewa afrykańskie przypominające z wierzchu żelazo czy twardy kamień, który być może kryje w sobie diamenty, a na dodatek zapadam na ciężką malarię. Dostaję tak wysokiej gorączki, że odbieram jako obrazę karcące polecenia upartego naukowca, i doszczętnie wyczerpany, leżąc wprost na podmokłej ziemi, krzyczę również w swahili: „Jutro wyjeżdżam!”

- Jednak w porównaniu z posadą wykładowcy na uniwersytecie daje to może większą szansę na odkrycie nowego życia, Mitsu.

- Taka oczywiście by pojechał i schwytałby tam swoje nowe życie. Momo przecież mówiła, że w jego oczach ludzie wyjeżdżający do Afryki specjalnie po to, żeby łapać słonie, byli jedyną nadzieją ludzkości. Po całkowitym zniszczeniu wszystkich miejskich ogrodów zoologicznych w wojnie atomowej pierwszy mężczyzna, udający się w głąb Afryki, by łapać słonie, byłby jego iluzorycznym „Mister Ludzkości”.

- Naprawdę, Taka z pewnością od razu by przyjął tę pracę. Ale zdaję sobie sprawę z tego, że jesteś typem człowieka, który - przynajmniej z własnej woli - nie wybiera pracy związanej z koniecznością narażania się na niebezpieczeństwo. Człowiek, który podejmuje się takiej pracy, przeżywa jakieś niebezpieczeństwa, a po odpoczynku pisze książkę; twoim zadaniem, Mitsu, byłby więc jedynie przekład takiej książki.

Mówiła to tak, jakby dokonywała obiektywnej oceny zupełnie obcej osoby. Choć byłem przerażony tą jej chłodną siłą obserwacji, pomyślałem, że prawdopodobnie ma rację. Zamiast odkryć własne nowe życie, własny „dom pod strzechą”, wybiorę życie wykładowcy na anglistyce, którego wykładów ani jeden student poważnie nie potraktuje, którego znienawidzi cała sala, jeśli nie będzie opuszczał zajęć przynajmniej raz na kilka tygodni; będzie mieszkał jak zaniedbany rozvodnik (ponieważ nie ma już żadnych powodów, aby podtrzymać nasz stan małżeński), wyśmiewany przez studentów i przezywany „myszą”, tak jak ten badacz Deweya, z którym Takashi spotkał

się w Nowym Jorku. Po prostu rozpocznę życie, w którym jedyną zmianą będzie starość i śmierć.

Przed popełnieniem samobójstwa Takashi wyjął z kieszeni wszystkie banknoty i monety, włożył je do koperty zaadresowanej do Hoshio i Momoko i schował do szuflady stołu, aby ich nie zabrudzić własną krwią. Zaraz po pogrzebie Takashiego (gdy go chowaliśmy na ostatnim wolnym miejscu naszego rodzinnego grobu, włożyliśmy tam również prochy brata S.) Hoshio odrzucił propozycję pomocy ze strony młodzieży doliny, własnymi siłami przeprowadził citroena na drugą stronę tymczasowego mostu i z Momoko na sąsiednim siedzeniu odjechał drogą niebezpieczną z powodu stopniałego i zmieszanego z błotem śniegu. Przed odjazdem Hoshio zwrócił się do mnie i do żony, a stojąca potulnie obok niego, nadzwyczaj kobieca Momoko kiwała cały czas lekko głową na znak aprobaty dla mówiącego.

- Ponieważ Taki już nie ma, musimy odtąd radzić sobie sami, dlatego ożenię się z Momo. Chyba osiągnęliśmy już wiek, w którym prawo zezwala na zawarcie związku małżeńskiego, prawda? Znajdę gdzieś warsztat samochodowy, a jeśli Momo zostanie kelnerką w kawiarni, będziemy mogli się utrzymać. W przyszłości zamierzam założyć stację benzynową. Takashi radził, żebym założył taką, jaką on widział w Ameryce, w której można naprawić nawet dość poważne uszkodzenia i zjeść lekki posiłek. Ponieważ Taka już nie żyje, nie miałbym na kim polegać, jeśli nie trzymalibyśmy się razem!

Moglibyśmy poprosić o podwiezienie na tylnym siedzeniu citroena przynajmniej do miasteczka nad morzem i wraz z nimi opuścić dolinę, ale ja przeziębilem się i dostałem gorączki. Przez trzy tygodnie wydawało mi się, jakby narosła mi warstwa gąbki na gorących i swędzących rękach i nic nie mogłem podnosić. Kiedy wróciłem do zdrowia, żona zaczęła mówić, że nie wytrzyma wielogodzinnej podróży. Rzeczywiście, atakowały ją teraz mdłości i stany omdlenia. Naturalnie nie wątpiłem, na co się psychicznie przygotowała, na co oczekiwała całym swym ciałem, ale nie miałem ochoty o tym z nią rozmawiać. Dla nas należało to do spraw jak gdyby rozwiązanych.

Podczas gdy z niejasnym uczuciem rezygnacji myślałem o mojej nowej posiadce, żona w ciemności za piecem siedziała jak lalka obciążona u dołu. Poza nami w tym domu nie było nikogo, kto mógłby się włączyć w naszą rozmowę. Ostatnio jednak żona zwykle zapadała w głębokie milczenie i uciekała daleko poza sferę rozmowy. Po śmierci Takashiego początkowo przebywała w stanie wciąż odnawianego zamroczenia alkoholowego. Wkrótce jednak z własnej woli wyniosła na sedawę wszystkie pozostałe butelki whisky i cały czas, z wyjątkiem snu i posiłków, siedziała spokojnie w poprawnej pozycji na własnych piętach, rękami obejmowała brzuch i milczała z na wpół zamkniętymi oczyma. W zasadzie doradzała mi wyjazd do Afryki, ale były to chyba również czymś w rodzaju bezstronnego komentarza na temat wyboru dokonywanego przez nieznanego jej, obcego człowieka. Na świat świadomości żony nie rzucałem teraz zbyt mocnego cienia. Podobnie jak żona na moją świadomość.

Po południu najstarszy syn Jin, nieco skrzepowany milczeniem żony, powiedział:

- „Cesarz” supersamów z pięcioma młodymi mężczyznami przekroczyli most!

Już nikt w dolinie nie wierzył, że przyjedzie „cesarz” razem z grupą gangsterów. Gdy tylko rozpoczęło się topnienie śniegów, „cesarz” przysłał swego przedstawiciela, który rozwiązał w sposób najprostszy wszystkie skomplikowane problemy zrodzone przez bunt. Pierwszą ciężarówkę, jaka wjechała do doliny, załadował do pełna towarem i otworzył supersam. Przy tym nie żądał rekompensaty za towary zrabowane ani nie zameldował policji. Plan przedstawiony przez młodego kapłana i „Zjawę jeża morską”, którzy proponowali za wspólny kapitał bogatych mieszkańców doliny

wykupić prawa supersamu łącznie z poniesionymi stratami, został z miejsca odrzucony. Krążą też pogłoski, że w gruncie rzeczy formalny wniosek w tej sprawie wcale nie został wysunięty i przedstawiony „cesarzowi”. Zaraz po śmierci Takashiego główne siły podtrzymujące „bunt” uległy rozpadowi. Nie można było wywierać nacisku na „cesarza” dając mu do zrozumienia, że istnieje jeszcze możliwość odnowienia „buntu”. Również gospodynie z doliny i ludzie z „prowincji”, przepelnieni służalczą wdzięcznością i przeżywający skrywaną radość z tego powodu, że nikt ich nie prześladowuje za zrabowane rzeczy, potulnie kupowali żywność czy rozmaite przedmioty codziennego użytku po cenach przeciętnie dwadzieścia, trzydzieści procent wyższych niż przed „buntem”. Zrabowane większe przedmioty, takie jak urządzenia elektryczne, ludzie przynosili w tajemnicy jeden za drugim i zwracali do sklepu, gdzie od razu wystawiano je po cenach niższych jako uszkodzone i sprzedawano bardzo szybko. Teraz okazało się, że kobiety z „prowincji”, które biorąc udział w buncie wyrwały sobie tanie ubrania, mają znaczne zasoby gotówki i z wyjątkowym entuzjazmem biorą udział w wyprzedaży. Właściciele lasu odetchnęli z ulgą i znów zamknęli się w swoich egoistycznych muszlach.

Poszedłem w dolinę za synem Jin, czując w oczach bolesne ukłucia gęstego kurzu nawiewanego przez silny wiatr od gołych pól. Śnieg zniknął, ziemia wyschła i nie tylko z wymarłych ciemnobrązowych pól, gdzie siły pączkowania i kształtowania nowego życia były jeszcze słabe, ale również z wyżyn ciemnego, wiecznie zielonego lasu, leżącego za pasmem wielkich drzew liściastych, emanował nastrój przygnębienia, wywołujący we mnie poczucie lekkiego niepokoju, gdy tak patrzyłem z góry na dolinę. Kiedy spuściłem wzrok, zobaczyłem brudną szyję syna Jin idącego przede mną. Narażony był na porywy wiatru miotającego kurz, wypatrując przyjazdu „cesarza” supersamów; siedząc na wielkiej skale, pod którą umarła ta biedna pociągająca dziewczyna, przez długie godziny wpatrywał się w stronę mostu. W jego plecach mogłem wyczytać wrażenie wielkiego zmęczenia, nie pasujące do sylwetki dziecka, kiedy tak szedł szybkim krokiem ze zwieszoną głową. Wyglądał na członka przegranej rodziny. Niewątpliwie taką samą minę mają wszyscy mieszkańcy doliny, oczekujący na „cesarza” supersamów i jego ludzi. Dolina została pokonana.

Chłopiec nie pełniłby tak wytrwale funkcji obserwatora, gdyby moje zejście w dolinę i chęć spotkania się z „cesarzem” nie wiązały się z jego matką, która szybko zaczęła chudnąć i nic prawie nie jadła. W innym wypadku nie pracowałby chyba dla mnie. Śmierć Takashiego znów odcięła mnie od codziennego życia doliny. Nawet tutejsze dzieci nie próbują już śmiać się ze mnie.

Gdy doszliśmy do placu przed urzędem wioski, od razu spostrzegłem grupę „cesarza” supersamów. Sprawiała wrażenie, jakby wyminąwszy supersam szła prosto brukowaną drogą. Wielki mężczyzna, idący równym wojskowym krokiem, kopiąc poły czarnego długiego płaszcza sięgającego obcasów, był „cesarzem”. Widać nawet z daleka, że jego okrągła twarz pod czapką myśliwską, podobna do dużej torby, jest pulchna, zdrowa, o świeżej cerze. Otaczający go równie energiczni młodzi mężczyźni, idący dużymi krokami, dorównywali mu silną budową ciała. Ubrani w liche płaszcze, z obnażonymi głowami, kroczyli w ślad za przywódcą z dumnie wypiętymi piersiami i uniesionymi głowami. Przypominają mi wyraźnie obrazek z dnia, w którym po raz pierwszy przyjechał do doliny dżip z żołnierzami okupacyjnymi. Grupa „cesarza” jest podobna do obcych wkraczających tutaj z wyniosłą dumą w tamten spokojny poranek w środku lata. Również tamtego poranka, kiedy, po raz pierwszy na własne oczy przekonali się o upadku państwa, mężczyźni doliny, nie nawykli jeszcze do wczuwania

się w rolę okupowanych, zlekceważyli obcych żołnierzy i choć kontynuowali swoje codzienne prace, to jednak z trudem skrywali przepelniający ich wstyd. Tylko dzieci szybko przystosowały się do nowej sytuacji, biegały za dżipem i krzyczały „halo, halo”, wykorzystując umiejętności nabyte w szkole narodowej na wypadek sytuacji wyjątkowej, i dostawały W prezencie konserwy i cukierki.

Również dzisiaj dorośli, którzy na brukowanej drodze mieli nieszczęście spotkać maszerującego „cesarza” supersamów, odwracali i zwieszali głowy jak zalęknione kraby, pragnące pochować się w norach. W dniu „buntu” wyzwolili z siebie siłę akceptującą „wstyd” z otwartym czołem - i to ich łączyło. Lecz „wstyd” dręczący ich teraz po kapitulacji nie był „wstydem” tego rodzaju, by mógł zmienić się w sprężynę nienawiści. Jest to „wstyd” przygnębiający, wstrętny, bezsilny. „Cesarz” supersamów i jego podwładni, stąpając po rozrzuconych na drodze kamieniach „wstydu” ludności doliny, kontynuowali swój ostentacyjny marsz. Różnica między nędznym „duchem” w smokingu i bez koszuli, a rzeczywistym „cesarzem” supersamów wywołała we mnie spazm prawie osobistego „wstydu” na myśl o tym, co by było, gdyby chłopiec z doliny musiał w przebraniu „ducha” czekać na idącego pod górę autentycznego „cesarza”. Grupy dzieci biegły za maszerującymi utrzymując dużą odległość - one też milczały, jakby zasłuchane w wycie wiatru szalejącego na wyżynach i spadającego w dół po spirali. Podobnie jak my w dzieciństwie, one najszybciej dostosowują się do nowej sytuacji w dolinie; były jednak uczestnikami „buntu” i z tego też powodu straciły prawo głosu przeżywając „wstyd” w takim stopniu, w jakim mieści się on w dziecięcych głowach.

W końcu „cesarz” spostrzegł moją obecność. Bądź co bądź byłem jak dotąd jedynym człowiekiem czekającym na niego z podniesioną twarzą i bez lęku przyjmującym jego spojrzenie. Gdy „cesarz” wraz z towarzyszącymi mężczyznami, których rysy twarzy świadczyły wyraźnie o tym, że należą do tej samej narodowości, zatrzymał się przede mną i w milczeniu skierował na mnie duże oczy, osadzone szeroko nad gęstymi dolnymi rzęsami, czoło między brwiami przecięły pionowe zmarszczki, wskazujące na koncentrację uwagi. Jego podwładni, również milczący, patrzyli na mnie i ciężko dyszeli wypuszczając bielejące smugi pary z ust.

- Jestem Nedokoro, starszy brat Takashiego, który miał z panem wspólne interesy. - Rozpocząłem wbrew woli zachrypniętym głosem.

- Jestem Pek Sungi - odpowiedział „cesarz” supersamów. - Bardzo panu współczuję w związku z bratem. Taka tragedia! To był szczególny chłopiec!

Z zaskakującym mnie wzruszeniem i podejrzliwością spojrzałem na jego szeroko otwarte oczy, patrzące prosto na mnie z melancholią wzbierającą na całej twarzy, pełnej, rozlanej i jowialnej. Takashi ani mnie, ani żonie nie powiedział, jak wygląda „cesarz” supersamów; oszukał nie tylko nas, ale i mieszkańców doliny reżyserując „cesarza” jako podłego „ducha”, a przecież w rzeczywistości ten Koreańczyk na pewno wywarł na nim silne wrażenie i chyba to Takashi powiedział do niego: „Pan jest mężczyzną szczególnym.” Czuję, że „cesarz” użył teraz tego samego określenia, jak gdyby chcąc się zrewanżować za słowa pochwały ze strony zmarłego Takashiego. Jego brwi były gęste i grube, miał też potężny nos, ale czerwone, wilgotne i małe wargi wyglądały dziewczęco, uszy były świeże jak roślinki, co nadawało całej jego twarzy wyraz młodszej siły. Kiedy tak patrzyłem w milczeniu, Pek uśmiechnął się po prostu, dobrodusznie i zachęcająco, obnażając zęby.

- Szedłem właśnie na dół, bo mam do pana prośbę.

- A ja wspinałem się pod górę obejrzeć spichrz, a poza tym chciałem złożyć kondolencje z powodu brata. - Pek uśmiechając się miał nadal zmarszczki między brwiami.

- Ja w sprawie rodziny tego chłopca mieszkającej w oficynie, teraz jego matka jest chora, dlatego chciałbym, żeby pan odłożył na później rozbieranie tej oficyny.

- Matka mówi, że do lata bardzo schudnie i umrze! -Chłopak Jin uzupełnił moje objaśnienia. - Uszkodziła sobie wątrobę jedząc konserwy, już schudła o połowę, teraz już nic nie je! To nie potrwa długo!

Pek przestał się uśmiechać i uważnie obserwował chłopca. W odróżnieniu ode mnie chłopiec nie jest obcym, który przybył tu na pewien tylko okres spoza doliny. Pek więc potraktował go z powściągliwym zainteresowaniem, zupełnie innym od towarzyskiego tonu rozmowy prowadzonej ze mną. Ale wkrótce, jakby sam siebie skarcił, przywrócił wspaniałomyślny uśmiech wraz z niewidocznym, niemal samokarcącym zmarszczeniem brwi.

- Mieszkańcy oficyny mogą oczywiście w niej pozostać, o ile nie przeszkodzi to w rozbiórce i transporcie spichrza. Ale mogą być narażeni na różne niewygody i trochę pocierpieć podczas prowadzenia robót. - Następne słowa wyodrębnił pauzami, jakby zamierzał wyryć je dobitniej w pamięci syna Jin: - Ale jeśli zostaniecie tam po skończeniu robót przy spichrzu, wtedy już nie zapłacę wam rekompensaty za opuszczenie mieszkania.

Usłyszawszy to chłopiec oddalił się z wysoko podniesioną głową, jak rozgniewany kogut. W jego sercu odżyło teraz uczucie sprzeciwu wobec „cesarza”, a jego sylwetka oglądana od tyłu zdawała się podkreślać, że bezpowrotnie utracił ostatni okruszek jego przyjaźni, ponieważ nie sprzeciwił się słowom Peka.

- Zamierzamy usunąć część ścian spichrza i przeprowadzić wstępne rozpoznanie przed rozbiórką - powiedział Pek patrząc, podobnie jak ja, za odchodzącym chłopcem. - Przywiozłem ze sobą kilku studentów architektury.

Szliśmy w jednej grupie brukowaną drogą w stronę spichrza. Studenci, wszyscy piegowaci, na ciałach zapaśników dźwigający głowy mocne jak pociski armatnie, byli wyjątkowo niekomunikatywni, nawet po cichu nie rozmawiali ze sobą.

Pek powiedział:

- Jeśli zostały jakieś cenne rzeczy w spichrzu, proszę je zabrać.

Jedynie dla zachowania pozorów zabrałem stamtąd wachlarz Johna Manjiró, na którym napis był już zupełnie nieczytelny. Kiedy jeden z młodych wyjął narzędzia z torby, którą niósł na plecach, i rozłożył na ziemi przed spichrzem, przyglądające się temu dzieci cofnęły się, jakby ujrzały broń. Najpierw zdjęto drzwi spichrza, potem młodzi mężczyźni wynosili maty traktując je prawie ze czcią. Ale w połowie roboty, gdy Pek wydał polecenie po koreańsku, sposób ich pracy zaczął robić wrażenie demolowania. Kiedy obalili ścianę parterową od strony doliny, wyschnięta glina i spróchniałe deszczułki bambusowe, tworzące najważniejsze elementy ściany przez ponad sto lat, rozpadły się w pył i posypały się na moją głowę i na przyglądające się dzieci z doliny. Zdawało się, że chłopcy wymachujący kolejno młotem kowalskim wcale nie zwracali uwagi na równowagę reszty spichrza po obaleniu konstrukcji ściany. Podobnie zachowywał się Pek, który stał blisko i kierował pracą, zupełnie obojętny na sypiący się na niego kurz. Wygląda to wszystko na zamierzone brutalne wyzwanie rzucane ludziom tej doliny. Burząc młotami spichrz, jako najstarszy zachowany symbol codziennego życia tej doliny, Pek i jego ludzie zdają się sugerować, że mogliby zniszczyć życie całej doliny, gdyby tylko przyszła im na to ochota. Dzieci przyglądające się z

zapartym tchem tej operacji domyślały się tego również, gdyż nikt z dorosłych wioski nie przyszedł zaprotestować, mimo że kurz napływał w dolinę jak powódź. Spichrz, który stał już sto lat, mimo że chylił się i rozpadał, w dalszym ciągu podtrzymywał dachówki tak ciężkie jak dawniej, więc niepokoiłem się, że po wyjęciu choćby jednej ściany może się zawalić przy tak silnym wietrze. Opanowało mnie nawet podejrzenie, iż Pek po to tylko kupił ten spichrz, by sprawić sobie radość burzenia go na oczach mieszkańców tej doliny i nie ma wcale zamiaru całej tej konstrukcji z wielkimi belkami stawiać od nowa w mieście. W końcu zburzono niemal jedną trzecią ściany zwróconej do dolin, od podłogi do sufitu, a usypisko tynku, którego nie zdołał porwać wiatr, usunięto łopatami. Wraz z dziećmi zaglądałem zza pleców Pęka do wnętrza spichrza, rozjaśnionego teraz okrutnie w otwartym świetle dnia. Wyglądało na scenę z dekoracjami, otwartą w stronę doliny. To wrażenie wkrótce odrodzi się w moich snach. W spichrzu wydaje się dziwnie ciasno, a przy tym wyraźnie widać rozmaite zniekształcenia wnętrza. Wspomnienia mroków sprzed stu lat odchodzą na zawsze, tracę z oczu realność pamięci o bracie S., który w tym mroku leży bez ruchu odwrócony ode mnie. Za obaloną ścianą otwiera się na dolinę rozległy widok pod zaskakującym kątem. Widać boisko, na którym Takashi ćwiczył młodzież doliny, i łożysko rzeki, ciemnobrązowe, wyschnięte po stopniałym śniegu.

- Nie ma pan łomu?

Pek rozmawiał po koreańsku ze studentami architektury, którzy skończyli wstępne prace, teraz podszedł do mnie -przyglądające się dzieci cofnęły się - i zapytał z uśmiechem, który porysował pionowymi zmarszczkami czoło między pokrytymi kurzem brwiami: - Chciałbym zerwać kawałek podłogi i zobaczyć, co jest w piwnicy. Piwnice w takich budynkach mają kamienne podłogi i ściany, dlatego potrzebujemy więcej robotników, jeśli chcemy je również zabrać.

- Tu nie ma piwnicy.

- Musi być, ponieważ podłoga jest tak wysoko podniesiona - powiedział spokojnie jeden ze studentów architektury, którego twarz bielała od pyłu. Zburzył tym moją pewność.

Zaprowadziłem go do komórki, żeby wziął łomy służące do robót drogowych, używane przez mieszkańców doliny podczas wspólnych napraw brukowanej drogi. Przy wejściu leżała kupka narzędzi do obdzierania kory. To ja następnego ranka po śmierci Takashiego zebrałem je i schowałem tutaj, gdy młodzież zbuntowała się przeciw bratu i porzuciła broń na podwórzu. Wyciągnęliśmy spod podłogi komórki zupełnie zardzewiałe łomy. Następnie, nie wierząc w to, że jest piwnica, stanąłem z Pękiem w drzwiach spichrza i przyglądałem się operacji zrywania podłogi. Spróchniałe deski od razu ustępowały, więc obserwatorzy musieli często odwracać się do tyłu, aby schować twarze przed wznoszącym się znowu kurzem. Nagle z głębi spichrza buchnęła czarna chmura mokrego drobnego pyłu niby pocisk atramentowy kałamarnicy, który widziałem przez ułamek sekundy na filmie nakręconym za pomocą podwodnej kamery; chmura kurzu powoli przesuwiała się w naszą stronę. Cofnęliśmy się, ale nadal słyszeliśmy trzask zrywanych desek podłogi podczas poszerzania otworu przez studentów. Wreszcie, kiedy kurz osiadł, weszliśmy z Pękiem do wnętrza spichrza i ujrzelśmy szparę od progu sieni aż po alkowę w głębi, obnażającą u spodu mroczną przestrzeń. Wychyliła się z niej głowa jednego z chłopców z naiwnym uśmiechem na twarzy; chłopiec zwrócił się po koreańsku do Pęka głosem nabrzmiałym radością i podał okładki zbutwiałej książki.

- On mówi, że pod podłogą jest wspianała piwnica zbudowana z kamienia! Pan naprawdę nie wiedział? - zapytał Pek w dobrym humorze. - Jest tam co prawda wiele drewnianych kołków utrudniających poruszanie się, ale są dwa pokoje, w pierwszym znajduje się nawet studnia i ubikacja. Mówi, że leży tam pełno takich książek i różnych starych papierów. Mogli tam chyba trzymać wariatów lub dezertów, prawda? Na okładce brudnej i zniszczonej książki, którą trzymał w ręku, przeczytałem tytuł: Dysputa trzech pijanych na temat rządu, i napis „wydane przez Shueisha w Tokio”. Oszołomiony i zdezorientowany odkryciem, zacząłem się unosić na falach głębokiego szoku. Presja wstrząsu zrodziła we mnie skrzywienie, szybko rozszerzające się i bez oporu przyjmujące kształt pewnego objawienia. Było to objawienie wiążące się bezpośrednio z tym, co zaprzętało moją głowę teraz, gdy siedziałem nocą w piwnicy.

- Jest wiele okienek wpuszczających światło od strony kamiennego muru, od zewnątrz są one zamaskowane. - Pek przetłumaczył informację innego chłopca ukrytego pod podłogą. - Może pan wejdzie i obejrzy?

Potrząsnąłem głową bez słowa, pijany objawieniem, które uderzało wyrazistością i nabierało realnych kształtów. Ośrodkiem tego objawienia było niepodważalne odkrycie, że młodszy brat pradziadka po powstaniu 1860 roku wcale nie pozostawił swoich kolegów i nie udał się przez las do Nowego Świata. Nie mógł przeszkodzić tragedii ścięcia głów, ale sam ukarał siebie. Od dnia ostatecznego zniszczenia zamknął się w piwnicy i w ten sposób, co prawda pasywnie, przez całe życie nie zmienił postawy, zachował swą integralność jako przywódca powstania. Listy, jakie napisał oddając się lekturze rozmaitych książek, zawierają jego marzenia, od awanturniczych snów młodości do snów o gorzkim smaku rzeczywistości; właśnie tego rodzaju listy na pewno przekazywał osobie przynoszącej posiłki, wyobrażając sobie, że żyje gdzie indziej i przesyła je tutaj. Okładki książek odkrytych w piwnicy ostatecznie wskazują na pochodzenie tekstów o konstytucji, które cytował brat w swoich listach. Również brak adresu nadawcy świadczy o tym, że ich autor nigdy nie opuścił tej piwnicy. Przy tym pradziadek też porozumiewał się z nim chyba tylko za pomocą listów. Dla człowieka uwięzionego z własnej woli, który spędzał wszystkie dni po wielokroć czytając tylko druki wrzucone mu do piwnicy i zabijając czas marzeniami o zaproszeniu na studia w Ameryce czy o polowaniu na wieloryby w okolicach wysp Ogasawara, sprawy bardziej realne były znacznie odleglejsze. Na pewno trudno mu było orientować się w tym, co działo się codziennie tuż obok miejsca, w którym żył w ukryciu. W głębi piwnicy na próżno wytyczał słuch chcąc uchwycić odgłosy realnego świata; w ten sposób żyjąc blisko bratanka, w rzeczywistości w ogóle chyba go nie widział, ale przeżywał niepokój o jego losy na wojnie, a listy kierował do tych, którzy mieszkali na powierzchni ziemi. „Bardzo proszę, jeśli tylko przyjdzie list od niego, o przekazanie mi jak najszybciej jego treści.”

Zamierzałem już się wycofać do domu z głową rozgorączkowaną tymi nowymi faktami, które teraz wyszły na jaw, gdy niespodzianie Pek zaczął mówić o wypadkach z 1945 roku. Zachciało mu się o tym mówić w chwili, gdy próbował zgłębić sens mojego milczenia i napięcia, które niewątpliwie wydało mu się zbyt uporczywe i znaczące jak na zaskoczenie spowodowane odkryciem piwnicy.

- W sprawie pańskiego brata, który wrócił z wojska i zginął w osadzie koreańskiej, trudno coś pewnego powiedzieć, czy zabili go Koreańczycy, czy Japończycy z doliny. Tylko on jeden wszedł bez broni w sam środek okładających się kijami zmieszanych grup i stał tam ze zwieszonymi rękami dotąd, dopóki go nie zabili. To znaczy, że zabiliśmy go wspólnie, my i Japończycy. Wie pan, ten chłopiec też był człowiekiem szczególnym!

Pek zacisnął usta i obserwował moją reakcję, a ja milczałem, a kiedy poruszyłem głową potwierdzająco, jakbym mówił „tak, tak to chyba było, taki właśnie był mój brat”, poszedłem do domu i chroniąc się przed nadciągającym kurzem zamknąłem drzwi za sobą. Następnie usłyszałem własny podniecony głos skierowany w mrok za piecem:

- Taka! - I od razu zdałem sobie sprawę z tego, że Takashi już nie żyje; poczułem żal z powodu jego nieobecności, tak dotkliwie po raz pierwszy. To właśnie Takashi był człowiekiem, który powinien był poznać „prawdziwe” nowe fakty o spichrzu. W moim oku, które przyzwyczało się do ciemności, ukazała się prawie mechanicznie okrągła nabrzmiała twarz mojej żony patrzącej na mnie podejrzliwie.

- W spichrzu była piwnica! Żył tam chyba cały czas w zamknięciu młodszy brat pradziadka, biorąc jednak na siebie odpowiedzialność jako przywódca buntu, który zakończył się przegraną. Taka umarł wstydząc się zarówno za pradziadka, jak i jego młodszego brata, ale teraz zrozumiałem, że przynajmniej jego młodszy brat spędził życie zupełnie inaczej, niż nam się zdawało. Taka nie musiał wstydzić się tak bezgranicznie, przynajmniej nie z powodu zachowania przodków! - przemawiałem z żalem do żony, coraz bardziej przekonany o słuszności tego, co mówię. Ale żona na to:

- To przecież ty, Mitsu, kazałeś mu przeżywać wstyd, gdy Taka patrzył śmierci w oczy. To ty przecież porzuciłeś go w poczuciu hańby. Teraz za późno mówić takie rzeczy! - odpowiedziała mi prawie krzykiem.

Oszołomiony nowym odkryciem oczekiwałem - wbrew logice - słów pocieszenia przynajmniej ze strony żony i nie sądziłem, że właśnie w tym momencie przypuści kontratak i będzie mnie krytykować. I wtedy nagle stanąłem jak sparaliżowany, osaczony przez nowe odkrycie i otwartą wrogość żony.

- Nie uważam, że to ty doprowadziłeś Takę do samobójstwa. Ale to ty doprowadziłeś do tego, że jego samobójcza śmierć była tak bardzo żalсна i haniebna. Ustawicznie wtrącałeś Takę w krąg hańby, aż w końcu nie miał wyjścia i umarł śmiercią nikczemną - mówiła żona coraz gwałtowniej. - Taka, kiedy postanowił umrzeć, ostatnią nadzieję pokładał w tobie; liczył boleśnie, że to ty mu pomożesz pokonać strach, a mimo to odmówiłeś mu nawet przyjęcia oka, prawda? Nawet kiedy Taka wielokrotnie pytał ciebie, Mitsu, dlaczego tak go nienawidzisz, ty zamiast powiedzieć: „wcale nie, nie czuję do ciebie nienawiści”, śmiałeś się z niego i zawstydzaleś podwójnie, prawda?

Opuściłeś go, Mitsu, do tego stopnia, że czuł się okropnie poniżony i nie miał innego wyjścia, jak tylko podziurawić sobie twarz. A teraz, kiedy Taka już nie żyje, teraz gdy nie można tego faktu odwrócić, zaczynasz mówić, że mógł się nie wstydzić za młodszego brata pradziadka. Gdyby Taka poznał całe jego życie, może w tym ostatnim dniu, nawet jeśli to nie powstrzymało go od samobójstwa, znalazłby przynajmniej podporę dla swego serca w chwili śmierci. Jeśli byś, Mitsu, powiedział wtedy Tace to, co mówisz teraz, gdy już jest martwy, to może jego samobójstwo nie byłoby tak straszne?!

- To, o czym teraz mówiłem, odkryłem dopiero wtedy, gdy „cesarz” supersamów rozpoczął szczegółowe oględziny spichrza. Tamtej nocy to wszystko wydawałoby się niemożliwe. Dopiero teraz dowiedziałem się, że brat pradziadka zamknął się w piwnicy spichrza i spędził całe życie w tym więzieniu.

- Mitsu, jakie znaczenie ma dla Taki to, że ty dotąd nie wiedziałeś, a teraz już wiesz? Potrafisz tylko we śnie wylewać łzy ku pocieszeniu siebie samego i krzyczeć: „Ja cię porzuciłem!”, dopiero wtedy, gdy on umarł porzucony przez ciebie i rozczarowany. Teraz, tak jak w przeszłości i w przyszłości, zawsze zresztą! Jednak dla człowieka, który umarł w tak potworny sposób i w takiej rozpacz, nie jest żadną pociechą nawet nie wiem jakie odkrycie, choćby wywołujące twoje rzęsiste łzy!

W końcu zamilkłem i tylko przyglądałem się nieustępliwym oczom żony, z gniewu wyglądającym tak, jakby otaczały je fałdy stwardniałego kleju. Nie powiedziałem jej, co wyznał mi Takashi o kazirodztwie. A jeśli bym nawet jej o tym opowiedział, żona wytknęłaby mi całkiem słusznie, że po takim jego wyznaniu powinienem był powiedzieć: „Ty już odkupiłeś dostatecznie swoje grzechy dzięki temu, że długie lata żyłeś w bolesnym cieniu tego zdarzenia”; wtedy jego samobójstwo nie byłoby tak ponure. Nadal wpatrywała się we mnie nieruchomymi oczyma, w których teraz osłabła aureola gniewu, ale pozostała ostrość nienawiści, rzucającej na nie czerniejącą wilgoć smutku.

- A jeśli teraz nowe odkrycia pozwalają sądzić, że Taka nie powinien był popełniać tak żalostnego samobójstwa, to jest to tym okrutniejsze - powiedziała lejąc łzy, jakby pękła twarda skorupa złości i ukazało się miękkie żółtko bólu. Gdy w końcu opanowała płacz, powiedziała bez wahania, jakby zakładała, że już się domyślam: - Przez te dwa tygodnie rozmyślałam nad tym, czy mam przerwać ciążę, ale zdecydowałam się urodzić dziecko Taki. Nie mogę sobie pozwolić na to, by dodać jeszcze jedno okrucieństwo do tego wszystkiego, co łączy się z Taką.

Żona jasno dała do zrozumienia, że odrzuci wszelkie moje zamiary sprzeciwiające się jej woli; odwróciła się w stronę gęstego mroku i zamknęła się w sobie. Przyglądałem się od tyłu wrzecionowatej sylwetce kobiety od niedawna ciężarnej, której biodra spoczywały teraz mocno na piętach. Coś w niej przypominało mi poczucie absolutnej równowagi, które wyrażały łącznie ciało i świadomość żony wtedy, kiedy była w ciąży z moim dzieckiem. Cały sens decyzji urodzenia płodu Takashiego pojąłem tak konkretnie, jakbym patrzył na jedną bryłę kamienia. To zrozumienie, nie wywołując żadnego emocjonalnego zamętu, niewzruszenie zagnieździło się w moim wnętrzu. Gdy znów wyszedłem na podwórze, „cesarz” supersamów stał u wejścia do spichrza na szeroko rozstawionych nogach i dawał głośne polecenia po koreańsku w stronę wnętrza budynku; przyglądające się dzieci zacieśniły krąg wokół niego i wpatrywały się w skupieniu, żadne z nich nie zwróciło na mnie uwagi. Postanowiłem odwiedzić świątynię i powiedzieć młodemu kapłanowi o odkryciu piwnicy i o objawieniu, jakiego w związku z tym doznałem, więc wyruszyłem sam w stronę doliny, idąc szybkim krokiem pod wiatr, porywisty i nasycony pyłem. Kiedy czytałem broszurę pt. Początek i koniec buntu chłopskiego we wsi Okubo, którą otrzymałem od kapłana, odkryłem w niej jeden dziwaczny zapis. Odkrycie piwnicy rzuciło na ten zapis nowe światło i stało się sednem objawienia przekonującego mnie o tym, że młodszy brat pradziadka żył w spichrze w dobrowolnym odosobnieniu.

Początek i koniec powstania chłopskiego we wsi Okubo jest broszurą, w której dziadek zebrał zapiski policyjne oraz prywatne dotyczące zamieszek z 1871 roku i zaopatrzył w komentarze i noty.

1. Te zamieszki zwykle się nazywa „buntem w Okubo”.
2. Mieszkańcy Okubo wycinali duże bambusy i robili z nich włócznie dla wszystkich.
3. Przyczyną buntu była niechęć do nowego rządu, zwłaszcza do przymusowego szczepienia przeciw czarnej ospie, a także fałszywe rozumienie Słów „danina krwi”, które doprowadziły do pogłosek, że jakoby będą ludziom zabierać krew i sprzedawać obcokrajowcom z Zachodu. Wywołało to wśród ludności panikę, a w końcu doprowadziło do powstania.

4. Przywódcy buntu i ludzie z nimi związani nie zostali ukarani.

Fragment podający oficjalną wersję wydarzeń brzmi następująco:

Edykt z lipca 1871 roku, obalający klany i ustanawiający prefektury, spotkał się ze sprzeciwem ze strony konserwatywnych mieszkańców wioski Okubo; w początkach sierpnia nadeszły raporty o tworzeniu się opozycji przeciwko tym zarządzeniom. Chociaż natychmiast wysłano urzędnika w celu wyjaśnienia treści edyktu, jego przeciwnicy jednak nie dali się przekonać. W końcu podburzyli inne wioski, których mieszkańcy zebrali się pewnego dnia wieczorem w wyschlým korycie rzeki na północ od zamku Óhama (oddalonym półtora-kilometra od urzędu prefektury); ich wpływ stopniowo rósł, aż rozszerzył się na ponad siedemdziesiąt wiosek, a do dwunastego tłum liczył już prawie czterdzieści tysięcy; zaczął strzelać w powietrze, wznosić okrzyki wojenne i rozgłaszać bezpodstawne wieści. Wkrótce wtargnął do Óhama ze strzelbami i bambusowymi włóczniami i zajął ulice. Przeciwnicy edyktu głosili między innymi, że poprzedni gubernator wrócił do Tokio wskutek intryg Wielkiego Radcy, to znów, że spis ludności ma na celu zabieranie krwi, a szczepienie przeciw ospie jest podstępem mającym na celu wytrucie opozycji, i wiele temu podobnych wymysłów, które trudno wyliczyć. Ich zuchwałe zachowanie stawało się coraz gwałtowniejsze, lecz tłum wciąż stał w miejscu nie wysuwając żadnych żądań, dopóki nie otoczył potajemnie urzędu prefektury. Stu urzędników wysłanych w celu zaprowadzenia spokoju spotkało się z przedstawicielem opornego ludu, który nalegał, żeby poprzedni gubernator nie odjeżdżał do Tokio, żeby przywrócono rządy sprzed Restauracji, wycofano obecnych urzędników, wyznaczono z powrotem na ich miejsce poprzednią administrację. Dnia trzynastego tego samego miesiąca, kiedy zdawało się, że tłum ma zamiar zaatakować urząd prefektury, zdecydowano użyć wojska w celu powstrzymania atakujących; buntownicy się zawahali i nie rozpoczęli ataku, lecz działalność Rady Prefekturalnej została sparaliżowana, poprzednie decyzje zmieniono. Wielu członków rady sprzeciwiło się użyciu siły, więc wezwano urzędników sprzed Restauracji, aby opanowali sytuację i piętnastego był gubernator pojawił się osobiście, by przemówić do tłumu, ale mimo to tłum sienie rozproszył. Tego dnia o zmierzchu Wielki Radca nagle opuścił urząd prefektury i wkrótce potem nadeszła wiadomość, że odebrał sobie życie we własnym domu. Gdy buntownicy o tym usłyszeli, bardzo poruszeni zaczęli jednocześnie rozchodzić się do domów. Po południu szesnastego sytuacja została opanowana, urzędnicy oddelegowani do załatwiania tej sprawy mogli wszyscy bez wyjątku wrócić do prefektury.

Tekst Wyrażający punkt widzenia ludu przedstawił bunt raczej w formie romantycznej opowieści. Jeden z przywódców buntu, ten, który jako „główny przedstawiciel opornego ludu” prowadził rozmowy z władzami, przedstawiony jest tutaj jako „wielki mężczyzna, ponad sześć stóp wzrostu, niewiadomego pochodzenia”, to znów jako: „podejrzanie wyglądający wielki mężczyzna, dziwny, przygarbiony, o wybladłej twarzy i monsturalnej posturze, zdumiewający elokwencją, przewyższający wszystkich umiejętnościami i wszystkich wprawiający w zdumienie”. Wydaje się to nienaturalne, że przywódca powstania małej społeczności prowincjonalnej dla wszystkich uczestników pozostał kimś nieznanym, ale dziadek dodaje tu swój komentarz, dość przekonywający: „Większość uczestników buntu smarowała twarze sadzą, dlatego nie wiadomo było, kto był kim”, i choć stawia sobie pytanie: „Kim w ogóle była ta niezwykła postać”, w końcu nie wyjaśnia tego problemu. Ostatnie zdanie dotyczące tego nieznanego brzmi: „Szesnastego po ogłoszeniu przy wejściu do wioski Okubo rozwiązania partii dysydentów ich buntowniczy przywódca zniknął, jakby skrył się pod ziemię.” Odtąd nie ma już o nim wzmianek.

Wybitne cechy przywódcze wielkiego mężczyzny o przygarbionych plecach i bladej twarzy nawet w tym cytowanym fragmencie są wyraźnie widoczne, choćby na przykładzie taktyki pozwalającej zaatakować urząd prefektury, zagrozić przeciwnikowi bez sprowokowania wojska do przystąpienia do akcji i utrzymać subtelny równowagę sił między ludem a władzami do czasu zmiany tonu dyskusji w radzie prefektury. Dziadek uzupełnia to następującą oceną: „Zatem z drugiej strony, patrząc wstecz na zamieszki, okazuje się, że nikt nie odniósł najmniejszej rany. I myślę, że wyreżyserowanie tak wielkich zamieszek, w których ani jedna osoba nie została ranna, jest niewątpliwym dowodem najwyższych umiejętności przywódcy, godnych szczególnego podkreślenia.”

Tak więc moje objawienie rozwinęło się w przekonanie, że ten wielki bladej twarzy mężczyzna z wystającymi łopatkami był młodszym bratem pradziadka, nagle pojawiającym się na powierzchni ziemi po dziesięciu latach spędzonych w zamknięciu na rozmyślaniach o buncie 1860 roku. W sukces drugiego, całkowicie odmiennego buntu zainwestował wszystko, co zyskał w dniach krytycznych rozważań nad samym sobą przez ponad dziesięć lat. Pierwszy bunt był krwawy, a jego rezultaty wątpliwe. W drugim nikt z uczestników ani obserwatorów nie został nawet ranny, a udało się doprowadzić do efektownego samobójstwa Wielkiego Radcy, będącego obiektem ataku. Opowiadałem o tym młodemu kapłanowi w głównym pawilonie świątyni, gdzie na ścianie wisiał obraz piekła, który przedtem przychodziłem oglądać z Takashim i żoną, i coraz mocniej utwierdzałem się w prawdziwości tego przypuszczenia.

- Czy byłoby możliwe, żeby w przejściowym okresie chłopci, którzy w rezultacie powstania z 1860 roku stali się tym bardziej podejrzliwi, mogli powierzyć kierowanie buntom osobliwemu mężczyźnie nieznanego pochodzenia? Bardzo wątpię. Tylko ponowne pojawienie się przed nimi legendarnego przywódcy z 1860 roku, „specjalisty” od buntów, skłoniło ich do powstania. Bunt z 1871 roku, sądząc z jego zakończenia, stawiał przed sobą cele polityczne i zakładał odwołanie Wielkiego Radcy. To by oznaczało, że ktoś doszedł do wniosku, iż było to niezbędne do poprawy życia chłopów. Ale tego rodzaju abstrakcyjne hasło nie poruszyłyby chłopów. Toteż więzień z własnego wyboru, cały czas czytający nowe publikacje, podburzył lud wykorzystując brak jednoznaczności takich wyrażań jak „szczepienie ospy” i „danina krwi”, które sam doskonale rozumiał. Zorganizował powstanie i zwyciężył Wielkiego Radcę, przysłanego tutaj przez nowy rząd. Następnie znów wrócił do życia w podziemiu i nie pojawił się już po raz drugi przed czyimkolwiek obliczem. Przeżył tak ponad dwadzieścia lat, aż do śmierci w dobrowolnym odosobnieniu. Wierzę, że tak było. Zawsze pragnęliśmy z Takashim wykryć, jakim człowiekiem był młodszy brat pradziadka po 1860 roku, ale nie mogliśmy dotrzeć do żadnych realnych danych, bo szukaliśmy zjawy - mężczyzny, który uciekł stąd za las.

Kapłan z zaczerwienioną dobroduszną twarzą bez przerwy uśmiechał się, słuchając moich długich objaśnień, i nie wypowiedział ani słowa; ani potwierdził, ani zaprzeczył. Jeszcze dotąd w mojej obecności dręczył się zbyt otwartym wzburzeniem przejawianym w dni buntu i dlatego teraz, przeciwnie, z przesadnym spokojem starał się odeprzeć moje dzisiejsze podniecenie. Po chwili jednak przyszedł mu na myśl pewien dodatkowy dowód.

- Jeśli chodzi o przygarbionego przywódcę buntu z 1871 roku, to jest to postać w dolinie tak znana, że należałoby się go spodziewać wśród „duchów” tańca nembutsu. Być może dlatego, że nakłada się ona na „ducha” młodszego brata pradziadka, unikano

tworzenia odrębnego, jeszcze jednego „ducha”. Oczywiście byłby to tylko dowód negatywny.

- Mówiąc o tańcach nembutsu; przecież aktorzy po wejściu do spichrza wyrażają gestami i słowami pochwałę na temat wnętrza, potem piją i jedzą - czy nie ma to jednak związku z tym, że jeden z najważniejszych „duchów” kiedyś w tym podziemiu spędził długie lata życia w zamknięciu. Jeśli tak, to byłby to dowód pozytywny. Również dziadek opatrując tę broszurę w noty wiedział, że ta przygarbiona dziwna postać jest jego stryjem i w ten sposób potajemnie wyraził swą miłość dla niego. Kapłan nie dał bezpośredniej odpowiedzi, jakby niechętnie słuchał rozszerzania swej hipotezy moją grą wyobraźni; odwrócił się w stronę obrazu piekła i powiedział:

- Mitchan, jeśli by twoje przypuszczenie było słuszne, ta oznaczałoby, że ten obraz kazał namalować twój pradziadek dla swego młodszego brata...

Teraz znów odkryłem w tym obrazie to samo uczucie głębokiego ukojenia, jakie przeżyłem oglądając go z Takashim i żoną, odkryłem w nim malarską rzeczywistość istniejącą niezależnie ode mnie, nie tylko jako pasywne wrażenie wywołane przez moje emocje. Istniało ono aktywnie na papierze, niezależnie ode mnie, było zagęszczoną „czułością”. Prawdopodobnie ten, kto zamówił obraz, zażądał od malarza, by przedstawił samą istotę „czułości”. Oczywiście musiał namalować piekło, bo miał to być obraz dla uspokojenia duszy brata, który jeszcze za życia uwięził siebie i stał twarzą w twarz ze swoim własnym piekłem. Ale rzekę płomieni musiał ukazać w kolorze czerwieni jesiennych liści derenu skupiających na sobie promienie porannego słońca, a linie języków ognia pociągnąć łagodnie i miękko jak fałdy trenu damskiej sukni. Trzeba było sprawić, by rzeka płomieni była esencją „czułości”. Młodszy brat pradziadka był zarówno umierającym w mękach agonii, jak i demonem, który go torturował, a że obraz miał nieść ukojenie jego szalejącej duszy, więc musiał przedstawiać równie dokładnie cierpienia umierającego, jak i okrucieństwo demona. Demon i umierający, bez względu na intensywność doznań cierpienia i zadawania tortur, są ściśle ze sobą związani duchowymi więzami spokojnej „czułości”. Bardzo prawdopodobne, że w grupie zmarłych, namalowanych na obrazie piekła, jeden z mężczyzn o włosach rozpuszczonych w kaskadę, czy ten z wyciągniętymi rękami i rozrzuconymi nogami, czy leżący pod gradem spadających i uderzających go rozżarzonych kamieni, czy też któryś z mężczyzn w rzece płomieni, wystawiających w przestrzeń na deszcz ognisty wychudłe trójkątne pośladki, jest portretem młodszego brata pradziadka. Kiedy raz o tym pomyślałem, zaczęło mi się wydawać, że we wszystkich twarzach zmarłych dostrzegam coś, co - można by powiedzieć - jest ze mną związane czystym pokrewieństwem, wywołującym gorącą tęsknotę w najgłębszych pokładach świadomości.

- Oglądając ten obraz, Taka zawsze tracił humor, pamiętasz? - przypomniał kapłan. - Od dzieciństwa bał się obrazu piekła.

- Myślę jednak, że to nie sam obraz wywołał w nim strach, on raczej chciał odrzucić „czułość” namalowanego piekła, prawda? Przynajmniej tak mi się wydaje - powiedziałem. - Taka nie mógł oprzeć się pragnieniu ukarania siebie samego, czuł, że musi żyć w jeszcze bardziej okrutnym piekle, i chyba dlatego chciał odrzucić to fałszywe piekło pełne czułości kojącej serce. Myślę, że on po swojemu bardzo się starał, aby podtrzymać i nie stępić okrucieństwa własnego piekła.

Stopniowo zniknął bezsensowny uśmiezek z małej twarzy kapłana, ustępując miejsca wyrazowi podejrzliwości. Wiedziałem z doświadczenia, że w takich chwilach jego twarz nie znająca powątpiewania przybiera wyraz prowokującego zamknięcia. Lecz nie miałem ochoty wyjaśniać wszystkich moich wewnętrznych problemów kapłanowi, który

naprawdę nie interesuje się niczym innym poza życiem ludzi doliny. Dla mnie przynajmniej obraz piekła był jeszcze jednym pozytywnym dowodem. W każdym razie dotychczasowe nowe dowody powinny mi wystarczyć dla rewizji wyroku, jaki wydałem i podtrzymałem wobec młodszego brata pradziadka i Takashiego. Kapłan odprowadzając mnie do głównej bramy świątyni wyjaśniał mi sytuację młodzieży po „buncie”.

- Ten chłopiec lekko ubrany, z którym Taka pracował, ma podobno zostać wybrany do rady wiejskiej w pierwszych wyborach po połączeniu wiosek. Choć tak wygląda, jakby „bunt” Takashiego skończył się całkowitą klęską, to jednak przynajmniej wstrząsnął on utrwalonymi dotąd układami międzyludzkimi doliny. Mówiąc wprost, młodzi mężczyźni, tworzący najpierw grupę Taka-chan, rozciągnęli swe wpływy na starszych konserwatywnych bossów do tego stopnia, że będą mogli mieć swego przedstawiciela w radzie wiejskiej. W końcu z punktu widzenia przyszłości tej doliny „bunt” Takashiego był pożyteczny. W zasadzie przyczynił się do przeczyszczenia pionowego kanału komunikacji w społeczności doliny i zdecydowanego umocnienia poziomego, łączącego wszystkich młodych. Mitchan, ja myślę, że zrodziły się podstawy dalekosiężnych perspektyw rozwoju doliny. Jest mi przykro wobec twoich braci - S. i Taka-chan, ale oni odegrali w tym swoje role.

Kiedy wróciłem, „cesarza” nie było już w spichrzu, a dzieci, które zostawiłem przyglądające się wywalonej ścianie i piwnicy przez szpary w podłodze, biegły już w dół w wielkim popłochu brukowaną drogą, niby ptaki nagle przerażone pierwszymi oznakami zmierzchu. Kiedy ja byłem dzieckiem, w przeciwieństwie do dzieci z „prowincji”, które mimo zapadającej nocy nie porzucały swoich wspólnych zabaw z dziećmi doliny, z wyjątkiem takich specjalnych dni jak święta, wracałem do domu wraz z zapadającym zmierzchem. Dzieci dzisiejsze może nie boją się już przychodzącego z lasu Chosokabe, ale zwyczaj przerywania zabaw o zmierzchu nie uległ zmianie.

Na kolację żona przygotowała i postawiła dla mnie na talerzu obok pieca kanapki z wędliną, których zapas kupiła w supersamie, sama położyła się w pokoju w głębi domu, przypuszczalnie poświęcając całą uwagę strzeżeniu płodu w łonie. Zawinąłem kanapki w pergamin, wepchnąłem do kieszeni płaszcza i poszedłem na sedawę; wybrałem jedną butelkę pustą, drugą pełną whisky. Pustą wymyłem i napelniłem ciepłą wodą, choć wiedziałem, że wkrótce wystygnie i będzie mrozić dziaśła jak lód. Muszę przewidywać, że chłód w środku nocy będzie niemały, dlatego chcąc wyjąć z szafy dodatkowy koc próbuję cicho przejść obok żony, ale okazuje się, że ona nie śpi.

- Chcę spokojnie pomyśleć, Mitsu - powiedziała ostro, jak gdybym szukał tylko okazji, żeby wśliznąć się pod jej koc. -Gdy tak jeszcze raz przypominam sobie rozmaite szczegóły 2%

z naszego małżeńskiego życia, to myślę, że pod twoim wpływem najczęściej podejmowałam decyzje przerzucając odpowiedzialność na ciebie. Kiedy kogoś opuszczałeś, ja stałam po twojej stronie i chcąc nie chcąc pomagałam ci w tym. Jednak teraz to mnie bardzo niepokoi, Mitsu. Teraz próbuję to przemyśleć i wziąć odpowiedzialność sama, niezależnie od ciebie, i za to dziecko, które jest w zakładzie opieki, i za to, które się narodzi.

- Pewnie, absolutnie nie możesz polegać na mojej opinii -odpowiedziałem przewrotnie i dodałem w duchu: „Ja też zamierzam zamknąć się w piwnicy spichrza i przemyśleć wszystko. Skoro już wyszły na jaw nowe fakty, muszę obalić swoje uprzedzenia, zarówno w stosunku do młodszego brata pradziadka, jak i do Takashiego, i osądzić ich

od nowa. Właściwe ich zrozumienie, chociaż nie ma żadnego znaczenia Ha zmarłych, jest jednak dla mnie sprawą zasadniczą.”

Gdy wszedłem do piwnicy, skuliłem się opierając plecy o kamienną ścianę w głębi, tak jak to przypuszczalnie robił dobrowolny więzień przed stu laty. Nie zdejmując płaszczu uzbroidłem się przeciw zimnu owijając ciasno trzema kocami, jadłem kanapki popijając na przemian whisky i początkowo ciepłą, a następnie zimną już wodą (ale woda nie zamarznie, dopóki silny wiatr południowy będzie szalał po dnie doliny) i znów zacząłem myśleć. W piwnicy, w której od długich lat nie stanęła stopa ludzka, unosila się wilgotna woń przeżartych przez mole książek, strzępów starych listów, rozwalonego na kawałki stolika do pisania, zgniłych, rozkruszonych, wyschniętych mat, które silny wiatr zebrał w jedną kupę w kącie pomieszczenia. Podobny zapach wydzielają również kamienie podłogi, wytarte i miękkie w dotyku, jeszcze trochę wilgotne niby spocona i chłodna skóra. Drobnutki pył, wilgotny i ciężki, kleił się wokół dziurek w nosie i warg i nawet w kącikach oczu, zamykał wszystkie pory i chyba blokował oddychanie skóry. Nagle powracają bolesne wspomnienia astmy dziecięcej sprzed dwudziestu pięciu lat. Wącham koniuszki palców i czuję, że już zabarwił je kurz wydzielający zapach; pocieram palcami mocno o kolana, ale mimo to zapach nie znika. W każdej chwili może wypełznąć z szelestem spoza kupy śmieci i ugryźć mnie za uchem pajak, który w ciągu długiego zamknięcia w panującej tu ciemności stał się tak wielki jak owłosiony krabik. Gdy to sobie wyobraziłem, opanowało mnie fizyczne obrzydzenie, a mrok przed oczyma wypełnił się molami wielkimi jak kałamarnice wpatrujące się we mnie, to znów świerszczami tak ogromnymi, że można je porównać do słomianych kapci wielkiego mężczyzny, ora świerszczami wielkości psów.

Proces rewizyjny? Ale przecież tutaj jest piwnica, w której brat pradziadka, zamknięty do końca życia, podtrzymywał swą tożsamość przywódcy buntu; a to jedno jest wystarczające, aby obalić wyrok dotychczasowy, w którego słuszność wierzyłem dotąd. I to samo można powiedzieć w sprawie niedawnego samobójstwa Takashiego, który żył starając się naśladować młodszego brata pradziadka; mianowicie w świetle nowo odkrytej tożsamości brata pradziadka samobójstwo to wygląda jak ostatnia heroiczna próba zademonstrowania całej „prawdy” mnie, pozostającemu przy życiu. Przyglądam się, jak upada nietrwały werdykt, wydany przeze mnie na Takashiego. Skoro obraz młodszego brata pradziadka, z którego się wyśmiewałem, gdy Takashi potrząsał nim jak sztandarem, nie okazał się zwykłą iluzją, pozycja Takashiego stała się znacznie korzystniejsza. Tu, w głębi piwnicy, w ciemności, w której gwałtownie wirował wiatr, ujrzałem oczy zdychającego kota; wspomnienie nieszczęśliwego dnia, gdy kot w tygrysie paski, którego hodowałem od czasów studenckich do ślubu z moją żoną i jej zajścia w ciążę, został przejechany, a spomiędzy łap wystawało mu coś przypominającego czerwoną dłoń odartą ze skóry. Oczy starego kota, absolutnie spokojne, o jasnożółtych źrenicach, przypominały malutką połyskującą chryzantemę. Spokojne kocie oczy oglądane z zewnątrz były bez wyrazu, a jednak kryły we wnętrzu ciężar strasznego cierpienia, którego elektrostatische ładunki krążyły w organach czuciowych maleńkiego mózgu. Oczy kota, którego agonია była jego wyłączną własnością, dla innych absolutnie nie istniejącą. Zabrakło mi wyobraźni wobec istot ludzkich, których oczy ukrywały podobne, prywatne piekło. Cały czas byłem krytycznie nastawiony do wysiłku Takashiego, który jako taka właśnie ludzka istota poszukiwał drogi do nowego życia. Odmówiłem mu nawet pomocy i spełnienia jego żalostnej prośby, jaką skierował do mnie tuż przed śmiercią. I tak Takashi przezwyciężył swoje piekło własnymi siłami. Oczy kota, mego długoletniego przyjaciela, które oglądam w

mroku, łączą się z oczyma Takashiego, z oczyma nieznanego mi młodszego brata pradziadka i z oczyma żony, zaczerwienionymi jak brzoskwinia; wszystkie łączą się w wyraziste koło, które szybko staje się niewątpliwą, nieodłączną częścią mojego doświadczenia. To koło będzie się powiększać przez wszystkie godziny mojego życia, w końcu stokrotnie powiększone utworzy jedno oko, które będzie gwiazdą zdobiącą świat moich przeżyć. Wystawiony na światło tej gwiazdy, doświadczając udręki wstydu, patrząc lęklonie jak mysz na wieloznaczny, mroczny świat zewnętrzny jednym okiem, będę żył...

- Nasz proces rewizyjny to twój proces! - Starcy pod grubą belką unieśli kapelusze.

Siedziałem samotnie, skulony, jak gdybym rzeczywiście siedział przed sędziami i ławą przysięgłych ze snu, z zamkniętymi w ciemności oczyma, by uniknąć ich spojrzeń; głowę, jak jakieś obce okrągłe ciało, położyłem na rękach owiniętych w płaszcz i koce i wstrzymałem oddech.

Czy mam nadal przeżywać bez żadnego pozytywnego celu te dni jakże wieloznaczne, niepewne i melancholijne w porównaniu z mocnym poczuciem egzystencji tych, którzy przezwyciężyli swoje piekła? A może jest jakaś droga odrzucenia ich i ucieczki w bardziej dogodną ciemność? Ujrzałem szereg scen na kliszy fotograficznej: oto gdzieś z okolicy własnych ciężkich ramion, gdy tak siedzę nieruchomo w kształcie mumii w trumnie, wychodzi jeszcze jedno ja, powstaje, pełźnie przez szczelinę między deskami podłogi i następnie wspina się na strome schody; ubranie, pogrubiające ciało, powiewa w porywach wiatru nadlatujących bezpośrednio od doliny. Widząc, jak moja zjawa dochodzi do schodów, z których spogląda na rozpościerającą się dolinę od strony rozwalonej ściany, pozostając nadal skulony na dnie piwnicy, odczuwam smak lęku wysokości przyprawiającego o mdłości osobę stojącą w bezruchu i bezbronnie w połowie schodów przed mroczną głębią przestrzeni, w której hula wiatr, i muszę przeciwstawić się tępemu bólowi w środku głowy, przyciskając skronie obu rękami. Ale kiedy zjawa dochodzi pod główną belkę, nagle z przerażeniem zdaję sobie sprawę, że nie pojąłem dotąd „prawdy”, którą przed powieszeniem się powinienem obwieścić krzykiem tym, którzy nadal żyć będą!

I wtedy zjawa nagle znika. Nie mogłem z nim dzielić nawet tego czegoś, co było w jego wnętrzu i co przyjaciela zmusiło do pomalowania twarzy cynobrem, rozebrania się do naga, wbicia w odbytnicę ogórka i popełnienia samobójstwa. Jedno oko, które miało cały czas wpatrywać się w mrok przesycony krwią w mojej głowie, w rzeczywistości nie wypełniło swego zadania. A skoro nie pojąłem „prawdy”, mało więc prawdopodobne, żebym znalazł gdziekolwiek dość siły woli i zdołał wykonać to ostatnie kopnięcie prowadzące do śmierci. Nie jestem w takiej samej sytuacji jak młodszy brat pradziadka czy Takashi stojący w obliczu śmierci - oni byli pewni swego piekła, więc wykrzykując własną „prawdę” wznosili się ponad nie.

Poczucie klęski było tak realne, że kłujący ból przeszył całe moje ciało, jakby w piersi zagotowała się woda; zdałem sobie sprawę z tego, że podobnie jak Takashi od dzieciństwa rozpałał w sobie świadomość sprzeciwu w stosunku do mnie, tak samo ja czułem wrogość do niego i jego idola, młodszego brata pradziadka, bo w przeciwieństwie do ich metody działania, starałem się szukać sensu w spokojnym życiu. A ponieważ zdarzył mi się wypadek, w którym oślepiłem na jedno oko, jakbym na co dzień prowadził życie awanturnicze, byłem więc podwójnie zdenerwowany, pędziłem dni w szpitalu z najwyższą przykrością, zabijając muchy. Mój sprzeciw jednak nie dał rezultatów, a Takashi, który przeżywał przygody słabowitego oszusta gorąco pragnącego naśladować młodszego brata pradziadka, gdy w końcu stanął z obnażoną

piersią na wprost lufy strzelby, która miała upodobnić ją do rozprysniętego owocu granatu, potwierdził własną tożsamość i w ten sposób osiągnął jedność siebie samego. Prawdę mówiąc, odrzucenie jego ostatniego wezwania nie miało w praktyce żadnego znaczenia. Niewątpliwie Takashi posłyszał akceptujące jego czyn i uznające go głosy brata pradziadka i wszystkich innych duchów kryjących się w spichrzu. Wspierany ich głosami mógł przezwyciężyć swoje piekło i sprostać przerażeniu atakującemu go przed szczególnie dramatyczną śmiercią.

- Tak, powiedziałeś prawdę - jasno uświadomiłem sobie całą własną nędzę, przyznałem się do przegranej teraz, gdy we mnie wpatrywały się ze wszech stron liczne duchy, które widziały go w godzinie jego śmierci. Poczulem się dziwnie bezsilnie, a bezsilność pogłębiała się szybko wraz z poczuciem chłodu, pogłębiała się bezdennie. W masochistycznym, najpodlejszym nastroju zagwizdałem żałośnie, chcąc przywołać Chósokabe; ale oczywiście nic się nie zdarzyło, duch nie przyszedł, nie zburzył spichrza, by pogrzebać mnie żywcem. Załamałem się i drżąc jak zmokły pies spędziłem kilka godzin w tym stanie. W końcu zabieliły się i otwór w podłodze nad głową, i na wpół zamknięte ukryte okienko. Wiatr się już uspokoił. Udręczony pragnieniem oddania moczu, podniosłem zdrętwiałe od chłodu nogi i wystawiłem głowę ponad podłogę. Las, który wypełniał prawie wszystkie części obalonej ściany, okrywały czerniejące warstwy mgły, tylko dzięki wąziutkiej, purpurowej jakby aureoli odzwierciedlał się świt; w najwyższej części obrazu, w kąciaku po prawej stronie, widać było płonące czerwienią niebo. Kiedy witałem poranek, ukryty w jamie za domem, widziałem tak samo płonący czerwienią spód liści derenu, tak samo przywołałem wrażenie, jakie wywarł na mnie obraz piekła znajdujący się w niecce, poczułem, jakbym odebrał jakiś sygnał. Niepewny wówczas sens tego sygnału interpretuję teraz z łatwością. „Ciepła” czerwień obrazu była w istocie kolorem pocieszenia, kolorem ludzi usiłujących raczej kontynuować spokojnie swoje bardziej mroczne, mniej ustabilizowane i bezbarwne codzienne życie niż stanąć twarzą w twarz z zagrożeniem tych przerażających dusz, które rzucają się głową w dół w swe własne piekło. Można powiedzieć, że pradziadek najprawdopodobniej kazał namalować ten obraz piekła dla pocieszenia własnej duszy. A pocieszenie z tego obrazu wynieśli jedynie ci z jego potomków, co podobnie jak dziadek i ja przeżywali swoje życie w nieokreślonej obawie, nie chcąc, by gwałtowna, wewnętrzna potrzeba nagłych nieprzewidzianych porywów do przodu osiągnęły punkt, w którym konieczna byłaby jakakolwiek akcja.

W blednącym mroku na zewnątrz tuż obok wejścia, z którego usunięto kilka warstw drzwi, ktoś się poruszył patrząc w dół na moją głowę, niewątpliwie wyglądającą jak melon leżący na ziemi. To moja żona. A w ogóle jak może znaleźć spokojne słowa pozdrowienia, jak może zachować się w codzienny normalny sposób człowiek, który wysunął głowę przez szczelinę w podłodze i przyglądał się ułamkowi czerwonego nieba o poranku? Skurczyłem się z zakłopotania i wciąż patrzyłem w górę na żonę.

- Hej, Mitsu - zwróciła się do mnie głosem mocnym z powodu napięcia, ale opanowanym, aby jak najbardziej złagodzić moje zaskoczenie.

- Hej, może się przestraszyłaś, ale ja nie zwariowałem.

- Mitsu, od dawna wiem, że masz zwyczaj myśleć siedząc w jamie. Już to raz zrobiłeś w Tokio.

- A ja wciąż myślałem, że spałaś cały tamten ranek.

Oprócz wstydu zacząłem odczuwać coraz większe zmęczenie.

- Oglądałam cię przez okno w kuchni aż do chwili, gdy przyszedł mleczarz i pojawiły się oznaki, że zostaniesz przywrócony do życia na powierzchni ziemi. Bałam się, że

zdarzy się coś strasznego - odpowiedziała w nastroju osoby pogrążonej w reminiscencjach, a następnie dodała z taką siłą, jakby chciała zachęcić i mnie milczącego, i siebie samą:

- Mitsu, czy już nie ma dla nas szansy, żeby zacząć jeszcze raz od nowa? Czy nie możemy zacząć od nowa wychowując wspólnie dzieci - i to, które jest w zakładzie opieki, i to, które się narodzi? Długo myślałam, podjęłam taką decyzję i przyszedłam cię zapytać, co o tym myślisz, Mitsu, czy absolutnie nie jest to możliwe? I widząc, że siedzisz tu na dole i dumasz, pomyślałam, że lepiej poczekać, aż dobrowolnie wyjdiesz na powierzchnię, dlatego tu stałam. Teraz bardziej się bałam niż w tamten poranek, gdy siedziałeś w jamie za domem; wydawało mi się, że od wiatru może zawalić się spichrz, niestabilny, odkąd pozbawiono go jednej ściany, a gdy w dodatku z dołu doszło do mnie gwizdanie, naprawdę się przestraszyłam! Ale czułam, że nie mam prawa wywoływać cię stamtąd, więc cały czas czekałam.

Mówiła powoli, a obie ręce przyciskała do podbrzusza z ostrożnością ciężarnej kobiety. Spostrzegłem, że jej ciało, wyglądające w mroku jak wrzeczono stojące pionowo, a mimo to stabilne, drżało od tłumionego silnego napięcia. Gdy skończyła mówić, chwilę cichutko popłakiwała.

- No więc może spróbujemy. Ja przyjmę pracę wykładowcy języka angielskiego - głęboko odetchnąłem, a resztę powietrza, jaka została w płucach, chciałem wypuścić tak, by zabrzmiało to obojętnie. Mimo to we własnym głosie usłyszałem nutę żalu tak wyraźną, że nagle zaczerwieniły mi się uszy.

- Nie, Mitsu. Kiedy będziesz pracował w Afryce, wrócę do swoich rodziców z dwojgiem dzieci. Wyślij więc telegram do biura ekspedycji afrykańskiej. Dotąd żyłeś eliminując celowo wszystko co było w tobie podobne do Takashiego, aby mu się przeciwstawić, prawda? Mitsu, ponieważ Taka już nie żyje, czas, żebyś stał się sprawiedliwy wobec siebie. Już wiesz, że związki między młodszym bratem twojego pradziadka i Taką nie były iluzją stworzoną przez twego brata, dlaczego zatem nie miałbyś teraz upewnić się, co ciebie z nimi łączy? Musisz to chyba zrobić tym bardziej, jeśli chcesz być sprawiedliwy w swej pamięci o zmarłym Tace, prawda?

Wraz z gryzącą autoironią przyszło mi na myśl, że praca tłumacza w Afryce nie wystarczy do osiągnięcia tego celu.

- Jeśli zabierzemy z powrotem dziecko z zakładu opieki, czy będzie ono mogło dostatecznie przystosować się do naszego życia? - zapytałem głosem przesyconym wewnętrznym niepokojem.

- Myślałam o tym całą noc i doszłam do wniosku, że możemy zacząć, jeśli tylko będziemy mieli dość odwagi, Mitsu - powiedziała głosem zdradzającym wyraźnie fizyczne i psychiczne wyczerpanie.

Przestraszyłem się, że żona może zemdleć i upaść, skrzyłem więc ciało w bok, mocno podparłem się stopami i z jak największą szybkością starałem się wydźwignąć ponad podłogę. Ale zbyt długo siedziałem w bezruchu, więc z najwyższym trudem udało mi się wypełznąć na powierzchnię, a kiedy podszedłem do żony, usłyszałem wewnątrz siebie głos, przytaczający po prostu plan zawarcia związku małżeńskiego, jaki ogłosili młodzi strażnicy Takashiego; że po prostu nie mamy innego wyjścia, jak tylko żyć nadal razem, skoro Takashi nie żyje. Nie zdusiłem w sobie tego głosu.

- Założyłam się sama ze sobą, że przyjmiesz moją prośbę, jeśli wyjdiesz stamtąd bezpiecznie. Całą noc napawał mnie lękiem ten zakład. - Żona powiedziała to przez lzy głosem załkniętego dziecka i zaczęła drżeć jeszcze mocniej niż-dotąd.

Tego ranka, kiedy żona, dotąd obawiająca się wyruszyć w drogę ze względu na dziecko w jej łonie, zdecydowała się opuścić nieckę przechodząc przez most, który zaczęto już naprawiać, przyszedł z doliny pewien mężczyzna i przyniósł nową maskę z drzewa. Maską była podobizna człowieka o twarzy przypominającej przecięty owoc granatu, w zamkniętych oczach zaś tkwiły liczne gwoździe. Mężczyzna okazał się byłym wytwórcą mat, który dawniej zbiegł z doliny nocą, a tego lata został wezwany z miasteczka prowincjonalnego, aby odrodzić tańce nembutsu. Teraz otrzymał tu pracę znowu; robił maty dla domu zgromadzeń, który planowano odnowić do Święta Zmarłych dzięki specjalnemu budżetowi wygospodarowanemu w rezultacie połączenia kilku wiosek, pracował też w innych miejscach, wypłatając maty, a jednocześnie projektował wszystkie kostiumy dla „duchów”. Ofiarowaliśmy mu marynarkę i spodnie, które Takashi przywiózł z Ameryki; będzie mógł je wykorzystać jako kostium dla grających rolę „ducha” Takashiego.

- Wielu młodych chciałoby włożyć tę maskę i wyjść w niej z lasu, już teraz się o nią kłóć! - powiedział z dumą wytwórca mat.

Po opuszczeniu domu przejechaliśmy przez las, żona z nie urodzonym jeszcze dzieckiem i ja, rozmyślający o tym, że do tej niecki już chyba nigdy nie wrócimy. A jeśli pamięć o „duchu” Takashiego stanie się wspólną własnością ludu doliny, to nie będziemy potrzebowali dbać o jego grób. Praca czekająca daleko stąd, w okresie kiedy żona będzie starała się przywrócić naszemu światu syna, którego odbierze z zakładu opiekuńczego, i oczekiwać na urodzenie się jeszcze jednego dziecka, oznacza dla mnie życie w Afryce, w pocie i kurzu, bez czasu na zastanawianie się nad tym, co dzieje się w moim wnętrzu. W hełmie przeciwsłonecznym na głowie będę wykrzykiwał słowa w swahili i dzień i noc pisał na angielskiej maszynie. Jako odpowiedzialny tłumacz ekspedycji, mającej na celu chwytanie żywcem zwierząt, nie będę mógł nawet pomyśleć leżąc na czatach w sawannach, że słoń z „oczekiwaniem”, wymalowanym na ogromnym brzuchu mysiego koloru, stąpając ociężale, pojawi się przed moimi oczyma; ale skoro już przyjmuję tę pracę, to w każdym razie mogę myśleć o tym, że będzie to dla mnie początek nowego życia. A przynajmniej łatwo tam będzie zbudować dom pod strzechą.

Przypis autora

Książka jest zmienioną wersją tekstu opublikowanego na łamach Gunzō („Grupa”) [miesięcznik wydawany w Tokio].

Pisząc korzystałem niejednokrotnie z następujących źródeł: Ono Takeo (red.) Zbiór opowiadań o powstaniach chłopskich epoki Tokugawa; Opowiadania o powstaniach chłopskich w dobie Restauracji; Zebrane gazety końca epoki Tokugawa i Meiji; Dialog trzech pijanych o rządzeniu, Zbiór dzieł Futabatei Shimei; Szepty ziemi - zbiór rękopisów pozostawionych przez poległych na wojnie, pochodzących z dawnego gimnazjum w Shizuoka.